

THOMAS ARNOLD

# MAUZOLEUM

*Ludzie, którzy nie powinni się narodzić...  
Historia, która nie powinna się wydarzyć...*

THOMAS ARNOLD

# MAUZOLEUM



AGENCJA REKLAMOWO-WYDAWNICZA  
VECTRA

Thomas Arnold  
Mauzoleum

Redakcja  
Robert Ratajczak

Współpraca  
Natalia Jargieło  
Sabina Zarzycka

Korekta  
Robert Ratajczak

Projekt okładki  
Natalia Jargieło  
Thomas Arnold

© by Thomas Arnold

Skład i łamanie  
Artur Kaczor  
PUK KompART, Czerwionka-Leszczyny

Druk i oprawa  
WZDZ Drukarnia Lega, Opole

Przygotowanie wydania elektronicznego  
[hachi.media](http://hachi.media)

ISBN 978-83-65950-18-5

Wydawca  
Agencja Reklamowo-Wydawnicza „Vectra”  
Czerwionka-Leszczyny 2019  
[www.arw-vectra.pl](http://www.arw-vectra.pl)

Powieść ta jest fikcją literacką. Nazwiska, postaci, miejsca i zdarzenia są dziełem wyobraźni autora. Użyto ich w sposób fikcyjny i nie powinny być interpretowane jako rzeczywiste. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych zdarzeń, miejsc, organizacji lub osób jest wyłącznie dziełem przypadku.

*Dla Ani – mojej kochanej Żony,  
która nie znosi pajków. :)*

# PROLOG

**Okolice St. Michael, Wirginia Zachodnia  
Wiosna 1985 r.**

– Długo będziesz się z nim bawił? – warknął brodacz ze strzelbą w dłoni i nieco ściszył wrzeszczące, stare radio, z którego głośników wylatywało więcej szumów niż muzyki. Specjalnie go nie wyłączył, aby zagłuszało podejrzanego odgłosy.

– Niech się napatrzy. W końcu to ostatnie, co widzi – odparł Bruce Backerly, lider bandy, szczelnie zatykając dłońmi usta dziewięćdziesięciolatka, którego ciałem wstrząsały agonizacyjne spazmy.

Starzec z poderżniętym gardłem leżał na podłodze nieopodal bujanego fotela. Błagalnie wpatrywał się w sufit, jakby właśnie stamtąd miało nadejść wybawienie. Oddychał coraz płycej, a z długiego rozcięcia na szyi rytmicznie wylewała się krew, czerwieniąc marmur. Pochylający się nad nim mężczyzna cofnął nogę – coraz większa plama niebezpiecznie zbliżyła się do jego buta, a nie chciał pozostawić niepotrzebnych śladów. Dopiero zaczęli...

Gdy tylko weszli do domu i unieszkodliwili staruszkę, natychmiast pogasili wszystkie światła na parterze. Poruszali się niemalże w całkowitej ciemności, gdyż grube kotary zasłaniały okna, nie pozwalając blaskowi księżycy wedrzeć się do domu.

– Gdzie Louis? – zapytał brodacz.

– Zajął się służbą – odparł Backerly. – Nie interesuj się nim, a tymi na górze. Pamiętaj, nikt nie może się wymknąć.

– Jesteś pewien, że wszyscy są w domu? Drugiej szansy nie będzie.

– Nie siedziałem w krzakach pod bramą przez dwa tygodnie tylko po to, żeby jej pilnować. Jak mówię, że wszyscy są tutaj, to tak właśnie jest.

Starzec wyzionął ducha. Pusto patrzył w to samo miejsce, co wcześniej, a jego klatka piersiowa zastygła w bezruchu.

– Dobra... Sypialnie Meyerów są na piętrze. Idź pierwszy – ponaglił Backerly. – Będę cię osłaniał.

Gdy znaleźli się na zakręcających, szerokich schodach, do ich uszu dobiegł szelest.

– Słyszałeś?

– Co to było?

– Nie wiem...

Zanim zdążyli wypatrzeć kolejnego domownika, poraził ich ogłuszający huk. Idącym na czele brodaczem szarpnęła niewidzialna siła. Pocisk trafił w pierś, a krew obryzgała ścianę. Kolos zwałił się na marmurowe stopnie i zjechał po nich głową w dół, pozostawiając czerwony ślad.

Backerly przykucnął i zatrzymał ześlizgujące się ze schodów zwłoki.

Uzbrojony gospodarz natychmiast to wykorzystał. Celnym strzałem przewiercił ramię kolejnego oprycha.

Mężczyzna wrzasnął i wypuścił z dłoni pistolet oraz zakrzywiony nóż, łapiąc się za rękę. Ostrze metalicznie zabrzęczało, odbijając się od marmuru.

Backerly bokiem wsparł się o balustradę. Niewiele brakowało, a przepadłby przez nią. Szybko zbiegł na parter i schował się za grubą kolumną. Przeżył tylko dlatego, że strzelec musiał przeładować broń.

John Meyer był wyjątkowo gibki, a celności mógłby mu pozazdrościć niejeden snajper. Włączył światło na schodach – stał się przez to widoczny, ale dzięki cieniowi rzucanemu przez przeciwnika ukrytego za kolumną, doskonale wiedział o każdym jego ruchu. Szedł spokojnie z bronią niemalże przyspawaną do ramienia, muskając białym szlafrokiem balustradę na piętrze. Zbliżył się do pierwszego stopnia schodów i zamarł, wstrzymując oddech.

Huknął grzmot wystrzału.

Z kolumny posypał się tynk. Czający się za nią włamywacz spanikował – nawet jego cień drżał.

Wkrótce padł kolejny strzał.

Podczas przeładowania broni John Meyer przykucnął za balustradą. Drugi nabój specjalnie głośniej wsadził w lufę, aby włamywacz mógł to usłyszeć. Bez problemu zdążyłby strzelić, gdyby ten zaczął biec w kierunku wyjścia.



Wychylił się i zerknął na drzwi sypialni ojca, która mieściła się na parterze. Były otwarte. Radio wciąż grało, co oznaczało, że tej nocy staruszek jeszcze się nie położył. Cierpiał na bezsenność – często przesiadywał w fotelu do późnych godzin nocnych.

Wtedy w półmroku John Meyer dostrzegł połyskującą, powiększającą się plamę. Przekłęci mordercy, pomyślał. Natychmiast połączył plamę krwi z upadającym na schody nożem. Wiedział już, co spotkało ojca. Zaczął drzeć z gniewu. Bez zastanowienia dwukrotnie strzelił w kolumnę. Dał znak obserwującej go żonie, ukrytej w korytarzu na piętrze, aby wróciła do sypialni i zamknęła drzwi.

Przeładował i zaczął zbiegać po schodach. Gdy osiągnął podest na półpiętrze, z trwogą spojrzął na uzbrojonego intruza wyłaniającego się z lewego korytarza. Instynktownie przykucnął.

Próbując chronić towarzysza skrytego za kolumną, morderca posłał w kierunku Meyera dwa strzały. Kule wbiły się w balustradę, opryskując drzazgami twarz gospodarza.

Przeprowadzona akcja pozwoliła rannemu liderowi wydostać się zza kolumny. Skoczył w bok. Odprowadzony dwoma strzałami, prześlizgnął się obok plamy krwi. Zatrzymał się nieopodal zwłok starca leżącego na początku korytarza, który łączył kuchnię z salonem.

Meyer ponownie przeładował i kontynuował zejście na parter. Niestety, nie przewidział, że trupy także potrafią zabijać. Poślizgnął się na krwi wyciekającej z piersi brodacza, którego wcześniej zastrzelił, i uderzył bokiem o ostatnie stopnie. Upadając, wypuścił strzelbę. Broń odbiła się od schodów i skończyła u ich podnóża. Zaklął na całe gardło – z bólu, ale też karcąc się za nieostrożność. Nie miał szans dosięgnąć strzelby. Z trudem się podniósł.

Włamywacze bezwzględnie wykorzystali nadarzącą się okazję. Ranny oprych podbiegł i kopnął Johna Meyera w brzuch, a gdy ten się przewrócił, dostał jeszcze w głowę. Drugi oprawca zaczął okładać gospodarza rękojęścią rewolweru. Pierwsze razy były mierzone, ale wkrótce uderzali już, gdzie popadło.

Na piętrze rozległ się rozpaczliwy krzyk żony będącej świadkiem masakry. Nie posłuchała i nie wróciła do sypialni.

Lider został na dole, a jego kompan rzucił się za kobietą.

W tym samym momencie do środka rezydencji niepewnie zerknął czwarty członek bandy – kierowca. Słyszając strzelaninę, postanowił

sprawdzić, co się dzieje. Gdy zobaczył Bruce'a Backerly'a stojącego nad umazanym krwią ciałem, odetchnął z ulgą.

– Pomóż mu... – warknął przywódca i skinął głową na towarzysza będącego już na piętrze.

Kierowca pobiegł schodami na górę, a Backerly podszedł do dogorywającej ofiary.

Siwe włosy Meyera były czerwone od krwi, a skóra na głowie rozcięta w kilku miejscach. Ciężko dysząc, trzymał się za połamane zębra.

Oprych przykucnął. Dobiegły go krzyki kobiety i wrzaski rozochoconych mordem kompanów.

John Meyer również je słyszał. Spróbował się podnieść, ale mocny cios w głowę sprowadził go do poprzedniej pozycji. Stracił przytomność.

– Wiem... Dla mnie to też trudne... – Włamywacz wstał i wrzasnął do towarzyszy na piętrze: – Pamiętajcie, jakie były ustalenia! – Wypatrzył nóż i wrócił do półżywego Meyera. Nie był w stanie ranną ręką przytrzymać głowy biedaka leżącego na brzuchu, aby podciąć mu gardło, więc szarpnął za szlafrok i obrócił ciało.

Mężczyzna odzyskał przytomność. Jęknął z bólu, ale nie miał nawet siły, aby się bronić.

Morderca uniósł nóż. Celując w serce, zatopił go w piersi ofiary.

Chwilę później przy balustradzie na piętrze pojawili się pozostali. Kierowca skinął głową, co oznaczało, że żonę Meyera mają z głowy.

– Sprawdźcie każdy kąt! Jeszcze troje, w tym dzieciak! Jeżeli choć jedno się wymknie, mamy przesrane!

Bez zastanowienia zaczęli otwierać lub wyłamywać drzwi kolejnych pomieszczeń.

\*

– Nie podchodź tu... – Trzydziestoletniego mężczyznę stojącego niczym zjawa w długiej nocnej koszuli, ukrytego za załomem korytarza na piętrze, sparaliżowało, gdy zobaczył, jak na parterze bandyta szarpie ciałem, unosi nóż i zatapia go w piersi ojca. Cały czas słyszał też mrożące krew w żyłach jęki mordowanej matki.

Ben Meyer obserwował wszystko jak przez mgłę. Miał wrażenie, że to zły sen, z którego nie może się obudzić. Dopiero kobiecy głos dochodzący zza pleców przywrócił mu pełną świadomość.

– Ben... – odezwała się przerażona, niespełna trzydziestoletnia kobieta próbująca zrozumieć, co się dzieje. Stojąc w drzwiach sypialni, drżała ze strachu i niezrozumiale patrzyła na brata. Ten gwałtownie machnął ręką i cicho wycedził przez zęby:

– Schowaj się...

Morderca ojca krzyknął coś do pozostałych członków bandy, którzy zaczęli wyważać drzwi na piętrze.

Ben wiedział już, że nie śni. Wrócił i siłą wepchnął siostrę do jej sypialni.

– Co się...

Natychmiast uciszył kobietę, zatykając jej usta dłonią. Łkając, próbowała się oswobodzić, gdyż trzymał tak mocno, że sprawiał jej tym ból.

– Musimy uciekać – szepnął. – Idź po Corey’a. Spróbuję ich odciągnąć.

– Jak?

– W sypialni mam broń. Spotkamy się w bibliotece.

Kobieta patrzyła na niego załzawionymi oczyma, a strach całkowicie ją obezwładnił. Dopiero mocne szarpnięcie za ramiona wyrwało Matyldę Meyer z odrętwienia.

– Weź się w garść – warknął Ben, próbując zmotywować siostrę do działania. – Mamy najwyżej minutę, zanim tu dotrą.

Roztrzęsiona skinęła głową.

Ostrożnie uchylili drzwi.

Gdy Ben pobiegł do sąsiedniego pokoju po broń, Matylda przecięła korytarz i ostrożnie otworzyła przeciwległe drzwi. Wchodząc do pokoju syna, o mały włos nie dostała ataku serca.

Niczego nieświadomy siedmiolatek stał nieruchomo na środku swej sypialni. Wyglądał jak duch. Z pewnością obudziły go strzały. Przestraszył się, widząc dziwny wyraz twarzy matki.

– Mamo...

Kobieta delikatnie przyłożyła rękę do jego ust, jednocześnie dając znak drugą, aby zamilkł.

– Ja i wujek Ben mamy dla ciebie niespodziankę, ale musisz być cichutko, zgoda? – Z trudem opanowywała emocje. Za wszelką cenę starała się zachować naturalny, przyjazny ton głosu.

– Mamo, dlaczego jesteś zdenerwowana?

Zawahała się.

– Bo nie wiem, czy niespodzianka ci się spodoba. Chodź...

– Co to za niespodzianka?

– To sprawka wujka Bena, a wiesz, jaki on jest. Gdybym ci powiedziała, byłby na mnie bardzo zły.

– A gdzie ta niespodzianka?

– Na dole. Ale nie pójdziemy schodami... Przejdziemy przez bibliotekę dziadka.

– Tajnym przejściem dziadka?! Super!

– Cii... – Ponownie przytknęła palec do jego ust. – Chyba nie chcesz nikogo obudzić?

Pokręcił przecząco głową.

Gdy wyszli na korytarz, usłyszeli strzały z pistoletu, a zaraz po nich głośny trzask gwałtownie zamykanych drzwi. Padła przytłumiona salwa przekleństw i wyzwisk.

– *Bierzcie go!* – krzyknął ktoś z parteru.

– Mamo, co się dzieje? – zapytał chłopiec, wycofując się do sypialni.

– Później ci wyjaśnię... Teraz musisz mi zaufać.

– Ale ja już nie chcę tam iść! – Spróbował jej się wyrwać.

Matylda Meyer siłą zaczęła ciągnąć syna do biblioteki ulokowanej na końcu korytarza. Do oczu napłynęły jej łzy, gdyż wiedziała, że krzywdzi tym Corey'a, ale nie miała wyjścia.

– Mamo!

Gdy od drzwi dzieliły ich dwa kroki, Matylda wyczuła za plecami ruch. Ktoś chwycił ją za ramię. Nogi się pod nią ugięły i z trwogą obróciła głowę. Odetchnęła, widząc twarz Bena.

– Dzięki Bogu...

– Wujku... Co to za hałas? Co z moją niespodzianką? Mama powiedziała, że...

Usłyszeli przytłumione krzyki i trzask wyłamywanych drzwi.

Mężczyzna wziął chłopca na ręce, osłaniając go własnym ciałem. Gdy skręcili w najbliższe przejście, padł strzał. Na szczęście morderca chybił.

Ben postawił siostrzeńca, przekazując go matce. Wychyliwszy się z wnęki, posłał kilka strzałów w stronę nadbiegających bandziorów, po czym zatrasnął drzwi biblioteki i przekręcił klucz.

Każda ze ścian była zastawiona regałami, a pod jedną ulokowano potężne, prawie stuletnie biurko. Na blacie leżało kilka książek i stała na nim duża zabytkowa lampa. Za biurkiem znajdował się obity czarną skórą fotel. Jego siedzisko było mocno spękane, a podłokietniki wytarte.

Kobieta podbiegła do półki, na której stały tomy wielkiej encyklopedii. Wszystkie miały identyczne kolory grzbietów, grubość i wysokość. Łapiąc od góry, pociągnęła jednocześnie drugą i siódmą pozycję. Zwolniła w ten sposób blokadę. Rozległ się szczełk i część regału jedną stroną odchyliła się od ściany, uwidaczniając drewniane drzwi.

Ben nacisnął ukryty pod blatem biurka guzik, ostatecznie otwierający zamaskowane przejście. Za nim krył się korytarz ulokowany w grubej na ponad metr ścianie oddzielającej bibliotekę od jednej z sypialni.

Ze środka tunelu buchnął pył wzbity w powietrze nagłym odblokowaniem od dawna zapieczętowanego wejścia. Ostatni raz – przed dwoma laty – otwarł je dziadek chłopca i tylko po to, aby mu je pokazać. W tym miejscu nigdy nie sprzątano. Wiedzieli o nim jedynie właściciele domu. Żadnego z ukrytych przejść nie naniesiono na głównym planie budynku. Widniały jedynie na oddzielnym dokumencie, który nigdy nie opuszczał sejfu.

Ben Meyer włączył skąpe oświetlenie tunelu w postaci regularnie rozmieszczonych żarówek zwisających z kabla podwieszzonego pod sklepieniem.

– Idź i nie oglądaj się niepotrzebnie. Będziemy zaraz za tobą.

– Wujku, ale...

– Trafisz na schody. Zejdź nimi, a gdy dojdiesz do końca korytarza, przykucnij i zaczekaj na nas. W żadnym wypadku nie otwieraj drzwi. Rozumiesz?

Chłopiec skinął głową.

– Idź i nie oglądaj się za siebie... – powtórzył Ben.

Siedmiolatek całkowicie zapomniał o niespodziance. Widząc przerażenie w oczach matki i wuja, z każdą sekundą coraz bardziej się bał. Zabroniono mu się oglądać, ale to było silniejsze od niego. W oczach miał łzy. Ostatnie, co usłyszał, to nerwowe nawoływanie:

– Matyldo, pomóż mi!

Zamiast uciekać, patrzył, jak matka i wujek pchają masywne biurko w stronę drzwi.

– Corey, uciekaj!

Nagle biurko zatrzymało się jak na komendę. Zapomnieli o grubym przewodzie biegnącym pod podłogą – łączył on zamontowany w meblu przycisk z ukrytymi drzwiami. Matylda szarpnęła kabel, ale ten uparcie trzymał z obydwu stron.

Usłyszeli potwornie mocne uderzenie w drzwi. Ben Meyer bez zastanowienia strzelił w nie z rewolweru, kupując im w ten sposób kilka cennych sekund.

– Zatrzymam ich... Uciekaj... – rozkazał głosem nieznoszącym sprzeciwu.

– Nie!

Nie dyskutował z siostrą. Zdecydowanym ruchem pociągnął ją za rękę, o mały włos nie wybijając ramienia ze stawu.

– Co robisz?! – krzyknęła.

Nie odpowiedział. Nie musiał... Doskonale wiedziała, co robi. Pomimo wyraźnego sprzeciwu Matyldy, Ben wepchnął ją do tunelu i zatrzasnął za nią drzwi. Z całej siły szarpnął przewód zwalniający blokadę. Wyrwał go z mocowania w ramie. Impet, z jakim tego dokonał, przewrócił go na ziemię. Słyszał, jak siostra wali pięściami w grubą przegrodę. Dolnych drzwi nie dało się otworzyć od zewnątrz, a tych od wewnątrz. Przejście prowadziło tylko w jedną stronę.

Ben uderzył w drewno.

– Przestań, bo się zdradzisz. – Pchnął regał z książkami, który idealnie wpasował się w lukę.

Opracownicy ponownie natarli na drzwi. Najroślejszy uderzył barkiem i wyłamał zamek. Otwierające się skrzydło walnęło o ścianę, a morderca z impetem wpadł do biblioteki.

Ben wycelował w mężczyznę, ale usłyszał jedynie metaliczny szczęk. Skoczył na włamywacza, ale natychmiast został ugodzony nożem w brzuch.

\*

Wyrwany przez Bena kabel musiał zasilać również oświetlenie, gdyż żarówki zgasły, a tunel pogrzyżył się w egipskich ciemnościach.

Matylda usłyszała wrzask szlachtowanego brata. Ból w przetyku i łzy zalewające oczy całkowicie ją sparaliżowały. Przyłgnęła plecami do zablokowanych drzwi, za którymi umierał jej brat. W gardle zamarł krzyk. Nie mogła go z siebie wydobyć. Zatykając usta dłońmi, osunęła się na ziemię.

Nagle jej ciało zostało otulone przez powiew cieplejszego powietrza. Poczowała dym i swąd palącego się drewna oraz plastiku. Śmierć brata dała jej i Corey'emu trochę czasu. Nie mogła tego zaprzepaścić, choć ból wciąż paraliżował jej ruchy.

Przytrzymując się ściany, wolno poszła korytarzem w jedynym możliwym kierunku. Kiedyś ojciec przeprowadził ją tym tunelem. Pamiętając o schodach rozpoczynających się w połowie długości ukrytego przejścia, ostrożnie stawiała kroki. Gdy wreszcie nie wyczuła pod stopą podłoża, zaparła się mocniej o ściany i zaczęła schodzić. Im niżej była, tym powietrze stawało się cięższe. Wyraźnie czuła dym, choć niczego nie widziała. Drażnił jej oczy i dusił, powodując ataki kaszlu.

– Corey...

Zaraz po zejściu ze schodów wyczuła załom – wąski korytarz zakręcał o sto osiemdziesiąt stopni.

Zbliżała się do wyjścia.

Niespodziewanie jej oczom ukazała się mlecznopomarańczowa łuna, która z każdym krokiem przybierała coraz intensywniejszą barwę.

– Corey...

Czując, że za chwilę może stracić przytomność, przyspieszyła. Wyszła otwartym przejściem prosto na korytarz łączący salon z kuchnią. W niej, a także w jadalni, szalał ogień. Płomienie pożerały szafki i sprzęty. W oknach wisiały skrawki dopalającego się materiału, które kiedyś były pięknymi firankami.

– Mój Boże... – dostrzegła zwłoki dziadka.

Korytarz po lewej wyglądał na nietknięty przez żywioł. Najwidoczniej ktoś umyślnie wzniecił pożar w tej części domu, licząc, iż obejmie on całą rezydencję i zatrze ślady makabrycznej zbrodni.

– Corey!

Niespodziewanie usłyszała dobiegający z kuchni płaczliwy głos syna.

– Mamo...

Przerażony chłopiec z twarzą osmaloną od dymu siedział skulony

w ściennej wnęce. Nie wiedział, czy bardziej boi się ognia, czy wujka Bena, którego nie posłuchał. Przecież tylko chciał zobaczyć, co się tam dzieje... Dostrzegłszy kuchenne wyjście, wierzył, że uda mu się uciec z płonącego domu. Niestety, nie dość, że klamka okazała się zbyt gorąca i sparzyła mu dłoń, to drzwi zamknięto od zewnątrz. Corey chciał wrócić do ukrytego przejścia, ale ogień odciął mu drogę.

– Zostań tam, już do ciebie idę!

Przeszła kawałek, ale szalejące w kuchni płomienie zagroziły jej drogę. Szybko dopadła kranu i zdjęła koszulę nocną. Zmoczyła ją, a następnie wsadziła głowę pod strumień zimnej wody.

Pospiesznie założyła mokre odzienie. Spływające po brudnych policzkach krople żłobiły na skórze jasne smugi, upodabniając kobietę do zjawy.

Chłopiec wybałuszył oczy. Przez chwilę przestał myśleć o zagrożeniu ze strony ognia, a skupił wzrok na istocie, która chwilę wcześniej była jego matką. Teraz wyglądała jak potwór z bajek, które niegdyś czytał mu dziadek.

Matylda wzięła głęboki wdech, przygotowując się do przejścia przez płomienie dzielące ją od syna. W tej samej chwili, gdy postanowiła ruszyć, zaczep jednej z wiszących szafek wyrwał się z nadpalonego drewna. Mebel z ciężką porcelaną runął na blat. Dodatkowo na szafce stały butelki ze spirytusem – jedna oryginalnie zamknięta, druga wypełniona do połowy. Rozbiły się o meble i podłogę. Płyn opryskał kobietę, błyskawicznie się zapalając.

– Mamo!

Matylda wrzeszczała z bólu, ale zachowała resztki przytomności.

– Nie podchodź do mnie! – Odsunęła się od syna. W szale bólu, nie potrafiąc zedrzeć z siebie palącej się nocnej koszuli, podeszła do przeciwległej ściany – wisiał na niej uchwyt z pękiem kluczy. Rzuciła nimi w stronę chłopca i upadła na kolana.

– Mamo!

Wdychając powietrze, wdychała również płomienie palące jej przełyk i płuca. Corey nie rozumiał, co do niego mówiła. Jej słowa przypominały niezrozumiałe rżenie. Skonała z wyciągniętą w stronę syna ręką, który szlochał, patrząc na cierpienie matki. Swoją małą dłonią próbował złapać jej poczerwiałą rękę, ale żar był nie do wytrzymania.

Niespodziewanie Corey usłyszał groźne krzyki jakichś mężczyzn:



– *Dawajcie ich tutaj, szybko!*

Jego wzrok zatrzymał się na uchylonych drzwiach prowadzących do ukrytego korytarza, ale wejście co chwilę przesłaniały płomienie buchające z jadalni. Nie mógł też uciec tylnymi ani głównymi drzwiami – znalazł się w pułapce.

Wtedy przypomniał sobie o kluczach, które leżały metr dalej. Pamiętał, jak kucharka często zabierała je z haka, a później odblokowywała drzwi do piwnicy. Tak... To była jego szansa!

Zebrał w sobie resztki odwagi i przeszedł obok palącego się ciała matki. Gdy sięgnął po klucze, dłoń zapiekła go od rozgrzanego metalu. Naciągnął na nią rękaw koszuli nocnej i spróbował ponownie. Zaciskając zęby, podbiegł ze zdobyczą do drzwi prowadzących do piwnicy. Metal palił dłoń nawet przez materiał. Chłopiec zdołał umieścić pierwszy z kluczy w starym zamku. Nie pasował...

– *Szybciej!* – odezwał się ktoś schodzący na parter.

– *Musisz mi pomóc! Nie dam rady z tą ręką!*

– *Cholera!*

Nerwowe krzyki jeszcze bardziej motywowały chłopca. Drżącą dłonią spróbował drugi z kilku kluczy i szybko przekręcił. Udało się! Sekunda przerwy i drugi obrót... Z całej siły pociągnął w dół masywną klamkę i pchnął drzwi.

Zawiasy zgrzytnęły, a skrzydło mocno uderzyło o boazerię, którą wyłożono zejście.

– *Co to było?!*

– *A skąd mam wiedzieć?! Podobno sprawdziliście parter!*

– *I nikogo więcej nie znalazłem!*

– *Idź tam, do cholery!*

Mocne uderzenie drzwi o ścianę wywołało kolejną katastrofę. Gdy Corey myślał, że jest już bezpieczny, usłyszał mrozący krew w żyłach trzask. Pozostałe wiszące szafki odpadły od ściany – były połączone, więc pierwsza pociągnęła za sobą kolejne.

Chłopiec zdążył jedynie spojrzeć za siebie.

Ciężkie, owładnięte płomieniami meble odbiły się od blatu i rozleciały na kawałki. Płonące drewno i zawartość szafek zasypały Corey'a, który wrzasnął z bólu i stracił równowagę. Upadł na schody i sturlał się do

piwnicy. Jego ciało zatrzymało się na zimnym betonie, a pierwsze drewniane stopnie szybko zajęły się ogniem.

# ROZDZIAŁ 1

Pittsburgh, Pensylwania  
Maj 2016 r.

Siedząca na wysokim stołku przy barze Julianne Reflin po raz dwudziesty siódmy w ciągu piętnastu minut zerknęła na wyświetlacz telefonu, czy aby na pewno nie przegapiła jakiejś wiadomości. W ten sposób próbowała uciekać wzrokiem od drzwi wejściowych do pubu – nerwowo taksowała każdego mężczyznę, który w nich stanął, choć o tej porze nie było ich wielu.

Minutowa wskazówka coraz bardziej odchyłała się od pionu i oddalała od swej mniejszej siostry. Piętnaście po jedenastej kobieta była już pewna, że została wystawiona do wiatru. Schowała telefon do torebki i zrezygnowana oparła się o blat, próbując zrozumieć, dlaczego...

Podstarzały, siwiejący barman z włosami upiętymi w kucyk stale zerkał na podłamaną klientkę. Jak zawsze strzelał miną typu *mam cię gdzieś, widziałem setki takich jak ty*, ale w duchu zazdrościł facetowi, na którego czekała ta kobieta. Nagle klientka się ożywiła, gdy jej komórka zabrzęczała w torebce, wydając równocześnie pojedynczy dźwięk.

Czyżby, pomyślała Julianne. Energicznie dotknęła ekranu, wpatrzona w niego jak w otwartą walizkę z milionem dolarów.

/Czekam i czekam...

Co? Rozejrzała się niepewnie, a jej usta wykrzywił delikatny uśmiech. Mimo to była zdziwiona, a nawet zniesmaczona faktem, iż mężczyzna, z którym miała się spotkać, nie podszedł do niej. Najpierw testuje moją cierpliwość, a teraz jeszcze jakaś głupia gra. Jakby był nie wiadomo kim...

A może zapłacił barmanowi, aby ten mnie wybadał? Spojrzała podejrzliwie na siwiejącego pięćdziesięciolatka, który odwrócił wzrok w stronę nadchodzącego klienta.

Hmm... Ciekawe, pomyślała. Chwilę się zastanowiła, zanim odpisała.

/Jestem przy barze, a Ty?

/Na pięterku... Wejdiesz na górę?:)

Zerknęła przez ramię, ale zobaczyła jedynie poręcz górnego podestu. Nigdy nie była w tym pubie. Dopiero teraz zauważyła zakamuflowane schody. Domyśliła się, że na górze też muszą być miejsca siedzące. Wcześniej za bardzo przejmowała się spotkaniem, aby zwracać uwagę na takie szczegóły.

/Zabawne...

Krótko skrytykowała grę słów, zastanawiając się, jak ukarać żartownisia. Pomimo swoich trzydziestu dwóch lat znowu poczuła się jak w szkole średniej, gdy flirtowała z kolegami z ławki. Zanim cokolwiek wymyśliła, przyszła kolejna wiadomość.

/Wejdź schodami i wypatruj mnie po prawej.

/Tak lepiej.:)

Wystukawszy na klawiaturze odpowiedź, zostawiła barmanowi dwudziestkę. W tej chwili rozmawiał z innym klientem, który wyglądał, jakby kogoś szukał. Skinieniem głowy podziękowała za obsługę.

Jej obcasy wymownie zastukały o podłogowe płytki stylizowane na drewno. Po spiralnych schodach wspięła się niemalże bezgłośnie – na palcach. Na górze nieco się skrzywiła, gdy dostrzegła wpatrującego się w nią mężczyznę w różowej marynarce. Obawiała się, że to kolejny żart. Wtedy dostała następną wiadomość.

/Nie przeraż się, gdy zobaczysz przystojnego faceta ubranego jak w kiepskim pornosie. Miń go. To gej... Ja czekam w ostatnim boksie.

Mimo najszczerzych chęci opanowania wesołości parsknęła śmiechem. Dostrzegłszy taksujący wzrok mężczyzny w różu, natychmiast spoważniała i przyspieszyła kroku.

Na widok osobnika zabawnie wychylającego się z ostatniego boksu wybuchła śmiechem. Nie dlatego, że wyglądał komicznie. Wręcz przeciwnie... Po prostu nie mogła się powstrzymać. Sama nie wiedziała, dlaczego.

– Wiesz, że to nieładnie naśmiewać się z czyjejs orientacji? – rzucił na dzień dobry szeptem Jarret Dwyer.

– Ja wcale nie... To twoja wina! – Wesoło pogroziła mu palcem.

– Proszę cię... – westchnął nienaturalnie, wykonując zabawny ruch ręką. Przewrócił teatralnie oczyma i dodał śmiesznym głosem: – Kłóciłbym się...

– Przestań! – skarciła go, nie potrafiąc powstrzymać śmiechu. Odwróciła się z obawą, czy mężczyzna w różowej marynarce przypadkiem ich nie słyszał.

Jarret uśmiechnął się przyjaźnie i nastąpiła niezręczna pauza. Wielokrotnie rozmawiali już przez internet, ale pierwszy raz spotkali się w rzeczywistości.

Julianne należała do kobiet, które wyglądają równie dobrze na żywo, jak i na zdjęciach. Miała długie, ciemne włosy, wyraźne kości policzkowe oraz pełne usta mocno uwydatnione czerwoną szminką. Dopasowany elegancki żakiet podkreślał jej szczupłą sylwetkę, choć nadawał niepotrzebnej powagi. Zdecydowanie chciała dobrze wyglądać – nie na łatwą. Jej zamiarem było zaznaczenie dystansu. Ubiór miał pokazać, że to ona wybiera – wie, czego chce i nie na wszystko się zgadza.

Pomimo poważnego stroju, zbyt poważnego, jak na tę okazję, Julianne zrobiła na Jarrecie pozytywne wrażenie. Już wcześniej wydała mu się ciepłą, otwartą i szczerą osobą. Właśnie kogoś takiego szukał.

Niewymuszoną elegancją Jarret Dwyer dorównywał Julianne, ale nie wyglądał na takiego, który na co dzień nosi marynarkę. Raczej wyobrażała

go sobie w sportowych butach, dziurawych džinsach i T-shircie. Mimo to musiała przyznać, że w grafitowej, sztywnej marynarce z jasnymi przeszyciami wyglądał niesamowicie dobrze. Ciemne, materiałowe spodnie i wypastowane buty świetnie pasowały do reszty.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem w dość zabawny sposób. Siłowali się umyślowo, próbując zmusić przeciwnika do zabrania głosu. Przez internet rozmawiali godzinami, jednakże z powodu oficjalnych strojów i niecodziennej otoczki utracili swą naturalność.

– Mam pomysł – zaczęła. – Ty zdejmij marynarkę, a ja zdejmę ten przeklęty żakiet.

– Idealnie! Zabiję brata za to, że pożyczył mi ten ciuch.

Frywolnie rzucili ubrania w kąt.

– Rozumiem, że teraz moja kolej... – rzekł prowokacyjnie.

– Zgadza się...

– W takim razie... lewa skarpetka.

Bez skrępowania podniósł nogę i rozsznurował but. Skarpetka poleciała na marynarkę. Zaskoczona Julianne odprowadziła ją wzrokiem i szczerze się roześmiała.

– Na co czekasz? – zapytał, rozkładając ręce w zapraszającym do zabawy geście.

– Jesteś nienormalny... – Pokręciła głową.

– Umówmy się, że nieszkodliwy.

– To się jeszcze okaże.

– Trafiłaś bez problemu?

– Tak, ale w którymś momencie nawigacja zwariowała. Skąd wytrzasnąłeś to miejsce? I dlaczego bar dla gejów?

– Dla geja... – poprawił ją.

Zabawnie ściągnęła brwi.

– Widzisz ich tutaj więcej?

Uśmiech nie zniknął jej z twarzy.

– Najspokojniejsze miejsce w tej części Stanów – kontynuował Jarret. – Szczególnie o tej porze dnia... Im później, tym jest tu tłoczniej, więc wybrałaś idealną porę.

– Przepraszam za nią, ale wiesz, że nie mogłam inaczej.

– Rozumiem... Jak Samantha?

– Dobrze. Zawiozłam ją do szkoły, aczkolwiek nie wiem, czy za chwilę

po mnie nie zadzwonią. Nie miała temperatury, lecz była jakaś markotna. Niby czuła się dobrze, ale wiem, jak z nią bywa.

– Chętnie ją poznam. Tak naprawdę, a nie przez internet.

Julianne wręcz przeraziła szczerość tej deklaracji. Dobrze się zastanowiła, zanim zadała kolejne pytanie.

– Powiedz mi... Co cię pociąga w kobiecie gnieźdzącej się w dwupokojowym mieszkaniu ze swoją siedmioletnią córką? – Spoważniała. – Wiesz, że zmierzasz w kierunku samych problemów?

– Powtórzę, bo obawiam się, że mogłaś nie usłyszeć. Chętnie poznam Samanthę. Mam tylko nadzieję, że mnie polubi.

– Już cię lubi! Uwielbia twoje żarty... Ja zresztą też.

– Więc... w czym problem? – zapytał najłagodniej, jak potrafił.

– W tobie... Podobne historie nie przytrafiają się kobietom takim jak ja. Zastanawiam się, gdzie tu jest haczyk i kto to nagrywa... Wyglądasz świetnie, pachniesz świetnie, a ten czarny jaguar przed budynkiem, jeśli nie należy do barmana, który pewnie przechodzi kryzys wieku średniego, też pewnie jest twój. Bo chyba nie od tego gościa... – powiedziała wesoło, kiwając głową za siebie.

Parsknął śmiechem i uniósł brew.

– Mam sprzedać wóz, żebyś potraktowała mnie poważnie?

– Masz mi powiedzieć, co tu jest grane. Nie kupuję tej bajki, Jarrecie Dwyer.

– Całkowicie się z tobą zgadzam... Przepraszam... Idiota ze mnie, że podobają mi się kobiety.

Patrzyła ze zdziwieniem, jak wstaje. Przez moment miała cichą nadzieję, że chce usiąść obok niej, ale nachylił się tylko i szepnął jej do ucha:

– Spróbuję szczęścia gdzieś indziej.

Zaskoczona odwróciła się i zobaczyła, jak towarzysz znika jej z oczu, siadając w boksie samotnego geja.

– *Co słychać?* – rzucił głośno Jarret, aby mieć pewność, że Julianne go słyszy.

– Mój Boże... – przeraziła się i błyskawicznie przeszła do sąsiedniego, pustego boksu. Ostrożnie weszła na siedzisko i wysunęła głowę ponad oparcie – tuż nad postawionymi na żelu włosami nowego kolegi Jarreta. Pod groźbą śmierci – przesunęła palcem wskazującym po swoim gardle – kazała towarzyszowi natychmiast wracać na poprzednie miejsce.

Zakłopotany mężczyzna w różowej marynarce był zupełnie zdezorientowany. Nie miał pojęcia, co się dzieje – nie widział kobiety, a facet, który przed chwilą się dosiadł, zamiast na niego, patrzył gdzieś wyżej.

– Przepraszam na moment. To matka... – Jarret pomachał komórką. – Kochana kobieta, ale bywa irytująca.

– Pewnie... – bąknął młody mężczyzna.

Udając, że odbiera połączenie, Jarret wstał i wrócił do Julianne.

– Matka? – zapytała cicho, rzucając w niego jego własną skarpetką.

Dopiero teraz przypomniał sobie, że paradował bez niej.

– Aż taka stara nie jestem!

– Nie powiedziałem moja matka, tylko *matka*. Nie jesteś matką?

Ręce jej opadły.

– Jarrecie Dwyer...

– Obecny... – wypalił bezmyślnie. Poczł się jak w szkole, wywołany przez nauczycielkę.

Julianne uwielbiała jego poczucie humoru i lubiła się z nim przekomarzać – trudne sprawy często obracał w żart. Właśnie to ich tak bardzo do siebie zbliżyło, że internetową znajomość postanowili przenieść do rzeczywistego świata. Zbita z tropu ponownie zaniemówiła. Jarret chciał coś powiedzieć, ale nie pozwoliła mu, unosząc dłoń.

– Poczekaj... Teraz ja... – Opanowała zdenerwowanie i westchnęła. – Na tylnym siedzeniu mojego rdzewiejącego buicka – podparła sobie głowę ręką – mam dziecięcy fotelik, a w bagażniku torbę z zakupami, w której znajdują się trzy pudełka płatków śniadaniowych. Wybierając je, porównywałam wagę, żeby w każdej paczce była inna zabawka.

– Nie wpadłbym na to... – przyznał szczerze, choć z dużą dozą wesołości.

– W tej samej papierowej torbie mam farbę do włosów i krem przeciwzmarszczkowy. Kupuję te rzeczy nie dlatego, że chcę, a dlatego, że muszę. Po tym, jak dziś kopniesz mi w zadek, mam w planie zahaczyć o jakiś sklep z materiałami budowlanymi. Muszę kupić uszczelkę, bo kran mi się rozciekł, a nawet nie mam pojęcia jaką. Zamiast wezwać kogoś, bo na to mnie nie stać, będę musiała przez pięć minut wdzięczyć się do zбочzonego sąsiada, żeby mi pomógł. Wieczorne pogadanki przez internet to jedno, ale prawdziwe życie to już co innego. Rozumiesz, do czego zmierzam?



- Doskonale rozumiem... Chcesz, żebym pomógł ci wymienić uszczelkę.
- Boże... – Położyła głowę na rękach. – Dlaczego mi tego nie ułatwisz?

Za plecami usłyszała szmery rozmów. Najwyraźniej facet w różowej marynarce doczekał się towarzystwa.

- Myślisz, że oni czymś się przejmują? – Jarret skinął głową.
- Na pewno nie takimi sprawami, jakimi ja muszę.
- To dlaczego chciałaś się spotkać?
- To był twój pomysł. Nie wiem... Miałam nadzieję, że na żywo okażesz się beznadziejny...

Roześmiał się.

- ...dasz sobie spokój z samotną matką i przestaniesz mi robić nadzieję.
- Pozwól sobie na odrobinę szczęścia, Julianne.
- O nie, nie, nie... – Ponownie pogroziła mu palcem. – Żadnych tanich chwytów i beznadziejnych cytatów z marnych seriali.

– Ten był z książki... – uśmiechnął się zawadiacko. Zaraz potem nachylił się i powiedział cicho: – Facet, który teraz przyszedł, ma czteroletniego syna. Gościa zostawiła żona. Przyłapała go na zdradzie w ich własnej sypialni.

– Skądś to znam... – wtrąciła.

– Domyślasz się pewnie, jak mocno kobieta się zdziwiła, gdy zobaczyła w ich łóżku dwóch facetów. Powiedziała mężowi, że nie chce mieć z nim, ani z dzieckiem nic wspólnego. Nawymyślała mu znacznie gorzej niż w kiepskim serialu. – Uniósł brwi, mocniej akcentując ostatnie zdanie. – *Jeżeli syn ma wyrosnąć na kogoś takiego jak ty, to bierz go sobie.* Tak powiedziała... Przysięgam. Spakowała się i tyle widziała męża z synem. Facet bez problemu uzyskał pełne prawo do opieki. Matka podpisała je, zanim adwokat zapytał, czy są tego pewni. Obecnie trwa rozprawa o alimenty. Nie chciałabyś słyszeć argumentów, jakich ta kobieta użyła w sądzie, próbując wyłgać się od płacenia na własne dziecko.

Julianne zamurowało.

- Skąd to wszystko wiesz?
- O tej porze barmani zazwyczaj się nudzą. Facet z kucykiem poznał tych dwóch ze sobą.

– Dalej nie rozumiem... Zaczynam się martwić, bo jeśli tak dobrze znasz się z barmanem, że mówi ci o takich sprawach, to jak często sprowadzasz tu swoje nowe ofiary?

– Jestem właścicielem tego miejsca...

Julianne osunęła się na oparcie, a ręce opadły jej wzdłuż ciała.

– Ale nie musisz się martwić...

– Czym tym razem? – wymamrotała skołowana.

– Nie pójdę do szkoły twojej córki, gdy zaproszą rodziców, żeby poopowiadali o swoich zawodach.

Uśmiech wykrzywił jej usta, ale nadal miała wątpliwości i to coraz większe.

– Dajmy temu jeszcze trochę czasu... Proszę...

– Nie rozumiem, dlaczego.

Rozmowę przerwał im dzwonek komórki Julianne.

– A niech to... Wychowawczynie Samantha... Zaczyna się... Przepraszam cię najmocniej...

– Jasne. – Machnął ręką, nie widząc problemu.

– Tak, panno Perkins... – Z każdym usłyszanym zdaniem wyglądała na coraz bardziej zatroskaną. – Dobrze, zaraz przyjadę... To znaczy za jakieś dwadzieścia minut. – Nie czekając na koniec rozmowy, zaczęła zakładać żakiet. – Rozumiem i dziękuję za telefon. Do zobaczenia.

– Coś się stało? – zapytał Jarret, zakładając skarpetkę.

– Samantha źle się czuje. Pewnie to nic poważnego, ale... Właśnie o tym mówię. Obiecuję, że kiedyś to powtórzymy, a w tej chwili nie pozostaje mi nic innego, jak cię przeprosić.

– Nie ma problemu... – uśmiechnął się przyjaźnie, zabierając marynarkę. Dopiero teraz sobie uświadomił, że nawet nie zdążyli niczego zamówić. Towarzyszył Julianne aż do samochodu. Na odchodne zabawnie jej pomachał i nieco zawiedziony poszedł w stronę jaguara.

– Cholera... – warknęła i włożyła kluczyk do stacyjki. Nie wiedziała, czy bardziej była zła na los, czy na siebie, że zachowała się jak kretyńska, świadomie torpedując jedyną okazję na poznanie kogoś normalnego, jaka się jej nadarzyła w ciągu ostatniego roku.

Siedząc w samochodzie, Jarret ukradkiem patrzył, jak Julianne zmazuje makijaż. Chwilę później kilka groźnie brzmiących zgrzytów starego silnika przywróciło w nim nadzieję. Założył ręce na piersiach i spokojnie obserwował, jak biedaczka zмага się z gruchotem, wykonując prześmieszne ruchy i miny za kierownicą. Na jego szczęście buick nie zapalił.

Zrezygnowana kobieta walnęła dłonią w kierownicę.

Jarret spokojnie podjechał jaguarem i opuścił szybę.

Zapłakana Julianne otworzyła drzwi, gdyż mechanizm opuszczania szyby już dawno się zepsuł, a nie miała pieniędzy, aby oddać samochód do mechanika.

- I tak miałem jechać do centrum...
- Szkoła nie znajduje się w centrum.
- To dobrze, bo o tej porze bywa zakorkowane.

Jak w kiepskim serialu, który ogląda połowa ludzkości, pomyślała. Czy to możliwe? Roześmiała się przez łzy, bo co innego jej pozostało...

\*

Mała Samantha bardzo się zdziwiła, gdy mama zaprowadziła ją do ekskluzywnej limuzyny, otworzyła drzwi niczym szofer i kazała usiąść na tylnej kanapie. Dziewczynka natychmiast ozdrowiała.

- Hejka... – przywitał się Jarret.
- Dzień dobry – rzuciła lekko speszona, ale już po chwili odwaga jej wróciła. – Powinien pan mieć fotelik, żebym mogła z panem jeździć – oznajmiła stanowczo. – Prawda mamó?

Jarret i Julianne uśmiechnęli się mimowolnie.

Dopiero w połowie drogi z pubu do szkoły przypomniała sobie o przeklętym foteliku. Nawet było jej wstyd prosić Jarreta, aby zawrócił. Jak tandetny fotelik wyglądałby w tej limuzynie? Poza tym Julianne domyślała się, że lista systemów bezpieczeństwa jaguara była dłuższa od jej tygodniowej listy zakupów.

- Dokąd, miłe panie? – zapytał kierowca.
- Na razie przed siebie – rzuciła z zakłopotaniem. – Nawet jeśli podam ci adres, to założę się, że ani ty, ani twój kotek nie będziecie znali tych spadów.

## ROZDZIAŁ 2

Pittsburgh, Pensylwania  
Wrzesień 2016 r.

Siedząca na ławce w parku kobieta w ciemnych okularach bacznie obserwowała mężczyznę, stale zerkającego w kierunku placu zabaw, gdzie dokazywały dzieci. Ich matki i opiekunki *czuwały* nieopodal, zajęte rozmową lub telefonami.

Podjejrzanym osobnik udawał, że czyta, ale przewracał stronę co dziesięć, piętnaście minut, gdy akurat mu się przypomniało, że trzyma w rękach książkę.

Obserwatorka sama nie miała dzieci. Nie dlatego, że nie chciała. Po prostu nie znalazła w życiu odpowiedniej osoby. Od pewnego czasu lubiła tutaj przychodzić i patrzeć, jak te niewinne istoty się bawią, całkowicie nieświadome otaczającego ich świata i niebezpieczeństw. Niektóre były doglądane przez opiekunki, pozostałe co jakiś czas meldowały się matkom plotkującym na ławkach ustawionych wokół placu zabaw. Przypominał on bezpieczną *oazę* – gdy jeden rodzic nie patrzył, inny nieświadomie przejmował jego rolę. Niepisana umowa...

\*

Już za pierwszym razem, gdy tylko się pojawił, zwróciła na niego uwagę. Nazwała go *Pan Książka*. Przychodził i odchodził sam. Nigdy nie widziała go z dzieckiem. Prawdopodobnie nie był nawet ojcem. Nie miał partnerki, psa ani obrączki na palcu. Wielokrotnie szła za nim, a nawet jechała, by

potwierdzić swoje obawy. Niestety, często gubiła go w tłumie albo na światłach na skrzyżowaniu.

Jako obserwator popełniał kilka podstawowych błędów. Pojawiał się zawsze o podobnych porach – gdy dzieci było najwięcej. Siadał na tej samej ławce, chyba że akurat była zajęta. Ta sama książka otwarta na podobnych stronach i identyczna poza – próbował wyglądać na spokojnego trzydziestoparolatka, który przyszedł do parku, aby zjeść lunch i poczytać. Tylko kto rozsądny, próbujący się skupić na książce, z wielu dostępnych ławek wybiera akurat tę obok placu zabaw, z którego stale dolatują śmiechy i irytujące popiskiwanie dzieci, a czasem także krzyki matek?

Długo biła się z myślami, jak zareagować. Gdyby tylko dał jej choć jeden powód... Niestety, nigdy nie przyłapała go na niestosownym zachowaniu. Ani razu nie podszedł do dziecka, ani nie wpatrywał się uparcie w żadne konkretne. Nie interesowały go też matki, opiekunki ani nawet skąpo ubrane kobiety przechadzające się parkiem. Nie reagował na głośniejsze krzyki maluchów. Pozostawał też obojętny na ich płacz. Mimo to jego obecność nie pozwalała obserwatorce nawet na chwilę spuścić go z oczu. Zamyślona, godzinami zachodziła w głowę, jak podejść tego typu.

Gdy po raz kolejny spojrzała w jego stronę, nie siedział już na ławce. Wpatrzony w jej osobę szedł asfaltową ścieżką, szybko okrążając plac zabaw.

– O cholera... Tylko nie dziś... – bąknęła pod nosem i spokojnie odwróciła głowę, udając, że przygląda się starszej parze na rowerach, przejeżdżającej przed jej nosem. Wiedziała już, że ją nakrył. W pierwszej chwili chciała uciec, ale szybko zrozumiała, że to najgorsze rozwiązanie.

*Pan Książka* uprzejmie usunął się z drogi rowerzystce, za co otrzymał od niej przyjacielski uśmiech.

Z walącym jak młotem sercem kątem oka obserwowała dosiadającego się mężczyznę. Obrócił się w jej stronę. Przełknęła ślinę. Najspokojniej, jak tylko potrafiła, ukradkiem spojrzała na niego. Prawdopodobnie właśnie tak zachowywałaby się osoba na jej miejscu, obok której usiadłby ktoś obcy.

Cholera, powtórzyła w myślach. Jak mogła być tak nieostrożna...

– Dzień dobry... – odezwał się *Pan Książka*, zdejmując okulary.

Uśmiechnęła się – na tyle przyjacielsko, na ile pozwoliły jej na to nerwy paraliżujące mięśnie twarzy.

– Przepraszam, ale zazwyczaj nie jestem tak odważny. – Mocno ścisnął książkę. Prawie złamał twardą okładkę.

Z udawaną obojętnością spojrzała na niego, jak na kogoś, kto próbuje poderwać samotną kobietę. Nie zdjęła okularów. Oczekując dalszych wyjaśnień, uniosła jedynie brwi.

– Wiem, że obserwuje mnie pani od dłuższego czasu, ale naprawdę nie mam złych zamiarów. Niestety, będę teraz bardzo dosadny, za co z góry przepraszam. – Wziął głęboki oddech. Wyraźnie się denerwował. – Jeśli z pani powodu spotkają mnie jakieś nieprzyjemności, to nasza kilkuminutowa znajomość skończy się w sądzie. – Ścisnął książkę jeszcze mocniej, rysując paznokciami okładkę.

– Że co, proszę?! – wystrzeżliła. – Wypraszam sobie takie uwagi! Chyba mnie pan z kimś pomylił! – zareagowała ostro, choć facet miał rację i dobrze o tym wiedziała.

– Domyślam się, o co mnie pani podejrzewa – kontynuował. – Ostatnio szła pani za mną, a później jechała samochodem. Przed trzema dniami *przypadkiem* spotkaliśmy się w sklepie spożywczym, tutaj na rogu. – Wskazał ręką kierunek. – Stała pani przy lodówce wypełnionej jedną marką piwa. Po co? Zastanawiała się pani, które będzie świeższe? Wiem, że byłem widoczny w odbiciu szyby. W niedzielę zauważyłem panią na nabożeństwie w kościele. Druga ławka od końca. Siedziała pani z tyłu, mając wszystkich na widoku. Naprawdę... jestem o krok od zgłoszenia tego policji. Jeżeli się pani ode mnie nie odczepi, nie ręczę za swoje decyzje.

Słuchała *Pana Książki*, siedząc jak sparalizowana, podczas gdy on atakował ją kolejnymi uwagami. Zawsze miała się za sprytną, ale ten człowiek rozniósł ją w pył, nie pozwalając nawet dojść do słowa. Milczała, gdyż po prostu nie wiedziała, jak zareagować. Na szczęście, gdy mężczyzna wyrzucił już z siebie wszystko, nieco ochłonął – jego ton uległ zmianie. Niespodziewanie pojawiła się w nim nuta uległości, a nawet żalu.

– Proszę spojrzeć na dziewczynkę w zielonej sukience. Dostała ją ode mnie na czwarte urodziny. Uwielbiała ten kolor. Nadal uwielbia... Ma na imię Hope (z angielskiego *nadzieja*). Niemalże przy każdej okazji ofiarowywałem jej coś zielonego, bo zielony to kolor nadziei...

Kobieta wciąż milczała.

– To moja córka – kontynuował. – Zabroniono mi ją widywać... – Musiał przerwać i chwilę odczekać, aż żal ponownie pozwoli słowom opuścić gardło. – Nie mogę się nawet zbliżyć. Tylko tutaj jestem na tyle daleko i jednocześnie blisko, żeby w spokoju móc obserwować, jak córka dorasta

i cieszy się życiem bez ojca. Nawet nie wie, że przychodzę. Hope odwiedza plac zabaw z opiekunką, która dostała moje zdjęcie. Musiałem przefarbować włosy i zmienić styl ubioru, żeby mnie nie rozpoznała. W ciągu kilku miesięcy straciłem dziesięć kilogramów. Na szczęście ta dziewczyna, opiekunka, nie jest specjalnie zainteresowana otoczeniem. Piąta ławka, licząc od lewej... – Wskazał ją skinieniem głowy. – Bawi się telefonem. Chociaż ona ułatwia mi życie – uśmiechnął się. – Gdy odchodzą, zawsze czekam co najmniej piętnaście minut, zanim ruszę w swoją stronę.

– Panie... – wreszcie się przemogła.

– Liam.

– Liamie... Wierz mi lub nie, ale nigdy cię nie śledziłam. Być może czasem się przyglądałam, bo każdy głupi zauważyłby twą obecność, szczególnie w tym miejscu.

– Wiesz, że za tysiąc dolarów tygodniowo plus wydatki na hotel można dziś wynająć kobietę, która uwiedzie twego męża? Wiedziałaś o tym? – Nie przedstawiła mu się, ale uznał, że może przejść z nią na ty.

– Działa to też w drugą stronę. Biznes, jak każdy inny... Nie musiałeś się połączyć.

– Masz rację, nie musiałem... Problem polegał na tym, że wiedziałem, iż żona puszcza mnie kantem. Powiedziałem sobie, a co mi tam... Ona może, a ja nie?

– Była nie tylko pierwsza, ale też sprytniejsza...

– Otóż to... *Jak ukryć romans i jeszcze zostać ze wszystkim.* Powinna napisać podręcznik pod takim tytułem. Kochanek nawet obił jej twarz, by wyszło na to, że to ja ją uderzyłem, gdy zagroziła mi rozwodem. Słowo przyłapanego na zdradzie męża kontra płacząca matka z sinym okiem i krwiakiem na policzku.

– Nie uderzyłeś jej, więc nie mogła mieć świadków pobicia.

– Sąsiedzi słyszeli naszą kłótnię. Gdy odjechałem sprzed domu, jej facet czekał już na tyłach, aby się nią zająć. Dała się pobić. Kochanek uciekł, zanim przyjechała policja, a sędzia była kobietą...

– Przykro mi... – rzuciła obserwatorka, wciąż jednak pełna wątpliwości.

– Mam tylko nadzieję, że dziwka porządnie wtedy oberwała.

Nastąpiła chwila ciszy przerywana pokrzykiwaniami dzieci.

– Co to za książka?

– Pierwsza lepsza, jaką kupiłem na wyprzedaży w księgarni. Myślałem,

że będzie dobrą przykrywką.

Pokręciła głową, robiąc skwaszoną minę.

– Tak więc już mnie znasz. Przyjdę tu też jutro, pojutrze i w każdy kolejny dzień z nadzieją, że zobaczę swoją córkę. – Wstał. – Wierzę też, że jeśli jakaś zatroskana matka wezwie policję, mając te same podejrzenia, co ty, będę mógł liczyć chociażby na twoje współczucie – powiedział na do widzenia i spokojnie się oddalił. Wrócił na swoje miejsce. Więcej nie spojrzał już w jej kierunku.

Pomimo wzruszającej historii, drżących rąk i łamiącego się głosu *Pana Książki*, kobieta była daleka od uwierzenia w to wszystko.

\*

Szybko zbliżała się niepisana godzina, gdy plac zabaw pustoszał. Dziewczynka w zielonej sukience opuściła go przed pięcioma minutami. Zgodnie z wcześniejszym zapewnieniem *Pan Książka* wciąż siedział na ławce i udawał, że czyta.

Długo nad wszystkim myślała, wpatrzona w jeden punkt. Oprzytomniała dopiero, gdy jedna z matek zaczęła głośno wołać swoje dziecko. Obserwatorka odruchowo spojrzała w stronę ławki, gdzie jeszcze przed chwilą siedział podejrzany. Nie było go tam, ani na żadnej ze ścieżek. Poderwała się i podeszła bliżej.

Na placu zabaw zapanowało ogólne poruszenie. Wszystkie matki i opiekunki zaczęły wstawać i podbiegać do przerażonej kobiety, jednocześnie wypatrując i wołając swoje dzieci.

Jeżeli dobrze usłyszała, chodziło o dziewczynkę o imieniu Cloe.

– Sukinsyn... – warknęła i zaczęła rozglądać się po parku.

Nagle wzywane dziecko z uśmiechem na twarzy wyskoczyło z drewnianego domku na grubych palach. Matka rozplakała się na widok córki. Oczywiście nie skończyło się przytuleniem, a ostrą reprimendą.

– Masz szczęście... – bąknęła pod nosem obserwatorka, wciąż rozglądając się za *Panem Książką*. Odetchnęła i ruszyła za grupką podenerwowanych matek, które po krótkiej akcji poszukiwawczej postanowiły opuścić plac zabaw. Dwie skrzyły w najbliższą odnogę głównej



alei. Trzy szły dalej. Wkrótce wykruszyła się następna. Ostatnie zniknęły za parawanem zieleni oddzielającym park od ulicy.

Samochód zostawiła niedaleko zachodniego wyjścia. Omiotła wzrokiem jezdnię. Nie mogła uwierzyć w swoje szczęście – już myślała, że będzie musiała zmienić plan, tymczasem w jej stronę jechał biały chevrolet malibu – był to pojazd *Pana Książki*. Śnił jej się już po nocach.

Gdy przejeżdżał obok, odwróciła się do niego plecami i natychmiast pobiegła do swego samochodu.

\*

Najwyraźniej mężczyzna zmierzał do domu.

Obserwatorka nie była tego pewna, ale też nie mogła sobie pozwolić na kolejną porażkę. Nie dziś, gdy już wszystko zaplanowała. Wyprzedziła białego chevroleta i pierwsza opuściła centrum.

Po kilku milach spokojnej jazdy skręciła w drogę prowadzącą na niewielkie osiedle domów jednorodzinnych. Tutaj wszyscy parkowali na ulicy, więc zatrzymała się przy krawężniku pod potężnym klonem. Przebiegła przez jezdnię i podążyła chodnikiem wzdłuż drogi w kierunku, z którego przyjechała.

Gdy jej oczom ukazała się parterówka o lekko skośnym, granatowym dachu i jasnej fasadzie, z tylnej kieszeni spodni wyjęła klucz. Pobiegła za dom i weszła tylnym wejściem.

W środku pachniało świeżością, a także farbą. Półki i szafki były jeszcze puste. W korytarzu i salonie stało kilkanaście dużych kartonów. Niektóre ustawiono jeden na drugim.

Kobieta wyjrzała przez okno w kuchni dokładnie w tym samym momencie, w którym biały chevrolet malibu zatrzymał się pod domem. Widząc *Pana Książkę* za kierownicą, poczuła uderzenie gorąca, a jej dłoń zaczęła drżeć. Podbiegła do drzwi i skryła się za kartonami. Odgłos przekręcanego w zamku klucza spowodował, że usłyszała łomot własnego serca, które wyrywało się z piersi.

Drzwi się otworzyły i Pan Książka wszedł do środka.

Wzięła zamach i z całej siły grzmotnęła mężczyznę metalową rurką w tył głowy.

Przedmiot z łatwością rozciął cienką skórę potylicy, a krew obryzgała kartony i ściany. Ofiara runęła na podłogę, wypuszczając z ręki pęk kluczy i... książkę.

Kobieta stała w bezruchu, próbując uspokoić oddech. Ostatecznie się opamiętała i zatrzasnęła drzwi. Przykucnąwszy, sprawdziła puls. Usta i oczy *Pana Książki* były otwarte, a jego klatka piersiowa nie unosiła się, ani nie opadała. Nagle wszystko się skończyło...

Osunęła się po zakrwawionej ścianie, rozmazując czerwone, spływające krople. Była sobie wdzięczna, że jej nie zmiękcył – nie uwierzyła w ani jedno jego słowo. Żałowała jedynie, że umierając, prawie nic nie poczuł.

## ROZDZIAŁ 3

**St. Michael, Wirginia Zachodnia**  
**Jesień 2017 r. – obecnie**

Derrian McCain odłożył pióro. Dokładnie przeczytał każde zdanie, słowo po słowie. Wyglądało na to, że tym razem mu się udało.

Zginając kartkę na cztery, patrzył w lusterko stojące na biurku. Widział w nim przeszłość. Codziennie przypominało mu o tym, co pozostało z jego życia. Z szuflady wyjął poźółkłą kopertę. Miał godzinę, zanim pojawi się zaufany kurier.

Sięgnął po nóż do papieru. Pomimo upływu lat wciąż był ostry. Przesunął nim po skórze, robiąc płytkie nacięcie, które podeszło krwią. Oblizał palec. Słodkawy smak zawsze wydawał mu się dziwnie przyjemny i jednocześnie odrażający.

Leżąca na blacie komórka zabrzęczała, wyrywając Derriana McCaina z zamyślenia. Nieufnie zerknął na wyświetlacz. Dzwonił człowiek, na którego wiadomość czekał.

– Tak? – Podszedł do okna gabinetu, słuchając wyjaśnień. Pod domem stał samochód bez kierowcy. – Świetnie... W tej chwili oczekuję kuriera. Pojawi się do godziny. Później będę do twojej dyspozycji i ustalimy szczegóły. – McCain ściągnął brwi. – Nie. Nie chcę, żebyś się tutaj pokazywał. Ja przyjadę... – Rozmówca wciąż miał coś do powiedzenia, ale właściciel rezydencji uznał tę wymianę zdań za zakończoną: – Oczekuj mnie. Do zobaczenia...

# ROZDZIAŁ 4

## Pittsburgh, Pensylwania

Po krótkiej rozgrzewce Nicole Wyden położyła się na karimacie i zaczęła robić brzuszki. Po pięćdziesiątym przyszła pora na kilka bardziej wymagających ćwiczeń. Jednym z nich była *deska*. Wsparłszy się na przedramionach i czubkach palców u nóg, napięła ciało. Wytrzymała w tej pozycji minutę, po czym wstała i zaczęła biec w miejscu, wysoko unosząc nogi. Zatrzymała się na dziesięć skłonów i dalej *biegła*.

Ćwiczyła codziennie od osiemnastego roku życia. Półgodzinny poranny trening stał się dla niej rutyną. Dzięki niemu zachowywała dobrą kondycję i szczupłą sylwetkę.

Nicole miała prawie czarne włosy, które najczęściej spinała z tyłu, i nieco ciemniejszą karnację aniżeli większość Amerykanek. Jej sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu idealnie współgrało z wysportowanym ciałem. Choć nigdy nie uważała się za piękną, czy chociażby ładną, należała do kobiet, które wyglądają dobrze również bez makijażu. Dbała o siebie, ale stroniła od przesady. Jej ciało nigdy nie dotknęło ostrze chirurga, strzykawka z wypełniaczem ani igła tatuażysty.

– Dzień dobry... – przywitał się Zack Seeger, schodząc na parter.

Byli ze sobą niemalże pół roku, a od miesiąca także mieszkali razem. Zack wprowadził się do Nicole. Do niedawna musiał gnieździć się w ciasnym mieszkaniu w centrum Pittsburgha, za którego wynajem płacił więcej, niż kosztowało utrzymanie tego domu.

– Która seria?

– Kończę pierwszą...

– Coś kiepsko dzisiaj...

– Później wstałam i nie wiem, czy zdążę zrobić trzy.

– I tak podziwiam... – Przeciągnął się i podszedł do lodówki.  
– Tydzień temu obiecałeś, że się przyłączysz.  
– Owszem, ale... To już minął tydzień? – Wyraźnie szukał sposobu, aby wybrnąć z sytuacji. – To wszystko z powodu tego, że ćwiczenia postanowiłem podzielić na kilka etapów.

– Mianowicie? – zapytała, robiąc szpagat.

– Obecnie ćwiczę wcześniejsze wstawanie.

– Jasne...

– To podstawa, aby przejść do kolejnego etapu.

– Wcześniejszego śniadania? – zadrwiła.

– Nie, ale... Rozumiem bieganie, choć niekoniecznie w miejscu... pompki... przysiady... Ale widzisz mnie robiącego coś... takiego? – Krzywił się, patrząc na wygibasy Nicole. Niedawno odkryła zalety jogi i wszelkich form rozciągania. Obecnie stała na jednej nodze, a drugą wolno uniosła za plecami nad głowę, jakby ćwiczyła ruchy do baletu.

– Oj! – Zack głośno jęknął, wyobrażając sobie, jak próbuje ją naśladować. – Nie zrozum mnie źle, ale zanim zdecyduję się na coś podobnego, podniosę stawkę ubezpieczenia.

Roześmiała się i pokręciła głową. Skończyła pierwszą serię i sięgnęła po wodę.

Zack Seeger również był wysportowany, ale wierzył w typowo *męskie* ćwiczenia – raz w tygodniu odwiedzał siłownię. Czasem grywał w tenisa ze znajomym, ale *fitness* nigdy do niego nie przemawiał. Mimo to wyglądał dobrze, zarówno w koszulce, jak i bez niej. Miał typowo męską, kanciastą twarz i utrzymywał krótki zarost. Był o ponad dziesięć centymetrów wyższy od partnerki, więc gdy ona zakładała szpilki, wyglądali na parę idealną.

– Kawy?

– Może później...

Niewielka filiżanka znalazła się pod dyszą ekspresu. Ustawił na podwójne espresso. Dzień bez porannego zastrzyku kofeiny uważał za stracony. Gdy zamieszkał z Nicole, uzależnił się od tego *rytuału*. Czekał, aż maszyna zmieli ziarna i zaparzy kawę, zerknął przez okno.

W telewizji leciał program informacyjny, którego Nicole zawsze słuchała. Tego zwyczaju Zack również nie potrafił zrozumieć. Większość osób ćwiczyła przy muzyce lub motywujących filmikach, a ona słuchała

o zawirowaniach w gospodarce i politycznych przepychankach na różnych szczeblach władzy.

*...gdyż wczorajsze wstrząsy były odczuwalne w większości północno-wschodnich Stanów. Epicentrum przypadło na okolice Richmond, ale także mieszkańcy Wirginii Zachodniej musieli zbierać rozbite talerze z podłogi. Ze względu na krótkotrwały charakter trzęsienie ziemi nie spowodowało większych szkód. Ze wstępnych ustaleń wynika, że nikt nie zginął, a najmocniejsze wstrząsy nie przekroczyły sześciu stopni w skali Richtera. Gubernator...*

Dziennikarz przedstawiał kolejne fakty z niesłabnącym zaangażowaniem, ale Zack już go nie słuchał. Patrzył, jak listonosz upycha w skrzynce sąsiada pocztę. Już się w niej nie mieściła, gdyż Adam Atherton zmarł przed dwoma tygodniami, a rodzina najwidoczniej nie zainteresowała się jeszcze domem, z pewnością obciążonym hipoteką.

– Zastanawiam się, czy szybciej rozwali tę skrzynkę, czy obok postawi drugą.

– Co? – wysapała Nicole.

– Listonosz... Do Athertona wciąż przychodzi poczta.

– To pogadaj z nim.

– Mam gadać z trupem?

– Z listonoszem... – westchnęła. – Przecież mogą w skrzynce zostawić tylko awizo. Rodzina odbierze sobie wszystko na poczcie.

– Niech ci będzie... Znaj moją dobroć.

– Spacer z rana nikogo jeszcze nie zabił...

Zack niechętnie odstawił filiżankę i wyszedł przed drzwi.

– Przepraszam! Halo! – krzyknął głośno, ale nie zdążył złapać listonosza. Przejeżdżający samochód dodatkowo zagłuszył wołanie.

Tego ranka było wyjątkowo zimno. Zack zaciągnął się chłodnym, jesienno-zimowym powietrzem i poczuł cudowny zapach suchych liści, które leżały niemalże wszędzie. W tej okolicy jesień była znacznie bardziej malownicza niż w centrum miasta, gdzie wcześniej mieszkał.

Od kilku lat należał do niewielkiego odsetka osób, które mają to szczęście i nie muszą codziennie wstawać, ubierać się i wychodzić z domu.

Praca była tam, gdzie on. Prowadził jednoosobową firmę. Zajmował się projektowaniem stron internetowych i mógł robić to w każdym miejscu na ziemi. Co innego rozmowa z poważnymi graczami... Ta wymagała nieco poświęcenia. Nie znosił zakładać garnituru, ale chciał, aby jego zaangażowanie było widoczne i zostało docenione. Starał się regularnie odwiedzać siedziby najważniejszych klientów. Osobiście przedstawiał projekty oraz możliwe zmiany.

Zack z politowaniem spojrzął na przepelnioną, kanciastą skrzynkę na listy, z której wystawała upchnięta poczta. Wystarczyłby mocniejszy powiew i cała korespondencja zostałaby rozrzucona po osiedlu. W momencie, gdy o tym pomyślał, listy wypadły ze skrzynki nawet bez pomocy wiatru.

– Pięknie... – bąknął pod nosem.

Od północy nadciągały ciemne chmury – zanosilo się na poranną burzę.

Tylko raz Zackowi udało się zamienić z sąsiadem Nicole dwa zdania. Nie zdążył poznać Adama Athertona, ale słyszał, że był porządnym człowiekiem, choć czasem nieco gburowatym. Musiał prenumerować sporo pism. Oprócz tradycyjnych listów przypominających urzędnicze pisma i ponaglenia, na trawniku leżało mnóstwo gazet.

Nie widząc innego rozwiązania, pozbierał wszystko i spróbował ponownie upchnąć w skrzynce. Zachodził w głowę, jak listonoszowi się to udało, gdyż wciąż trzymał w ręce kilka gazet, a nie było już nawet szparki, w którą mógłby je wetknąć.

– Bez sensu... – zirytował się. Wyjął całą korespondencję i wrócił do domu.

Nicole była właśnie w połowie drugiej serii.

– Co to? – zdziwiła się, widząc pocztę.

– Ten idiota tak napakował skrzynkę Athertona, że chwilę później wszystko z niej wypadło.

– A powiedziałaś mu, że facet nie żyje?

– Nie zdążyłem. Uciekał, jakby się paliło. Zresztą, pewnie chciał zdążyć przed burzą.

– Błyska się?

– Jeszcze nie, ale niebo nie wygląda zbyt przyjaźnie. Zostawię w skrzynce i pod drzwiami kartkę, że poczta jest u nas. Niech wiedzą, że w tej okolicy mieszkają jeszcze uczciwi ludzie, na których można polegać.

– Atherton nie był zbyt rozmowny ani specjalnie miły. Mam nadzieję, że

jego rodzina okaże się inna, bo znając życie, nie dość, że ci nie podziękują, to jeszcze oskarżą o wścibskość, jeśli nie o kradzież – ostrzegła Nicole, robiąc skłony. – Dziś ludzie są naprawdę dziwni.

– Wierzę w ludzi...

– Ja już dawno przestałam.

– Prędzej czy później na pewno ktoś się pojawi. Zobacysz, że będą nam wdzięczni.

– Założymy się?

– Ale tylko o rację.

– A widzisz! Boisz się, że przegrasz. – Uniosła prowokacyjnie brwi.

\*

Nicole nie miała w zwyczaju oszczędzać się podczas ćwiczeń. Gdy skończyła trzecią serię, była zlana potem. Sięgnęła po ręcznik leżący na oparciu fotela i wytarła twarz oraz ramiona.

– Idę pod prysznic...

– Kim był ten facet? – zapytał Zack, z zaciekawieniem przeglądając pocztę Athertona.

– Ej! A co z bezinteresowną sąsiadką pomocą?

– Przecież ich nie otwieram! Co najwyżej segreguję... – uśmiechnął się cwaniacko.

– Jasne...

– Znałaś go dobrze? – dociekał Zack.

– Tak naprawdę tylko z widzenia. Rozmawiałam z nim może... parę razy. Nikt szczególny... Meggy mieszkająca po przeciwnej stronie drogi powiedziała mi, że chwilę przed twoją przeprowadzką faceta wyrzucili z pracy. Podobno zmarł na serce. Drugi zawał...

– Wygodna ucieczka od problemów.

– Ja cię proszę...

– Ooo...

– Co znalazłeś?

– Potwierdzenie słów Meggy... Parę ponagleń zapłaty. Facet lubił też czytać, niekoniecznie ponaglenia. Prenumerował z piętnaście gazet... – Zack potrząsnął poźółkłą kopertą. Zawartość metalicznie zabrzęczała. W pierwszej



chwili myślał, że to pieniądze, ale kto normalny posyłałby drobne listem. Spojrzał pod światło i obmacał zawartość. – To chyba... klucze.

– Ani się waż... – pogroziła mu Nicole i obróciła się na pięcie. – Idę wreszcie wziąć ten prysznic. Jedziesz dziś do klientów?

– Mhm... – odbąknął na odczepnego. Całkowicie pochłonęła go tajemnicza koperta.

\*

*Drogi Maxymilianie...*

*Jest mi niezmiernie przykro, ale w tym roku nie mogę zaprosić Cię do siebie na Święto Dziękczynienia. Piszę z wyprzedzeniem, gdyż mój stan zdrowia znowu się pogorszył. Czeka mnie dłuższy pobyt w szpitalu. Nie chcę, abyś zaprzętał sobie mną głowę i spędził ten wyjątkowy czas na poklepywaniu starszego braciszka po plecach albo trzymaniu mnie za rękę. Wiesz, jak tego nie znoszę.*

*Lekarze są dobrej myśli, ale operacja musi się odbyć za granicą. Później, jeśli wszystko się powiedzie, zostanę poddany długiej rehabilitacji. Nie piszę, gdzie jadę, bo niczego by to nie zmieniło...*

*Gdy czytasz ten list, pewnie nie ma mnie już w Stanach. Być może nawet przeszedłem operację. Gdyby jednak coś mi się stało i nie wróciłbym z tej podróży, pamiętaj, że moja część domu jest Twoja. Obawiam się jednak, że nie będziesz w stanie zatrzymać rezydencji, gdyż ostatnie lata mocno uszczupliły moje konto. Zaciągnąłem wiele kredytów pod zastaw domu. Między innymi to właśnie z nich sfinansowałem koszmarnie drogie leczenie.*

*Ale na tym kończą się złe wieści...*

*Do rzeczy! Wiesz, że lubiłem podróżować. W trakcie jednej z wypraw do Europy nurkowałem u wybrzeży Francji. Swoją drogą, piękny kraj... Musisz go kiedyś odwiedzić! Wierz lub nie, ale twój braciszek znalazł wrak statku. Tak! Prawdziwy wrak! Przeszukiwaliśmy go przez dwa dni, dopóki nie pojawiła się policja i nie kazała nam się wynosić. Znasz mnie, więc wiesz, że nie odpuściłem. Do końca życia miałbym sobie za złe. Wróciliśmy na to miejsce nocą i z piasku wydobyliśmy dwie złote monety, które przywiozłem ze sobą do Stanów. Jeszcze na łodzi dokonaliśmy ich identyfikacji. Okazało się,*

*że trafiliśmy na bardzo rzadkie okazy – floreny Edwarda III wybite w połowie XIV wieku. Sama nazwa pewnie nic Ci nie mówi. Nam mówiła wtedy niewiele więcej, ale jeżeli powiem, że do tej pory na świecie zachowały się jakieś trzy egzemplarze, a jeden jest wart około sześciu, a może nawet siedmiu milionów dolarów, to z pewnością zrozumiesz, co mam na myśli.*

*Po powrocie z Francji monety ukryłem na terenie posiadłości. Wiesz, jak nie lubię banków, skrytek depozytowych, internetu, maili i całej tej przeklętej nowoczesności.*

*Wciąż zakładam, że wrócę, ale gdyby coś mi się stało, a posiadłość trafiłaby na licytację, chcę, abyś wiedział o monetach. Zabierz je i opuść te przeklęte mury. Pozwól bankom rozszarpać je między sobą na strzępy albo niech zamieszka w nich ktoś inny, a Ty mądrze sprzedaj mój mały skarb i korzystaj z życia! Zapomniałbym... Ukryłem go w tym, co zawsze tak cię irytowało.*

*Z powodu wyjazdu, kamerdynera i ogrodnika wysyłam na wakacje. Jeśli mam już nie wrócić, niech chociaż dobrze mnie zapamiętają. Gdybyś chciał zajrzeć, zapraszam serdecznie. Niestety, nikt Ci nie otworzy, więc do listu dołączam klucze... do furki i do tylnych drzwi. Wiesz, gdzie co jest, więc czuj się jak u siebie w domu.*

*Derrian*

*P.S. Pamiętaj... Nie jesteś mi nic winien. To ja dziękuję, że zawsze byłeś przy mnie, kiedy tego potrzebowałem.*

\*

Po piętnastu minutach Nicole z ręcznikiem na głowie wróciła na parter.

Siedząc w salonie przy stoliku, Zack kończył drugie espresso. Pusto wpatrywał się w jakiś tekst. Miał minę, jakby się okazało, że niezapłacone rachunki Adama Athertona są wystawione na niego.

– Co tam przeglądasz? – zaczęła od niechcienia Nicole, otwierając lodówkę w poszukiwaniu czegoś zdrowego i pożywnego na śniadanie.

– Naszą przyszłość...

– Co? – zapytała zdziwiona. Dopiero teraz dostrzegła rozciętą, poślódką

kopertę. Natychmiast pojęła. – Zack... Jak mogłeś? – Spojrzała na niego z wyrzutem.

– Czytaj i płacz. – Podsunął jej list.

– Nie mam zamiaru!

– Dobra, to ja ci przeczytam.

– Ostatni raz powtarzam, że nie chcę wiedzieć, co jest w tej kopercie. – Podenerwowana wyjęła ze stojaka nóż i sięgnęła po pomidora.

Zack jakby jej nie słyszał – zachowywał się jak w transie. Ku wyraźnemu niezadowoleniu partnerki, zaczął czytać list na głos.

Mimo usilnych starań Nicole wsłuchiwała się w treść. Gdy partner dotarł do fragmentu opisującego złote monety – ich pochodzenie oraz szacowaną wartość – przestała kroić warzywa na sałatkę i usiadła przy blacie na wysokim stołku podobnym do barowego.

– Siedem milionów za jedną! – powtórzył Zack, jakby sam nie wierzył w odczytane słowa.

– Proszę cię... I jeszcze raz cię proszę... I jeszcze sto razy.... Choćby to był nawet miliard... To nie twoje pieniądze!

– Ani jego! – Wskazał na dom zmarłego sąsiada. – Gdyby Atherton dostał tę kopertę w swoje łapska, sam by ją otworzył.

– Jak to, nie jego... O czym ty mówisz?

– Zapomniałem ci powiedzieć... Koperta jest zaadresowana na jego dom, ale imię i nazwisko się nie zgadzają. Maxymilian McCain... – odczytał Zack.  
– Pewnie ktoś się machnął w numerze domu.

– Nie kojarzę żadnych McCainów... – Nicole próbowała rozumować racjonalnie, ale i jej myśli krążyły wokół tego samego. Czternaście milionów... Co można zrobić z taką górą pieniędzy? Otrząsnęła się.

Zack doczytał list do końca, po czym podszedł do partnerki i położył kartkę na kuchennym blacie, tuż przed nią.

Nicole wpatrywała się w nią, jakby to ona była ze złota, a nie monety, o których wspominała treść. Nie miała wątpliwości, jak należało postąpić w tej sytuacji, jednak przytoczona kwota przesłoniła wszystko, co prawe i honorowe – przyprowadziła ją o widoczny gołym okiem zawrót głowy.

Dziś wszędzie mówiło się o milionowych, a nawet miliardowych transakcjach, ale dla zwykłych zjadaczy chleba takie kwoty wciąż były osiągalne jedynie w sferze marzeń. Nawet gdyby obydwójce dożyli setki i do

końca życia odkładali każdy zarobiony cent, nie zgromadziliby takiej gotówki.

– Nie ma mowy! – oznajmiła stanowczo, patrząc partnerowi prosto w oczy.

Mimo ostrej deklaracji Nicole Zack nie wyczytał w jej spojrzeniu szczerej odmowy.

– Facet nie żyje, a list i tak był do kogoś innego...

– Nie namówisz mnie na to!

– Ale co ja...

Wzięła do ręki kopertę i komórkę Zacka, na której dostrzegła działającą aplikację nawigacji. Wpisany w telefonie adres dokładnie pokrywał się z adresem zwrotnym na kopercie.

– Chcesz mi powiedzieć, że to przypadek? – Uniosła obydwie przedmioty.

– Nie do końca... Chciałem zobaczyć jak to daleko i czy uwiniemy się do jutra rana. – Nie miał zamiaru owijać w bawełnę.

– Chyba śnię... – Odłożyła wszystko na blat. – A rób sobie, co chcesz. – Wrzuciła pokrojone warzywa do miski i zalała je wcześniej przygotowanym sosem ze świeżych ziół. Poirytowana minęła Zacka i przeszła do salonu.

– Z klientami zobaczę się w przyszłym tygodniu. Ty mogłabyś nawet pracować w drodze. Wczoraj mówiłaś, że masz jeszcze tydzień zaległego urlopu. Jeden dzień bez nowego ciuszka nikogo nie zabije. Uwiniemy się w...

– Dość! – ucięła. Unosząc rękę, dała mu wyraźnie do zrozumienia, że skończyli rozmowę na ten temat.

\*

Pół godziny później, tuż przed wyjściem do pracy, Nicole rozpoczęła codzienne, niemalże rytualne poszukiwanie kluczyków do samochodu. Dziwiła się, jak to możliwe, że zawsze po powrocie wrzuca je do torebki, a następnego dnia nie może ich w niej znaleźć.

– Cholera, gdzie one są... Widziałeś może... Dobra, mam.

Zack postanowił spróbować ostatni raz.

– Nie byłem z tobą szczery...

Nicole spojrzała na partnera, jakby ten właśnie miał przyznać się do zdrady.

– Klient, do którego chciałem jechać... Ostatnio muszę go bardzo przekonywać, aby wciąż korzystał z moich usług. Po pięciu latach bezproblemowej współpracy niedawno zadzwonił i powiedział, że znalazł kogoś o połowę tańszego i jeśli nie spuszczę z ceny, to się pożegnamy. Dziś rynek, szczególnie internetowy, pełen jest młodych i ambitnych osób. Biorąc pod uwagę dziedzinę, w jakiej działam, jestem już dinozaurem. Muszę przyznać, że nowe pokolenie ma większy polot i świeższe spojrzenie. Młodzi projektują dla młodych... Przedwczoraj straciłem innego klienta. Nie twierdzę, że nie mam zleceń, ale widzę, dokąd to wszystko zmierza. Ten list... Po prostu pomyślałem sobie, że gdyby nam się udało, do końca życia nie musielibyśmy nic robić. Moglibyśmy spokojnie żyć, podróżować, cieszyć się sobą... Ewentualna praca byłaby jedynie sposobem na zabicie nudy.

– Lubię swoją pracę, Zack.

– Lubisz, czy musisz lubić?

Westchnęła. Miał rację... Projektantka, której nie gonią terminy, ma lepsze i bardziej dopracowane pomysły od etatowego pracownika zmuszonego do pokazania efektów swych działań na koniec tygodnia.

– Wiem, że to egoistyczne i złe, ale świadomość wolności, jaką moglibyśmy zdobyć, całkowicie zmieniła mój sposób myślenia. Nie chcę żyć tylko po to, aby pracować. Mamy szansę spełnić nasz amerykański sen. Jeden dzień może zdecydować o...

– Zack...

– Obiecuję, że jeśli kogokolwiek tam zastaniemy, po prostu powiemy, że list trafił do nas przez pomyłkę. Oddamy klucze i wrócimy do nudnego życia. Okej?

Długo się zastanawiała, co odpowiedzieć.

– A jeżeli nikogo nie zastaniemy?

# ROZDZIAŁ 5

## Międzystanowa nr 79 Następnego dnia...

Przez ponad godzinę Nicole nie odezwała się słowem. Siedziała na miejscu pasażera i obojętnie spoglądała na mijane elementy krajobrazu. Potwornie źle się czuła – nie fizycznie, a psychicznie. Mimo iż nie spała całą noc, nie była zmęczona. Z każdą kolejną milą miała coraz większą ochotę nakrzyczeć na partnera, ale przecież dobrowolnie wsiadła do samochodu. Będąc jeszcze w domu, mogła wyrwać Zackowi list i kopertę, podrzeć je, a najlepiej spalić, a klucze wyrzucić. I co zrobią, gdy nikogo nie zastaną? Włamią się do czyjegoś domu jak pospolici złodzieje. Oczywiście Zack powiedziałby, że nigdzie się nie włamią i nikogo nie okradną, bo przecież mają klucze. Zakłęła w myślach.

Do tej pory bez przeszkód podążali na południe siedemdziesiątą dziewiątą międzystanową, ale przed Morgantown natknęli się na korek spowodowany remontem nawierzchni. Zaczynał się już milę przed zwężeniem.

– Cudownie...

– Bywa... – skwitował Zack.

Nicole nie wytrzymała:

– Dobrze wiesz, co będzie, jak nikogo nie zastaniemy.

– Wiem... Przecież nie jedziemy tam doglądać tego domu.

– Nie potrafię pojąć, dlaczego, do cholery, dałam ci się na to namówić. –

Ponownie odwróciła głowę w stronę swojej szyby. Im dłużej nad wszystkim myślała, tym bardziej była na siebie zła.

– Bo lubisz biegać...

Zmarszczyła brwi.

- A co to ma do rzeczy? – warknęła.
- Ja też lubię biegać – rzucił jej niewymuszony uśmiech.
- Jak już nie masz nic mądrego do powiedzenia, to lepiej się nie odzywaj.

Nie wiem, co cię opętało...

– A ty niby jesteś święta?! – zirytował się. Miał już dość. – Od wczoraj wysłuchuję jedynie obelg. Przepraszam, że próbuję ustawić nas do końca życia!

Bąknęła pod nosem coś niezrozumiałego.

Bez ostrzeżenia Zack przeciął ciągłą linię i gwałtownie zatrzymał się na skrajnym prawym pasie wyłączonym z ruchu. Niewiele brakowało, a odarłby lusterko o barierkę.

- Uważaj trochę...
- Co powiedziałaś wcześniej?
- Nic...

– Chcesz tam jechać i znaleźć te czternaście milionów tak samo jak ja! Tyle tylko, że ja mam odwagę to przyznać, a ty nie! Czternaście milionów, Nicole! Czternastka i od cholery zer! Żadne z nas nie będzie musiało pracować do końca życia!

- Pewnie nie, bo dostaniemy dożywocie.
- Za kradzież? Błagam cię!

Po tej wymianie zdań zamilkli.

Zack włączył kierunkowskaz i podziękował kierowcy, który wpuścił ich na zakorkowany pas. Nie chcąc się niepotrzebnie denerwować rozmową, podkręcił radio. Już wcześniej ustawił na stację puszczającą tylko stare kawałki. Właśnie leciał Rick Springfield i jego *Million Dollar Face*. Zack mimowolnie się uśmiechnął. To było jak znak od samego Boga. Najpierw cicho nucił słowa, a gdy Nicole pokręciła głową i również nieznacznie się uśmiechnęła, zaczął wrzeszczeć na całe gardło, zagłuszając *Ricka*.

Mimo kojącej nuty lat siedemdziesiątych resztę drogi przejechali w milczeniu, choć już w nieco lepszych humorach.

# ROZDZIAŁ 6

## St. Michael, Wirginia Zachodnia Rezydencja McCainów

Ku niezadowoleniu Nicole trafili bez trudu.

Posiadłość znajdowała się ponad milę na południe od ostatnich zabudowań miasta, choć jeszcze w jego granicy. Do rezydencji prowadziła leśna, utwardzona żwirem droga w postaci dwóch równoległych szerokich pasów. Na jej początku stał znak zabraniający dalszego wjazdu, a tuż pod nim widniała tabliczka oznajmująca, iż zakaz nie dotyczy samochodów dojeżdżających do posesji.

Po przejechaniu stu metrów zauważyli wyłaniające się pomiędzy drzewami ogrodzenie.

Nicole poczuła uderzenie gorąca i musiała uchylić okno.

Wkrótce zatrzymali się przed potężną bramą z kutego żelaza. Jej skrzydła osadzono w dwóch grubych filarach. Stanowiły one początek wysokiego murowanego ogrodzenia, w niektórych miejscach mocno nadgryzionego zębem czasu – gdzieśgdyś odpadał tynk, odsłaniając surowe cegły.

Brama posiadała siłowniki, więc otwierała się automatycznie. Stojąca tuż za nią stróżówka wydawała się pusta. Na filarach bramy dostrzegli dwie kamery, ale prawdopodobnie żadna z nich nie działała – trwały w bezruchu obrócone w stronę lasu. Na murze widniała sfatygowana tabliczka informująca o nazwie firmy ochroniarskiej sprawującej pieczę nad tym obiektem.

– Jest i nasza furтка – zauważył Zack.

Przypominające arkadę dodatkowe przejście wykute w murze znajdowało się kilka kroków na lewo od drogi i prowadził do niego chodnik z dużych,



płaskich kamieni. Furtkę wykonano z nieco cieńszych prętów niż bramę, ale zastosowano identyczne ozdobniki.

– Założę się, że zostawił włączony alarm – powiedziała Nicole.

– Nie napisał o tym w liście.

– Nie musiał... Brat wiedziałby, jak go wyłączyć.

– Proszę cię... Poza tym, po co komu alarm na takim zadupiu... Jesteśmy milę od najbliższych zabudowań. – Zack był pewien, że tabliczka wisi tam jedynie po to, aby odstraszyć ewentualnych włamywaczy. W pierwszej kolejności zazwyczaj rezygnowano z firmy ochroniarskiej, a dopiero później z kamer. Jeśli te nie działały, interwencji ochrony również nie musieli się obawiać.

Zostawiając samochód na chodzie, Zack wysiadł i obejrzał bramę. Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało bardzo solidnie, ale wystarczyło mocniejsze pchnięcie i powstała niewielka szczelina, przez którą mogliby spróbować się przecisnąć, nawet gdyby nie posiadali klucza.

– Cholera jasna... – Widząc, jak partner siłuje się z bramą, Nicole wyskoczyła z samochodu. – Zack, zastanów się! To zwykłe włamanie! – Postukała się po głowie. – Odbiło ci?! Wracaj tu!

– Daj spokój...

W istocie się wrócił, ale nie po to, by wsiąść do samochodu i odjechać.

– Co robisz?

Zza fotela kierowcy wydobył rękawiczki.

– Kominiarkę też wzięłeś? I tak już zostawiłeś na bramie odciski palców...

– Masz rację... – przyznał szczerze. – Muszę pamiętać, żeby je wytrzeć. Widzisz... Jesteś w tym lepsza ode mnie. Na pewno nie chcesz spróbować? – Z kieszeni wyjął klucze, które dołączono do listu.

– Nie, do cholery!

Gdy mniejszy z nich znalazł się w zamku furtki, Zack poczuł przyjemny dreszcz rozchodzący się po ciele. Spróbował przekręcić, ale klucz ani drgnął. To było niepokojące... Nacisnął mocniej, lecz nic się nie wydarzyło. Spróbował więc delikatniej... Klucz ewidentnie pasował, ale w środku coś się zacięło. Wrócił do samochodu po preparat smarujący.

– Mam skoczyć do miasta po szlifierkę? – zadrwiła.

– Nie trzeba... – odburknął. Był sobie wdzięczny, że nie powiedział nic więcej. *Nie trzeba, mam w bagażniku* mogłoby jedynie jeszcze bardziej

rozdrażnić Nicole. Spryskał zamek preparatem smarującym. Naprzemiennie wkładał klucz i wyjmował go, ruszając nim z wyczuciem. Nagle opór zniknął, a w mechanizmie coś strzeliło.

Zack się uśmiechnął i podekscytowany krzyknął do Nicole, która wciąż stała przy samochodzie:

- Udało się!
- Może wrzaśnij głośniej, żeby w mieście usłyszeli.
- Racja... – Zack zaprosił Nicole do środka, ale ta ani myślała się ruszyć.
- No weź... – skrzywił się. – Widziałaś kiedyś kuriera, który zostawia paczkę przed bramą? Jakby to o nas świadczyło?
- Jaką znowu paczkę?! Co ty bredzisz?!
- Wiadomość... List... Klucze... Obiecałem ci, że je zwrócimy, jeśli tylko kogoś zastaniemy.
- Mówisz o kluczu, którym właśnie się posłużyłeś?
- Oczywiście... A jak inaczej miałem wejść do środka? – rzucił prześmiewczo, wciąż podekscytowany pokonaniem pierwszego zabezpieczenia. – Bądź tak dobra, kochanie, i wyłącz silnik.
- Chcesz zostawić tutaj samochód?! A jak ktoś przyjedzie?!
- A niby skąd wezmę klucz zwalniający blokadę siłownika w bramie?
- No tak... Założę się, że adresat listu wiedziałby, gdzie go znaleźć.
- Nie byłbym tego taki pewny...

Z szelmowskim uśmiechem Zack wszedł na teren posiadłości.

Nicole oparła ręce na biodrach i pokręciła głową. Wątpliwości nachodziły ją od początku, ale dopiero teraz zaczęła się bać realnych konsekwencji. Do tej pory wszystko było jedynie teorią.

Silnik samochodu wciąż pracował.

Podczas gdy Nicole zachodziła w głowę, jak zareagować, Zack pewnie szedł przed siebie utwardzoną żwirową ścieżką. Oddalił się na ponad dwadzieścia kroków i nawet się nie obejrzał, czy partnerka za nim podąża.

Droga prowadząca do posiadłości zakręcała. Z tego miejsca dom był jeszcze ledwie widoczny. Pomiędzy drzewami prześwitywały białe framugi okien zatopione w beżowej fasadzie, ale reszty można było się tylko domyślać.

Pół nocy Zack przesiedział na internetowych mapach satelitarnych, sprawdzając to miejsce i okolicę, ale rozłożyste korony wysokich drzew sięgały ponad dach rezydencji McCainów, zasłaniając część budynku przed

wścibskimi spojrzeniami internautów. W ten sposób nie można było dokładnie ocenić, jak duży jest dom i cała posiadłość.

Nicole ze złością wyszarpnęła kluczyk ze stacyjki. Zabrała poźólką kopertę z listem i poirytowana ruszyła za partnerem. W myślach rozważała ewentualne scenariusze. Jeśli ktoś im otworzy, jak wytłumaczą właścicielowi, dlaczego w ogóle przeczytali tę korespondencję, zamiast zostawić ją nietkniętą? Z drugiej strony, gdyby nie oni, mógłby to zrobić Adam Atherton albo ktoś inny... Dobra... Dość gdybania.

– Zack, do cholery, zwolnij trochę! – Musiała podbiegać, aby go dogonić. W ogóle się nią nie przejmował. Zamiast bacznie rozglądać się po okolicy, wypatrywać problemów, jak zahipnotyzowany szedł prosto na dom, jakby ten przyciągał go niczym gigantyczny magnes. Jak zwykle to ona musiała mieć na wszystko oko.

Zgodnie z treścią listu właściciel opuścił posiadłość, oddelegowując kamerdynera i ogrodnika. Mogła w to uwierzyć, gdyż trawniki były zarosnięte, a zieleń z wolna wdzierała się na utwardzoną ścieżkę, penetrując korzeniami wszystkie dostępne szczeliny. Jedynie posadzone co dziesięć kroków potężne dęby rosnące wzdłuż drogi dojazdowej nie robiły sobie niczego z zielska rozrastającego się pod ich przeredzonymi, poźólkowymi koronami.

Za kolejnym, łagodniejszym zakrętem ich oczom wreszcie ukazała się potężna, wyraźnie dwuskrzydłowa rezydencja ze sporą liczbą wysokich okien i wieloma ornamentami na gzymsie. Do środka beżowego kolosa przykrytego ciemnymi dachówkami prowadziły masywne, ozdobione płaskorzeźbami drzwi.

– A niech mnie... – jęknęła Nicole, oszołomiona widokiem.

– I mnie też...

Gdy zbliżyli się do rezydencji, piętrowa budowla o wysokich kondygnacjach przesłoniła im słońce. Mimo ciężkiej, mosiężnej, stylowej kołatki na drzwiach, obok nich na ścianie zainstalowano dzwonek.

– Co robisz?! – zawołała Nicole, widząc dłoń Zacka zbliżającą się do przycisku.

– Spełniam obietnicę...

Gdy partner nacisnął dzwonek, poczuła dreszcz wędrujący po ciele.

– Ale...

– Taka była umowa... Zastaniemy kogoś, oddajemy klucze. Nie

zastaniemy... – Przystawił ucho do drzwi, nie kończąc zdania. Nie usłyszał żadnego dźwięku.

– A jak nie zastaniemy, to co?

Z kieszeni wyjął drugą parę rękawiczek i zabawnie nimi pomachał.

– Myślmy dalej... – odparł wesoło i po raz drugi nacisnął dzwonek.

Wciąż nasłuchiwał, próbując wychwycić jakikolwiek szmer.

– Brama nie działa, więc pewnie wyłączono zasilanie także w domu.

– Mówiłem już, że jesteś w tym dobra?

– Zamknij się i nasłuchuj.

Po trzeciej próbie mocno zastukał kołatką.

– Jeśli tego nie usłyszeli, to pozostaje jedynie dynamit.

Po chwili ponownie chwycił kołatkę i uderzył z całej siły. Niespodziewanie uchwyt pękł i został mu w ręce.

– Oops... – Zrobił przezabawną minę, lecz Nicole wcale nie było do śmiechu. – Mogę jeszcze spróbować pięścią, a później nogą.

– A może głową? – Głupkowate zachowanie i nieśmieszne żarty partnera doprowadzały ją do szału. Mimo to wzięła od niego rękawiczki, założyła je i wyrwała mu z ręki ułamany mosiężny uchwyt. Kilka razy przeraźliwie mocno uderzyła nim w okucie drzwi. Metaliczny trzask obudziłby umarłego.

– Myślę, że jeśli nie McCainowie, to za chwilę ktoś z miasta przybiegnie, by nam otworzyć.

– I dobrze, bo zachowujesz się jak dziecko!

– A ty trochę wyluzuj. Facet jest w szpitalu, poza granicami kraju, a dom stoi pusty.

– Przecież widzę!

– Umowa była prosta. – Złapał ją za ramiona i spojrzał głęboko w oczy. – Jest ktoś w domu, oddajemy klucze. Nie ma nikogo, wchodzimy i szukamy do upadłego.

– Rób, jak uważasz...

– Masz kluczyki?

– Wiesz, że tak. Po co pytasz?

– Możesz iść ze mną albo wrócić do wozu. Trafię do domu...

Zakłęła po cichu i westchnęła.

– A jeżeli McCainowie bardziej potrzebują tych pieniędzy niż my?

Zack omiótł wzrokiem rezydencję i spojrzał pobłaźliwie na partnerkę.

– Pisał o długach i zastawionym domu – kontynuowała. – Założę się, że

te monety były jego zabezpieczeniem.

– I chciał je oddać?

– Gdyby zmarł... Bał się, że mogą przepaść.

Zack położył dłoń na ramieniu Nicole i rzekł:

– Swoją część możesz oddać, komu chcesz. Skąpy staruch przez całe życie siedział na forsie. Takiego domu nie kupisz za zaskórniaki. Gdyby nie szastał pieniędzmi, teraz nie miałby problemów. Kamerdyner... Ogrodnik... Wiesz, ile kosztuje utrzymanie takiego pałacu? Kto mu bronił żyć skromniej?

Ponownie westchnęła. Zack potrafił być diabelnie przekonujący. Zastukała mosięzną kołatką jeszcze kilka razy, ale po tym, co tu zastali, wiedziała, iż to bezcelowe. W niezrozumiały dla siebie sposób metalicznymi uderzeniami próbowała zagłuszać sumienie.

Nawet nie spostrzegła, że Zack się oddalił – niemalże zniknął już za domem. Zrezygnowana, poszła za nim. Nie chciała zostać sama. To miejsce i cel ich wizyty przyprawiały ją o gęsią skórę.

Idąc wzdłuż bocznej ściany, zauważyli, że teren opada w kierunku tyłu domu – okna parteru znajdowały się coraz wyżej w stosunku do ziemi.

Nicole szła kilka kroków za Zackiem. Minąwszy drugi narożnik domu, gwałtownie się zatrzymała. Jej partner stał jak słup soli i patrzył w górę. Natychmiast dostrzegła, że jedno z okien na piętrze jest otwarte. Biała firanka wywiana na zewnątrz delikatnie falowała, poruszana przez łagodne podmuchy.

– Chryste Panie... – jęknęła.

– Chyba coś słyszałem – szepnął Zack.

Nicole stała już przyklejona plecami do ściany. Szybko oddychała, próbując opanować przerażenie.

– Proszę cię, wracajmy.

– Cicho...

Zack starał się wyłapać każdy niepokojący dźwięk, ale w tej chwili nawet szum liści i świergot ptaków ukrytych w koronach drzew wydawały mu się podejrzane. Nagle gwałtownie uniósł rękę, jakby ponownie wychwycił jakiś nienaturalny odgłos. Miał wrażenie, że słyszy kroki osoby chodzącej po pokoju na piętrze – stuki czegoś twardego, może obcasa, o drewno. Spojrzał na Nicole. W pierwszej chwili chciał jej o tym powiedzieć, ale ostatecznie się powstrzymał. Gdyby usłyszała, że w domu rzeczywiście ktoś może być,

natychmiast pobiegłaby do samochodu. Przecież równie dobrze mógł się przesłyszeć, a odgłos generowały skrzypiące drzwi poruszane przez przeciąg.

– Pewnie zapomnieli zamknąć okno albo wybiła je gałąź podczas burzy. Zobacz, jak blisko rośnie to drzewo. – Wskazał potężny dąb.

– Czujesz to? – zapytała szeptem, wciąż drżąc.

Zack wciągnął powietrze nosem.

– Jakby coś... zdechło.

– Skąd wiesz, że coś?

Zesztywnieli.

Za *parawanu* składającego się z ciasno rosnących jałowców dobiegł zgrzyt.

– Mam dość. Wracam... – Tym razem nie czekała na decyzję partnera. Jak słusznie wcześniej zauważył, to ona miała kluczyki.

Niespodziewanie usłyszeli prychnięcie kota. Dobiegło z tego samego miejsca, co wcześniejszy zgrzyt. Na dachu czegoś ukrytego za krzewami siedział rudy futrzak. Nieufnie obrócił łeppek i zwinnie wskoczył na pobliskie drzewo. Pazurami uczeplił się kory i wdrapał się na grubą gałąź. Przyczaiwszy się na niej, rozpoczął baczną obserwację intruzów.

Dopiero teraz zauważyli, że w wysokiej trawie nieopodal domu kryją się dwa utwardzone pasy prowadzące za zielony parkan.

– Zaczekaj tu...

Uważnie obserwując otwarte okno, Zack pobiegł tam i zniknął Nicole z oczu.

– Co robisz, do cholery? – wycedziła cicho przez zęby, próbując zatrzymać go myślami, gdyż słów z pewnością już nie usłyszała.

Wrócił niemalże natychmiast. Szedł, zatykając nos i usta dłonią.

Nicole miała wrażenie, że idzie do niej zygzakiem, jakby ktoś zdzielił go w głowę kijem bejsbolowym.

– Tam jest pieprzony śmietnik... – wymamrotał, łapiąc oddech. – Nie wiem, co oni żarli, ale... To resztki mięsa tak walą, a nie jakiś trup czy zdechłe zwierzę. Zaproponowałbym ci przejść się tam i samej zobaczyć, bo pewnie mi nie wierzysz, ale tym razem, proszę, uwierz na słowo. Z serca ci radzę... – Otrząsnął się. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie doznał. Czuł się, jakby miał za chwilę stracić przytomność i zwymiotować jednocześnie – jak po kilku głębszych wypitych jeden po drugim na mocno zakrapianej imprezie. Musiał przytrzymać się muru. Widok rozkładającego się mięsa,

tysięcy pełzających po nim larw i powalający smród wywołały u niego falę mdłości, która nie chciała ustąpić.

- Lepiej?
- Nie... Jasny gwint...
- Usiądź...

Nie protestując, osunął się po murze i usiadł na pasie betonu pod domem. Zapomniał nawet o otwartym oknie na piętrze.

Na szczęście znajdowali się na świeżym powietrzu, które szybko otrzeźwiło Zacka.

- Nadal chcesz tam wejść? – Spojrzała na niego pobłaźliwie.
- Tak, ale zaczynam się zastanawiać, co czeka na nas w środku.

\*

W uskoku fasady znaleźli tylne wejście, które Zack dostrzegł już wcześniej. Prowadziły do niego schody. Nacisnęli masywną klamkę, ale drzwi ani drgnęły. Nadeszła chwila, aby skorzystać z drugiego klucza. Problem pojawił się już na wstępie, gdyż ten nie pasował do zamka – wszedł jedynie do połowy.

Zack mocniej naparł dłonią, ale przez to klucz utknął w środku, jakby się zakleszczył.

- Nie pasuje?
- Najpierw nie chciał wejść, a teraz nie da się go nawet wyjąć. – Delikatnie poruszał kluczem, nie chcąc go skrzywić lub, co gorsza, złamać. Ostatecznie, nie widząc innego wyjścia, mocniej szarpnął i wydobył go z zamka.

- Może to klucz do innych drzwi.
- Na pewno nie do głównego wejścia. Specjalnie się przyjrzałem. Była tam dziurka, w której ten klucz zmieściłby się w całości. Być może gdzieś są jeszcze jedne drzwi.

Obeszli cały dom, ale nie znaleźli dodatkowego wejścia.

- A co z tą szopą, na której siedział kot?
- To garaż...
- Cokolwiek...

– Nie... W liście wyraźnie napisano, że to klucz do domu. Czytałem ten tekst tysiąc razy.

Nicole natychmiast sięgnęła po kopertę.

– ...dołączam klucze... do furki i do tylnych drzwi... – przytoczyła słowa gospodarza. – W takim razie nie rozumiem.

– Ani ja...

Zack wysnuł jedyną według niego rozsądną teorię:

– Coś musiało utknąć w środku. Może służący złamał klucz i nie przyznał się właścicielowi.

– Co teraz?

Zack oddalił się od domu i dokładnie przyjrzał się oknom na parterze. Wszystkie składały się z dwunastu kwadratowych szyb oddzielonych od siebie wewnętrzną ramą. Wąskich piwnicznych broniły kraty, a o otwartym oknie na piętrze mogli jedynie pomarzyć – musieliby mieć drabinę. Na początku Zack był daleki od wyrządzania jakichkolwiek szkód. Z drugiej zaś strony zbitcie szyby w oknie było niczym w porównaniu do kradzieży, jakiej chcieli się dopuścić. Chwilę trwało, ale znalazł odpowiedni przedmiot.

– Chyba nie chcesz... – zareagowała Nicole, ale za późno.

Kamień z impetem stłukł jeden z kwadratów, tworząc sporą dziurę. Rozległ się brzęk szkła, które posypało się na beton, a także wpadło do środka. W ramie pozostało sporo ostrych jak brzytwa odłamków.

– Oszalałeś?!

– A jak inaczej mielibyśmy tam wejść?

– Wcale!

Zdjął kurtkę i owinął nią rękę. Parapet okna znajdował się ponad dwa metry nad ziemią. Podskakując, pozbył się większych odłamków, ale wiele mniejszych wciąż tkwiło w ramie.

– Pomóż mi... Muszę wejść wyżej.

– Niech cię diabli, Zack...

Przyłgnęła plecami do ściany i przyjęła pozycję, jakby na czymś usiadła – ugięła nogi w kolanach pod kątem prostym.

– To może zboleć...

– Myślisz, że nie wiem?

Stanął na jej udach i przez dziurę w oknie wymacał blokadę.

– Mam!

Zack pchnął w górę dolną część okna. Podciągnąwszy się, wpełznął do



środka.

Nicole poczuła niewymowną ulgę. Z walącym jak młotem sercem czekała, aż partner odblokuje zamek. Nie minęło piętnaście sekund, a ona już zachodziła w głowę, dlaczego to tak długo trwa. Gdy drzwi wreszcie drgnęły, wciąż miała mieszane uczucia – poważnie się zastanawiała, kogo w nich zobaczy. Na szczęście pokazał jej się złowieszczo roześmiany Zack. Dopiero gdy weszła na schody, zwróciła uwagę na jego ubiór. Nie miał na sobie kurtki, a kuchenny fartuch.

– Mi casa es su casa... – Szarmancko się uklonił i zaprosił towarzyszkę do środka.

Pokręciła głową i przewróciła oczami. Jak z dzieckiem, pomyślała. Z wielkim, upartym dzieckiem... Nie mogła uwierzyć, że po tym wszystkim Zack ma jeszcze ochotę na żarty. Przed chwilą mdlał i prawie wymiotował, a teraz się zachowywał, jakby nic z tego się nie wydarzyło.

– To sprawca naszego problemu. – Zack pokazał drugi klucz, identyczny z tym, który dołączono do listu. – Ktoś zostawił go w drzwiach od wewnątrz i dlatego nie mogliśmy użyć naszego.

– Cudownie... – skwitowała.

– Mademoiselle... – wymamrotał z marnym francuskim akcentem, gdy przechodziła obok.

– Zack... – Choć bardzo chciała, nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. – Kolejny raz cię proszę...

– Bien sur. (*Dobrze*)

To ją zdziwiło.

– Nie chwaliłeś się, że znasz francuski.

– Znam też walijski...

Uniosła brwi.

– Walę ściemę, kiedy trzeba.

Parsknęła śmiechem.

– Zacku Seegerze... Czy ty kiedykolwiek zmądrzejesz? – Dobry humor udzielił się także Nicole, ale natychmiast odszedł w zapomnienie. – Jezu... Co tu się stało? – Dostrzegłszy potłuczone naczynia, zamarła. Musiały wypaść z wiszącej szafki, której drzwiczki były otwarte.

– Nie wiem, ale uważaj. Wszędzie jest pełno szkła. Od razu mówię, że to nie moja wina. – Uniósł ręce w geście poddania.

Wystrój kuchni nie powalał. Był dziwną mieszaniną dwóch stylów. Stare,

może trzydziestoletnie czarne meble próbowano przełamać nowymi, stalowoszarymi i białymi elementami dekoracyjnymi. Efekt był raczej marny, ale wtedy Nicole przypomniała sobie, że nie przyszli tu dyskutować o gustach domowników, tylko ich okraść.

Minęli jadalnię i korytarzem dotarli do ogromnego salonu. To musiała być centralna część domu. Zauważyli drzwi wejściowe. Z zewnątrz nie było to widoczne, ale wszystkie okna dokładnie pozasłaniano. Grube kotary nie przepuszczały zbyt wiele światła, więc w domu panował półmrok.

Poruszali się bardzo wolno, bezgłośnie, analizując każdy usłyszany szmer.

– Halo! – krzyknął niespodziewanie Zack, strasząc Nicole.

– Czyś ty oszalał? – warknęła, trącając go w bark.

– Próbuję zachowywać się racjonalnie. Jeśli ktoś tu jest, to chyba lepiej, żeby się o nas dowiedział. Nie chcę, żeby mnie zastrzelił.

– Jak włamywacza? Naprawdę nie wiesz, kiedy odpuścić... To chyba jasne, że jeśli podłoga w kuchni jest zasypana szkłem, to nikogo tutaj nie ma.

Zack dostrzegł włącznik.

Kryształowy żyrandol w salonie rozbłysnął żółtawym światłem dwudziestu żarówek wyglądem przypominających duże świece.

– Nie rozumiem... – zdziwiła się Nicole. – Kamery na ogrodzeniu nie działały. Dzwonka też nie słyszeliśmy...

– Pewnie wyłączono tylko część zasilania.

Nagle Nicole zastygła w bezruchu i w momencie poblądła.

– O mój Boże... – jęknęła.

– Co się stało?

Zack popatrzył na partnerkę, która z przerażeniem spoglądała w kąt salonu, zatykając usta dłońmi. Z trwogą obrócił głowę. Natychmiast dostrzegł leżące tam ciało.

## ROZDZIAŁ 7

- Mam dość. Wynośmy się stąd i to natychmiast!
- Poczekaj...

Zack z zainteresowaniem przyglądał się zwłokom leżącym twarzą do podłogi w nienaturalnie wyprostowanej pozycji. Gdyby rzeczywiście mieli do czynienia z ciałem, rezydencję powinien wypełniać fetor bijący od trupa, pomyślał. Coś się nie zgadzało...

- Co robisz?!

Zack zbliżył się i delikatnie szturchnął nieboszczyka butem. Jego ciało było sztywne, a skóra twarda jak skała.

- Odbiło ci?!

Kucnąwszy, dotknął nienaturalnie gładkiej twarzy.

- To figura woskowa – stwierdził pewnie.
- Żartujesz?
- Sama zobacz...

Podeszła bliżej, a Zack obrócił *truposza* na plecy. Twór rzeczywiście nie był człowiekiem, choć bardzo go przypominał. W tej pozycji wyglądał znacznie mniej makabrycznie. Figura miała poważnie uszkodzoną twarz. Po podłodze walały się fragmenty nosa, policzka i brody.

– Widziałam go kiedyś. To Einstein? – zgadywała Nicole, stając w nogach figury.

- Raczej Darwin, Charles Darwin.
- Ten od ewolucji?
- Mhm... Wszędzie bym go poznał, nawet z połową twarzy.
- A to dlaczego?

– Parę miesięcy temu mój chrześniak pisał do szkoły wypracowanie na temat ewolucji. Oczywiście musiałem wysłuchać go jako pierwszy i to trzy razy z rzędu. Od tego dnia wszędzie rozpoznam tę twarz i brodę.

– Nigdy mi o nim nie mówiłeś.

– Nie wiesz, kto to Darwin? – rzucił nieco arogancko, aczkolwiek dość zabawnym tonem Zack.

– Ty nigdy się nie nauczysz.

– Patrz. Tam jest następny...

Nieopodal sąsiedniego filaru stała kolejna skryta w półcieniu postać. Miała dziwne nakrycie głowy i ciemny płaszcz od szyi aż po same buty. Brązowa, przyprószone siwizną broda zakrywała ponad połowę twarzy, podkreślając surowość bijącą z oczu postaci.

– No słucham... – bąknęła prowokacyjnie Nicole.

– Ferdynand Magellan...

– A tego skąd znasz?

– Zgaduję... – Wskazał palcem ścianę, na której wisiała sporych rozmiarów rycina z opisami w obcym języku. Przedstawiono na niej dwie połówki kuli ziemskiej i trasę ciągnącą się przez nie. W ozdobnym nagłówku napisanym pochyłą czcionką widniało imię i nazwisko – Ferdynand Magellan.

– Nie dość, że głupia, to jeszcze ślepa – powiedziała Nicole.

Zack z zachwytem przyglądał się figurze, studiując jej detale.

– Mógłbyś chociaż z grzeczności zaprzeczyć.

– Proszę?

– Jezu! – Nicole nagle odskoczyła od figury.

– Co znowu?

Po brodzie Magellana, w stronę oczu, przemieszczał się duży pająk. Rozpiętość cienkich odnóży nie przekraczała dziesięciu centymetrów, ale dla Nicole był większy od tego domu. Wzdrygnęła się i obróciła głowę, gdy stwór zatrzymał się na środku czoła swej *ofiary*, jednym odnóżem opierając się o oczodół.

– Spokojnie... – Zack objął Nicole ramieniem.

– Nie znoszę pająków i dobrze o tym wiesz! Zrób z nim coś!

– Przecież nie zabiję go za to, że chodzi po *Magellanie*.

– W tym przypadku nie musi być powodu.

– To też stworzenie.

– Ale piekielne!

– Daj spokój... Włamaliśmy się do rezydencji wartej miliony, a ty przejmujesz się pająkiem? Poza tym, jeden trup nam wystarczy. –

Rozbawiony Zack wskazał leżącego *Darwina*.

Pająk wdrapał się na nakrycie głowy *Magellana* i przyczaił się niczym ten rudy kot na gałęzi.

Nicole odsunęła się jeszcze dalej. Oczyma wyobraźni widziała, jak stworzenie skacze na nią, gryzie i zabija. Odkąd go zobaczyła, nie potrafiła skupić się na niczym innym.

– Zack... – Partner gdzieś zniknął. – Zack!

– Tu jestem. – Pomachał zza drugiego filaru.

Dzięki Bogu, pomyślała.

– Cieszę się, że świetnie się bawisz... Możesz mi powiedzieć, co ty tam jeszcze robisz?

– Szukam... – odpowiedział enigmatycznie, obmacując *Darwina*.

Nicole uniosła brwi, kątem oka śledząc napastnika z ośmioma odnóżami.

– Pamiętasz list? – kontynuował Zack. – *Ukryłem go w tym, co zawsze tak cię irytowało*. Są ludzie, którzy nie lubią klaunów. Może brat naszego gospodarza bał się figur woskowych. McCain na pewno nie trzymał monet w kuchennej szafce ani na dnie pustej cukiernicy. To musiało być coś, co szybko nie opuściłoby tego domu. Coś niecodziennego, cennego, może nawet... dziwnego.

– Myślisz, że ukrył monety w figurach?

– Kto wie...

– Zack! Pająk zniknął!

Partner przewrócił oczyma i westchnął.

– Schodzi od strony pleców i zaraz dobierze się *Ferdynandowi* do tyłka – oznajmił znudzony.

– A potem zejdzie na podłogę!

– Pewnie tak... Nie sądzę, żeby na miejsce spokojnej starości wybrał zadek *Magellana*.

– Widzę, że wciąż cię to bawi?!

– Dobra, nic tu nie ma. Możemy szukać dalej. Przy okazji... Nie wiedziałem, że aż taka z ciebie panikara.

– A myślisz, że siatki w oknach naszego domu wiszą tam dla ozdoby? Biedny *Darwin*... Teraz kolej na niego – oznajmiła smutno, patrząc z trwogą, jak *bestia* schodzi z buta podróżnika i przemieszcza się w kierunku przewróconej figury.

Zack parsknął wesoło.

– Posłuchaj. – Spojrzała mu w oczy. – Nie mam nic przeciwko szybkiej jeździe ani broni w domu. Nie boję się klaunów, lalek ani myszy. Możesz mnie zamknąć w pokoju z tysiącem wygłodzonych szczurów. Codziennie mogę oglądać horrory, ale wolałabym obudzić się z dusicielem na szyi niż z pajakiem na kołdrze.

– Dobra... Rozejm... – Uniósł ręce. – Ale coś za coś. Załatwię go, a ty już więcej nie wspomnisz o ucieczce stąd.

Była gotowa zgodzić się na wszystko, byle tylko ten *potwór* przestał się ruszać.

– Nawet jeśli na górze znajdziemy prawdziwe ciało? – zażartował Zack.  
Skinęła głową bez zastanowienia.

Partner podążył za pajakiem i wkrótce po *bestii* została tylko mokra plama na marmurowej posadzce.

– I teraz wszędzie z nami pójdzie! – oburzyła się Nicole.

Partner spojrzał na nią pobłaźliwie i wytarł podeszwę buta o kant sofy. Był u kresu wytrzymałości. Gdyby nie to, że zyskał dzięki temu posunięciu niemalże nieograniczony czas na poszukiwania, strzeliłby sobie w głowę.

– Lepiej?

– Trochę...

\*

Gdy Nicole ochłonęła po przerażającym doświadczeniu, z powrotem skupiła się na celu zadania.

– Nie zastanawia cię to wszystko? Potłuczone talerze, przewrócona figura... Jakby ktoś ewidentnie czegoś szukał.

Zack się zamyślił.

– Pamiętasz, jak w telewizji mówili o trzęsieniu ziemi?

– Tak, ale epicentrum było daleko stąd, a zanotowane wstrząsy stosunkowo słabe.

– Może dotarły aż tutaj...

– Gdzie chcesz zacząć szukać?

– Dobre pytanie...

Gdy zbliżyli się do schodów, sparaliżował ich cichy, elektroniczny dźwięk dochodzący z okolicy głównych drzwi. Zaraz po nim ktoś zapukał.

– Mój Boże... – jęknęła Nicole.

Spojrzeni po sobie, nie wierząc własnym uszom.

– Już po nas...

Kolejny dzwonek przyspieszył ich puls o następne dwadzieścia uderzeń serca na minutę. Przez wąski witraż dostrzegli mężczyznę w bejsbolówce. Za nim stał czarny samochód.

– Jakim cudem wjechał przez bramę? – szepnął Zack.

Kolejny cichy dzwonek i pukanie.

– Facet nie odpuści – szepnęła Nicole. – Widział nasz wóz. Wie, że ktoś tu jest. Jeżeli zacznie węszyć, znajdzie wybitą szybę.

– Niech to wszyscy diabli...

Mężczyzna zniknął z ich pola widzenia, ale nie wrócił do samochodu. Mieli rację – poszedł na tyły budynku. Usłyszeli, jak nawołuje właściciela:

– *Panie McCain!*

Nicole poczuła rozchodzący się po ciele dreszcz.

– Zrób coś... – ponagliła partnera, który rozpaczliwie myślał nad najlepszym rozwiązaniem.

Zack błyskawicznie analizował wszystkie opcje, choć nie mieli ich wiele. Ostatecznie odblokował drzwi i wyszedł przed dom.

– Halo! – Złapał mężczyznę w ostatniej chwili. Ten był już na rogu budynku i wkrótce zniknąłby mu z oczu.

Okazało się, że to kurier. Osobnik był wyraźnie po pięćdziesiątce. Dodatkowo postarzała go siwiejąca broda i mocno pobrużdżona, zniszczona słońcem twarz.

Nicole z walącym sercem przyłgnęła do uchylonych drzwi i zamarła.

– Już myślałem, że... Ooo... – Mężczyzna bardzo się zdziwił, gdyż nigdy wcześniej nie spotkał Zacka na terenie rezydencji. – Widziałem samochód i dlatego uparcie dzwoniłem – wyjaśnił łagodnie, niemalże przepraszającym tonem.

– Jak pan wjechał?

– Ten teren obsługuję ja albo mój współpracownik. Pan McCain zawsze korzysta z usług naszej firmy i gdy zepsuła się automatyka bramy, dał nam klucz do niej. Czasem zamawia lub wysyła różne rzeczy. Zawsze, gdy paczka jest ciężka, pozwalałem sobie podjechać.

– Rozumiem...

– Czy pan McCain jest w domu?

- Niestety, musiał... pilnie wyjechać za granicę. Sprawy zdrowotne...
- Mam nadzieję, że wszystko z nim w porządku – kurier szczerze się zmartwił.
- Pan McCain musiał się poddać skomplikowanej operacji – wymyślił naprędce Zack, choć według listu nie kłamał.
- Mój Boże...
- Teraz przechodzi rehabilitację, ale lekarze są dobrej myśli. Trochę potrwa, zanim wróci do pełni sił. Wysłał mi klucze do domu. Powiedział, że mogę zajrzeć, jak będę miał ochotę. Niestety, nie posiadam pilota ani kluczy do bramy, dlatego zostawiłem samochód przed ogrodzeniem.
- Słyszałem o problemach zdrowotnych pana McCaina. Mówił mi o nich, ale nie myślałem, że to aż tak poważna sprawa – oznajmił smutno mężczyzna. – Między innymi z tego powodu dał nam klucze. Podobno zdrowie zrujnowało nie tylko jego, ale i firmę. Nigdy tego nie przyznał, lecz myślę, że miał problemy finansowe. – Kurier spojrział z podziwem na dom. – Utrzymanie tego kolosa musi kosztować fortunę. Pewnie samo ogrzewanie...
- To prawda...
- Nie wyglądało, jakby temu mężczyźnie gdzieś się spieszyło, a powinno, bo przecież pracował w firmie kurierskiej. Zack nabierał coraz większych podejrzeń, ale mając na uwadze, iż mógł dowiedzieć się czegoś o właścicielu, postanowił skorzystać z okazji.
- Dobrze się znaliście?
- Ja i pan McCain? A skąd! Rozmawialiśmy tylko, gdy przywoziłem lub odbierałem paczki. Właściwie to... częściej się żalił, niż normalnie rozmawiał. Nie licząc kamerdynera, mieszkał tu praktycznie sam. Obawiam się, że byłem jedną z nielicznych osób, które regularnie widywał.
- Co to za paczka?
- Duża i ciężka. – Kurier mimowolnie popatrzył na samochód. – Drewniana skrzynia mniej więcej tej wielkości. – Pokazał jej rozmiar rękami.
- Drewniana?
- Tak. Czasem woziłem tutaj podobne. Pan McCain kolekcjonował rzeczy z różnych stron świata.
- Ach tak...
- Jesteście panowie spokrewnieni? – dociekał mężczyzna.
- Tak, ale... To mój... ojczym, lecz niewiele mamy wspólnego.
- Ojczym? – zdziwił się kurier.



– Tak.

– Ale...

– Coś pana zaniepokoiło?

– Pan McCain jest niewiele starszy od pana... Może z dziesięć lat...

Stojąca za drzwiami Nicole zadrżała.

– To długa historia... – Zack umiejętnie udał smutek, ale czuł, że powoli traci grunt pod nogami. Nie przygotował się do tej rozmowy i musiał improwizować. – Gdy Derrian trafił do szpitala, wysłał mojej matce klucze do tego domu. Napisał w liście, że jeśli chcemy, możemy z nim zamieszkać, gdy wróci. Nie utrzymywał kontaktu przez całe wieki, a teraz, gdy potrzebuje pomocy... Sam pan rozumie.

– Chyba tak – skrzywił się kurier.

– Matka nie chce go znać, ale powiedziała, że ja mogę robić, co chcę. Przyjechałem zobaczyć, o co tyle szumu.

– To piękny dom...

– Zgadza się. Gdzie mam podpisać?

– Tutaj, proszę... – Mężczyzna podał elektroniczny czytnik z ekranem i rysik. – Rosenberg? – dopytał kurier, próbując odczytać gryzmoły.

– Derrian lubił podróżować – wyjaśnił Zack. – Moja matka jest Niemką. Sprowadził ją do Stanów, a parę miesięcy później zostawił dla sekretarki. Musiała wracać do kraju.

– Przekłęte sekretarki... – Doręczyciel zrobił nietęgą minę. – Świat byłby lepszy bez nich. Mój brat...

– Pomóc panu ze skrzynią? – ponaglił Zack.

– Jeśli to nie byłby problem...

– Najmniejszy.

Zack chciał się pozbyć tego człowieka jak najszybciej. Już wystarczająco wiele usłyszał. Przeszli na tył bagażówki. Dziwne, pomyślał, gdy mężczyzna otworzył drzwi samochodu. W środku znajdowała się tylko jedna przesyłka.

– Ostrożnie, bo to ciężkie.

– Jasne... Dzięki za wszystko. – Zack przejął skrzynię i poszedł w stronę domu. Nie była aż tak ciężka, jak się spodziewał.

– Do zobaczenia! – pożegnał się kurier.

– Aaa... Właśnie... Pewnie zostanę tu parę dni, a Derrian jest za granicą. Czy mógłbym odzyskać klucze do bramy?

– Oczywiście... Przepraszam... Nie pomyślałem.

- Nie ma problemu.
- Proszę pozdrowić pana McCaina.
- Tak zrobię, dziękuję!

Zack odprowadził kuriera nieufnym wzrokiem. Czarny van wycofał i chwilę później zniknął za zakrętem.

– Całkiem niezłe... – Usłyszał zza drzwi głos Nicole. Wychyliła się i spojrzała na skrzynię. – Jak myślisz, co w niej jest?

– Nie wiem, ale facet wydał mi się podejrzany. W samochodzie miał tylko tę przesyłkę i nie wierzę, że dostał klucze od McCaina. Chyba po to zatrudniasz strażników i stawiasz wysoki mur dookoła domu, żeby nikt się tu nie dostał.

Zack przykucnął i pewnie chwycił skrzynię za dno. Ważyła niecałe dwadzieścia kilogramów. Wniósł ją do salonu, a Nicole przymknęła drzwi.

– Chyba nie chcesz tego otworzyć? – zapytała, widząc, jak Zack pilnie studiuje zabezpieczenie wieka.

– Dlaczego nie? Jeżeli McCain wróci, kurier i tak mu powie, że ktoś buszował po domu. Facet podróżował po świecie, mieszka w domu za grube miliony i ukrywa złote monety. W takich skrzyniach nie przesyła się ciuchów. Nie kusi cię?

– Nie...

Ze zrezygnowaniem opuścił rękę.

– Mam nadzieję, że znajdziemy to, po co przyjechaliśmy, bo inaczej ta skrzynia wraca z nami – wymamrotał, przepychając ją pod ścianę.

– Dokąd idziesz?

– Rozwiązać problem z bramą i samochodem. Nie potrzeba nam tu kolejnych niezapowiedzianych gości.

## ROZDZIAŁ 8

Zack nie potrafił przestać myśleć o zawartości skrzyni dostarczonej przez kuriera. Przetrzęsając budkę strażnika w poszukiwaniu łańcucha i kłódki, którymi mógłby spiąć skrzydła bramy, zachodził w głowę, co ta przesyłka może zawierać. W duchu wiedział, że to jeszcze nie koniec. Musiał jedynie wyczekać na odpowiedni moment – aż rozdzieli się z Nicole.

Po wjechaniu samochodem na teren posiadłości zamknął bramę. Niestety, nie znalazł niczego, czym mógłby dodatkowo ją zabezpieczyć. Objechał rezydencję i zatrzymał się na jej tyłach – nieopodal śmietnika. Już chciał wyłączyć silnik, ale przypomniał sobie o garażu, który wcześniej widział. Jeśli był pusty, to dlaczego nie miałby z niego skorzystać...

Wszedł do środka bocznymi drzwiami, które, o dziwo, były otwarte.

Bliższe miejsce zajmował długi samochód przykryty szarą plandeką. Drugie stanowisko dosłownie czekało na niego. Bramę garażową dało się swobodnie otworzyć. Najwidoczniej człowiek ukrywający w domu skarby warte miliony dolarów nie przejmował się samochodem i kosiarką do trawy.

Zack wjechał tyłem i opuścił bramę od wewnątrz. Wychodząc, zerknął pod plandekę. Spodziewał się, że zobaczy pod nią wypolerowane, osiemdziesięcioletnie cacko, ale pomylił się i to bardzo. Jego oczom ukazał się nowy rolls-royce phantom z prawie siedmiolitrowym silnikiem, o mocy przekraczającej czterysta koni mechanicznych. Wnętrze limuzyny wykończono wysokiej jakości skórą i drewnem.

– Nieźle...

Po nacieszeniu wzroku piękną maszyną rozejrzał się po wnętrzu garażu. Pod ścianą stała kosiarka. Leżało też tam kilka innych ogrodowych urządzeń, a na perforowanej płycie wisiały większe i mniejsze narzędzia – począwszy od śrubokrętów i kleszczy, na sekatorze i olbrzymim kluczu francuskim skończywszy. W kącie stał długi łom oparty o stos desek. Mniejszy leżał

obok. Wąska stalowa końcówka idealnie wpasowała się pomiędzy ściany a wieko skrzyni, pomyślał Zack. Chwilę ze sobą walczył, ale opór był bezcelowy. Ostatecznie zabrał mniejszy łom i opuścił budynek bocznym wyjściem.

Wszedł do rezydencji tylnymi drzwiami. Nicole przetrząsała kuchnię, co uznał za bezcelowe, ale dopóki miała zajęcie z dala od głównego wejścia, nie zamierzał jej przeszkadzać.

– Długo już tutaj jesteś? – zapytał, ukrywając łom pod połą kurtki.

– Dopiero zaczęłam.

– Schowałam samochód do garażu.

– Widziałam...

– Zamknąłem bramę i furtkę. Koniec z nieproszonymi gośćmi. Mam tylko nadzieję, że McCain nie rozdał więcej kompletów kluczy. Poszperaj tutaj, ja sprawdzę salon. Chyba że chcesz się zamienić.

– Za nic w świecie! – odparła bez chwili wahania, pamiętając pająka, na którego natknęli się w tej części domu.

Cudownie, pomyślał Zack i szybko poszedł w stronę głównego wejścia. Zerkając przez ramię, po cichu wyniósł skrzynię na zewnątrz i przymknął drzwi. Bez zastanowienia pewnym ruchem wbił końcówkę łomu pod drewniane wieko i napał na stalowe ramię. Gwoździe głośno strzeliły, częściowo wysuwając się z obudowy. Wsadził łom głębiej i szarpnął. Wieko odskoczyło, a ze środka wysypało się nieco suchej trawy.

To musi być coś naprawdę cennego, pomyślał. Ostrożnie odsunął warstwę ochronną i dostrzegł przedmiot w kształcie walca, owinięty w zwierzęcą skórę obwiązaną sznurkiem.

Wziął zawiniątko do ręki. Ważyło jakieś dwa kilogramy. Położył je na betonie i ponownie zanurzył dłoń w suchej trawie. Natychmiast natknął się na podobnie wyglądający przedmiot. Był nieco mniejszy, ale wykonano go z identycznego materiału i tak samo zabezpieczono.

– Ciekawe...

Gdy usunął sznurek z większego przedmiotu, okazało się, że skóra stanowi jedynie *opakowanie*. Zszyto ją na końcach, aby przedmiot, który chroniła, nawet przypadkiem nie wyslizgnął się ze środka. Ręcznie wykonane *etui* można było otworzyć jedynie od góry, usuwając specjalną klamrę. Zack ostrożnie odblokował zatrzask. Z każdym uderzeniem serca czuł narastające podekscytowanie.

W środku znajdował się duży szklany słoje z niewielkimi otworami wywierconymi w metalowym wieczku. Zack pociągnął delikatnie, wysuwając pojemnik ze skórzanego etui. W tym samym momencie olbrzymi, włochaty pajak siedzący w środku rzucił się na szklaną ściankę. Zack wypuścił z ręki słoje, który wpadł do skrzyni i zagłębił się w suchej trawie.

– Jezu... Ty chory sukinsynu...

Na szczęście pojemnik się nie stłukł. Jego *mieszkaniec* długo szalał po szklanym więzieniu, bezskutecznie próbując się z niego wydostać. Zack miał wrażenie, że stworzenie nie ma ośmiu odnóży, tylko szesnaście. Dopiero po chwili pajak się uspokoił, zastygając w bezruchu na czymś przypominającym martwe szczątki dużego owada, niemalże w całości owiniętego w pajęczy kokon.

Mimo iż Zack na co dzień nie bał się pajaków, a nawet należał do ludzi, którzy są w stanie darować im życie, wynosząc je z domu, zamiast zabijając, tym razem jego puls znacznie przyspieszył. Dno słoja ledwie wystarczało temu gigantowi. Wraz z odnóżami musiał mieć prawie dwadzieścia centymetrów średnicy. Był to ptasznik goliat – jeden z największych na świecie znanych pajaków, o masie dochodzącej u dorosłych osobników do jednej czwartej kilograma.

Zack z trwogą zerknął na drzwi, błyskawicznie uświadamiając sobie, jak dobrze zrobił, że nie należał, aby otworzyć skrzynię w domu. Gdyby dokonał tego przy Nicole... Wolał nie myśleć, jak zareagowałyby na widok tego stworzenia. Wiedział już, co zobaczy w drugim pojemniku. Tak jak się spodziewał, jego *mieszkaniec* również posiadał cztery pary odnóży, ale był znacznie mniejszy i nie wykazywał tak dużej aktywności – spokojnie przemieszczał się po ciasnym *więzieniu*, leniwie szukając drogi ucieczki.

Znaleziska były dość zaskakujące, jednakże biorąc pod uwagę podróznicze i kolekcjonerskie zamiłowania gospodarza – całkowicie zrozumiałe.

Zack umieścił słoje z powrotem w skórzanych osłonach, a przedmioty w skrzyni, zakrywając je warstwą ochronną. Nałożył wieko i dokładnie je dopasował, aby gwoździe trafiły na dawne miejsca. Napierając na nie łomem, domknął skrzynię. Umyślnie zostawił ją pod zadaszeniem przed domem.

Wróciwszy do rezydencji, usłyszał strzępy zdań.

– *Nie, nie, wszystko... Jesteśmy... domem.*

Nicole rozmawiała przez telefon. Brzmiało to, jakby się tłumaczyła, więc

pewnie dzwoniła matka. Podszedł bliżej. Nie przepadał za przyszłą teściową, choć nie mógł tego głośno przyznać. Mimo to Nicole wszystkiego się domyślała, widząc jego zachwyty, gdy dzwoniła matka. Czasem sama miała jej dosyć.

Zack nigdy nie spotkał tej kobiety. Na szczęście dla niego mieszkała na drugim końcu Stanów, niedaleko Seattle. Dzieliło ich dwa i pół tysiąca mil, co przekładało się na sześciogodzinny lot lub czterdziestogodzinną podróż samochodem. Uznał to za wystarczający bufor, zwłaszcza że matka Nicole bała się latać, więc widywały się stosunkowo rzadko – mniej więcej dwa razy w roku. Oczywiście nadrabiały to telefonami. Pewnego razu przez trzy minuty Zack miał przyjemność rozmawiać z tą kobietą za pomocą internetowego komunikatora, jednakże wystarczyły mu zaledwie dwie, aby wyrobić sobie opinię.

Mając na uwadze zawartość skrzyni, Zack z zaciekawieniem rozejrzał się po kątach. Dopiero teraz zauważył sporą ilość pajęczyn pod sufitem, a szczególnie w rogach. Gdzie nie odwróciłby głowy, dostrzegał kolejne. Zważywszy, że jeszcze całkiem niedawno gospodarz mieszkał w tym domu, a na plandece rolls-royce'a nie osadziła się gruba warstwa kurzu, nie powinno być ich tutaj aż tyle.

Nie chcąc przeszkadzać partnerce w ożywionej rozmowie, poszedł sprawdzić pokoje na piętrze. Po paru minutach wrócił zaniepokojony. Nicole wciąż dyskutowała z matką przez telefon, ale uznał, iż ma wystarczająco dobry powód, aby jej przerwać.

– Nie, nie... Wszystko w porządku. Gdzieś poszedł. Gdybym...

– Nicole... – zaczął cicho Zack, nie chcąc jej przestraszyć.

Najwyraźniej go nie usłyszała, gdyż w żaden sposób nie zareagowała.

Niespodziewanie wzrok Zacka zatrzymał się na czarnym, ruchomym punkcie wiszącym nad głową partnerki. Bez zastanowienia zamachnął się łomem i szczątki pająka uderzyły o ścianę – spadły gdzieś na podłogę.

Nicole poczuła ruch powietrza. Słyszając podejrzenie brzmiały świst, odwróciła się natychmiast. Dostrzegłszy Zacka z dziwną miną i łomem w dłoni, zeszytniała. Nawet bez krwi na nim wyglądał jak rasowy morderca. Uniosła brwi i rękę, żądając wyjaśnień.

– Muszę kończyć... Dobrze, będę pamiętała – zwróciła się ciepło do matki. – Tak, tak... Już się znalazł – uśmiechnęła się do partnera.

Zack przewrócił oczyma i westchnął.

– Naprawdę muszę kończyć... Ja ciebie też... Tak, oczywiście. Jak tylko wrócimy, dam znać, to pogadamy dłużej... Pa!

– Jeszcze dłużej? – zapytał nieco poirytowany Zack, gdy Nicole zakończyła rozmowę.

– Nie zaczynaj... Znasz ją... Nie wyobrażam sobie, w jaką panikę by wpadła, gdyby się dowiedziała, gdzie jesteśmy i co robimy. A tak w ogóle, to skąd masz ten łom?

– Zabrałem z garażu. Może się przydać, jeśli trafimy na zamknięte drzwi.

– Zacku Seegerze... – warknęła ostro Nicole, natychmiast kojarząc fakty.

– Wiem, że chodzi ci po głowie ta skrzynia, ale ustaliliśmy, że jej nie ruszamy.

Nie bój się, pomyślał. Otwarcie jej, to ostatnia rzecz, jaką bym przy tobie teraz zrobił.

– Mamy większy problem od skrzyni. Chodź za mną i nie rozglądaj się niepotrzebnie.

Poczuła zimny dreszcz.

– Nie rozumiem i nie wiem, czy chcę zrozumieć. – Niepewnie podążyła za nim. Pierwszy raz od chwili włamania Zack wydawał się czymś naprawdę przejęty.

Weszli schodami na piętro.

– Pamiętasz pająka z gatunku *mokrus plamatus* chodzącego po *Ferdynandzie*? – Starał się, jak mógł, aby zabrzmiało to zabawnie.

– Co z nim?

Nie odpowiedział.

Zatrzymali się przed jednymi z sześciu identycznych białych drzwi w północnym skrzydle domu.

– Chcę ci coś pokazać, ale proszę... Nie panikuj, bo to niczego nie zmieni. – Nie zamierzał niepotrzebnie przeciągać. Otworzył drzwi i jako pierwszy wszedł do pokoju.

Prawdopodobnie był to gabinet McCaina – jego *sala chwały*. Nicole przekroczyła próg i zrozumiała, jak bardzo ten człowiek miłował podróże, ale niekoniecznie zwierzęta. Na ścianach wisiały liczne trofea myśliwskie. Na pierwszy rzut oka zgromadzono ich tu ponad pięćdziesiąt i każde należało do innego zwierzęcia. Były opisane nazwą gatunku i miejscem, gdzie odbyło się polowanie. Kilka trofeów wisiało krzywo – być może z powodu niedawnych wstrząsów.

Na pięciu białych gipsowych kolumnach pod ścianą znajdowały się ptaki. Trzy *uchwycono* w locie.

Obok potężnego biurka stała dwumetrowej wysokości, szeroka, przeszklona gablota ze starymi strzelbami i rewolwerami. Nie była to broń, jaką dziś zabiera się na polowania, a jedynie eksponaty z dawnych czasów, choć z większości z nich z pewnością można by i dziś strzelić.

Jednakże Zacka, gdy wcześniej tutaj wszedł, nie zainteresowało to, co wisiało na ścianach, a terraria stojące pod jedną z nich. Trzy z siedmiu były rozbite, a na ziemi leżało połamane poroże łosia amerykańskiego – to właśnie ono musiało na nie spaść. Ciemnoczerwona wykładzina była zasypana kawałkami szkła, żwirem, ziemią, roślinami i starymi korzeniami.

Dostrzegłszy potężnego pająka przechadzającego się po skrajnym szklanym więzieniu, Nicole natychmiast mocniej złapała Zacka za ramię. Widząc rozbite terraria, szybko zrozumiała, co czeka na nią w tym domu. Poczula paraliżujący strach i zamknęła oczy. Bała się gdziekolwiek spojrzeć.



## ROZDZIAŁ 9

Gdy Nicole doszła do siebie, natychmiast zbiegła na dół.

Zack zabezpieczył ręcznikami przestrzeń pod drzwiami gabinetu, choć uważał, że uwolnione stworzenia już dawno go opuściły. Po prostu chciał zrobić wszystko, aby uspokoić partnerkę.

Nicole czekała na parterze przy głównym wejściu. To było jedyne miejsce, z którego szybko mogła uciec na zewnątrz, a jednocześnie miała sporo przestrzeni wokół siebie.

– Sprawa załatwiona... – oznajmił pewnie Zack, wychylając się nad balustradą na piętrze.

– Załatwiona?! – Nicole roześmiała się ironicznie.

– Kochanie...

Zszedł na dół. Chciał ją objąć, ale natychmiast mu się wyrwała.

– Nicole, poczekaj... Na litość boską!

Zanim ją dogonił, miała już otwarte drzwi. Zatrzymał ją dopiero w progu, zastawiając wyjście własnym ciałem.

– Jesteśmy już tak blisko. – Złożył ręce jak do modlitwy. – Błagam cię!

– Blisko?! Buszujemy po cudzym domu wielkości pałacu – gestykulowała jak szalona – w poszukiwaniu czegoś, co nie dość, że jest ukryte, to pewnie nie będzie większe od guzika.

Oby nie było mniejsze... dodał w myślach Zack. Na szczęście ugryzł się w język.

Arachnofobia partnerki okazała się nie lada problemem. Przez kilka pajaków wszystko mogło wziąć w łeb. Nigdy nie rozumiał tego strachu, ale wiedział, że jeżeli nie zapanuje nad sytuacją, będzie to koniec marzeń o lepszym życiu.

– Dwie godziny... Daj mi dwie godziny... Dwie cholerne godziny...

– Możesz tu być i dwa dni, ale nie ze mną! – Cała drżała. Poczuł to dopiero, gdy złapał jej dłonie. Rzeczywiście była śmiertelnie przerażona i nie wiedział, jak temu zaradzić.

– Możesz poczekać na zewnątrz albo w samochodzie, w garażu.

– Jeszcze czego?!

– Przed chwilą powiedziałaś...

– Wracamy!

Zack miał już tego serdecznie dość. Zamiast szukać czternastu milionów dolarów, tracili czas na kłótnię o błahostkę. Swym uporem i atakiem paniki Nicole doprowadziła go do takiego stanu, że myślał, czy nie zdzielić jej mocno w twarz, aby wzięła się wreszcie w garść.

– Obiecuję, że zabiję każde ośmionożne stworzenie, jakie zobaczysz.

– Nie ma mowy, żebym ponownie tam weszła.

– Nie musisz! Posłuchaj... – Próbował się opanować i wymyślić argumenty, które by do niej przemówiły. Przypomniał sobie o zdarzeniu w kuchni. Mimo pewnych obaw postanowił powiedzieć prawdę: – Gdy rozmawiałaś z matką, zabiłem jeszcze jednego. Dla ciebie wszystko... Założę się, że jeśli ten czubek, McCain, trzymał w zniszczonych terrariach pająki, to najprawdopodobniej po jednym okazie w każdym. Trzy zniszczone terraria, to trzy pająki. W salonie załatwiłem jednego, drugiego ukatrupiłem w ku... jadalni.

– W kuchni?!

– Nieważne... Został ostatni. Natknięcie się na niego jest równie prawdopodobne jak to, że znajdziemy monety w dwie godziny. – Jeżeli Zack czymkolwiek miałby się teraz martwić, to jedynie ewentualną jadowitością tego stworzenia, ale, o dziwo, nie ona była dla Nicole problemem, więc postanowił przemilczeć ten fakt. – Czternaście milionów, kochanie! – Potrząsnął nią. – Nie spieprzę tego z powodu jednego pajączka.

– Wiem, że nie rozumiesz i nigdy nie zrozumiesz... – Miała łzy w oczach.

– Do jasnej cholery... Za to, co robimy, grozi nam więzienie. Oprzytomnij! Nie jesteśmy w hotelu ani w SPA! Właśnie popełniamy przestępstwo! Jeśli właściciel przypadkiem wróci, to ma pełne prawo strzelić nam między oczy, a ty się martwisz o pieprzonego pająka?! – wykrzyczał.

Rozplakała się. Nie chciała się poddawać, ale to było silniejsze od niej.

– Załatwmy to szybko – złagodził ton – i znajdziemy te monety. Jutro o tej

porze będziemy się z tego śmiać, popijając najdroższe wino, jakie uda nam się kupić. Wytrzymaj jeszcze trochę, a resztę życia spędzimy na wiecznych wakacjach, wspominając ten dzień.

– Zack, nie dam rady. Naprawdę chciałąbym, ale...

– Obiecuję, że osobiście przeszukam każdy kąt. Ty tylko wytrzymaj. Proszę...

Niechętnie skinęła głową, ale nie wiedziała, czy za chwilę nie wybiegnie stąd z krzykiem.

\*

Wrócili na piętro. Przechodząc obok gabinetu, Nicole mocniej złapała partnera za rękę. Nawet przez rękawiczkę Zack czuł, że ma spocone dłonie.

– Jak myślisz, kim był ten człowiek? – zapytała, próbując zapomnieć o tym, co widziała za mijanymi drzwiami.

– Podróżnikiem, bogaczem, dziwakiem, sknerą, gburem... Zanim tu przyjechaliśmy, poszperałem trochę w sieci. To była bogata rodzina. Nie mówiłem ci, ale w garażu stoi rolls-royce. Nie znam się na cenach takich samochodów, bo nigdy *nie groził* mi zakup podobnego, ale ten wózek jest wart pewnie z pół miliona, jeśli nie więcej.

– Skąd ludzie biorą forszę na to wszystko? Za pół miliona kupilibyśmy nowy dom.

– Spadek, dobrze ulokowane akcje albo własna firma, w której zarządza widniejesz, a siedmiu krasnoludków odwała brudną robotę. A pewnie wszystko razem... Biorąc pod uwagę zamiłowanie McCaina do podróży, nie zdziwiłbym się, gdyby w grę wchodził także handel antykami, dziełami sztuki, egzotycznymi zwierzętami albo organizowanie prywatnych safari lub podobnych dziwactw. Mając kontakty, mógł nawet dorobić się na przemyśle. Ostatnio kolega podesłał mi link, że jakiś wariat organizował polowania na ludzi. Wpisowe wynosiło milion dolców. Połowę puli zgarniał organizator, jedną czwartą zwycięzca, a resztę zysków otrzymywała osoba wskazana przez *ofiarę*.

– Chryste... – jęknęła Nicole. – Nie, żebym chciała tam wracać, ale minęliśmy gabinet. *Ukryłem go w tym, co zawsze tak cię irytowało...* –

zacytowała McCaina. – Może miał na myśli trofea myśliwskie. Wielu ludzi nie aprobuje tego... takiego *hobby*.

– Racja... – Zack przystanął. – Z drugiej strony, McCain niczego nie sprecyzował. Nie sądzę, żeby kazał bratu biegać z drabiną i przeszukiwać wszystkie trofea. Myślę, że raczej chodziło mu o jakiś przedmiot, od razu kojarzący się z konkretnym miejscem.

– Broń? Może szafka z bronią... – zgadywała Nicole.

– Lepiej – pochwalił Zack, wyraźnie ucieszony, że partnerka wreszcie zaczęła współpracować. – Ale... trudno, żeby ktoś miał stale pretensje o hobby, o kolekcję. Wydaje mi się, że to nie to. Może natkniemy się na coś w bibliotece.

Nicole poczuła ulgę, że oddalają się od gabinetu.

– Skąd wiesz, że jest tu biblioteka?

– Gdy rozmawiałaś z matką, sprawdziłem górę. Dwoje drzwi jest zamkniętych, ale jeżeli w kopercie nie było do nich kluczy, to uważam, że możemy je sobie chwilowo darować.

– Co z tym otwartym oknem, które widzieliśmy?

– Wiesz, że zupełnie o tym zapomniałem... Pewnie jest w którymś z zamkniętych pomieszczeń.

\*

Gdy znaleźli się w ogromnej bibliotece, szybko zrozumieli, jak trudne czeka ich zadanie. Co gorsza, nie wiedzieli, ile tak naprawdę mają na nie czasu.

– *Ukryłem go w tym, co zawsze tak cię irytowało* – powtórzyła Nicole, próbując ogarnąć wzrokiem tysiące woluminów. – Szkoda, że nie wiemy, jacy autorzy irytowali Maxymiliana McCaina.

– Z ust mi to wyjął. Nie przekopimy się przez to do jutra.

– Im szybciej zaczniemy...

– Masz rację... – Spojrzał na nią z uznaniem.

W tym miejscu Nicole czuła się nadzwyczaj dobrze. Zapach starych książek i niemalże całkowita cisza działały kojąco na jej nerwy. Podeszła do najbliższej półki i zaczęła przeglądać stare woluminy. Najpierw z dużą dozą ostrożności wyciągała kolejne tomy, stale się zastanawiając, zza którego

wyskoczy na nią jakaś włochata bestia, ale z czasem nabrała więcej pewności siebie i przeglądanie książek szło jej znacznie szybciej. Każdą otwierała i wertowała – sprawdzała, czy McCain nie użył którejś jako skrytki.

– A jeśli nie ukrył tego w domu, tylko gdzieś na zewnątrz? – wystrzeżliła nagle.

– To już po nas... – odparł natychmiast Zack, podnosząc wzrok. – Ale poczekaj... Po co przysyłałby klucze do domu, gdyby ukrył monety poza rezydencją?

– Chyba że... Sprawdziłeś ostatecznie ten klucz?

– Co miałbym sprawdzić?

– Czy pasuje do tylnych drzwi...

– Nie, ale wyglądał identycznie jak ten, który tkwił w zamku. Daj mi, proszę, list... – Zack przejął go od Nicole i odczytał fragment: – *...nikt Ci nie otworzy, więc do listu dołączam klucze... do furtki i do tylnych drzwi...*

– Tyłne drzwi... czego? – dokończyła Nicole.

– Domu... – wyjaśnił Zack przekonany, że dobrze interpretuje tekst. – Myślisz, że specjalnie nie napisał słowa *dom*?

– Nie wiem... Zaprosił brata do domu, ale to nie oznacza, że ukrył tutaj monety. Zobacz... – Nicole wskazała fragment listu, gdzie Derrian McCain informuje, że monety są na terenie posiadłości, a to oznaczało nie tylko dom, ale i okolicę.

– Cholera... Możesz mieć rację.

Po pobieżnych oględzinach przedmiotów na blacie biurka przyszła kolej na szuflady i szafkę. Z ich wnętrza wydobywał się charakterystyczny zapach starych dokumentów. W szufladach znajdowały się cienkie teczki, a w szafce ręcznie zapisane grube zeszyty – dzienniki z podróży. Każdy dotyczył innej wyprawy. Ich objętość oraz pieczołowitość, z jaką zostały sporządzone, sugerowały, iż podróże McCaina nie były zwykłymi, kilkudniowymi wycieczkami *all inclusive*, lecz starannie zaplanowanymi, często wielotygodniowymi ekspedycjami w rejony, gdzie nie zapuszczają się zwykli turyści.

W niektórych dziennikach widniały nawet szkice napotkanych zwierząt. Zeszyty stanowiły pełną dokumentację wyprawy. Zapisywano w nich początkowy stan ekwipunku i racji żywnościowych, a także ich rozchód. Na końcu znajdowały się tabelki wypełnione umownymi skrótami. Każdy dzień

rozpoczął się od nowej strony i daty. Czasem jeden ciągnął się przez dwie kartki, ale bywało, że inny został opisany w zaledwie trzech akapitach.

Takich dzienników Zack znalazł dwanaście. Mimo iż go fascynowały, czuł, że to strata czasu. Żadna z rzeczy leżących na biurku, czy też w nim ukrytych, nie mogła być powodem irytacji brata McCaina. Gdyby gospodarz dodatkowo schował gdzieś przedmiot zawierający monety, powinien zaznaczyć to w liście.

– Wszyscy McCainowie lubili podróżować – zauważył Zack, wertując dzienniki. – Tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty drugi... To ponad sześćdziesiąt lat temu, a przecież tych notatek nie sporządziło dziecko. Kurier powiedział, że Derrian McCain jest starszy ode mnie zaledwie o jakieś dziesięć lat, więc nie mógł tego napisać.

– Pojawia się czyjeś imię? Pewnie to dzienniki kogoś z rodziny...

– Czekaj... – Zack rozłożył na biurku połówkę kartki wypełnione identycznym charakterem pisma jak brulion z pięćdziesiątego drugiego. – Te listy podpisał *Rod McCain*, jeżeli dobrze odczytuję imię. Straszne bazgroły... Masz rację. W naszym liście pojawiają się tylko imiona *Derrian* i *Maxymilian*.

– Może autorem notatek z podróży jest ich ojciec albo nawet dziadek.

– I to by pasowało...

– Derrian McCain odziedziczył nie tylko posiadłość, ale też zamiłowanie do podróży, polowań i całej reszty. Problem w tym, że pieniądze się go nie trzymały.

– Dwa plus dwa równa się cztery – podsumował Zack.

– Spójrz na to...

– Co znalazłaś?

– Kolejne dzienniki, ale jakieś... dziwne – oznajmiła niepewnie, wertując stare kartki.

Następnych kilka ręcznie zapisanych grubych brulionów stało skrytych za rzędem książek na najniższej półce, prawie przy samej ziemi. Trzeba było się nieźle nagimnastykować, żeby je wydobyć. Bez schylenia się dzienniki nie były nawet widoczne.

Kłęcząc, Nicole zaczęła je przeglądać. Próbowwała czytać, ale nie rozumiała nawet słowa, nie mówiąc już o zdaniach. Nie potrafiła nawet wymówić niektórych liter. Bruliony zawierały także prowizoryczne, bardzo

schematyczne szkice, które były znacznie gorszej jakości, aniżeli te w dziennikach Roda McCaina.

Zack przyniósł jeden z notesów, aby dokonać porównania. Zeszyty znalezione przez Nicole wyglądały na starsze. Tusz był wyblakły, a kartki bardziej zniszczone – w niektórych miejscach również ponadrywane od wielokrotnego wertowania.

– Te zdecydowanie napisał ktoś inny – stwierdził Zack bez specjalnego przyglądania się.

– Co to za język?

– Wygląda na jakiś europejski. Niemiecki, austriacki... Może nawet rosyjski... Spójrz na te znaki. – Wskazał podwójne kropki nad literami.

– Rozumiesz coś z tego?

Popatrzył na nią z politowaniem.

– No co? Szalałeś z francuskim, więc może i z tym sobie poradzisz – rzuciła prowokacyjnym tonem. – Myślałam, że...

Nagle zastygli w bezruchu. Rozmowę przerwały im odgłosy dochodzące z zewnątrz.

– A to co? – zapytał Zack, gdy do ich uszu doleciało szczekanie i groźnie brzmiące powarkiwania. Z dziennikiem w ręce podbiegł do okna i je otworzył. Ujście stało się znacznie głośniejsze. Wychylił się... Trwał tak w bezruchu dobrych kilka sekund.

– To chyba jakieś żarty... – wymamrotała Nicole, podchodząc bliżej.

Gdy partner się odwrócił, był blady jak ściana.

– Zack... – Chciała zobaczyć to, co on widział, ale została powstrzymana.

– Tam leży... ciało. Ono jest... Jego już właściwie nie ma.

## ROZDZIAŁ 10

Zack nie potrafił zebrać myśli, a co dopiero ubrać ich w słowa.

– O czym ty mówisz? Jakie ciało? – Nicole siłą odsunęła partnera od okna. Gdy wyrzała na zewnątrz, poczuła mdłości.

Pod domem biegały cztery brunatnoczarne psy i rozszarpywały czyjeś zwłoki.

– Mój Boże... – Zasłoniła usta ręką. Myślała, że zwymiotuje. Mimo to jakaś dziwna siła sprawiła, iż nie była w stanie oderwać wzroku od potarganych ubrań i poharatanego zębiskami ciała.

Na wysokości klatki piersiowej nieszczęśnika widniało kilka odsłoniętych żeber – obgryzionych z mięsa. Połowa twarzy była pozbawiona skóry. Zwłoki nie miały prawej ręki i większej części prawej nogi. Pozostały po nich jedynie poszarpane kikuty.

Nicole czuła, jak nogi się pod nią uginają. Osunęła się na parapet. W ostatniej chwili przytrzymała się go, bo inaczej upadłaby na podłogę.

Do nieprzyjaznego warczenia dołączyły piski najmniejszego psa, który przegrał walkę o posiłek. Zwierzęta były wyraźnie wygłodzone. Z pewnością nikt o nie nie dbał od dłuższego czasu – same musiały zdobywać pożywienie i były gotowe zjeść wszystko, co znalazły.

Zack przytulił Nicole, ale nie wiedział, jak zareagować, ani co powiedzieć. Ostatecznie wstał i zamknął okno. Podniósł partnerkę i asekurował ją, dopóki nie usiadła w fotelu przy biurku.

Nicole poczuła, jakby w jednej chwili straciła wszystkie siły. Wpatrzona w podłogę szybko oddychała, nie potrafiąc się uspokoić.

– Kto to mógł być? – zapytała wreszcie.

– Nie mam pojęcia – odparł Zack. Był równie przerażony jak ona. Stał tuż obok, oparty tyłem o biurko.

Patrzyli na siebie, nie mogąc znaleźć słów na to, co zobaczyli.



Po zamknięciu okna odgłosy ujadania nieco przycichły, ale wciąż je słyszeli.

– Przecież... Wcześniej nie było tam żadnego ciała – odezwała się wreszcie Nicole. – Skąd w ogóle wzięły się te psy?

– Pewnie przywlekły tego biedaka z lasu... Ta posiadłość musi być ogromna. Słyszałaś wcześniej jakieś szczekanie?

– Nie, do cholery!

– Założę się, że ten ktoś pokonał ogrodzenie i chciał się dostać do tego domu. Zwierzęta dopadły go i...

Gdy Nicole uświadomiła sobie coś, pobladła jeszcze bardziej.

– Zack... To mogliśmy być my.

– Wiem o tym. – Jego myśli krążyły wokół tego samego problemu, ale to Nicole odważyła się powiedzieć te słowa na głos.

Szczekanie ponownie się nasiliło, lecz mieli wrażenie, że nie dobiega już zza okna, a z... domu.

– Zamknęłaś główne drzwi?

– A ty?

Zack wybiegł z biblioteki i jak szalony popędził w stronę schodów. Gdy Nicole była w połowie długości korytarza, on osiągnął już poziom półpiętra. Przytrzymując się poręczy, gnał po dwa schodki naraz. Pokonawszy ostatnie, stanął w salonie jak wryty. Dostrzegł czającego się w wejściu psa z wyszczerzonymi kłami.

Bestia natychmiast pognała w jego stronę.

– Uciekaj! – krzyknęła Nicole, dopadając poręczy na piętrze. – Uciekaj, na Boga!

Zack popędził na górę szybciej, niż wcześniej zbiegał.

Nicole natychmiast się wycofała i skierowała do najbliższych drzwi. Stale zerkając przez ramię, czy Zack ją dogania. Niestety, nie zauważyła niewysokiego, ozdobnego stolika tuż obok drzwi gabinetu McCaina i potknęła się o niego. Przepadła przez przewracający się mebel, a pusty wazon, który na nim stał, roztrzaskał się o podłogę.

Gdy Zack osiągnął górny podest, bydlę było już w połowie schodów.

Obolała Nicole poczuła szarpnięcie za rękę – partner brutalnie ją pociągnął, stawiając na nogi. Trącił butem ręczniki ułożone pod drzwiami gabinetu i wbiegli do środka.

Popychana przez Zacka, wciąż oszołomiona bolesnym upadkiem Nicole

zahaczyła nogą o dywan. Straciła równowagę i nieświadomie pociągnęła za sobą partnera, który nie zdołał domknąć drzwi.

Obydwoje runęli na podłogę.

Prawą dłoń Nicole poraniły ostre kawałki szkła z rozbitych terrariów, jednak była tak przerażona, że nie miała odwagi krzyknąć z bólu. Niezrozumiale spoglądała na drżące ręce, zastanawiając się, dlaczego prawa ocieka krwią.

Zack spróbował kopnąć drzwi, ale zabrakło kilku centymetrów.

Rozpędzone psisko wbiegło do gabinetu.

Leżąc na brzuchu, Nicole poczuła, jak Zack osłania ją własnym ciałem. Mimo to psisko dopadło jej nogę. Wrzasnęła na całe gardło, gdy ostre jak sztylety kły kilkakrotnie zatopiły się w kostce i łydce.

Za wszelką cenę Zack starał się kopnąć psa w łeb.

Wijąc się z bólu, Nicole nieumyślnie uderzyła partnera łokciem w twarz i zrzuciła go z siebie.

Zack chwycił pierwszy przedmiot, jaki wpadł mu w ręce. Był to spory kawał poroża łośia. Zamachnął się nim niemalże na oślep, ale trafił zwierzę w łeb.

Pies zapiszczał i natychmiast odskoczył, ale nie zrezygnował. Otrzepał się i ponownie wyszczerzył zębiska. Ujadał jeszcze groźniej niż wcześniej, a z jego pyska skapywała ślina. Obniżył ciało na przednich łapach jak drapieźnik gotujący się do ataku.

Zack machnął *bronią* przed łbem wściekłej bestii, po czym rzucił nietypowym *orężem* w psa. Bydlę zwinnie odskoczyło – to dało Zackowi wystarczająco dużo czasu, aby sięgnąć po największą z trzech części poroża. Była tak duża, że zdołał osłonić nią siebie i Nicole, ale okazała się cięższa, niż zakładał. Z trudem utrzymywał ją w powietrzu, a posługiwanie się nią jak bronią było wręcz niemożliwe. Zdesperowany popatrzył na strzelby w gablocie, ale natychmiast zaniechał pomysłu sięgnięcia po którąś. Z pewnością nie były naładowane. Naboje mogły się znajdować w szufladach, ale zanim zdążyłby cokolwiek znaleźć i dopasować, psisko dopadłoby ich.

Twarc Nicole wykrzywił potworny grymas bólu. Przez mimowolnie napływające do oczu łzy prawie nic nie widziała. Wiedziała jedynie, że gdzieś tam musi być Zack broniący jej przed atakiem rozwścieczonego psa.

– Nicole, musisz wstać! – krzyknął błagalnie. – Sam nie dam rady nas

stąd wydostać! – Nie mógł jej pomóc, gdyż musiałby odrzucić osłonę – była za ciężka, aby utrzymać ją jedną ręką, a ogar wciąż krążył i nie miał zamiaru się wycofać.

Nicole podciągnęła ręce i nogi pod ciało.

– Dasz radę!

Wstając, jęczała z bólu. Ostatecznie, chwyciwszy Zacka za koszulę, podniosła się i wsparła na plecach partnera. Ranną ręką otarła łzy, nieświadomie brudząc krwią twarz.

– Świetnie... A teraz powoli w stronę drzwi.

Kuśtykając, Nicole podążyła za Zackiem, który postanowił obejść psa szerokim łukiem, co chwilę grożąc mu porożem.

Ogar warczał i ujadał, ale po bolesnym uderzeniu nie był już tak skory do atakowania – nie podchodził zbyt blisko.

Gdy minęli drzwi, zatrzasnęli je tak mocno, że te odskoczyły od framugi. Dopiero za drugim razem udało im się je domknąć. Było słychać, jak psisko rzuca się na nie i drapie drewno pazurami.

Zack odetchnął, opuszczając *łopatę* – tak myśliwi nazywali część poroża. Nadwyrężone mięśnie paliły jak ogień. Czując słabnący chwyt Nicole, która przez cały czas kurczowo trzymała się jego koszuli, natychmiast się obrócił i złapał partnerkę. Gdyby tego nie zrobił, upadłaby.

– Mój Boże... – jęknął, widząc kolejne dwa psy stojące na początku korytarza niedaleko balustrady – jakby ogary tylko czekały na to, aż ich ofiary opuszczą gabinet.

Zack spanikował. Puścił Nicole, która z okrzykiem bólu upadła na ziemię. Błyskawicznie podniósł poroże, osłaniając ich przed ewentualnym atakiem, który mógł nastąpić w każdej chwili.

Pusty korytarz wypełniły pojedyncze szczeknięcia.

– Zack... – wyłkała Nicole, widząc, co się zbliża.

– Nie rób gwałtownych ruchów. Nie wstawaj... Spróbuj powoli wycofać się na czworakach.

Posłuchała, całkowicie mu zawierając. I tak nie była w stanie iść... Nie odwracając głowy, wpatrzona w najbliższe drzwi, podążyła w ich kierunku.

Psy wolno ruszyły za nimi. Wydawały się nieco mniej agresywne. Najwidoczniej nie miały zamiaru bezmyślnie rzucić się na ofiary. Wyglądało na to, że czekają na odpowiedni moment, aby skutecznie zaatakować.

– Spokojnie... Jeszcze tylko kawałek... – pocieszał Zack, motywując

Nicole.

– Już nie mogę... – Wciąż się przemieszczała, lecz każdy pokonany odcinek sprawiał jej potworny ból. Nie tylko szurała pogryzioną nogą po podłodze, ale też opierała się na pociętej dłoni. Dodatkowo nogawka dopasowanych džinsów boleśnie ocierała rany.

Pokój, do którego dotarli, okazał się zamknięty.

Wisząc na klamce, Nicole rozplakała się, gdy drzwi nie ustąpiły.

– Damy radę... Wycofujemy się do biblioteki...

Krwawy ślad wyraźnie zaintrygował psy. Przestały warczeć i zaczęły wachać, a nawet lizać krew. Najwyraźniej miała dla nich podobny smak i zapach, jak zwłoki pod domem, o które chwilę wcześniej walczyły.

Zack zrozumiał, że dopóki psy czują krew Nicole, nie dadzą im odejść.

Bestie szybko straciły zainteresowanie czerwonym śladem i niebezpiecznie się zbliżyły. Musiały zaryzykować, gdyż *smakowite kąski* próbowały się wymknąć. Najwyraźniej wolały narazić się na uderzenia, niż zdechnąć z głodu. Zaczęły warczeć i krążyć, próbując podejść ofiary z różnych stron.

Korytarz był zbyt szeroki, aby jedna osoba mogła go zastawić. Gdy Zack i Nicole byli tuż przy drzwiach biblioteki, jeden z ogarów zabiegł im drogę od tyłu, przygważdżając do ściany.

– To koniec – jęknęła.

– Posłuchaj mnie... Musisz wstać.

– Nie dam rady!

– Musisz, bo inaczej zginiemy!

Zebrała w sobie resztki sił i całą złość. Złapała Zacka za pasek jego spodni. Opierając się o ścianę, podniosła się.

– Świetnie, kochanie. Zaraz będzie po wszystkim...

Nie wierzyła w ani jedno jego słowo. Dobrze wiedziała, jak to się skończy.

– Gdy zaatakuję, zaciśnij zęby i wbiegnij do środka.

– A ty?

– O mnie się nie martw.

– Ale...

– Teraz! – Zack machnął porożem przed pyskiem większego psa i natychmiast natarł na drugiego.

Przytrzymując się ściany, na której pozostawiała krwawy ślad, Nicole

spróbowała zrobić krok, ale ból był zbyt silny i nie dała rady ustać. Przewróciła się. Zdołała jedynie pchnąć uchylone drzwi.

W ostatniej chwili Zack odgonił bydlę próbujące ugryźć Nicole w ranną nogę – dostało porożem w łeb.

Gdy partnerka wczołgiwała się do biblioteki, druga bestia zaatakowała z rozbiegu. Skoczyła na Zacka, który zasłonił się *łopatą*. Nie był w stanie dłużej jej utrzymać. Puścił poroże i pozostał bezbronny. Na szczęście Nicole była już w środku. Wbiegł za partnerką i zatrzaskał drzwi, przylegając do nich plecami. Natychmiast poczuł mocne uderzenie – wygłodzone ogary nie dały za wygraną.

W zamku nie było klucza, więc Zack zaczął rozglądać się za czymś, czym mógłby zablokować wejście.

Psy zaczęły potwornie ujadać i skakać przez siebie, próbując sforsować przeszkodę – stale szturchały klamkę.

– Tylko błagam, pospiesz się... – wymamrotała Nicole, opierając się plecami o drzwi.

– Jesteś wielka!

Zack podbiegł do biurka i spróbował je pchnąć, ale się przeliczył. Było potwornie ciężkie, więc porzucił zamysł i zabrał się za sofę.

– Jezu... Ta też waży z tonę – wycedził przez zęby. Podniósł sofę jedną stroną i zaczął ją ciągnąć, ale przy okazji rolował się dywan. – Cholera jasna!

– W ten sposób nie mógł daleko zajść. Spojrzał na Nicole. Była ledwie przytomna i wymagała natychmiastowej opieki. – Pieprzyć to... – Porzucił sofę i chwycił stolik. Był znacznie lżejszy. Bez trudu przeciągnął go pod drzwi. Pomógł Nicole wstać i wziął ją na ręce – zaniósł na sofę. Zaraz potem wrócił i dosunął stolik do drzwi. Z najbliższego regału zabrał kilkadziesiąt grubych książek, którymi dociążył mebel.

Nicole ledwo żyła. Na szczęście wciąż była przytomna. Ból nie ustępował, a wręcz przeciwnie. Czuła, jakby ktoś regularnie wbijał jej w nogę rozgrzane do czerwoności igły. Już nie tylko samo miejsce pogryzienia pulsowało bólem, ale i cała kończyna.

Zack natychmiast doskoczył do biurka. Pamiętał, że w szufladzie widział nożyczki. Odciął rękawy koszuli – miały zastąpić bandaż.

Spróbowali normalnie zdjąć spodnie, ale noga za bardzo spuchła. Nicole wyła z bólu i broniła się, odpychając rękę Zacka, gdy ten ciął nogawkę. Po pięciu minutach walki uwolnili kończynę.

Nie mieli czym przemyć ani zdezynfekować ran. Co gorsza, psy były nienaturalnie agresywne, a to mogło oznaczać, że są zarażone wścieklizną. Wcześniej nie natknęli się na nie, a zmiana trybu życia z dziennego na nocny była jedną z oznak tej choroby.

Gdy Zack zakładał prowizoryczny opatrunek, Nicole wykrzywiła się na wszystkie strony. Ostatecznie tak mocno zagryzła poduszkę, że poczuła, jak zęby wbijają się w dziąsła.

– Zabierz mnie stąd, błagam – wyłkała, kiedy skończył.

– Dobrze, kochanie... Dobrze... – Objął ją mocno.

Żadne nie myślało już o zabawie w poszukiwaczy skarbów ani o czternastu milionach dolarów. Chcieli jedynie przeżyć...

## ROZDZIAŁ 11

Zack przyklęknął obok sofy, na której leżała Nicole. Partnerka ledwie żyła, ale nawet na chwilę nie straciła przytomności. Nie miała siły, aby się podnieść, była jednak zbyt przerażona, żeby dać ciału odpocząć. Nawet gdy próbowała tylko napiąć mięśnie w rannej nodze, czuła obezwładniające kłucie. O powstaniu w ogóle nie było mowy. Nie wyobrażała sobie, co będzie, gdy przyjdzie jej iść lub biec, a przecież jakoś musieli się stąd wydostać.

Od dłuższego czasu nie słyszeli warczenia ani drapania.

– Poszły sobie? – jęknęła, gdy Zack kończył zmieniać jej opatrunek prawej dłoni.

– Nie wiem, ale musimy coś wymyślić i jak najszybciej zawieźć cię do szpitala.

– Zack, nie dojdę do drzwi, nie mówiąc już o zejściu po schodach. – Spojrzała na niego błagalnie.

– Nie martw się. Zaniosę cię, ale najpierw musimy się ich pozbyć z domu.

– Masz jakiś pomysł?

Zerknął na poplamione od krwi, pocięte spodnie leżące na podłodze.

– Może...

Niewiele rzeczy w bibliotece nadawało się na broń. Obok kominka dostrzegł stojak z pogrzebaczem i łopatką. Przedmioty wykonano z mosiądzu i miały zdobione rękojeści.

Jedno psisko zamknęli w gabinecie McCaina, więc zostały trzy. Przede wszystkim musieli zwiększyć swoje szanse. Z odosobnionym zwierzęciem pewnie by sobie poradzili, ale z trzema jednocześnie... Woleli nie myśleć, jakby się to skończyło. Przedsmak takiej sytuacji mieli całkiem niedawno.

Zack podniósł spodnie Nicole i zabrał pogrzebacz. Podeszedł do drzwi. Gdy szarpnął stolik, potwornie głośny zgrzyt zjeżył mu włosy na rękach. Nie spodziewał się aż takiego rabanu. Mebel wraz z leżącymi na nim książkami był potwornie ciężki i pozostawił na lakierowanym parkiecie widoczne rysy.

Przez dłuższą chwilę Zack nasłuchiwał, obserwując klamkę. Ostatecznie ustawił stolik tak, aby masywną nogą blokował szczelinę, która powstanie po otwarciu drzwi. Przesunął kilka leżących na blacie książek i wszedł na niego. Ostrożnie uchylił skrzydło. Ku swej uciechu nie dostrzegł zwierząt.

Słyszając cichy stukot po lewej, wychylił się mocniej i zamarł. Zobaczył psa pędzącego korytarzem tuż przy ścianie.

Ogar skoczył na kryjącego się we wnęce Zacka, który w ostatniej chwili zdążył się cofnąć. Pies natychmiast wbił się w szczelinę pomiędzy dębowymi drzwiami a framugą. Kłami zahaczył o zakrwawione spodnie Nicole, które miały posłużyć za przynętę. Wyszarpnął je Zackowi z ręki. Ten zamachnął się pogrzebaczem, ale chybił.

Psisko szybko straciło zainteresowanie zdobyczą i ponownie natarło.

Zack chciał wziąć kolejny zamach, lecz zbyt szybko się wycofał i stracił równowagę.

– Cholera... – warknął i wraz z kilkunastoma książkami poleciał na podłogę, boleśnie uderzając barkiem i głową o parkiet.

– Zack! – krzyknęła Nicole. Widząc półprzytomnego partnera i bydlę wdzierające się do środka, zignorowała ból. Ześlizgnęła się z sofy na dywan i zaczęła się czołgać w stronę drzwi. Gdyby nie masywna noga stolika blokująca przejście, zwierzę byłoby już w środku.

Psisko zaklinowało się i zaczęło skowyczeć.

Zanim Nicole doczołgała się do stolika, Zack rzucił pogrzebaczem we wściekłe bydlę. Niestety, chybił – mosiężny przedmiot odbił się od drzwi i poleciał pod ścianę.

– Wynoś się!

Pies oberwał w łeb grubą książką.

Zack ryknął, dodając sobie siłę i obolałym barkiem napał na stolik. Mebel uderzył w drzwi, które się domknęły, wypychając psisko na korytarz.

Nicole leżała w połowie drogi pomiędzy stolikiem a sofą. Odetchnęła. Chwilowo znowu byli bezpieczni.

– Coś ty sobie myślał?! – wrzasnęła z wyrzutem.



\*

Zack starał się uspokoić oddech. Czuł się, jakby właśnie przeskoczył nad ulicą pomiędzy dwudziestopiętrowymi budynkami.

– Ten pies czekał na nas... Zastawiły pułapkę – wysapał, choć sam nie wierzył w to, co mówi.

– Boże... – jęknęła Nicole. – Co my robimy... – Jej oczy szklily się od łez.

– Dzwonię po policję! – rzekł stanowczo Zack.

– Nie! Przecież nie mogą nas tu znaleźć, bo skończymy w więzieniu!

– Żartujesz sobie?! Ledwo żyjesz! – zirytował się bezmyślnością partnerki. – Mam gdzieś, czy oskarżą mnie o zwinięcie czyjejś poczty i wybicie okna! Przecież niczego nie ukradliśmy z tego pieprzonego domu! Co nam zrobią?! Zapłacimy za szkody i po sprawie! – Podszedł do Nicole i pomógł jej wstać. – Facet trzymał na swojej posesji zdziczałe psy, które nas zaatakowały – tłumaczył jej oczywistą rzecz, żywo przy tym gestykulując. – Jeszcze wytoczymy mu za to proces!

– Posłuchaj tego, co mówisz!

– A jeżeli te wścieklizny uciekłyby przez bramę, gdy był tutaj kurier? Facet nie ma pojęcia, jakie miał szczęście, że spokojnie stąd odjechał. Wyobraź sobie skutki ucieczki tych zwierząt z posiadłości. Ilu ludzi mogłyby zagryźć, gdyby wydostały się na ulicę... Ile dzieci...

– Jeżeli wyjdzie na jaw, że się tu włamaliśmy, wywalą mnie z pracy, a ty stracisz kolejnych klientów. Z czego będziemy żyć?!

– Jeśli nawet tak się stanie, znajdziemy nowe zajęcia. – Wyjął telefon, chcąc zawiadomić odpowiednie służby, ale aparat nie reagował na dotyk. – Co jest? – zirytował się. Przytrzymał boczny guzik, ale telefon nawet nie pisnął. – Cholera...

– Co?

– Padł... Daj mi swój.

– Nie, Zack... – Pokręciła głową.

– Posłuchaj mnie dobrze...

– To ty mnie posłuchaj, do ciężkiej cholery! – krzyknęła zdesperowana. – Będziemy skończeni na osiedlu. Nie chcę, żeby każdy do końca życia widział w nas złodziei. To będzie się ciągnęło, gdziekolwiek nie zamieszkamy.

Nawet jeśli policja nic nam nie zrobi, prędzej czy później ktoś się do tego dokopie. Dobrze wiesz, jacy są ludzie.

– Na litość boską... Połowa domu wysmarowana jest twoją krwią! Nawet jeśli jakoś stąd uciekniemy, myślisz, że facet, który jeździ furą za pół miliona, nie zada sobie trochę trudu i nie sprawdzi, czyja to krew?

– Nigdy nie robiono mi badań DNA. Nie byłam notowana, więc nie będzie mnie w bazie.

– A kurier? Przecież mnie widział... Aaa... No jasne... Nie widział ciebie.

– To nie tak! Ten facet nie ma pojęcia, kim jesteśmy. Jeżeli nie spisał numeru rejestracyjnego, nie znajdą nas.

– Właśnie... Jeżeli nie spisał!

– A po co miałyby to zrobić?!

Zack złapał się za głowę. Myślał, że wyrwie sobie wszystkie włosy.

– Poczekajmy kilka godzin – prosiła Nicole. – W tym czasie psy na pewno się znudzą i opuszczą dom.

– Wiesz, że możesz być nawet zarażona wścieklizną? – wytoczył najcięższe działo. – Nie mamy czym przemyć ani odkazić rany, a nawet gdybyśmy mieli, musisz dostać szczepionkę. Psy nie miały co jeść – prawie krzyczał – to zezarły jakąś wiewiórkę albo lisa! Jak myślisz, dlaczego nie przywitały nas w południe przy bramie?

– A skąd mam wiedzieć?!

– Doszło u nich do zmiany zachowań, jakie często mają miejsce u takich zwierząt. Teraz preferują nocny tryb życia. Jest osiemnasta. Już robi się ciemno, a za chwilę będzie gównno widać! Zresztą, pies wcale nie musi się zachowywać dziwnie, żeby mieć wściekliznę. Każde ugryzienie należy traktować jako potencjalnie niebezpieczne.

– To chyba ogary, czyli psy myśliwskie. Pewnie McCain je wytresował, żeby broniły posiadłości. Do tego są głodne... Przecież nie zjadłyby człowieka, gdyby było inaczej.

– Nie rozumiem, po co w ogóle ta dyskusja! Potrzebujesz natychmiastowej pomocy! Daj mi telefon i przestań się ze mną spierać, bo chcę dla ciebie dobrze. Proszę...

Pokręciła głową z rezygnacją i rozejrzała się po pokoju za spodniami. Załamała się, gdy przypomniała sobie, co się z nimi stało.

– O mój Boże...

Zack dostrzegł konsternację na jej twarzy.

– Chyba żartujesz... – jęknął.

– Nie... Komórka była w kieszeni.

Natychmiast doskoczył do stolika. Szarpnął go i otworzył drzwi. Wyszedł na korytarz, całkowicie ignorując niebezpieczeństwo. Niestety, spodni Nicole już tam nie było.

Zrezygnowany wrócił do biblioteki i domknął drzwi, po czym oparł się o nie plecami. Nie miał nawet siły kląć na swą głupotę.

Nicole spuściła głowę. Widząc podłamanego partnera, wiedziała już, że spodnie przepadły.

Nagle Zack coś sobie uświadomił. Podbiegł do biurka i zaczął sprawdzać szuflady.

– Co robisz?

– Wcześniej widziałem tu jakieś kable. Módl się, żeby była wśród nich ładowarka.

Nicole również się ożywiła, jednak ostre ukłucie w nodze szybko ostudziło jej zapał do pomocy w poszukiwaniach.

– Mam! – Zack wyszarpnął z tylnej części górnej szuflady kłębek przewodów i rozłożył je na blacie. Drżącymi rękami rozdzielał kable, szukając odpowiedniej końcówki. Szybko się okazało, że nie ma wśród nich ładowarki. Ostatecznie opadł na siedzisko fotela i ze złością kopnął niedomkniętą szufladę. Nienawidził uczucia bezsilności.

– Masz ładowarkę w samochodzie?

– Nie, a zwykłą zostawiłem w domu i nawet wiem gdzie. Leży obok lodówki... Jeszcze rano pamiętałem, żeby zabrać ten przeklęty kabel. Wieczorem ładowałem telefon, ale zachciało mi się kawy, więc podłączyłem ekspres, a komórkę odłączyłem. Zdążyła podładować się na tyle, żeby nawigacja zdołała nas tutaj doprowadzić. – Spojrzał ze złością na czarny wyświetlacz, który za żadne skarby nie chciał ożyć. Miał ochotę rzucić telefonem o ścianę albo rąbnąć nim o kant biurka.

– Wiesz, co jest najlepsze? – Nicole się uśmiechnęła, lecz był to śmiech przez łzy. – Gdy rano byłeś w łazience, zanim wyjechaliśmy, widziałam tę ładowarkę. Nawet chciałam ją zabrać, ale wtedy zawołałeś mnie i zapomniałam o niej. – Wpatrzona w podłogę, odtwarzała przebieg porannych wydarzeń.

– Kretyn ze mnie...

- Daj spokój. Kto mógł przypuszczać, że...
- Wziąłem rękawiczki, płyn smarujący, a nawet szlifierkę akumulatorową.
- Nicole wybałuszyła oczy.
- Nie patrz tak na mnie. Leży w bagażniku... Bez zająknięcia udaję przed kurierem członka rodziny właściciela tego przeklętego domu, chowam samochód w garażu, a jak przychodzi co do czego...
- Jaki miałeś plan z tymi spodniami?
- Myślałem, że chociaż jednego sukinsyna uda mi się zwabić zapachem krwi do któregoś z sąsiednich pokoi. Zamknąłbym go tam i tak z każdym, po kolei.
- Sprytne... – uśmiechnęła się przyjaźnie Nicole, choć nie wierzyła w idealne powodzenie tego planu. W duchu nawet odetchnęła, że skończyło się tak, a nie inaczej.

\*

Nicole patrzyła na przeredzone korony drzew, przez które przebijały się ostatnie promienie jesiennego słońca, malując ściany żółtopomarańczowymi barwami. Nagle coś przyszło jej do głowy.

- Moglibyśmy spróbować opuścić się na zasłonach.

Zack popatrzył na nie od niechcienia.

Kondygnacje w rezydencji były znacznie wyższe niż w standardowym domu, w związku z czym kotary miały jakieś trzy metry długości. Wykonano je z grubego, wytrzymałego materiału.

– I chcesz skończyć jak ten biedak za oknem? Zanim zejdziemy, te bydlaki będą już na nas czekać. Nie wiem, jak ty, ale ja mam nieodparte wrażenie, że one po prostu na nas... polują. Widziałem wiele psów, ale jeszcze nigdy tak zażarcie próbujących kogoś dorwać. Wiem, że to głupie, ale...

– Masz inny pomysł? – Zaciskając zęby, poprawiała ułożenie opuchniętej nogi. Dokuczały jej coraz boleśniejsze skurcze.

– Nie... Mam tylko nadzieję, że w końcu te cholery się nami znudzą. Przecież przez cały dzień gdzieś biegały. Muszą pić... W domu nie znajdują wody. To będzie nasza szansa.

– Obyś miał rację i oby wszystkie poczuły pragnienie jednocześnie.

– Pewnie znalazły wodę w lesie. Jakieś jezioro albo większą kałużę... Inaczej nie przeżyłyby tak długo. Pomyśl, jak duża musi być ta posiadłość, jeśli psy nie słyszały naszej rozmowy, wybijanego okna ani silnika samochodu. Nie wspominając już o kurierze... Zanim tu przyjechaliśmy, oglądałem mapę, ale zdjęcia satelitarne zrobiono wiosną lub latem. Korony drzew przesłaniały ogrodzenie. W ogóle nie widziałem bramy ani muru, a jedynie fragment dachu. Dookoła rozpościerały się spore połacie lasu. Na północny wschód stąd jest droga prowadząca do miasta. Pamiętasz to skrzyżowanie, gdy powiedziałem, że już prawie jesteśmy?

Nicole skinęła głową.

– Nasza droga i ta druga łączą się, tworząc trójkąt – Zack narysował to na podłodze – a my znajdujemy się u jego podstawy.

Przez chwilę milczeli.

– Nad czym myślisz? – zapytała wreszcie Nicole, zmartwiona dziwnym wyrazem twarzy partnera.

– Nad ciałem, które leży pod domem. Zastanawiam się, kim był ten człowiek.

– Nie wiem, czy chcę wiedzieć, a na zgadywanie nie mam siły.

– Pewnie ktoś chciał się włamać. Musiał wiedzieć, że rezydencja jest czasowo niezamieszkana. Założę się, że biedny drań miał zamiar wejść przez któreś z okien na parterze. Nie ma w nich krat, więc wystarczyło je wybić.

– A ogrodzenie?

– Drabina i po sprawie...

Nagle Zack poderwał się ze skrzypiącego fotela. Otworzył okno i usiadł na parapecie. Przytrzymując się framugi, mocno się wychylił.

– Co się stało? – zapytała Nicole, zdziwiona nagłą reakcją partnera.

– Chyba już wiem, jak się wydostaniemy...

– Jak?

– Miałaś dobry pomysł, ale trochę go zmodyfikujemy.

## ROZDZIAŁ 12

Zack szarpał grube zasłony ze wszystkich sił, ale rurka, na której wisiały, trzymała jak przyspawana. Ostatecznie rozruszał mocowanie karnisza i metalowa konstrukcja z hukiem runęła na podłogę. Odsunął się w ostatniej chwili. Nie chciał nawet zgadywać, ile to draństwo ważyło. Dostrzegłszy głębokie żłobienie w dębowym blacie biurka spowodowane ostrym zakończeniem karnisza, przełknął ślinę.

Z drugą parą zasłon w sąsiednim oknie poszło znacznie szybciej. Zachował też większą ostrożność.

Wkrótce usłyszeli nieprzyjazne powarkiwania dobiegające zza drzwi. Zwabione hałasem psy wróciły na posterunek.

– Okej, to była ta prostsza część – oznajmił Zack, ignorując dobijające się do nich zwierzęta.

– Mnie mówisz, że zwariowałam, a sam chcesz wyjść oknem?

– Nie powiedziałem, że zwariowałaś. – Uśmiechnął się i zsunął kotary z rurki. Przy okazji zdobył nową broń i to o sporym zasięgu.

Zasłony były cztery. Pierwszą zawiązał o nogę biurka i dodatkowo przytrzasnął nim materiał. Kotary połączył solidnymi węzłami, a na całej długości wykonał kilka dodatkowych, aby ułatwić sobie zejście. *Lina* stała się poręczniejsza, ale też się skróciła. Każde łączenie dodatkowo wzmocnił sznurem – ogranicznikiem do zasłon, tworząc prowizoryczną klamrę. Zadanie wydawało się proste, ale potrzebował na nie prawie godzinę.

– Zack, przemyślałam to. Naprawdę nie sędzę, aby...

– Przecież sama chciałaś tak postąpić – przypomniał. – Coś musimy zrobić, a te psy szybko o nas nie zapomną. Siedzimy tu już kilka godzin, a one, gdy tylko usłyszały hałas, natychmiast pojawiły się pod drzwiami.

Spokojnie otworzył okno i wyrzucił *linę* na zewnątrz, ucinając dyskusję.

– Zack!

– Całkiem nieźle – pochwalił sam siebie, udając, że nie słyszy. *Lina* sięgała powyżej parapetu okna pokoju pod nimi i wisiała jakieś dwa metry nad ziemią. Mocno szarpnął, sprawdzając wytrzymałość pierwszego węzła.

– Zack!

– Spokojnie... Wiem, co robię.

– Przedtem też wiedziałeś i straciliśmy jedyny sprawny telefon.

Pozostawił tę uwagę, zresztą słuszną, bez komentarza.

– Nie zejść na sam dół, tylko dostanę się do pokoju pod nami.

– I chcesz mnie tu zostawić samą? – przeraziła się.

– Chcę dać nam szansę...

Ostrożnie wdrapał się na parapet. Kurczowo trzymał *linę*, jednocześnie obracając się tyłem do zejścia. Ze środka wszystko wydawało się prostsze. Nigdy nie miał lęku wysokości, ale, jak sam często powtarzał, miał lęk przed świadomym przyzwoleniem na głupotę.

– Jezu... – Nicole nie mogła na to patrzeć. Z grymasem bólu na twarzy podniosła się z sofy i pokuśtykała do okna. Nie chciała stracić Zacka z oczu.

– Będzie dobrze – powiedział bardziej do siebie niż do niej. Wziął głęboki oddech i całym ciężarem zawisł na *linie*, całkowicie zawierając wytrzymałości swojego dzieła. Materiał się napiął, a węzły mocniej zacieśniły, złowrogo trzeszcząc. Szarpnął, aby ostatecznie sprawdzić wytrzymałość *liny* – gdyby coś zawiodło, jeszcze mógł się złapać parapetu.

Na skutek gwałtownego ruchu biurko przesunęło się pod okno.

Czuąc, że zaczyna spadać, Zack zamknął oczy i kurczowo złapał jeden z węzłów.

– Mój Boże! – Nicole ledwie zdążyła uskoczyć w bok. Gdyby tego nie zrobiła, dębowy kolos zmiażdżyłby jej uda – kantem blatu biurko uderzyło o ścianę.

Zack zacisnął zęby i modlił się, aby łączenia wytrzymały. Gdy otworzył oczy, nadal wisiał, tyle że metr poniżej okna. Nie czuł już chłodu jesiennej nocy, gdyż przez jego ciało przetoczyła się fala gorąca.

– *Wszystko w porządku?! – Usłyszał wołanie z góry.*

– Tak! – odkrzyknął. – Chyba tak... – dodał ciszej. – Co tam się stało?!

– Biurko się przesunęło!

Kretyn... – skarcił się. Powinien był przewidzieć, że tak to się skończy i od razu dostawić je do ściany.

Opuszczanie się na niższy poziom kosztowało Zacka więcej wysiłku, niż

sobie wyobrażał. Mając w pamięci wydarzenie sprzed chwili i rozszarpane ciało, które leżało gdzieś na trawniku, tak mocno trzymał się *liny*, że sam sobie sprawiał tym ból.

Wreszcie poczuł uskok i uderzył końcówką buta o wewnętrzną ramę niższego okna.

– Jest dobrze... – motywował się.

Wzrok Zacka powoli przyzwyczajał się do otaczającego go mroku, ale pod sobą nadal widział jedynie czernść. Księżyc wciąż krył się za chmurami, a korony drzew skutecznie przesłaniały jego słaby blask.

Kolejny węzeł i kolejny pokonany odcinek... Wcześniej odbijał się od ściany, ale szerokie okna osadzono głęboko w murze, więc gdy opuścił się o kolejny metr, ledwie sięgał ramy i bocznych ścian koniuszkami sportowych butów. Pojawił się też kolejny problem – wraz z utratą pewnego oparcia dla nóg, mimowolnie zaczął się okręcać na *linie*.

– Jak ci idzie?! – krzyknęła Nicole, ledwie go widząc. Nawet wdrapała się na biurko, aby móc wyrzeć na zewnątrz.

– Łatwiejsza część za mną!

– Błagam, uważaj na siebie!

– No to jazda... – Najpierw chciał stanąć na parapecie, ale gdy przypomniał sobie o psach, które bez większego problemu mogły go tam dorwać, postanowił po prostu wybić okno. Pracując całym ciałem, próbował się rozhuścić i mocno odbić się butami od ramy okna. Celował tak, aby nie trafić w szybę. Przeklęte kratki... Gdyby w tej chwili zbił któryś ze szklanych kwadratów, noga mogłaby się zakleszczyć pomiędzy odłamkami szkła.

Coraz mocniej odbijał się od ramy, starając się utrzymać tę samą pozycję. W którymś momencie usłyszał brzęk pękającej szyby. Jedno z okienek nie wytrzymało naprężeń. Wiedział już, że na więcej odbić nie może sobie pozwolić.

– Dobra... Raz się żyje...

Przed ostatecznym ruchem niemalże przyłgnął do okna. Próbując się mocno odepchnąć, wyłamał fragment ramy – drewno potwornie strzeliło. Cztery szklane kwadraty pękły i poczuł, że traci pewne oparcie.

– Cholera jasna...

Chwilę później coś rozproszyło jego uwagę. Energiczny stukot... pomruki... dyszenie... Nadbiegające psisko skoczyło na *linę*, jakby miało



w łapach sprężyny. Zahaczyło zębiskami zasłonę kilka centymetrów poniżej buta Zacka. *Lina* rozhuściła się na boki, a mrozące krew w żyłach ujadanie rozniosło się po wymarłej okolicy.

– Zack!

Wkrótce do osamotnionego psiska dołączyły jeszcze dwa.

Zack wspiął się o metr, łapiąc wyższy węzeł, co prawdopodobnie uratowało mu życie.

– Wracaj na górę! – krzyczała *Nicole*.

Ogary skakały i szarpały *linę* we wszystkie strony. Zack ścisnął ją najmocniej, jak potrafił. Bał się, że jeśli spróbuje czegokolwiek, spadnie. Jeden fałszywy ruch w nieodpowiednim momencie mógł kosztować go życie. Wciąż było przeraźliwie ciemno, ale wyraźnie widział krążące pod nim psy. Nie tylko czuł, ale nawet słyszał, jak rozrywają od dołu zasłonę. Natychmiast przypomniał sobie o rozszarpanych zwłokach, które gdzieś tam leżały.

– Właźże do góry, na litość boską! – wrzeszczała *Nicole*.

Zack zdrętwiał, a mięśnie coraz bardziej go paliły.

– Nie dam rady! – odkrzyknął.

Nawet *Nicole* czuła, jak psy szarpią *linę*. Zapominając o bólu, spróbowała wciągnąć Zacka razem z zasłonami, ale nie miała najmniejszych szans. Potem skupiła się na biurku. Myślała, że uda jej się przesunąć je choć o kawałek, ale nawet nie drgnęło. Z powodu tytanicznego wysiłku rany na ręce i nodze ponownie się otworzyły, ale krążąca po ciele adrenalina skutecznie tłumiała ból. *Nicole* porzuciła pierwotne zamiary i wrzasnęła:

– Wytrzymaj jeszcze trochę! Idę do ciebie!

– *Co?! Dokąd idziesz?!* – odkrzyknął z dołu, zagłuszany przez ujadające psy.

Zaciskając zęby, pokuśtykała do wyjścia. Zrzuciła ze stolika część książek, brudząc ich okładki krwią przesączającą się przez opatrunek na ręce. Odsuwając mebel od drzwi, uderzyła się o ranną nogę.

Ryknęła z bólu i upadła.

– *Nicole!* – wrzasnął zza okna Zack, słysząc jej krzyk.

Poczuła napływ sił, choć nie wiedziała, skąd się biorą. Przecież jeszcze przed chwilą bezradnie leżała na sofie. Z okrzykiem złości wstała i pewnie złapała klamkę.

Utykając, dotarła do schodów. Coś się nie zgadzało... Obróciwszy głowę, doznała szoku. Drzwi gabinetu *McCaina*, gdzie zamknęli czwartego psa, były

otwarte na oścież. Miała jedynie nadzieję, że zwierzę pobiegło na zewnątrz za resztą.

Zapaliła światło i z trwogą stanęła na pierwszym stopniu. Ze wszystkich sił chwyciła oburącz poręcz i bokiem zrobiła pierwszy krok. Poczowała, jakby nadepnęła na ładunek wybuchowy, a krew krążąca po kończynie zmieniła się w kwas. Zapieкло, jak jeszcze nigdy wcześniej. Mimo to się nie poddała. Nie zemdląca z bólu, więc uwierzyła, że uda jej się dotrzeć na sam dół.

Kolejny stopień i kolejny...

Wcześniej myślała, że trudniej nie będzie, ale w połowie długości schodów kwiliła z bólu. Co gorsza, nie mogła nawet głośno krzyknąć, gdyż natychmiast by się zdradziła. Zaciskała zęby, które dosłownie wrzynały się w dziąsła.

Kilka stopni przed końcem męki musiała zrobić przerwę. Nie była już w stanie ustać, a co dopiero iść. Usiadła. Używając rąk i zdrowej nogi, wolno się zsuwała, aż dotarła na parter. Jakie to było proste i mało bolesne w porównaniu ze zwykłym schodzeniem... Wyrzucała sobie, że wcześniej na to nie wpadła.

Gdy dotarła na parter, chwyciła się poręczy, wstała i szybko doszła do głównych drzwi. Z ulgą je zatrzasnęła. Natychmiast poczuła się bezpieczniej, choć przed oczyma wciąż miała otwarty gabinet McCaina.

Błyskawicznie przeanalizowała rozkład pomieszczeń. Weszła w ciemny korytarz i dopadła kłamkę ostatnich drzwi. Niestety, okazały się zamknięte. Uderzyła barkiem, lecz była za słaba, aby pokonać tę przeszkodę. Pogrzebacz został w bibliotece, a nie potrafiła sobie przypomnieć, gdzie Zack mógł położyć łom.

Wróciła się i sprawdziła wcześniejsze drzwi. Były otwarte. Wewnątrz stały zafoliowane meble. Ktoś zaczął i nie dokończył remontu. Odblokowała okno i uniosła jego dolną część. Odetchnęła, widząc partnera wciąż wiszącego na *linie*.

– Zack!

– Nicole, już dłużej nie dam rady! – Trzymał się tak mocno, że ręce mu ścierpły.

– Nie mogę się dostać do tamtego pokoju! Gdzie zostawiłeś łom?!

– Nie mam pojęcia! Pewnie gdzieś na górze!

– Przypomnij sobie!

– Nie wiem, do cholery!

Po kwadransie nerwowego ujadania ogary straciły nieco animuszu, choć wciąż krążyły w pobliżu *liny*, jakby wyczuwały, że ofiara traci siły. Jeden z psów zainteresował się nowym intruzem. Podbiegł pod okno, w którym stała Nicole i skoczył. Łapami uderzył o parapet. Niewiele zabrakło, żeby dostał się do środka.

– Wynoś się...

– Nie odbiję się od tego okna! Rama pękła!

– Rozhuśtaj się na boki!

– Nicole, nie mam już siły. – W głosie Zacka słychać było rezygnację.

– Chcesz zostawić mnie tu samą z tymi psami?! – krzyknęła z wyrzutem, chcąc go zmotywować.

Zack próbował rozruszać palce, które niemalże przykleiły się do zasłony. Bolało jak diabli, ale po chwili zaczął odzyskiwać w nich czucie. Pewniej oparł stopy na przedostatnim węźle. Podobnie jak wcześniej, najpierw zaczął pracować ciałem, a później już odbijał się nogami.

Psy wyraźnie się ożywiły i ponownie zainteresowały końcówką zasłony.

– Właśnie tak. Świetnie ci idzie...

Okna dzieliła spora odległość. Zack wiedział, że musi się opuścić, żeby w ogóle myśleć o przedostaniu się gdziekolwiek w bok. *Lina* była wystarczająco długa, więc pozwalała na odpowiednie odchylenie, ale im dalej od pionu, tym wyżej Zack się wraz z nią unosił. Szybko zrozumiał, że będzie potrzebował całej jej długości, aby rozhuścić się do sąsiedniego okna, a to oznaczało, że musiałby się opuścić na sam dół. Widząc poszarpaną końcówkę zasłony, przełknął ślinę.

– Nicole, to niewykonalne!

Bezsilnie opadła na parapet niczym zabawka, której wyczerpały się baterie. Załamana spuściła głowę. Wtedy kątem oka dostrzegła końcówkę drabiny.

– Poczekaj... Mam inny pomysł!

Słyszając te słowa, Zack odetchnął i przestał się odbijać.

Nicole zniknęła na chwilę. Drżąc z bólu, wróciła z aluminiową drabiną. Błyskawicznie wysunęła ją przez okno i oparła o dom. Górny szczebel sięgał powyżej parapetu. Niestety, jeden z psów natychmiast się nią zainteresował.

– Rzuć ją na ziemię, bo jeszcze po niej wejdą! – krzyknął Zack, wiedząc, co Nicole planuje.

Tak też zrobiła.

– Odciągnę je! Przygotuj się!

Zack wyłapał cichnący szelest – Nicole szła po foliach w stronę głównych drzwi. Zamknął oczy, prosząc niebiosa, o jeszcze trochę sił. Chwilę później usłyszał odległy krzyk Nicole. Dochodził sprzed domu.

Psy natychmiast pognały w stronę głównego wejścia. Nowa ofiara wydawała się znacznie bardziej intrygująca niż nieosiągalny cel.

Gdy tylko Nicole zobaczyła nadbiegające bestie, wrzasnęła na całe gardło:

– Teraz, Zack! – Zatrzasnęła drzwi i zaczęła uderzać w nie pięścią, aby przyciągnąć uwagę ogarów.

Zack ześlizgnął się po *linie* i spadł na ziemię jak wór z węglem. Wciąż słyszał uderzenia o drzwi i przytłumione krzyki Nicole, która próbowała utrzymać psy z dala od niego. Podniósł się, ale zupełnie nie czuł dłoni – były fioletowe z zimna i od ściskania *liny*. Wkrótce pojawiło się mrowienie zwiastujące napływ krwi.

Z trudem podniósł drabinę i oparł ją o parapet okna.

Słyszając zupełnie nowe, metaliczne odgłosy, zniesmaczone kolejną porażką przy drzwiach psy wróciły i zaatakowały z niesłabnącą ząartością.

Osiągnąwszy wysokość parapetu, Zack poczuł szarpnięcie za nogawkę. W tej samej chwili Nicole złapała go za rękę i pociągnęła z całej siły. Upadli na podłogę. Zack nieumyślnie przygniół partnerce ranną nogę.

Nicole wrzasnęła z bólu.

– Przepraszam cię, kochanie! Najmocniej przepraszam! Dziękuję!

Czułości przerwały dobiegające zza okna odgłosy uderzeń łap o metal.

Zack poderwał się i krzyknął:

– Spieprzaj stąd!

Pchnął z całej siły. Zwierzę zeskoczyło z przewracającej się drabiny, która dodatkowo uderzyła je w łeb. Ogar cicho zapiszczał, ale chwilę później znowu zaczął warczeć, szczerząc kły.

Zack zamknął okno i przyklęknął obok Nicole.

– Jesteś niesamowita! Dziękuję!

Uśmiechnęła się, próbując powstrzymać cisnące się do oczu łzy.

– Nie wiem, jak ci dziękować!

– Na początek pomóż mi wstać, bo za chwilę nawet tego nie będę w stanie zrobić.

Wsparła się na jego barkach.

- Uratowałaś mi życie... – Wciąż nie wierzył, że wyszedł z tego cało.
- Drobiazg – uśmiechnęła się. Prawdę powiedziawszy, to wcale nie był dla niej drobiazg. Pierwszy raz w życiu była w takim stanie, że myślała, iż zemdleje z bólu i to wielokrotnie w ciągu kilku minut.
- W takim razie został nam jeszcze ten w gabinecie.
- Nie.
- Jak to *nie*?!
- Drzwi były otwarte. Musiał uciec...
- Przysięgam, że je zatrzasnąłem – oznajmił pewnie Zack, ściągając brwi.
- Wiem, widziałam...
- Na zewnątrz biegały trzy, a przecież wcześniej widzieliśmy cztery. Gdzie podział się czwarty? Ile przybiegło, jak je zawołałaś?
- Chyba trzy... – Spojrzała na niego niepewnie, a zaraz potem jej wzrok padł na otwarte drzwi prowadzące na korytarz.

## ROZDZIAŁ 13

– Wynosimy się stąd i to zaraz – warknął Zack, zamykając ich w remontowanym pokoju. Obawiał się, że czwarty pies wciąż może im zagrażać. Gdy zapalił światło, Nicole natychmiast zareagowała:

– Zgaś je! Tu nie ma zasłon! Przecież ktoś może nas zobaczyć!

Nie odzywając się, rzucił jej łagodne spojrzenie.

– Nie byłeś nigdy w lesie? – kontynuowała. – W nocy pomiędzy drzewami światło jest widoczne z dużych odległości! Co z tego, że w dzień nie widać domu od strony bramy. Założę się, że teraz...

– Uspokój się... – przerwał jej wybuch hysterii. – Rozumiem, ale naprawdę mnie to nie interesuje. Powiem więcej... Mam nadzieję, że ktoś zauważy światło.

Westchnęła i spuściła głowę. Wciąż myślała, że jakoś uda im się stąd wymknąć. Tym bardziej teraz, gdy wreszcie poradzili sobie z psami.

– Musimy porządnie opatrzyć ci nogę. Poszukam jakiegoś telefonu i ładowarki, a przy okazji sprawdzę, gdzie polazło czwarte psisko. Dla jego dobra lepiej, żeby było na zewnątrz, razem z resztą. – Rozglądał się za czymś, co mogłoby posłużyć za broń. Na roboczym stole leżało mnóstwo przyborów malarskich, a także piła, wiertarka i szlifierka. Były też prostsze narzędzia, takie jak szcypce, młotek i śrubokręty, ale żadne nie dawało bezpiecznego zasięgu – tak bardzo istotnego przy starciu z agresywnym zwierzęciem.

Ostatecznie zabrał ze sobą metrowej długości pręt i młotek ciesielski, a także przemysłową latarkę. Założył grube gumowo-materiałowe rękawice, które leżały na kubie z białą farbą.

– Zamknij za mną.

Nicole była zła na Zacka. Przed chwilą uratował mu życie, a piętnaście minut później całkowicie ją ignorował. Ale czy mogła mieć mu za złe, że

martwi się o nią?

– Wypatruj tej zarazy przez okno. Daj znać, gdybyś przypadkiem doliczyła się czterech jednocześnie.

– Okej – odburknęła. – W kuchni dokładnie przejrzałam wszystkie wiszące szafki. Nie było w nich nic ciekawego, więc możesz je sobie darować. Reszty nie zdążyłam sprawdzić.

– Nie było w nich żadnych opatrunków?

– Nie... – Pokręciła głową. – Uważaj na siebie...

Gdy partner zniknął za domykającymi się drzwiami, natychmiast zgasiła światło.

Zack poczuł się jak wtedy, gdy pierwszy raz wszedł do domu przez okno. Wszędzie mogło czaić się niebezpieczeństwo. Kierował promień latarki w każdy zakamarek, gdyż palące się na schodach światło jedynie w niewielkim stopniu rozjaśniało potężny salon.

Pierwszych kilka kroków zrobił w całkowitej ciszy. Nasłuchiwał szczekania, warczenia, dyszenia, pomruków, stukotu łap. Jeszcze niedawno dom wypełniało ujadanie rozjuszonych psów, a teraz wydawał się opuszczony.

Drgnął, usłyszawszy stuk dochodzący z pomieszczenia, gdzie czekała Nicole. Ostatecznie zignorował ten dźwięk i ruszył dalej. Najpierw sprawdził główne i tylne wejście – upewnił się, że są zamknięte. Ufał Nicole, ale w tym szaleństwie nie trudno było o błąd. Wciąż nie mógł uwierzyć w poświęcenie, na jakie się dla niego zdobyła. To on miał ich uratować, a tymczasem ona uratowała jego.

Każdy kolejny krok stawiał coraz pewniej. Poczuł niewymowną ulgę, gdy zimne powietrze wlatujące do kuchni przez wybitą szybę owiało jego rozpalone ciało.

Gdy wyjrzał przez okno, zdrętwiał. Dostrzegł parę srebrnych ślepi. Jeden z ogarów stał nieruchomo nieopodal jałowców, w pobliżu garażu. Księżyc był niemalże w pełni i wreszcie przebił się przez chmury. Na zewnątrz było jaśniej niż w domu. Wychudzone psisko trwało w bezruchu jak zahipnotyzowane. Zack miał wrażenie, że zwierzę patrzy dokładnie na niego – jakby czuło, że niedoszła ofiara ukrywa się w kuchni. Przeszył go dreszcz, choć wiedział, że ogar nie mógł go widzieć.

Wreszcie pies zaczął zachowywać się jak zwyczajny kundel – spuścił łeb i obwąchał pobliski krzew. Obsikał go i pobiegł w stronę garażu. Kilka

sekund później coś zwróciło jego uwagę i pognał za dom.

– Cholerne psy... – bąknął pod nosem Zack i przykucnął przy najbliższej szafce.

– Zack!

Usłyszawszy krzyk Nicole, mocniej złapał młotek i wyskoczył na korytarz.

– Widziałam je! Wszystkie cztery są na dworze! Słyszysz?!

Dzięki Bogu, pomyślał i opuścił broń.

– Świetnie! Usiądź gdzieś i nie chodź niepotrzebnie! Zaraz do ciebie wracam!

Z ulgą odrzucił *broń* i zaczął szybciej przeszukiwać szafki. Tym razem poszło gładko. Już w trzeciej znalazł opatrunki i mnóstwo leków, których nazw nie kojarzył. Rzadko odwiedzał aptekę, a jeszcze rzadziej lekarza. Kilka specyfików widniejących z przodu wyglądało na całkiem nowe. Obok skrajnej szafki stał składany, plastikowy kosz. Wrzucił do niego wszystko, co mogło się przydać.

Wychodząc z kuchni, zorientował się, że zapomniał *broni*. Zostawił Nicole kosz i wrócił po młotek. Mimo wszystko miał złe przeczucia, więc raz jeszcze obszedł pokoje na parterze. Później pobieżnie sprawdził piętro. W wielu miejscach dostrzegł ślady krwi Nicole. Gdy wrócił na parter, partnerka nie czekała już w pokoju z foliami. Siedziała na sofie w salonie z wyprostowaną nogą. Przemywała ją wacikiem zwilżonym środkiem antyseptycznym.

Zack zaproponował, aby jeszcze raz spróbowała odciągnąć psy, a on w tym czasie przebiegłby do garażu, ale Nicole go ubłagała, by zaczekał z tym do rana. Nawet nie miał siły długo nalegać, gdyż obydwoje padali z nóg – byli przemarznięci, zmęczeni i obolali.

Usłyszawszy o wannie w łazience na piętrze i gorącej wodzie, Nicole się rozpromieniła, a jej oczy pojaśniały. Zack wykrzesał z siebie resztki sił i zaniósł partnerkę na górę. Gdy zobaczyła się w lustrze, zaniemówiła. Ubranie, a także twarz i włosy miała brudne od krwi.

Zack pomógł Nicole się rozebrać, zdjąć zakrwawione opatrunki i wejść do wanny. W zetknięciu z gorącą wodą podrażniona skóra i rany potwornie zapiekły, ale po chwili ciepło przyniosło nieopisaną ulgę. Pomyślała, że mogłaby tu zasnąć.

Mimo iż byli w obcym domu, do którego się włamali, pierwszy raz,



odkąd weszli na teren posiadłości, Nicole poczuła się względnie bezpiecznie.

Obok wanny Zack postawił kosz z lekami i opatrunkami.

– Wierzę, że znajdziesz tu wszystko, czego potrzebujesz.

– Dziękuję.

– Poradzisz sobie?

– Pewnie. Idziesz gdzieś?

– Poszukam tej przeklętej ładowarki i jakichś ubrań dla ciebie. Nie możesz wiecznie biegać bez spodni. Mnie posadzą za włamanie, a ty dostaniesz wyrok za ekshibicjonizm.

Uśmiechnęła się przyjaźnie i rzekła szczerze:

– Dziękuję. – Wiedziała, że on też ledwo żyje. Żadne ćwiczenia ani treningi nie mogły przygotować ich na to, co tutaj zastali.

– Tak sobie jeszcze pomyślałem, że może gdzieś znajdę telefon stacjonarny.

– Niewykluczone...

– Ale jeśli nie było go w gabinecie, kuchni, salonie ani w żadnym z korytarzy, to marne szanse, że w ogóle gdzieś będzie. To odludzie... Założę się, że korzystali tylko z komórek i internetu bezprzewodowego.

– Najlepiej, gdybyś znalazł moje spodnie i telefon.

– Może akurat... To rzeczywiście rozwiązałoby problem – przyznał szczerze, idąc w stronę drzwi. – Zostawię je uchylone. Krzycz, gdybyś czegoś potrzebowała.

– Jeszcze raz dziękuję... – rzekła ciepło.

– To ja dziękuję i... przepraszam cię za to wszystko. – Spuścił głowę. – Gdybym wiedział...

– Zack... Sama jestem sobie winna. Mogłam kategorycznie odmówić i nie przyjechałobyśmy tutaj. Cały czas zwałałam winę na ciebie, ale mnie też tu ciągnęło. Mam nauczkę...

– Mimo to... przepraszam.

\*

Po kilkunastominutowym odprężeniu Nicole zaczęła przekopywać się przez leki. Większość okazała się przeterminowana, ale w tej chwili nie to było najistotniejsze.

Ciągle wyłapywała dobiegające zza drzwi odgłosy – najwyraźniej Zack sprawdzał pokój po pokoju. Poważnie zastanawiała się nad ich kolejnym posunięciem. Przypomniała sobie, dlaczego tutaj przyjechali, ale nie miała zamiaru zostawać w tym miejscu ani chwili dłużej, niż będzie to konieczne – nie w obecnym stanie.

Cały czas miała cichą nadzieję, że psy wreszcie gdzieś znikną i będą mogli się stąd wynieść bez wzywania policji. Jeśli Zack opuścił się po zasłonach, aby ich ratować, była pewna, że rankiem, gdy odpoczną, przebiegnie do garażu i najnormalniej w świecie stąd odjadą.

Przygotowała opatrunki i wygodnie ułożyła się w wannie. Zaciskała zęby, delikatnie obmywając świeżo zasklepione rany. Niektóre ponownie zaczynały krwawić, barwiąc wodę na czerwono, lecz nie zważała na to. Próbowwała skierować myśli na inne tory. Zaczęła się zastanawiać nad dobrą wymówką – co powie sąsiadom i współpracowniczkom, gdy zobaczą ją posiniaczoną, kuśtykającą, z pociętą...

Drzwi zgrzytnęły.

Natychmiast obróciła głowę. Zack specjalnie ich nie domknął, aby usłyszeć ewentualne wezwanie. Chwilę nasłuchiwała, lecz wkrótce ponownie zamknęła oczy i zrelaksowała się dzięki kojącemu ciepłu.

Kolejny zgrzyt...

Nicole drgnęła. Czując zimne powietrze wpadające do łazienki, dostała gęsiej skórki. Z trwogą spojrzała w stronę drzwi i wstrzymała oddech.

– Kochanie?

\*

Zack przeszukiwał pobieżnie, gdyż na więcej nie miał siły, każdy otwarty pokój, na jaki się natknął. Pomiął jedynie bibliotekę, którą wcześniej dokładnie zbadał.

Przygotowując kąpiel dla Nicole, sam miał ochotę wejść do tej wanny. Najchętniej ułożyłby się teraz na sofie w salonie albo na olbrzymim łożu w głównej sypialni i zasnął. Czuł nadwyreżone mięśnie, a nogi powoli odmawiały mu posłuszeństwa. Podobnie jak Nicole, całkowicie zapomniał o pierwotnym zamiarze, z jakim tu przybyli, jednakże dopiero, gdy nieco uspokoił myśli, wziął sobie do serca ostrzeżenie partnerki w związku

z konsekwencjami wezwania pomocy. Zagrożenie minęło... Rzeczywiście wystarczyloby dostać się do garażu i spokojnie odjechać samochodem, pomyślał.

W którymś momencie po prostu przestał szukać. Opadł na krzesło w jadalni i zaczął analizować sytuację. Nicole twierdziła, że nie muszą się martwić umazanymi krwią ścianami, gdyż jej DNA nie widnieje w żadnej bazie, ale Zack bardziej sceptycznie podchodził do problemu. Sytuacja wyglądała jeszcze gorzej, gdyby ktoś znalazł telefon, który przepadł wraz ze spodniami. Był to ślad, po którym z łatwością można by ich namierzyć.

Po chwili beczynności uświadomił sobie, że przez dłuższy czas patrzy w jeden punkt na podłodze. Powieki mu opadały, a umysł całkowicie się wyłączył. Dał za wygraną – postanowił wrócić do Nicole.

Idąc schodami na piętro, dostrzegł otwarte na oścież drzwi łazienki i łunę światła wylewającą się na korytarz. Przystanął. Nie usłyszał plusków wody. Serce skoczyło mu do gardła, gdy łuna chwilowo przygasła. Ktoś chodził po łazience...

– Nicole!

Natychmiast zapomniał o zmęczeniu. Młotek... Zostawił go obok kosza z lekami. Pręt... Porzucony gdzieś w kuchni. Nie miał czasu do namysłu. Jedyne, co mogło mu dać przewagę, to atak z zaskoczenia. Wbiegł na górę i popędził do otwartych drzwi.

Niespodziewanie na korytarz wyjrzała Nicole owinięta jedynie w ręcznik. Widząc wybiegającego z cienia mężczyznę, przerażona wrzasnęła na całe gardło.

Próbując się zatrzymać, Zack poślizgnął się na dywanie. Stracił równowagę i padł jak długi.

– Zack... Co ty robisz? – Chciała przykucnąć, aby pomóc mu wstać, ale nie dała rady. Noga za bardzo ją bolała.

– Dlaczego sama wyszłaś z wanny?! – zapytał, wstając natychmiast. – Powiedziałem ci, że masz zawołać, jak skończysz!

Spojrzała na niego niepewnie.

– Wiem, że to zabrzmiało irracjonalnie, ale jestem pewna, że ktoś tu był.

Zack poczuł mrowienie ogarniające jego ciało.

– Tu, czyli gdzie?

– W domu... Na korytarzu... Tutaj, przy łazience...

Zack popatrzył z niepokojem na Nicole. Drżała. Ewidentnie coś ją

przeraziło. Mówiła prawdę. Zresztą, dlaczego miałyby kłamać...

– Wiem, że dużo dziś przeszliśmy i to wszystko...

– Zack... Nie zwariowałam. Gdy wyszedłeś, przymknąłeś drzwi. W którymś momencie skrzypnęły, jakby ktoś je pchnął, chcąc zajrzeć do środka.

– Przeciąg?

– Być może, ale miałam wrażenie, że ktoś tu jest. Myślałam, że to ty. Gdy odwróciłam głowę, wydawało mi się, że widzę zarys ramienia kogoś stojącego na korytarzu. Spuściłam wzrok, szukając ręcznika, a gdy spojrzałam ponownie, ręka zniknęła. Teraz ktoś otworzył drzwi i wtedy też.

– Kiedy?

– W gabinecie z trofeami... Przecież zamknąłeś tego psa w środku, do cholery!

– To było jedno wielkie szaleństwo. Sam mógł się wydostać.

– Nie zwariowałam – powtórzyła. – Wiem, że coś... kogoś widziałam. Jeżeli nie byłeś to ty...

Zack omiótł wzrokiem ciemny korytarz.

– ...to jest tu ktoś jeszcze – stwierdziła dosadnie, patrząc mu w oczy.

## ROZDZIAŁ 14

Pół godziny później siedzieli obok siebie na łóżku w jednej z sypialni i z trwogą wpatrywali się w zamknięte drzwi. Jeszcze długo rozmawiali o sytuacji w łazience. Zack się obawiał, że to wszystko przez stan Nicole – wycieńczenie i odniesione obrażenia. Aby ją uspokoić, postanowił pełnić wartę pod drzwiami.

Najpierw myśleli o przesunięciu tam łóżka – obydwójce mogliby pójść spać, ale mebel był połączony z masywnym wezłowiem przytwierdzonym do ściany i nawet nie drgnął.

Pozostało więc drugie rozwiązanie i tylko w założeniu wydawało się proste. Chwilę po tym, jak Zack usiadł na krześle pod drzwiami, tyłem do nich, zasnął – szybciej niż partnerka, która miała odpocząć w łóżku.

Obróciwszy się, Nicole spostrzegła, że Zack śpi.

– Ej...

Nawet nie otworzył oczu. Chrząknął jedynie i poprawił się. A zresztą, śpij, pomyślała sobie. Ostatecznie, gdyby ktoś spróbował wejść, musiałby go trącić.

Nicole była potwornie zmęczona i wszystko ją bolało – tak bardzo, że nawet nie potrafiła zasnąć. Leżała z zamkniętymi oczyma, ale sen nie nadchodził. Wiedziała, że ten dzień zapamięta do końca życia. Pomimo zażytych antybiotyków i końskiej dawki środków przeciwbólowych, wciąż odczuwała skutki pogryzienia, choć ból znacznie osłabł. Chwilami, gdy dłużej nie ruszała nogą, prawie całkowicie zniknął. Wystarczył jednak drobny skurcz mięśni i kończyna ponownie dawała o sobie znać.

Gdziekolwiek Nicole uciekała myślami, wciąż wracała do sytuacji w łazience. Zack początkowo się przejął, ale miała wrażenie, że nie potraktował sprawy zbyt poważnie. Czy mogła go winić? Z pewnością sama szukałaby rozsądnego wyjaśnienia, gdyby to jego dotyczyło. Ból, spora utrata

krwi i potworne zmęczenie każdemu mogły namieszać w głowie. Im dłużej zastanawiała się nad wszystkim, tym więcej miała wątpliwości.

Zanim zamknęli się w sypialni, Zack sprawdził jeszcze broń w gabinecie z trofeami. Tak jak przypuszczał, okazała się bezużyteczna. Wydobycie zabytkowych eksponatów z zabezpieczonej gabloty było proste – klucz leżał w szufladzie biurka – lecz Zack nigdzie nie znalazł ani jednego naboju.

\*

Opatrunki ponownie przesiąkły krwawo podbarwioną wydzieliną z ran.

Po bolesnym skurczu przyszedł kolejny – noga coraz częściej dawała o sobie znać i Nicole musiała zmienić pozycję.

Nie była pewna, ile czasu minęło od zażycia pierwszej porcji tabletek przeciwbólowych, ale czuła, że pora na kolejną. Nie chcąc zapalać światła, sięgnęła po przypadkową paczkę i włączyła latarkę. Jak każda kobieta, dobrze znała się na środkach przeciwbólowych, ale nazwa tych nic jej nie mówiła. Podarowała sobie lekturę ulotki, skupiając się na jednym z pierwszych akapitów: *Leczenie bólu o umiarkowanym i dużym nasileniu, szczególnie gdy inne leki przeciwbólowe okazały się nieskuteczne.*

Idealnie, pomyślała. Nie patrząc na dalsze zalecenia i ostrzeżenia, od razu wzięła dwie tabletki i popiła wodą. Dopóki nie zaczęły działać, próbowała skupić się na wszystkim, byle tylko nie myśleć o nodze. Przelatując wzrokiem po olbrzymiej sypialni, na kominku dostrzegła ciasno ustawione białe ramki ze zdjęciami. Już wcześniej ją zainteresowały.

Z grymasem bólu na twarzy podniosła się na łóżku i spuściła nogi na podłogę. Nie wiedziała, czy to dobry pomysł, ale postanowiła rozchodzić cierpnącą kończynę. Utykając, podeszła do kominka.

Część zdjęć była czarno-biała. Najstarsze zdążyły już pożółknąć i wyblaknąć. Niektóre miały ponadrywane krawędzie. Stanowiły swego rodzaju dokumentację z odbytych podróży – wykonano je w egzotycznych miejscach, jakie McCainowie odwiedzili. Na większości fotografii widniały co najmniej dwie te same osoby – prawdopodobnie był to Rod McCain z żoną – autor dzienników znalezionych w bibliotece. Często na zdjęciach pojawiał się także ich syn. Rodzinne eskapady musiały się odbywać regularnie, choć w sporych odstępach czasu – co najmniej rocznych, jeśli nie

dłuższych – gdyż na każdej kolejnej fotografii, patrząc od lewej, syn McCainów był coraz starszy.

Na skrajnym prawym zdjęciu ilość osób znacznie przewyższała średnią. Wykonano je na tle rezydencji. Przedstawiało wielopokoleniową rodzinę: mężczyznę w wieku około sześćdziesięciu lat, jego żonę, a także prawdopodobnie ich dorosłego syna ze swoją wybranką. Przed młodszą parą stali dwaj chłopcy obróceni bokiem. Fotografia była kolorowa, choć niewyraźna. Jej jakość oraz ubrania noszone przez osoby widoczne na zdjęciu sugerowały, że wykonano je w latach osiemdziesiątych. Przypuszczenia Nicole potwierdziła data na odwrocie – 1987 r. Szybko policzyła, że dziś chłopcy byliby gdzieś w jej wieku, może nieco starsi – mieliby po trzydzieści parę lat.

\*

Kwadrans po zażyciu tabletek Nicole poczuła wyraźną ulgę. Ból niemalże zniknął, a dodatkowo wpadła w stan błęgiego upojenia. Doznała nawet lekkich zawrotów głowy – otoczenie delikatnie falowało. Zaczęła się obawiać, czy przypadkiem nie połknęła jakiegoś narkotyku. Napiała się wody, po czym zwilżyła dłoń i przemyła twarz. Popatrzyła na kominek, a później na Zacka. Pomogło...

Wtedy zwróciła uwagę na zasłonę, która mimo wszystko delikatnie się poruszała i nie powodowały tego majaki ani zawroty głowy. Nie mogło też być mowy o krążeniu gorącego powietrza, gdyż ogrzewanie nie działało.

Ponownie wstała. Ten lek był niesamowity. Niemalże nie czuła już bólu, ale skupienie się na jakiejś czynności wymagało od niej o wiele więcej wysiłku niż zwykle. Z obawą dotknęła zasłony, jakby miał zza niej wyskoczyć jakiś potwór. Sprawdziła okno – było szczelnie zamknięte, a jednak nieopodal ściany poczuła delikatny powiew chłodniejszego powietrza. Stał tam zabytkowy parawan służący niegdyś jako przebieralnia. Obecnie spełniał raczej funkcję dekoracyjną.

Wróciła z latarką i oświetliła ścianę. Dostrzegła na niej niewielki wieszak na ubrania. Dopiero gdy przyjrzała się bliżej, zauważyła także ledwie widoczne szczeliny tworzące prostokąt wielkością zbliżony do drzwi. Gdy zrozumiała, że patrzy na ukryte w ścianie przejście, dostała gęsiej skórki.

– Zack...

Partner leniwie poprawił się na niewygodnym krześle i skończył w dokładnie tej samej pozycji.

Nicole wyraźnie czuła zimne powietrze wydostające się ze szczelin. Naparła na ścianę, ale ta ani drgnęła. Szarpnęła za wieszak, myśląc, że drzwi mogą otwierać się do wewnątrz sypialni. Ten delikatnie się obniżył, po czym wrócił do poprzedniej pozycji.

– A niech mnie...

Pociągnęła ponownie, tym razem w dół. Wieszak spełnił funkcję klamki, odblokowując przejście. Gdy Nicole otworzyła wtopione w ścianę drzwi, pęd zimnego powietrza jeszcze bardziej się wzmógł. Zdziwiła się, gdyż nie dostrzegła innego pomieszczenia, a jedynie sporą wnękę przypominającą zabudowaną szafę. Z wyczuciem ostukała ściany. Pusty dźwięk sugerował drewno. Pociągnęła pionowy uchwyt umieszczony z boku – jedyny element, który mógł czemuś służyć. Mechanizm głucho strzelił i zabezpieczenie zostało zwolnione.

Wnęka okazała się krótkim korytarzem prowadzącym do sąsiedniego pomieszczenia. Nicole pchnęła ciężki regał zamontowany na zawiasach i zgodnie z przewidywaniami trafiła do biblioteki.

W środku było przeraźliwie zimno. Nocny chłód wpadał otwartym oknem, przez które Zack wcześniej się opuścił. Nicole szybko wciągnęła linę z połączonych zasłon i domknęła okno. To samo zrobiła z drzwiami. Obok nich stał stolik, a na nim i na ziemi leżały książki – pamiątka po wyczerpującym dniu.

Wciąż miała obawy, że ktoś ich obserwuje, więc pchnęła mebel pod drzwi, zastawiając wejście. Z pewnością nie powstrzymałaby tym człowieka, ale zawsze to jakieś zabezpieczenie, pomyślała.

Zimno powodowało u niej dreszcze, więc postanowiła wrócić do sypialni. Wychodząc, dostrzegła stertę dzienników leżących na biurku. I tak nie potrafiła zasnąć... Zabrała je i opuściła bibliotekę.

Zamknawszy ukryte przejście, niepewnie rozejrzała się po sypialni. Zrozumiała, że nawet z Zackiem pod drzwiami wcale nie są tak bezpieczni, jak wcześniej sądzili. Zastanawiała się, ile podobnych niespodzianek kryje jeszcze ten dom.

Przy przejściu prowadzącym do biblioteki ustawiła pusty wysoki wazon – miał pełnić funkcję prowizorycznego alarmu, gdyby ktoś spróbował tędy



dostać się do sypialni.

Szarpnęła grubą kotarę, dokładnie zasłaniając okno. Włączyła lampkę na nocnym stoliku i wpełzła pod kołdrę. Poczowała przyjemne ciepło.

\*

Każdy dziennik stanowił dokumentację innej wyprawy. Były one opisane datami i nazwami jednego, a czasem nawet kilku państw. Nicole zaczęła od najstarszego, zatytułowanego: *BRAZYLIA 1952*. Szybko znużyły ją skrupulatne opisy przygotowań do podróży, obliczenia, odległości, poniesione koszty oraz lista niezbędnych rzeczy podzielonych na kilka kategorii. Określenia pedant i perfekcjonista w stosunku do Roda McCaina były wręcz obraźliwe. Facet miał bzika na punkcie organizacji. Z dwustu kartek brulionu czterdzieści siedem opisywało przygotowania, zaś ostatnich dwadzieścia wypełniono bilansami, a także wnioskami płynącymi z odbytej podróży. Miały posłużyć na przyszłość – aby jeszcze lepiej przygotować kolejną wyprawę.

Nicole przeskoczyła obszerny wstęp i zaczęła czytać na przypadkowej stronie, gdzieś w środku.

*Dzisiejszy dzień był tym, na który czekaliśmy. Po czterdziestu godzinach mordercy wreszcie przekroczyliśmy rzekę. Dwie mile na północny zachód od niej natknęliśmy się na tubylców. To odłam indiańskiego plemienia Pano. Nasz tłumacz, Itamar, porozumiał się z ich wodzem. Początkowo zachowanie Indian było zdecydowanie wrogie. Ich wódz nazywa się Wężowa Ręka. Jedną rękę ma dłuższą od drugiej. Po ciężkich negocjacjach zgodził się nam pomóc. Powiedział, że za odpowiednią opłatą jego ludzie zaprowadzą nas do Caragazy. Nazwę tę Itamar przełożył na Vale de Morte – Dolina Śmierci. To właśnie tam mieliśmy znaleźć największe węże świata. Za tę usługę zapłaciliśmy perłowymi koralami Elizabeth, które od samego początku kusily tubylców. Wódz natychmiast je założył. Podróż miała potrwać dwa dni. Zmierzchało, więc zostaliśmy zmuszeni do przenocowania w wiosce. Nie jestem z tego powodu zadowolony.*

Nicole przewróciła kartkę.

*Poranek zaskoczył nas oberwaniem chmury i zniknięciem dwóch tragarzy razem z częścią ekwipunku. Najbardziej ubolewam nad stratą dwóch strzelb i dwóch paczek amunicji. W tym miejscu każda kula może okazać się cenna. Po porannej rozmowie z Itamarem moje obawy związane z tym miejscem i naszym położeniem jeszcze bardziej się nasiliły. Kanibalizm wśród niektórych indiańskich plemion niegdyś był praktykowany, choć dziś na tym terenie należy już do rzadkości. Zniknięcie dobrze opłaconych tragarzy dało mi do myślenia. Szybko zwinęliśmy obóz. Podziękowaliśmy Wężowej Ręce za pomoc. Nie chciałem brać ze sobą ich człowieka, który w każdej chwili mógłby nas zdradzić albo zaprowadzić w pułapkę. Powiedziałem im, że rezygnujemy i wracamy do domu. Wężowa Ręka nie krył rozczarowania sytuacją, traktując naszą odmowę pomocy jako obrazę. Rozstaliśmy się w napiętej atmosferze. Na szczęście nikt nie ucierpiał. Skończyło się na kilku ostrzegawczych strzałach w powietrze. Elizabeth nie odzyskała pereł.*

*Wiedza i doświadczenie Itamara po raz kolejny uratowały nam życie. Teraz już wiem, dlaczego zażądał za swe usługi pięć razy więcej niż inni przewodnicy. Godzinę drogi na północ od wioski natknęliśmy się na kamienny ołtarz. Nie potrafię opisać okropności, jakie zobaczyliśmy. Ten obraz na zawsze pozostanie w mej pamięci. Najbardziej ubolewam, że wszystko widziała także Elizabeth. Moje zapewnienia o bezpieczeństwie, jakie padły przed wyprawą, stają się coraz bardziej bezwartościowe. Elizabeth to silna kobieta i nie wyobrażam sobie życia bez niej, lecz z każdym dniem widzę w jej oczach coraz większą niepewność. Niestety, ja również ją czuję.*

Nicole przewertowała kilka stron.

*Opuściliśmy teren indiańskiego plemienia i szlak zniknął. Na oślep przedzieramy się przez najbardziej niedostępny gąszcz, z jakim kiedykolwiek miałem do czynienia. Wszyscy są wyczerpani i poranieni*

*od ostrej roślinności. Zmieniamy się z przodu, ale mam wrażenie, że każde następne machnięcie maczetą będzie moim ostatnim. Zaczynam wątpić, czy dobrze przygotowaliśmy się do tej wyprawy. Dziś pokonaliśmy zaledwie połowę z zaplanowanej na ten dzień drogi, a licząc łącznie, mamy już trzy dni opóźnienia. Itamar wciąż zapewnia, że takie warunki w amazońskiej dżicy to norma, ale nawet w jego oczach dostrzegam zwątpienie. Coraz częściej nurtuje mnie pytanie, czy Itamar by się przyznał, gdyby zabłądził...*

Nicole szybko przeleciała wzrokiem dwie kartki, na których Rod McCain obwinia się za złe przygotowanie wyprawy, błędne decyzje i narażenie żony na niebezpieczeństwo. Były to niewiele wnoszące filozoficzne wywody. Wkrótce ponownie trafiła na interesujący fragment.

*Elizabeth czuje się dobrze, choć jej poranne mdłości napawają nas niepokojem. Chęć ujżenia najdłuższego węża świata jest dla mnie niczym, w porównaniu z możliwością zobaczenia mego syna lub córki. Po szczerzej rozmowie z Elizabeth postanowiliśmy kontynuować wyprawę, choć jej cel zaczął być dla mnie ciężarem, który dodatkowo muszę nieść w tych katorżniczych warunkach. Obyśmy nie podjęli złej decyzji...*

*Od dwóch dni odnoszę nieodparte wrażenie, że chodzimy w kółko. Jak duża może być dżungla? Wydaje się, że pustynia nie ma końca... To miejsce jest znacznie gorsze. Daje ci nadzieję, że za kolejnym drzewem zobaczysz cel, a tymczasem śmieje ci się w twarz, zapraszając za następne drzewo... i następne... i następne...*

*Jestem po rozmowie z Itamarem. Dajemy sobie jeszcze tydzień na odnalezienie miejsca, w którym mój dziadek widział piętnastometrową anakondę. Jak bardzo żałuję, że nie zachował się żaden dziennik z tej podróży. Dziadek omal nie przypłacił wyprawy życiem. Pamiętam, gdy mi o niej opowiadał. W ekspedycji wzięło udział dwudziestu ludzi, a przeżyło zaledwie jedenastu. W drodze powrotnej zostali zmuszeni do porzucenia większości sprzętu. Każda noc była walką*

o przetrwanie. Wycieńczeni do granic możliwości dotarli do wioski Indian. Na szczęście ci okazali się bardziej przyjaźni od tych, z którymi my mieliśmy do czynienia. Dziadek opowiadał o dzungli, która zaczęła na nich polować. Czy taki sam los czeka także nas? A może jeszcze gorszy...

Czyżby... Dotarliśmy do rozlewiska poprzerastanego drzewami. Jeden z tragarzy zauważył coś w wodzie. To coś było ogromne i zniknęło równie szybko, jak się pojawiło. Zmierzcha. Musimy rozbić obóz. Być może zostaniemy tu dzień lub dwa, gdyż nie widzę sposobu, aby ominąć te grzędzawiska. Z pewnością powstały na skutek obfitych opadów, jakie towarzyszyły nam w ciągu ostatnich kilku dni.

Przerazają mnie roje atakujących nas owadów. Wszyscy jesteśmy pogryzieni. Wyjście nocą poza namiot staje się niebezpieczne. Zawsząd do naszych uszu dobiega dzikość tego miejsca. Noc przeraża nawet Itamara. Broń, którą zazwyczaj opierał o drzewo lub kładł obok siebie, teraz tuli do piersi.

Widziałem to! Widziałem! Bóg mi świadkiem! Elizabeth też to widziała! Itamar i nasi ludzie również! Niestety, nie zdążyłem zrobić zdjęcia. Jakże żałuję... Olbrzymia anakonda przepłynęła kilka kroków od nas. Gdy zobaczyłem jej łeb, zastygłem w bezruchu. Mogłaby mnie połknąć i wciąż byłbym szczęśliwy. Nagle skręciła, jakby mijając coś pod wodą. Łeb zniknął, ale ciało dalej płynęło i płynęło, choć miałem wrażenie, że się nie porusza. Wkrótce jednak zaczęło się zwężać, aż ostatecznie zniknęło pod wodą. Nie mieliśmy możliwości dokonać pomiaru, ale zgodnie przypuszczamy, że miała ponad dziesięć metrów. Choć sceptycy szydzili z mego dziadka, ja zawsze wierzyłem, że gdzieś na tym terenie udało mu się dojrzeć osobnika mierzącego ponad piętnaście metrów. Znajomi uznali historię dziadka za przechwałki, ale dziś to on jest górą, choć nie ma go już wśród nas. Ten dzień dedykuję Tobie, dziadku, i memu nienarodzonemu dziecku. Jeżeli będzie to chłopiec, otrzyma Twoje imię... Tom McCain.

*Dotarcie do głównego odnóża Amazonki zajęło nam pięć dni, a budowa łodzi kolejne dwa. Jeden z tragarzy uraczył mnie dziś niesamowitym prezentem. Przyniósł ośmiometrową wylinkę. Miała tak dużą średnicę, że bez problemu mógłbym się w nią wślizgnąć. Nie była kompletna, więc mogę jedynie przypuszczać, jak ogromna bestia...*

Nicole drgnęła. Z zaczytania wyrwał ją podejrzany stuk dochodzący gdzieś z góry. Pod wysokim dachem z pewnością krył się strych. Nie przypominała sobie, żeby natknęli się na wejście prowadzące na górę, choć niektóre drzwi były zamknięte na klucz. Z drugiej strony... Nie miała najmniejszego zamiaru tam wchodzić.

Odgłos nie pojawił się ponownie, więc wróciła do lektury dziennika.

– A niech to... – Zack się przebudził, gdy o mały włos nie spadł z krzesła. Był nieco oszołomiony widokiem Nicole, która nie spała. – Wszystko dobrze?

– Tak...

Zdziwił się, widząc w jej dłoni dziennik. Przypomniał sobie, że podobne znaleźli w bibliotece.

– Skąd go wzięłaś?

## ROZDZIAŁ 15

Gdy Nicole otworzyła oczy, Zack był już na nogach. Trwał przy uchylonym oknie, wypatrując psów.

Na zewnątrz potwornie wiało. Co chwilę słyszeli, jak gałęzie drzew szurają po dachu i ocierają się o fasadę budynku.

– Teraz już wiem, co w nocy tak stuknęło – oznajmiła Nicole.

Zack spojrzał na nią pytająco.

– Stuknęło?

– Jakby na strychu coś się przewróciło. Pewnie jakaś gałąź spadła na dach. – Z trudem się podniosła. Wzięła kolejną dawkę środków przeciwbólowych. Przez tych kilka godzin snu noga bardzo spuchła. Nicole czuła, jakby tkwiły w niej igły. Okolice ran mocno się zaczerwieniły, a miejscowo także posiniały. – Widziałeś psy?

– Na szczęście nie, ale przez ten przeklęty wiatr w ogóle mało co słysząc. Mam nadzieję, że zaszyły się gdzieś i śpią po tej cholernej nocy.

– Wiatr zagłuszy też odgłosy wydawane przez nas – zauważyła Nicole.

– To fakt. Do garażu jest kawałek. Damy radę... W sensie... ja dam radę. Uruchomię samochód i podjadę od tyłu.

Nicole przełknęła ślinę. Obawiała się, że odgłos silnika może zwabić zwierzęta i nie będzie miała zbyt dużo czasu, aby zejść po schodach.

– A mógłbyś podjechać pod główne drzwi?

– Myślałem o tym, ale tam są te dwa wysokie schodki. Nie ma szans, żebym wjechał na taras. Jeszcze coś urwę. Stanę przy tylnym wejściu. Samochodem zdołam je zablokować.

– Dam wtedy radę otworzyć drzwi? A jeśli psy przeskoczą wóz? – Nicole miała sporo wątpliwości.

– Będzie dobrze...

Na krześle leżało przygotowane dla niej ubranie – spodnie i gruby płaszcz. Z pewnością należały do właściciela. Najwyraźniej McCain dawno ich nie zakładał, ani nawet nie wyjmował z szafy – były zakurzone i dało się od nich wyczuć stęchliznę.

– Nie zapomnij o rękawicach – rzuciła Nicole.

– Pamiętam, pamiętam... Wezmę te robocze, z dołu. Są znacznie grubsze od zwykłych.

– Powiedz, gdy będziesz gotowy.

– Już jestem i nie zamierzam zostać tu ani chwili dłużej. Załóż to, jest cholernie zimno. – Podał jej ubrania.

W za dużych męskich spodniach i w płaszczu sięgającym stóp Nicole wyglądała komicznie. Zack nie mógł się powstrzymać i parsknął śmiechem.

– No co? Sam mi to dałeś!

– Dobra, zmywajmy się stąd.

– Może przejdę z tobą do garażu?

– W żadnym wypadku! – zareagował ostro. – Zaczekasz w środku, dopóki nie podjadę. Wypatruj psów. Jeżeli je zobaczysz, ani się waż wychodzić z domu. Coś wymyślę...

– To może wymyślmy to coś teraz...

– Nie wiem... Pewnie będę jeździł w kółko, dopóki nie opadną z sił.

– Albo nie skończy ci się paliwo.

– Mowy nie ma... Będzie jeszcze co najmniej połowa baku. Jeżeli ich nie zgubię, to je rozjadę. Wszystko mi już jedno. Tak czy owak, dam ci odpowiednio dużo czasu, żebyś doszła do samochodu.

– A co z bramą?

– O niej też już myślałem. Podjadę od twojej strony i odblokujemy siłownik. W garażu widziałem łańcuch. Zaczepimy go o bramę i odjedziemy kawałek, otwierając skrzydło. Wszystko da się zrobić z samochodu. Oczywiście wciąż zakładam najczarniejszy scenariusz, że psy za nami popędzą. Nie ukrywam, że wolałbym spokojniej przeżyć ten ranek. Wszystko zależy od okoliczności... Tak naprawdę, jeśli dobiegnę do garażu i nie zginę, będziemy wolni – oznajmił pewnie, biorąc drugi płaszcz.

– Przestań gadać głupoty...

Gdy Zack skończył zakładać ubrania, wyglądał równie komicznie jak Nicole. Miał na sobie po trzy warstwy każdej wierzchniej części garderoby. Na to wszystko narzucił dwa płaszcze – wierzył, że nawet jeśli zostanie

zaatakowany, kły nie przebija tak grubego *pancerza*. Właściciel ubrań musiał być podobnego wzrostu, aczkolwiek nieco bardziej przy kości – to znacznie ułatwiło założenie na siebie tych wszystkich rzeczy. To samo dotyczyło spodni, choć ostatnią parę Zack z trudem na siebie naciągnął. Zsuwały się przy każdym ruchu, ale pasek z potężną klamrą załatwił sprawę.

– Najbardziej obawiam się tego, że odgłos silnika zwabi psy – powiedziała Nicole.

– Nie gdybajmy...

\*

Porywisty wiatr szybko огоłacał korony drzew z pożółkłych liści.

Nicole stała w kuchni przy wybitym oknie i próbowała się rozgrzać. Wreszcie skinęła głową, dając znak, którego Zack poważnie się obawiał. Gdy dotknął klamki tylnych drzwi, serce waliło mu jak młotem. Ścisnął mocniej rękojeść kuchennego noża – największego, jaki znalazł. Wziął głęboki oddech i opuścił bezpieczną przestrzeń. Zszedł po schodach i dokładnie się rozejrzał. Pomimo sporego obciążenia i utrudnionych ruchów, wystartował jak sprinter i popędził przez podwórze, jakby brał udział w finale stu metrów.

– Dalej, dalej, dalej... – Nicole trzymała kciuki, jednocześnie ogrzewając zmarznięte dłonie wydychanym powietrzem. Gdy partner zniknął za parkanem z jałowców, poczuła ulgę.

Zack nacisnął klamkę, ale drzwi ani drgnęły.

– Co jest?! – Zaczął w nie kopać, za wszelką cenę próbując dostać się do środka. Z przerażeniem zerkał na las, czy nie nadbiegają psy.

\*

Z trwogą patrząc przez okno, Nicole usłyszała głośne uderzenia. Wiedziała już, że coś poszło nie tak. Nagle łomot ucichł. Z zapartym tchem obserwowała teren przed niewysokim budynkiem skrytym za zielonym parkanem. Zack nie wracał, więc musiało mu się udać.

Uradowana dostrzegła unoszącą się lewą bramę. Poczuła niewymowną ulgę i uśmiech zagościł na jej twarzy. Teraz wystarczyło czekać na



zbawienny odgłos zapuszczanego samochodu. Takowego jednak nie usłyszała... Zastąpiła go ledwie słyszalna salwa przekleństw.

Podenerwowana wychyliła się przez okno, próbując cokolwiek dostrzec lub usłyszeć. Miała wrażenie, że przez ułamek sekundy widziała głowę Zacka krzątającego się po garażu. Zaraz potem brama opadła ze złowrogim zgrzytem.

\*

Zack wyrzucił z siebie trzecią już wiązkę soczystych przekleństw – najgorszych, jakie znał. Trzasnął klapą maski samochodu tak mocno, że coś pękło. Oparł ręce na biodrach i zaczął intensywnie myśleć. Ostatecznie wyjrzał przez boczne drzwi i ryknął:

– Nicole?!

– *Tak?!*

– Coś przegryzło przewody! Spróbuję to naprawić, ale potrzebuję czasu!

– *Dobrze! Uważaj na siebie!*

– Idź się położyć! To potrwa!

\*

Na początku Nicole ani się śniło odpoczywać, ale po półgodzinnym trwaniu przy oknie skapitulowała. Pomimo narzuconego na ramiona płaszcza, przemarzła do szpiku kości. Już miała pójść do sypialni, gdy usłyszała mrozący krew w żyłach dźwięk – ujadanie psa. W tej samej chwili zobaczyła Zacka pędzącego na złamanie karku w stronę domu. Psisko już go wypatrzyło. Natychmiast zapomniała o przejmującym zimnie, odpoczynku i rannej nodze. Podbiegła do drzwi.

Gdy partner wpadł do kuchni, bydlę było już na schodach. W tym szaleństwie Zack stracił równowagę, potykając się o ostatni schodek. Zdołał jedynie pchnąć drzwi, ale nie udało mu się ich zatrzaskać. Uderzyły nadbiegającego ogara w pysk i odskoczyły. Na szczęście Nicole była, gdzie być powinna. Domknęła je i przekręciła klucz.

– Chryste... – jęknęła.

– Pieprzone psy! Słowo daję, jakbym miał strzelbę, a właściwie naboje,

wszystkie poszłyby do piachu – wycedził przez zęby, podnosząc się z podłogi.

– Co z samochodem?

– Możemy o nim zapomnieć... Wszystko diabli wzięli!

– Dlaczego?!

– Myślałem, że coś wskóram, ale... Ogólnie możemy o nim zapomnieć – powtórzył poirytowany, siadając na taborecie. Ciężko sapał. – Jakby wszystko sprzysięgło się przeciwko nam... Myślałem, że to kwestia przegryzionych kabli, że coś się do nich dobrało... No to biorę nożyk, usuwam izolację i zaczynam się bawić. – Wymownie gestykulował. – Wszystko szło gładko, dopóki nie zauważyłem, że brakuje sporego fragmentu kabla przy akumulatorze. Praktycznie został sam zacisk. Gdy zacząłem zastanawiać się nad rozwiązaniem tego problemu, zauważyłem kolejny. Śmierdziało benzyną. Szybko zrozumiałem, dlaczego. Brakowało kawałka przewodu paliwowego. Coś urządziło sobie niezłą wyzerkę. Zresztą... Nie wiem, czemu się dziwię. Gdzie nie spojrzysz, jedna, wielka dzicz. – Ze złością zdjął rękawice i zbędne odzienie, po czym cisnął wszystkim w kąt i poszedł do łazienki.

Brudnymi rękami oparł się o umywalkę i spojrzał w lustro. Wyglądał koszmarnie – jakby nie spał od kilku dni. Umył ręce i twarz, ale niewiele to zmieniło. Gdy wyszedł, Nicole czekała na niego pod drzwiami. Nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

– Wiem, że *będzie dobrze* to oklepane stwierdzenie, ale... żyjemy, a te bydlaki są na zewnątrz. Możemy pomyśleć nad innym rozwiązaniem.

– Przepraszam... – Spuścił głowę. Po prostu nie potrafił przegrywać. Nigdy wcześniej mu się to nie przytrafiło, a przynajmniej nie w takim stopniu – na każdym froncie.

Nicole objęła go i powiedziała:

– Wszystko będzie... – Nagle zaniemówiła.

Zack natychmiast dostrzegł zmianę w jej zachowaniu. Odsunął się i popatrzył w zielone oczy, które spoglądały gdzieś za niego.

– Podnosiłeś *Darwina*? – zapytała łamiącym się głosem.

– Co?

– Podniosłeś tę figurę?

Zmarszczył brwi i obrócił głowę. Szybko zrozumiał, o co pytała. Chodziło jej o woskową figurę, którą poprzedniego dnia zastali leżącą na

podłodze. Teraz stała nieopodal kolumny, jak gdyby nigdy nic.

## ROZDZIAŁ 16

– To jakiś obłąd... – stwierdził Zack i pomógł Nicole przejść do kuchni, gdzie uzbroili się w noże. Niestety, największy został w garażu.

– Myślisz, że ktoś specjalnie nas tu sprowadził? – zapytała przerażona, widząc strach w oczach partnera.

– Na to wygląda – odparł cicho. Wypatrując psów, próbował znaleźć jakieś racjonalne wyjaśnienie. Nagle zastygł w bezruchu, a zaraz potem zaczął przeglądać wszystkie zakamarki.

– Co robisz?

– Szukam kamer...

– Czego?

– Kamer... Monitoringu...

– Wewnątrz domu?

– Tak.

– Ale... dlaczego?

– Ktoś się z nami bawi...

– Masz na myśli samochód?

– Też... Ten ktoś doskonale wiedział, że poradzimy sobie z przegryzionymi kablami, więc postanowił jeszcze bardziej uprzykrzyć nam życie. Przegryzione kable to jedno, ale znikające fragmenty przewodów, to co innego.

– Nawet gdyby w domu były kamery, to te przy bramie nie działały.

– No właśnie... To miało nas zwieść. Wszystko zaczyna pasować, Nicole. Jeśli kamery przy bramie działałyby, pewnie nie mielibyśmy odwagi wejść do środka. Chcesz znać moje zdanie na temat samochodu? Nie sądzę, żeby w zamkniętym garażu coś zeżarto połowę auta. Fakt... Ciepły silnik mógł zwabić zwierzę, ale ze względu na okoliczności ta teoria jest cholernie naciągana, nie sądzisz?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, a bała się przytaknąć.

– Kable i przewód... Otwarty gabinet... Brak naboju do strzelb... Psy zjawiające się jak na komendę... Wytłumacz mi, dlaczego nie przywitały nas na dzień dobry wczoraj przy bramie? Dlaczego nie zaatakowały kuriera?

– Mój Boże... – szepnęła.

– Otóż to... Nie wiem, co tu się dzieje, ale jednego jestem pewien. Musimy stąd uciekać i to jak najszybciej.

– Pamiętasz, jak ci mówiłam, o tym hałasie w nocy? Myślałam, że to gałąź, ale teraz... Rano wiało znacznie mocniej niż w nocy. Na ziemi leży mnóstwo mniejszych i większych gałęzi, a mimo to słyszałam tylko ten jeden stuk. Powinnam ich wyłapać więcej... Znacznie więcej...

Zack w momencie przestał sprawdzać szafki.

– Ten chory sukinsyn czai się na strychu... – oznajmił z przekonaniem. – Wczoraj mówiłaś, że ktoś cię podglądał, jak brałaś kąpiel. W tym czasie byłem na dole. Nie mogłem uciec schodami na parter, bo bym go spotkał.

Potaknęła, ale po głowie chodziła jej jeszcze jedna myśl.

– A jeżeli...

– Co?

– A jeżeli to nie McCain, tylko ktoś, kto przybył tu z takim samym zamiarem jak my? To rozszarpane ciało... Mogło być ich dwóch. Jeden przeżył, ale ukrył się w domu. Włamując się, wypłoszyliśmy go na strych.

Zack zastanowił się nad tym przez chwilę.

– Możliwe, ale wątpię... Po cholere stawiąby tę figurę i wypuszczają psa?

– Żeby nas przestraszyć...

– W sumie... Kto wie... – Zack coraz intensywniej myślał nad tym scenariuszem wydarzeń. Ostatecznie dopasował fragmenty układanki. – Włamali się. Chcieli splądrować dom, a gdy uciekali, pojawiły się psy. Tyle tylko, że nigdzie nie widzieliśmy śladów włamania.

– Zack... – Nicole pobladła i zaczęła szybciej oddychać. – A jeśli oni też dostali taki sam list? Mój Boże... Klucz w tylnych drzwiach. Pamiętasz? Myśleliśmy, że ktoś przypadkiem zostawił go w zamku.

– Chryste... Naprawdę możesz mieć rację. Ale jakim cudem ten ktoś wiedział, że list do nas trafi? Że pójde do tej skrzynki i zabiorę pocztę...

– Nie wiedział – odparła Nicole, łącząc kolejne fakty. – List miał trafić do naszego sąsiada... Facet nie miał pracy ani pieniędzy. Z pewnością zainteresowałyby się czymś brzęczącym w kopercie.

- Tak jak my... Tak jak ja...
- To była pułapka na Athertona.

\*

– Nie... Wybacz, ale to bez sensu. Po co McCain miały wabić tutaj ludzi?

Nicole spojrzała wymownie na Zacka.

– Krzyczałeś za listonoszem, który nawet się nie odwrócił. Zastanów się nad tym... To niemożliwe, że na naszej ulicy miał do dostarczenia tylko jeden list. To mógł być on...

– Kto?

– McCain...

Zack niepewnie rozejrzał się po domu.

– Jeżeli McCain tak dobrze wszystko zaplanował, to dlaczego miały dostarczyć list facetowi, który nie żyje? Pełna skrzynka o czymś świadczy...

– Równie dobrze Atherton mógł gdzieś wyjechać. Chociażby do rodziny – stwierdziła pewnie Nicole. – Przeraza mnie coś jeszcze...

– Mianowicie?

– Nie znoszę pajaków. Co znaleźliśmy na pierwszym miejscu?

– Cholerne pajaki, rozbite terraria i... O mój Boże...

– Co?

Zack westchnął.

– Ta skrzynia przed drzwiami... Przepraszam cię, ale... gdy się rozdzieliliśmy, otworzyłem ją. W środku były słoje z pajakami.

Nicole poczuła ciarki na samą myśl o tych stworzeniach.

– A więc McCain był pewien, że jeśli się tu włamaliśmy, to także ją otworzymy. Założył, że przy tym będę... Skrzynię z drugiego końca świata dostarczono pod same drzwi chwilę po tym, jak weszliśmy do tego przeklętego domu.

– Robi z nami, co mu się podoba... – stwierdził Zack. – A ja uwierzyłem facetowi, że dostał klucz do bramy posiadłości wartej miliony dolarów. Idiota ze mnie...

– Nie wiń się. Słyszałam, jak rozmawialiście. Brzmiał cholernie przekonująco.

– Myślę nawet, że to mógł być McCain we własnej osobie – zgadywał Zack.

– To możliwe – potwierdziła Nicole.

– Założę się, że ten czubek chciał nam spojrzeć w oczy, zanim zaczął swoją grę.

– Pamiętasz, jak wyglądał?

– Mniej więcej...

– W sypialni na kominku są zdjęcia McCainów. Możemy porównać.

– Dobry pomysł!

Po chwili ciszy Nicole pokręciła głową, śmiejąc się z ich naiwności.

– Zack... To były jego pająki.

Partner niepewnie na nią spjrzał, żądając dalszych wyjaśnień.

– Rozbite terraria... Zniszczył je, nadając wszystkiemu smaczku i prawdziwości, a pająki spakował do skrzyni.

Zack długo nad tym myślał, po czym powiedział:

– Ale to by oznaczało, że ten list rzeczywiście nie trafił do nas przypadkiem. Przecież McCain nie mógł mieć pewności, że tak się stanie.

– Masz rację... Coś przeoczyliśmy...

– I chyba już wiem, co... Atherton musiał cierpieć na taką samą fobię.

– To wcale nie niemożliwe – przyznała. – Kiedyś sporo o niej czytałam. Nawet myślałam, żeby poddać się terapii. Co dziesiąta osoba panicznie boi się pajaków, a cztery na pięć nie wezmą nawet małego na rękę. McCain miał po prostu trochę szczęścia.

– Przygotował to wszystko dla Athertona. Nasz sąsiad był podobnego wzrostu co ja. Po prostu McCain myślał, że facet otworzył list, dał się nabrać i przyjechał z partnerką.

– Ale dlaczego...

– Chyba że... Nie, to niemożliwe.

– Czy jest coś jeszcze, o czym powinnam wiedzieć? – zapytała Nicole tonem oficera policji przesłuchującego podejrzanego.

Zack wyraźnie bił się z myślami.

Nicole nie miała pojęcia, o co może mu chodzić, ale jego mina i milczenie nie zapowiadały niczego dobrego. Wreszcie się przemógł:

– Jako nieletni zostałem przyłapany na kradzieży – wydusił z siebie.

– Co?!

– Dostałem kuratora, ale przysięgam, że od tego momentu jestem

świętszy od papieża. Gdy matka się dowiedziała, o mało nie dostała zawału. Włamywałem się do domów sąsiadów. Pierwszy, drugi, piąty... Wtedy jeszcze nie było serialu *CSI*, więc musiałem przeczytać od cholery książek, zanim zrozumiałem, jak działają śledczy i jakimi metodami dysponują.

Nicole nie wiedziała, co powiedzieć.

– Skończyło się po kilku miesiącach. Trzynaste włamanie... Wtedy myślałem, że pechowe, ale tak naprawdę uśmiechnęło się do mnie szczęście. Wszystko wyszło na jaw i miałem czas zmadrzeć.

– Jak cię namierzyli?

– Któregoś dnia policja po prostu zapukała do drzwi. Oficer miał w ręce nakaz przeszukania. Wystawili go na podstawie książek, które wypożyczałem, a także tego, że nasz dom był jednym z ostatnich na ulicy, do którego się nie włamałem. Wiedzieli, że szukają kogoś mieszkającego na osiedlu. Znaleźli w moim pokoju kilka *pamiątek*. W żadnej książce nie napisali, żeby dowodów nie trzymać w domu. Byłem dumny z włamań i musiałem je jakoś... *dokumentować*. – Westchnął. – Matka się rozpłakała, a ojciec zaczął mnie lać. Gdyby nie policjant, nie wiem, jakby się to skończyło.

– Przykro mi...

– Niepotrzebnie... Zapłaciłem za głupotę.

– Sądzisz, że McCain o tym wszystkim wiedział i... specjalnie dostarczył pocztę do domu, obok którego zamieszkałeś? Setka osób mogła skraść ten list. Mógł nawet zaginąć... Poczta dosłownie wysypywała się ze skrzynki.

– Nie wiem. McCainowi wystarczyłby znajomy w policji i miałby wgląd w moją kartotekę – dywagował Zack. – Załóżmy tylko, że mam rację i ten list rzeczywiście miał do nas trafić. Pojawia się kolejne pytanie... Skąd McCain wiedział o twojej fobii?

Odpowiedź na nie była banalna. Nicole wzruszyła ramionami.

– Wie o niej każdy, kto dłużej mnie zna.

– Ale facet na pewno nie wypytywał żadnej z twoich przyjaciółek.

Zamyśliła się. To rzeczywiście było dość dziwne. W którymś momencie podniosła wzrok. Na rękach miała gęsią skórę.

– Niedawno rozmawiałam z przyjaciółką przez telefon. Gadałyśmy o jej rozstaniu z narzeczonym. Próbowałam ją pocieszyć. Narzekała, że nie ma już prawdziwych mężczyzn. Powiedziałam jej, że się nie zgadzam, bo ostatnio uratowałeś mi życie, pozbywając się z łazienki olbrzymiego pająka.



Zack spojrział na nią wymownie.

– Wiem, co chcesz powiedzieć – kontynuowała. – Myślisz, że ktoś podsłuchiwał nasze rozmowy telefoniczne.

– Albo założył nam podsłuch w domu. Pamiętasz firmę montującą światłowód?

– To było jakiś miesiąc temu... – sprecyzowała Nicole.

– A kiedy rozmawiałaś z przyjaciółką?

– Może przed dwoma tygodniami... Zack, to niemożliwe, żeby ta koperta była przeznaczona dla nas. Popadamy w jakąś paranoję.

– Jesteś tego absolutnie pewna?

## ROZDZIAŁ 17

Siedzieli na podłodze w kuchni, marzli i patrzyli w pustkę, próbując zrozumieć, w co się wpakowali. Nie przeszkadzało im zimno ani nawet szczekanie psów, które co jakiś czas się odzywały. Krążyły nieopodal okna, najwyraźniej wyczuwając ich obecność.

– Gdybym ci nie powiedziała, że masz złapać tego listonosza, koperta wciąż tkwiłaby w skrzynce – rzekła Nicole.

– A jeżeli ktoś, podając się za krewnego Athertona, zadzwoniłby do nas i poprosił, żebyśmy odbierali za niego pocztę?

– Wcale nie musieliśmy tu przyjeżdżać. Nie wierzę, że McCain zaplanował to dla nas.

– Sam już nie wiem...

– Myślisz, że człowiek, którego ciało widzieliśmy, był jego poprzednią ofiarą? – zapytała, nie podnosząc wzroku.

– Jeżeli listy miały pełnić funkcję wabika, to pewnie tak – zgadywał Zack. – Ktokolwiek to był, próbował się włamać lub uciec. Przecież wpadliśmy na taki sam pomysł. Gdy pomyślę, jak niewiele brakowało, żebym skończył jak ten biedak...

– Dlaczego McCain nie pozbył się ciała?

– Pozbył się – stwierdził pewnie Zack. – Zawłókł je do lasu, ale psy wywęszyły trupa i wykopały go.

– Nie sądzę, żeby...

– Nicole, proszę cię... Naprawdę chcę nas stąd wydostać, a myślenie o rozszarpanych zwłokach średnio mi pomaga.

Zamilkła i przez kilka minut siedzieli w ciszy.

– Co z tym drugim wozem w garażu? – zapytała po chwili, również próbując szukać rozwiązania.

– Nie znalazłem kluczyków.

- Nie da się go jakoś inaczej uruchomić?
- Limuzyny za pół miliona? – Parsknął śmiechem. – Przyłapano mnie na kradzieży pozytywki, ale to nie oznacza, że potrafię ukraść samochód.
- Wiesz, że nie to miałam na myśli.
- Przepraszam... Poza tym, założę się, że ten psychol zadbał o to, żebyśmy nim stąd nie odjechali. Dostanie się do wozu to pewnie tylko pierwszy etap. Nie zdziwiłbym się, gdyby pod maską brakowało silnika albo w samochodzie czekałaby jakaś pułapka. Do tej pory skurwieli przewidział każdy nasz ruch i wykorzystał każdą słabość. – Zack poderwał się z podłogi.
- To szczekanie doprowadza mnie do szału! Jeżeli będziemy tu dłużej, zamarzniemy. Na dworze jest najwyżej dziesięć stopni, a ogrzewanie nie działa. – Wyciągnął rękę. Dłoń Nicole była lodowata. – Chodźmy stąd.
- Gdy go przytuliła, poczuł ścisk w gardle.
- Nie możemy się poddać. Obiecuję, że znajdę jakieś wyjście i wkrótce będziemy się z tego śmiać. Mamy nad McCainem pewną przewagę – szepnął.
- Ten sukinsyn nie wie, że my o nim wiemy.
- Nicole potaknęła, ale z widocznym zrezygnowaniem. Oparła się na jego ramieniu. Przed przejściem do salonu, gdzie było nieco cieplej, jej wzrok mimowolnie spoczął na wybitym oknie, zza którego dolatywało irytujące szczekanie. Nagle coś wpadło jej do głowy. Trzęsąc się z zimna, otarła łzy.
- Alarm i brama nie działają, ale w domu mamy prąd.
- Zack potwierdził, nie mając pojęcia, do czego Nicole zmierza. Pomógł jej usiąść na sofie w salonie.
- McCain wyłączył alarm i kamery na zewnątrz – kontynuowała – ale założę się, że nie zrobił tego trwale. Przecież nie wziął siekiery i nie odrąbał przewodów.
- Co z tego?
- Na bramie była tabliczka informująca, że obiekt jest chroniony.
- Stara i pordzewiała... – przypomniał Zack.
- Alarm to alarm... Być może żadna firma ochroniarska nie opiekuje się już tym domem, ale jeżeli kiedyś tak było, to z pewnością w wielu miejscach zainstalowano czujniki.
- Wciąż nie bardzo rozumiem – przyznał z zakłopotaniem Zack.
- McCain wyłączył alarm i pozwolił nam wejść, bo inaczej ten wyłby zaraz po zbitiu szyby albo otwarciu drzwi.
- Masz rację... – Zacka olśniło.

– Jeżeli list stanowił pułapkę, a kurier był podstawiony, to może McCain nie jest taki biedny, za jakiego się podaje i wcale nie zrezygnował z ochrony. Po prostu wyłączył alarm, żeby ten nie sprowadził tu *grupy uderzeniowej*, jak ktoś będzie się niby włamywał.

– Jesteś genialna! Najprościej to zrobić, odcinając zasilanie. Jeśli McCain tak postąpił, może wystarczy je przywrócić. Alarm powinien się włączyć, a jak nie, to spróbujemy rozwalić następną szybę.

– Myślisz, że to może się udać?

– Jasne, że tak! Cholera... Poczekaj, poczekaj... Zapomniałem o zasilaniu awaryjnym. – Zack podrapał się po głowie. – O akumulatorze... Ktoś musiał pogrzebać także przy nim, bo gdyby nawet odłączono zasilanie, alarm by się włączył. Z drugiej strony takie akumulatory nie wystarczają na zbyt długo, więc...

– Więc?

– Nie mam pojęcia – przyznał szczerze. – Nie znam się na alarmach. Wszystko się okaże, gdy znajdziemy skrzynkę z bezpiecznikami.

– Zastanawiam się tylko, co będzie, jeśli go włączymy, a nikt nie przyjedzie.

– Jeżeli nawet ochrona się nie zjawi, może chociaż ktoś usłyszy wycie.

– Chyba nie liczysz na to, że przypadkowy przechodzień albo smarkacz błakający się po lesie wezwą policję, słysząc alarm. Nie te czasy... Odwrócą się i pójdą w przeciwnym kierunku.

– Lepsza taka szansa niż żadna – oznajmił Zack.

– Racja... – przyznała Nicole.

– Nawet jeżeli nikt nie zareaguje – Zack ściszył głos – to może chociaż wykurzymy McCaina, gdziekolwiek się ukrył.

– I nas zabije... – warknęła cicho Nicole.

– Już dawno mógłby to zrobić. Pamiętaj o naszej przewadze. Nie wie, że my wiemy – Zack powtórzył własne słowa.

– Nie jestem już niczego pewna.

– To był twój pomysł. Decyduj...

Pokręciła głową ze zrezygnowaniem. Chwilowo nie widziała lepszego rozwiązania.

– Spróbujmy więc... Co mamy do stracenia...

– Świetnie – ucieszył się Zack, wstając. – Martwi mnie tylko, że nigdzie nie widziałem klawiatury alarmu. No i gdzieś musi być skrzynka

z bezpiecznikami...

## ROZDZIAŁ 18

Zack zgadywał, że skrzynka z bezpiecznikami oraz urządzenie sterujące alarmem powinny być ulokowane na parterze, w ogólnodostępnej części domu – w salonie lub w odchodzącym od niego korytarzu. Wcześniej ich nie dostrzegli, więc z pewnością zostały ukryte lub zamaskowane, aby nie rzucały się w oczy i nie szpeciły stylowego wnętrza.

Zagłędali za każdy obraz. Pokoje wstępnie wykluczyli, ale i je mieli zamiar sprawdzić, tyle że w ostatniej kolejności. Troje drzwi na parterze było zamkniętych na klucz. Mieli do dyspozycji łom, ale postanowili, że użyją go w ostateczności.

Nicole przypomniała Zackowi, jak świetnie zakamuflowano przejście z sypialni do biblioteki. Stare, wzorzyste tapety idealnie maskowały drzwi. Mogli stać obok nich, a one wciąż pozostawały niewidoczne. Gdyby nie przypadek, Nicole nigdy by się nie domyśliła, że tam są.

– Dlaczego upierasz się na salon? – zapytała.

– Dostęp do bezpieczników i alarmu powinien być stosunkowo łatwy i szybki. – Zack obmacywał i ostukiwał ściany, szukając niedoskonałości i głuchego dźwięku.

Nicole zwróciła uwagę na ciekawy aspekt:

– W domu rodziców mieliśmy schowek pod schodami. – Podeszła do drewnianej boazerii. Przytwierdzono do niej dwuramienną lampę imitującą świecznik, a pod nią stał zabytkowy, mahoniowy stoliczek. Wszystkie deski były idealnie założone – tworzyły jednolitą strukturę.

Podobnie jak Zack, Nicole zaczęła ostukiwać ścianę. Szybko natknęła się na fragment wydający bardziej głuchy dźwięk niż pozostałe miejsca.

Partner stał już za nią.

– Pozwól mi... – Naparł na ścianę i deski się odkształciły, uwidaczniając szczelinę. Złął się, gdy nagle niewidoczna blokada ustąpiła i skrzydło

drzwiowe utworzone z boazerii otwarło się do środka schowka. Spojrzał na Nicole, która trzymała za ramię przekrzywionej lampy.

– Gdybym nie wiedział, pomyślałbym, że już tutaj byłeś.

– Powinieneś oglądać więcej filmów.

– Mówiłem ci już, że jesteś genialna?

Wchodząc do środka, pograżyli się w ciemności. Zack potknął się o jakiś metalowy przedmiot przypominający stojak.

– Cholera...

– Wszystko w porządku?!

– Tak, tak...

Nicole macała ścianę, dopóki nie natknęła się na włącznik. Sześćdziesięciowatowa żarówka rozbłysła jasnym światłem tuż przed nimi, uwidaczniając składowisko starych i zniszczonych krzeseł. Oprócz nich dostrzegli coś jeszcze. To coś wywołało uśmiech na ich twarzach.

– W dziesiątkę! – krzyknął uradowany Zack. – Jest i alarm... – Wskazał ścianę przy drzwiach. Wyświetlacz urządzenia nie działał. Tak jak przypuszczali, prawdopodobnie McCain wyłączył alarm.

Nigdy nie myśleli, że na widok przytwierdzonej do ściany metalowej skrzynki będą się cieszyć jak dzieci widzące wóz z lodami. Zack natychmiast ją otworzył i ich oczom ukazało się mnóstwo przełączników. Większość trwała w pozycji *do góry*. Tylko te w drugim rzędzie od dołu były skierowane przeciwnie do reszty. Mogli jedynie zgadywać, że chodzi im właśnie o te przełączniki, gdyż wszystkie opisano umownymi symbolami i nigdzie nie zauważyli objaśnień.

– Obyśmy mieli rację... – Używając obydwu dłoni, Zack przestawił wszystkie niemalże jednocześnie.

Wyświetlacz alarmu ożył i rozległo się elektroniczne wycie, które zagłuszyło wybuch ich radości.

– Udało się!

Zack pocałował Nicole i wyjrzał ze składziku. Dłuższą chwilę obserwował, czy tym posunięciem nie wypłoszyli kogoś z ukrycia. Gdy wreszcie syrena ucichła, usłyszeli zawodzące psy. Pierwszy raz nie szczekały, a wyły niczym wilki.

– Co robisz? – zapytała Nicole, gdy Zack ponownie stanął przy przełącznikach.

– Wyłączę alarm, bo nie wiem, w jaki sposób działa. Jeżeli jest

uzbrojony, a my spróbujemy opuścić dom, natychmiast zdradzi psom nasze zamiary. Jeśli ktoś miał to usłyszeć, to usłyszał.

– Masz rację...

Gdy wyszli ze schowka, Zack nie miał już tak wesołej miny.

– Pamiętasz, co mówiliśmy o wywabieniu tego faceta?

Skinęła głową.

– Myślę, że powinnaś się ukryć.

\*

Nicole nie chciała nawet słyszeć o rozdzieleniu się, ale nie była też w stanie trwać przy drzwiach. Ból powrócił. Usiadła na sofie w salonie i obserwowała wnętrze domu, podczas gdy Zack wyglądał przez witraż na zewnątrz.

Kwadrans oczekiwania na *grupę uderzeniową* odarł ich z resztek nadziei.

– Powinni już tutaj być – bąknął Zack. – Od centrum miasta dzieli nas najwyżej pięć mil.

Dom leżał na odludziu, więc nie było też mowy, aby sąsiedzi cokolwiek usłyszeli. Poza tym, Nicole miała absolutną rację. Kto w dzisiejszych czasach zwraca uwagę na wyjące syreny alarmowe... Ludzie odwracają głowy, aby tylko ktoś nie zauważył, że niepotrzebnie się interesują.

– Jeżeli system w rezydencji nie był połączony z centralą firmy ochroniarskiej, to tak, jakby już nas uratowano – stwierdził smutno Zack. – Jeśli nie podpalimy domu albo nie wysadzimy go w powietrze, nikt nie zauważy naszej obecności.

– A ja się martwiłam zapalonym światłem... – wymamrotała Nicole, trzęsąc się z zimna.

Zack po raz trzeci zaproponował, aby zaczekała w sypialni na górze. Po cichu liczył, ile czasu ochroniarze mogą potrzebować na interwencję, wciąż dając im coraz więcej dodatkowych minut. Po upływie dwudziestu od włączenia alarmu doszedł do wniosku, że już dawno powinni się zjawić, nawet jeżeli na ich drodze stała brama czy furtka.

– Przecież widzę, że cała się trzęsiesz.

– To z ekscytacji – odparła zabawnie. Kuląc się z zimna, szczękała zębami.



– Proszę cię, idź na górę, a drzwi zostaw otwarte. Jakby coś się działo, krzyknij. Przybiegnę w kilka sekund.

Nicole westchnęła i skinęła głową. Zaciskając zęby, ze zrezygnowaniem wdrapała się po schodach na piętro. Leki wciąż działały, więc chodzenie nie było aż tak bolesne, choć pogryziona noga stale dawała o sobie znać.

Zdjęła płaszcz i w ubraniu wpełzła pod jedną kołdrę, nakrywając się jeszcze kocem. Jej ciałem wstrząsały dreszcze. Przez dłuższą chwilę nerwowo patrzyła na drzwi, mając na uwadze wszystko, o czym do tej pory rozmawiali z Zackiem.

\*

Nie potrafiła się rozgrzać. Nie chciała tego przyznać, ale słabła z minuty na minutę. Gdyby Zack nie przekonał jej, żeby poszła odpocząć, mogłaby nawet zemdleć w salonie. Nie tylko zimno stanowiło problem. Była głodna jak wilk. Obydwoje byli, a jedzenie zostało w samochodzie.

Oddałaby wiele za jabłko albo kawałek chleba. Lodówka gospodarza była całkowicie pusta. Wspomagali się jedynie wodą, której mieli pod dostatkiem – po prostu leciała z kranu. Niedawno minęły zaledwie dwadzieścia cztery godziny, odkąd się tutaj znaleźli, a Nicole miała wrażenie, że spędzili w tym miejscu całą wieczność. Kiedyś czytała, że w skrajnych przypadkach człowiek jest w stanie przeżyć ponad miesiąc bez jedzenia, pijąc tylko wodę. Po jednym dniu głodówki, przyzwyczajona do kilku regularnych posiłków dziennie, nie potrafiła wyobrazić sobie, jak przeżyje kolejną dobę, nie wspominając już o czterech tygodniach. Czuła potworny ucisk w żołądku. Wydawało jej się, że organizm zaczyna sam siebie wchłaniać.

Była wycieńczona – w nocy przespała zaledwie cztery godziny, ale co chwilę się budziła. Miała też coraz większy problem ze skupieniem się i panowaniem nad emocjami. Stan ten przypisywała głównie ubocznym skutkom działania leków, ale bez nich rany piekły, jakby ktoś przykładał do nogi rozżarzone węgle. Środki przeciwbólowe otumaniały ją, ale nie mogła z nich zrezygnować. Gdy wstała tego ranka, ból powrócił ze zdwojoną siłą. Wzięła więc kolejną porcję tabletek – tych samych, co w nocy, w tej samej dawce. Nie było nic gorszego niż przyjęcie ich na pusty żołądek, który już

i tak ją bolał. Dawno nie czuła się tak źle i jeszcze nigdy nie doświadczyła podobnej huśtawki nastrojów.

Aby zagłuszyć czymś lęk, postanowiła wykorzystać dany jej czas na zmianę opatrunków. Były one mokre od wysięku. Nie dawała nodze odpocząć, więc rany stale się otwierały. Odwijając bandaż, drżała na myśl o długim biegu w stronę bramy, gdyby nie znaleźli innego sposobu na opuszczenie tego miejsca.

Usuwać przyklejone do rany gaziki, głośno klęła na wszystko wokół. Niespodziewanie kątem oka dostrzegła w drzwiach męską sylwetkę. Poczowała uderzenie gorąca. Natychmiast zrobiło jej się ciepło.

– Jezu... – jęknęła.

– Wszystko w porządku? Wołałaś? – zapytał zmartwiony Zack.

– Nie... Gadam już sama do siebie.

– Pomóc ci?

– Poradzę sobie... Zostań przy drzwiach. Jeżeli po tym wszystkim mielibyśmy przegapić *brygadę ratunkową*, to strzeliłabym sobie w łeb.

– Czym, jak nie mamy naboji? – rzucił zabawnie Zack.

Na twarzy Nicole pojawił się niewymuszony uśmiech.

Nawet Zacka rozbawiła jego uwaga.

Chwilę później śmiali się jak dzieci. Był to śmiech przez łzy, ale jakże potrzebny w tej chwili. Wesołość Nicole przyćmiło potwornie bolesne ukłucie, gdy oderwała ostatni kompres przyklejony do rany.

– Wiesz, co jest najśmieszniejsze? – rzekł Zack, siadając bokiem na łóżku. – Ten *Darwin* to może być moja sprawka.

Popatrzyła na niego niezrozumiale.

– Figury nie dawały mi spokoju. Co najmniej jeszcze raz przy nich grzebałem. Być może nawet postawiłem tę przewróconą. – Przetarł oczy i pomasował skroń. – Powoli wariuję, a im bardziej chcę nas stąd wydostać, tym gorzej mi to idzie.

– Co teraz?

Wzruszył ramionami.

– Myślę nad jednym rozwiązaniem, ale to ostateczność. Po tym nie będzie już odwrotu.

– Chcesz zwabić je do domu i uciec oknem... – rzekła Nicole, spryskując rany środkiem antyseptycznym.

Potaknął.

– Też już o tym myślałam. Weźmiemy drabinę i wyjdziemy oknem, ewentualnie drugimi drzwiami. To rozsądne...

– Trzeba by je zebrać wszystkie cztery razem, żeby nie skończyło się jakąś niespodzianką.

– Kiedy chcesz to zrobić?

– Dam im jeszcze – spojrzał na zegarek – piętnaście minut, ale nie wierzę, że ktoś się pojawi. Przemyślę to wszystko na spokojnie. Zastanawiam się, czy nie wypchnąć samochodu. Nie możemy go tu zostawić. Dobrze byłoby też znaleźć twoje spodnie i telefon. Odpocznij, bo czuję, że czeka nas ciężkie popołudnie, a nie mamy nic do jedzenia.

– Nawet mi nie przypominaj. Spakowałam nam coś na drogę, ale zostało w samochodzie.

– Tak? – zdziwił się. – Gdybym wiedział...

– Zapomniałam ci powiedzieć. Przepraszam...

– Daj spokój...

Po chwili ciszy ponownie odezwał się Zack:

– Im dłużej będziemy zwlekać, tym gorzej dla nas. Postaram się zlokalizować psy, a ty spróbuj się zdrzemnąć.

– Mhm... Jasne... – bąknęła, jednocześnie ocierając łzy, które mimowolnie napływały jej do oczu, gdy czyściła rany.

Wychodząc, Zack przytknął drzwi.

\*

O śnie nie było mowy, choć w pozycji leżącej noga znacznie mniej bolała. Próbując zapomnieć o wszystkim, co się wydarzyło i co ich jeszcze czeka, Nicole wzięła najnowszy z dzienników leżących na nocnym stoliku i otworzyła go na przypadkowej stronie. Natychmiast zauważyła, że wygląda nieco inaczej. Był zdecydowanie cieńszy od pozostałych. Poprzednie bruliony zaczynały się skrupulatnym opisem przygotowań do podróży, ten zaś przemyśleniami. Zerknęła na okładkę.

TANZANIA, UGANDA, KENIA

2001 r.

Pismo było czytelniejsze, a zdania bardziej składne. Praktyczne podejście Roda McCaina zostało wyparte przez rozbudowane opisy z przemyśleniami. To musiały być dzienniki jego syna, a może nawet wnuka. Potomek odziedziczył zamiłowanie do podróży, ale niekoniecznie żołnierski perfekcjonizm.

*Afryka wydaje się dzikim i pustym miejscem, ale trudno o bardziej zharmonizowaną przestrzeń.*

Powyższy cytat rozpoczynał szereg przemyśleń...

*Jesteśmy w Ugandzie od kilku dni, a już zakochałem się w tym miejscu, podobnie jak Mary. Siedząc wieczorami przy ognisku, snujemy plany na przyszłość. Poważnie myślimy o przeniesieniu się w miejsce takie jak to. Dla nas cywilizacja przestała być oznaką rozwoju, a stała się określeniem poziomu emocjonalnej niedojrzałości człowieka.*

Nicole przeskoczyła kilka kartek, ale szybko zrozumiała, że nie znajdzie tutaj tego, co tak bardzo intrygowało ją w poprzednim dzienniku – umiłowania przygody. Zwróciła szczególną uwagę na ostatnie strony. Zapisała je ta sama osoba, ale mniej pewną ręką.

*Afryka miała przynieść mi ukojenie, a przyniosła śmierć i ból w najgorszej ze wszystkich postaci – ból po stracie ukochanej osoby. Przeklinam ten kontynent, sięgając pamięcią wstecz tak daleko, jak potrafię. Codziennie w myślach złorzeczę ojcu, który opowiadał mi o wspaniałościach świata i nieodkrytych terenach, zachęcając do odwiedzania dzikich ostępów. To, co tak bardzo kusilo, okazało się zwodnicze i zabójcze.*

*Nie potrafię na siebie patrzeć. Nie dlatego, że podróże naznaczyły moje ciało bliznami. To właśnie dzięki nim pamiętam... Przypominają mi one o bólu po stracie Mary. Stojąc nagi przed lustrem, patrząc na*

*siebie, czuję ten ból, widzę go. Nie potrafię o nim zapomnieć. Każdego dnia mój umysł toczy walkę z ciałem. Odtrąciłem najbliższych, gdyż w ich twarzach widzę tylko współczucie i smutek, które ściskają moje gardło niczym sznur szubienicy. Niestety, nikt nie chce pociągnąć za dźwignię, czy kopnąć w stołek pod moimi nogami. Przeklęty świat... Chory i zepsuty przez rozpacz i nieukierunkowaną nienawiść.*

Ostatnie zdania mocno wpłynęły na Nicole. Poprawiła się na łóżku, zapominając o wszystkim, co działo się dookoła – nawet o Zacku trwającym przy wejściu. Wróciła kilkanaście kartek wstecz. Były zapisane bardzo niestarannie, jakby piszącemu drżała ręka.

*Chciałbym krzyczeć, ale głos zamiera gdzieś w gardle. Dziś wreszcie ktoś zdobył się na odwagę i powiedział mi, co dokładnie stało się z Mary. Głupcy... Widziałem i wiedziałem. Potrzebowałem jedynie potwierdzenia. Powinni mnie zostawić tam, gdzie znaleźli – przy jej boku, aby krwawe łyzy mogły swobodnie spływać po mej twarzy, żłobiąc jaśniejsze bruzdy w grubej warstwie pyłu. Po co mi one teraz... Bezsensownie wsiąkają w zwilżone posoką bandażę, tracąc na wartości. Kto je widzi?*

*Mówią, że każda śmierć rodzi życie... ma swój sens... daje nowy początek... Brednie ludzi karmionych nadzieją, trwających w ułudzie, żyjących tylko dla siebie... Chętnie porozmawiałbym teraz z wielkim filozofem obecnych lub minionych czasów, ale żaden tchórz nie ma odwagi stanąć przede mną i spojrzeć mi w oczy – wytłumaczyć, czego w tym wszystkim nie rozumiem.*

Jedną ze stron, niemalże całą zabazgrano piórem. Linie były tak mocne i wyraźne, że w niektórych miejscach stalówka przerwała kartkę, pisząc po spodniej. Zdanie miało się zacząć od Mary, ale po imieniu nie było już nic. Z drugiej zaś strony te mazy wyrażały więcej niż słowa.

*Każdego dnia zachęcałem synów do podróży i eksploracji nieznanych zakątków. Nie dzielali mojej pasji ani nie czerpali radości z tych wyjazdów. Do niedawna uważałem, że ja mam wszystko, a ich życie jest pozbawione sensu. Los boleśnie ze mnie zadrwił. Wystarczyła chwila, abym zrozumiał, jak bardzo się myliłem.*

Nicole wyciągnęła z kieszeni płaszcza kopertę. Chciała porównać pismo z fragmentami dzienników. Pobieźnie przejrzała wszystkie bruliony, ale żaden z charakterów nie odpowiadał temu, którym napisano błędnie zaadresowany list do Maxymiliana McCaina.

Z kominka zabrała zdjęcie przedstawiające rodzinę na tle rezydencji i wróciła do łóżka. Wolno zaczęła w myślach układać historię tego rodu.

Najstarszy dziennik z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego został napisany przez Roda McCaina, który podróżował z żoną Elizabeth. To musiały być najstarsze osoby na zdjęciu. Rod nazwał syna po dziadku, a więc przystojny mężczyzna, który odziedziczył po ojcu nie tylko dom, ale też zamiłowanie do podróży, nazywał się Tom i stał nieco z prawej wraz ze swoją wybranką. Według dzienników nazywała się Mary i zmarła tragicznie w dwa tysiące pierwszym roku.

Nicole jeszcze raz wróciła do tekstu.

*Każdego dnia zachęcałem synów do podróży i eksploracji nieznanych zakątków. Nie dzielali mojej pasji ani nie czerpali radości z tych wyjazdów. Do niedawna uważałem, że ja mam wszystko...*

A więc dwaj chłopcy na fotografii byli synami Toma McCaina. Jeżeli dane w liście były prawdziwe, jeden z nich nazywał się Derrian, a drugi, zgodnie z adresem na kopercie – Maxymilian. Żaden nie wyglądał na więcej niż dziesięć lat. Chwileczkę, pomyślała Nicole i po raz kolejny zerknęła na ten sam fragment dziennika...

*Każdego dnia zachęcałem synów do podróży i eksploracji nieznanych zakątków. Nie dzielali mojej pasji ani nie czerpali radości z tych wyjazdów.*

...po czym przeskoczyła wzrokiem na list napisany przez Derriana McCaina.

*Do rzeczy! Wiesz, że lubiłem podróżować. W trakcie jednej z wypraw do Europy nurkowałem u wybrzeży Francji...*

Nicole zmroziło. Według ojca chłopców Derrian i Maxymilian nie znosili podróży. Tymczasem w liście jeden z braci napisał coś zupełnie przeciwnego. Wszystko, aby tylko zwabić swoją ofiarę, pomyślała, czując dreszcz rozchodzący się po ciele.

Z zamyślenia wyrwał ją euforyczny ryk Zacka:

– Nicole!

Drgnęła.

– Nicole!

Słyszała, jak partner pędzi na górę.

– Przyjechali! – wrzasnął uradowany z korytarza. – Usłyszeli alarm!

Podziałało!

Zapominając o nodze, wyskoczyła z łóżka. O mały włos, a zderzyliby się w drzwiach.

– Są już pod domem!

– Ochrona? – zapytała entuzjastycznie, nie wierząc w to, co słyszy.

– Tak! Widziałem podjeżdżający samochód!

– Mój Boże...

Gdy dotarli do schodów, Nicole zamarła.

– Co się stało?! – zapytał Zack.

– A jeżeli to nie oni...

– Że co?!

– Kurier... Pająki... Samochód... List...

– Przecież przed chwilą ci powiedziałem, że postawiona figura to moja sprawka!

– A reszta? Błagam... Weź jakąś broń. Mam złe przeczucia.

– Nicole... Za drzwiami czekają uzbrojeni faceci, którzy chcą nam pomóc!

– Wiem, ale... Dlaczego zajęło im to aż tyle czasu?

– Jezu... Nie wiem... Zaraz ich o to zapytasz.

– Proszę cię tylko, żebyś uważał.

– Dobra... – Westchnął, próbując opanować atak złości. Zanim podszedł do drzwi, dla świętego spokoju zabrał nóż, który wcześniej zostawił na stoliku w salonie, a także leżący na sofie łom. – Zadowolona?! Trzeciej ręki nie mam! – wrzasnął z dołu.

Niepewnie skinęła głową. Obserwując Zacka wyglądającego przez wąski witraż, powoli zaczęła schodzić.

– Są już pod drzwiami – oznajmił najspokojniej, jak potrafił.

Klamka opadła, po czym usłyszeli dzwonek i mocne pukanie.

– Panie McCain, ochrona!

Mężczyzna stojący jako drugi niepewnie rozglądał się po okolicy. Słyszając dźwięk odblokowywanych drzwi, wyraźnie się zdziwił, że kogoś zastali.

Obydwaj ochroniarze błyskawicznie się odsunęli, a ich dłonie spoczęły na rękojeściach broni.

– Ilu ich jest? – zapytała półszepem Nicole.

– Widzę dwóch...

– Zack, nie podoba mi się to...

Odblokował zamek i nacisnął klamkę. Gdy tylko wyjrzał przez powstałą szczelinę, dostał drzwiami. Stracił równowagę i poleciał na plecy.

– Zack! – krzyknęła Nicole.

– Nie ruszaj się! Rzuć to wszystko, sukinsynu! – ryknął postawny mężczyzna w czarnym uniformie. Za nim wbiegł jego partner. – Na ziemię i ani drgnij! Pani też! Natychmiast!

– To my was wezwaliśmy! – tłumaczył Zack, odrzucając łom i nóż.

– To prawda! – potwierdziła Nicole, schodząc.

– Proszę pani, proszę natychmiast zejść na dół i położyć się na podłodze z rękami za głową! To ostatnie ostrzeżenie!

– Jest ranna w nogę, idioto!

Drugi ochroniarz podszedł do Nicole, mierząc w jej pierś. Gdy zeszła na dół siłą zmusił ją do położenia się. Nie stawiała oporu, ale i tak boleśnie wykrzywił jej ręce. Wrzasnęła na całe gardło.

– To boli, cholera!

– Zostaw ją! – Zack spróbował się podnieść, ale ochroniarz przygniół go nogą, wbijając kolano w plecy.



– Leż!

Nagle pomiędzy pokrzykiwaniami Zack usłyszał coś, co zmroziło mu krew w żyłach. Obrócił głowę. Do salonu wbiegło rozwścieczone psisko, a zaraz za nim następne.

– Uważajcie, debile! – wykrzyczał.

Ogary rzuciły się na ochroniarza stojącego nad Zackiem. Jeden wgrzył się w rękę, drugi skoczył na klatkę piersiową, powalając zwałistego mężczyznę, który trącił palcem spust. Broń wypaliła, na szczęście nikogo nie raniąc.

Partner rzucił się koledze z pomocą i kopnął stojące na nim zwierzę. Musiało przegryźć tętnicę, gdyż krew tryskała z szyi półprzytomnego ochroniarza, czerwieniąc marmur.

Kopnięte bydlę przestało skomleć, otrzepało się i ponownie zaatakowało.

Mężczyzna strzelił, ale niestety chybił. Kula przeorała posadzkę tuż obok tylnej łapy zwierzęcia.

Pies wgrzył się w nogę do samej kości.

Ochroniarz wrzasnął z bólu, ale zdołał wymierzyć. Wtedy kątem oka dostrzegł kolejnego psa wbiegającego do środka. Nie wiedział już, gdzie celować, a ból tępił jego zmysły. Rozpędzone bydlę przeskoczyło nad ciałem dogorywającego mężczyzny i wbiło kły w dłoń trzymającą pistolet. Ochroniarz ryknął i puścił broń. Przewrócił się i na czworakach, z psami uczeponymi jego ciała, jęcząc, próbował uciec... gdziekolwiek. Nie wiedział, co robić. Szturchnął i kopał na oślep, starając się wypatrzeć pistolet. Wymachiwał rękami, ale bestie szarpały z coraz większą zaciętością.

Ostatecznie ciężkie bydlę skoczyło mężczyźnie na plecy i powaliło go na ziemię. Zaczęło rozrywać mu ucho. Wrzeszcząc z bólu, zamglonym wzrokiem ochroniarz spojrzał na drgające ciało partnera, którego twarz ociekała krwią.

Mężczyzna ostatkiem sił spróbował ucieczki. Zagryzając z bólu zęby, z jednym psem uczeponym pleców i drugim, który kły zatopił w prawej ręce, zdołał wstać. Krew z ran na głowie zalewała mu oczy. Szedł niemalże na oślep, asekurując się lewą ręką. Wkrótce uderzył o coś drewnianego – były to kuchenne drzwi. Dopadł lodowatą kłamkę.

Psisko szarpiące rękę puściło i zaczęło gryźć nogę, ale ogar uczepony pleców wciąż targał kłami kamizelkę, wściekle warcząc.

Ochroniarz naparł plecami na lodówkę, miażdżąc zwierzę, które zaskomliło i wreszcie puściło. Odkopnął drugiego psa i ponownie złapał

zimną klamkę. Odblokował zamek i wybiegł na zewnątrz, ale... nie spodziewał się schodów. Stracił grunt pod nogami i sturlał się po stopniach, brudząc je krwią.

Długo leżał na ziemi, zanim pojął, że wciąż jest w stanie się ruszać, a więc i uciekać. Z trudem obrócił się na plecy. Nagle jego wzrok zatrzymał się na nadbiegającym psie. Zwierzę zaatakowało z nieopisaną wściekłością, wbijając kły w szyję ofiary, jak często czynią afrykańskie drapieżniki.

\*

Gdy psy zaatakowały uzbrojonych mężczyzn, Zack i Nicole zastygli w bezruchu, nie podnosząc się z marmurowej posadzki. Zwierzęta całkowicie skupiły się na ochroniarzach i tym samym dały Zackowi możliwość sięgnięcia po upuszczony łom i nóż. Przygotowując się na odparcie ataku, który mógł nastąpić w każdej chwili, spojrzał porozumiewawczo w stronę przerażonej partnerki.

Ich celem był samochód stojący przed domem, a jedyną, ale jakże trudną do pokonania przeszkodą, psy. Dwa obwąchiwały pojazd, trzeci ogar *zabawiał się* z martwym ochroniarzem leżącym nieopodal Zacka, a czwarty bezlitośnie gryzł mężczyznę *upolowanego* na tyłach domu. Wciąż dochodziły stamtąd agoniczne jęki.

Zack namierzył pistolet. Ten jednak leżał tuż obok martwego ochroniarza. Nie dałby rady dosięgnąć broni bez zwracania na siebie uwagi psa. Nie zdążyliby też wbiec na piętro, więc musieli znaleźć schronienie na parterze. Najbliższe drzwi znajdowały się kilka kroków od nich. Korzystając z tego, że pies stał odwrócony tyłem, Zack bardzo wolno zaczął się czołgać w stronę Nicole – w razie ataku chciał dać jej ochronę. Zacisnąwszy zęby, partnerka podkurczyła ręce i nogi. Przygotowała się do powstania oraz biegu.

Zbliżywszy się do Nicole, Zack dał cichy sygnał. Podnieśli się najciszej, jak tylko zdołali i przeszli pod drzwi, jednakże ich kroki nie uszły uwadze psa. Ten zaczął ujadać i rzucił się w ich kierunku, zwracając tym uwagę pozostałych zwierząt.

Zack błyskawicznie przekazał nóż Nicole, która zaczęła wymachiwać nim przed pyskiem ogara, a sam złapał oburącz łom i wbił go pomiędzy futrynę a zamknięte drzwi. Pociągnął z całej siły, wrywając zamek.

Błyskawicznie wbiegli do pomieszczenia, które okazało się klatką schodową prowadzącą do piwnicy.

– Oprzyj się plecami! – rozkazał Zack, domykając drzwi. Zamek nie trzymał, więc sami musieli je zastawić. Z trudem powstrzymywali napierające, rozwścieczone zwierzęta, gdyż stali na pierwszych stopniach schodów prowadzących w dół – nie potrafili odpowiednio się zaprzeć.

– Mój Boże, Zack... – jęknęła Nicole.

Byli w jeszcze gorszym położeniu niż wcześniej.

– Idioci! Debile! Kretyni!

– Przestań! Oni nie żyją, a zginęli przez nas! – wykrzyczała.

– Zachowali się jak amatorzy! Przez nich mogliśmy zginąć i my!

– Przestań już, do cholery!

Nicole musiała zmienić pozycję, gdyż noga niemiłosiernie ją bolała. Odstąpiła od drzwi.

Zack pomógł partnerce, przytrzymując ją, ale sam stracił czujność. W tym momencie jedna z bestii rzuciła się na drzwi. Skrzydło mocno uderzyło Zacka. Dostał w plecy i stracił równowagę. Próbując złapać się ściany, skaleczył dłoń. Runął na schody, dodatkowo trącając Nicole. Również się przewróciła i obydwójce sturlali się do piwnicy.

Nicole ranną nogą mocno uderzyła o jeden z ostatnich schodków i zemdlą z bólu. Skończyła na partnerze, któremu cały świat wirował przed oczyma. Mimo to Zack natychmiast oprzytomniał. W tej chwili jedynym jego celem było zlokalizowanie łomu. Pamiętał, że gdy spadał ze schodów, wciąż miał go w ręce. Nóż również powinien gdzieś tutaj leżeć. Ostrożnie wydostał się spod nieprzytomnej partnerki. Piwnicę spowijała ciemność, więc nerwowo zaczął macać podłogę.

Wyjątkowo psy wykazały nieco powściągliwości. Pierwszy ogar pchnął łbem skrzypiące drzwi i zerknął do środka – na schody tonące w mroku. Ciemność spowolniła go, lecz nie zatrzymała. Niepewnie pokonał pierwsze stopnie. Nadstawił uszu, wyłapując podejrzanym świst tnący powietrze.

Łom gruchnął w kudłaty łeb i psisko zapiszczało. Skomląc, natychmiast wycofało się na korytarz. Pozostałe psy ze zdziwieniem spoglądały na oszołomionego kompana. Nagle odskoczyły od drzwi, które trzasnęły o futrynę.

Ostatkiem sił Zack wbił łom pomiędzy framugę, a skrzydło, tworząc prowizoryczną blokadę. Z trudem łapał oddech. Osunął się na schody, gdyż

od upadku kręciło mu się w głowie.  
– Nicole!

# ROZDZIAŁ 19

Rezydencja Meyerów  
Wiosna 1985 r.

– Sprawdziłeś dokładnie? – zapytał Bruce Backerly, trzymając się za przestrzelone ramię.

– Tak, to już ostatni! – Mężczyzna wziął rozpęd i rzucił ciałem w płomienie. – Co z Billem?

– Nic.

– Nie zabieramy go?!

Backerly pokręcił głową.

– Nie tak to miało wyglądać!

– Słuchaj. – Lider bandy zdrową ręką złapał towarzysza za koszulę. – Bill miał na pieńku ze starym Meyerem. Jeśli go tu znajdą, zwałą winę na niego. I tak nie żyje, więc co za różnica!

– Spora... Znaliśmy się... Nie zostawię go, nawet jeśli nie żyje.

– Jeżeli chcesz, też możesz tu zostać.

– Nie wyjdę bez niego! – rzucił stanowczo mężczyzna.

Backerly chwilę mierzył się z roslym podwładnym, ale ostatecznie puścił kompana i przeszedł do salonu, gdzie stała oparta o ścianę strzelba. Chwycił ją jedną ręką i wycelował w towarzysza.

– Ej! Co, do...

– Sam tego chciałeś...

– Przecież jesteśmy...

Rozległ się huk i ciałem mordercy szarpnęło do tyłu.

Lider bandy podszedł do postrzelonego w brzuch kompana, który wciąż jeszcze chwiał się na nogach i dotykał poszarpanych lędźwi, jakby nie

rozumiał, co właśnie się stało. Konający otrzymał potężnego kopniaka i poleciał w płomień buchające z jadalni i kuchni.

Na schodach leżał martwy brodacz zabity przez Johna Meyera. Backerly zaciągnął ciało Billa najbliższej ognia, jak tylko zdołał. Miał nadzieję, że płomień pochłonie także i te zwłoki. Opuścił rezydencję i pobiegł do samochodu, gdzie czekał już na niego czwarty członek bandy.

– Jedź! Jedź! – rozkazał Backerly, wskakując do wozu.

– Co tam się stało?! Znowu słyszałem strzał! – odkrzyknął kierowca, obserwując w lusterku pomarańczową łunę i płomień, które powoli rozprzestrzeniały się po parterze.

– Nic. – Wyczerpany przywódca opadł na tylną kanapę samochodu, ciężko dysząc.

– Jak to *nic*?! Gdzie Louis?!

– Nie twoja sprawa. – Backerly podniósł strzelbę i wycelował w głowę kierowcy. – Jeżeli chcesz żyć, po prostu jedź.

# ROZDZIAŁ 20

## Rezydencja McCainów Obecnie...

Nicole drgnęła. Ocuciły ją zimno oraz boląca, drętwiejąca noga. Otworzyła oczy, ale wciąż widziała jedynie czerń. Do jej uszu nie docierał żaden dźwięk. Obawiała się, że właśnie tak wygląda koniec, ale wtedy po lewej usłyszała potworny raban spowodowany przewracającymi się meblami, a chwilę po nim odezwał się znajomy głos:

– *Cholera...*

– Zack... – jęknęła.

– *Żyję, żyję...* – warknął z oddali. – *Ledwo, ale żyję...*

Wszystko wróciło. Z góry dobiegło szczeknięcie psa, a z każdą mijającą sekundą obolałe od upadku ciało coraz bardziej dawało o sobie znać. Poharatana kłami noga rwała, jakby ktoś oblał ją kwasem.

Nagle przestrzeń pojaśniała.

– Nareszcie! – krzyknął z ulgą Zack i wrócił do Nicole. – Prościej byłoby znaleźć ten włącznik, gdyby go zakopali! Niech ich... Jezu... – Zesztywniał, gdy zobaczył jej twarz. Przyklęknął i z uwagą obejrzał ranę na głowie.

– Co? – zapytała zdziwiona. Nie wiedziała, że na czole ma spore rozcięcie. Ściekająca strużkami po twarzy i szyi krew wsiąkała we włosy i ubranie.

– Paskudnie to wygląda.

Zack chciał delikatnie rękawem kurтки oczyścić twarz Nicole, ale gdy tylko dotknął okolicy rany, skóra zapiekła, jakby ktoś przytknął do niej gorący metal. Partnerka syknęła i odruchowo odsunęła głowę, a jej usta wykrzywił grymas bólu.

– Przepraszam za wszystko... – Nie wiedząc, jak zareagować, Zack powiedział jedyne słowa, jakie przecisnęły się przez zmiażdżone żalem gardło. Miał szkliste oczy. Objął mocno Nicole, a ta się rozpląkała, wtulając głowę w jego pierś. Zawsze starała się być silna, ale ostatnie dwa dni uświadomiły jej, jak kruche potrafi być życie.

– Ci dwaj ochroniarze... – przypomniała sobie.

– Wiem. Nic nie mów. Wydostaniemy się stąd. Obiecuję ci to!

– Jak? – Pociągnęła nosem i spojrzała mu w oczy. Nie dostrzegła w nich pewności, na którą tak liczyła. – Ci ludzie nie żyją przez nas. Zabiliśmy ich – wyłkała.

– To nieprawda i dobrze o tym wiesz!

– Wiem jedynie, że włamaliśmy się tutaj, a uruchomiony przez nas alarm sprowadził ochroniarzy, których zagryzły psy. Ja chciałam go uruchomić. Rozumiesz?! A teraz ci mężczyźni nie żyją! Równie dobrze sami mogliśmy ich zabić!

– Kochanie...

– Zabiłam ich, Zack! Nie żyją przeze mnie! – Ponownie się rozpląkała.

Tulił ją tak mocno, jak jeszcze nigdy. Sam miał wyrzuty sumienia, ale starał się je jakoś zagłuszyć. Musieli znaleźć wyjście i to szybko. Przez głowę Zacka przelatywały setki myśli jednocześnie. Wiedział, że wkrótce pojawi się kolejna grupa, znacznie lepiej przygotowana. Gdy zajmą się psami, przeszukają dom i znajdą winowajców. Zack nie miał pojęcia, jak się z tego wytłumacza.

– Pomogę ci wstać.

– Po co? – jęknęła.

– Wstań, proszę... – Pociągnął ją za rękę, ale Nicole nawet nie zareagowała. – Musimy iść.

– Dokąd?

– Wydostaniemy się stąd.

– Wkrótce... ktoś się zjawi – powiedziała łamiącym się głosem.

– Wiem... I dlatego musimy uciekać.

Spojrzała na niego błagalnie.

– Nie mam już siły, Zack. Naprawdę...

Przykucnął.

– Nie pozwolę, żeby zwykłe włamanie zrujnowało nam życie. Ci ludzie zginęli, bo ktoś nie dopilnował tych zwierząt. Zwłoki, które widzieliśmy



z okna biblioteki... Twierdzisz, że ten biedak też zginął przez nas?

– Nie, ale...

– Więc przestań się obwiniać. Jeżeli nic nie zrobimy, bezczynność nas pograży. Chcesz czekać przyczajona, jakbyś rzeczywiście była winna? Poszukamy innego wyjścia i uciekniemy stąd ich samochodem. Obiecuję, że pojedziemy prosto do siedziby tej firmy i powiemy, co się stało. A najlepiej, gdybyśmy od razu udali się na policję. Przecież specjalnie uruchomiliśmy alarm! Jeżeli będą chcieli, mogą nawet zdjąć odciski palców ze skrzynki z bezpiecznikami. Po co mielibyśmy go włączać?

– Nie wiem... Nic już nie wiem...

– Proszę cię, Nicole – błagalnym tonem próbował przemówić jej do rozsądku. – Musimy się stąd wydostać, żeby udowodnić, że to wszystko nie jest naszą winą.

– Zack... To jakiś obłąd.

– Wiem, ale nie mamy innego wyjścia. Jeśli znajdą nas tutaj ukrytych, już po nas. Pomogę ci. – Złapał ją za przedramiona. – Wstań, proszę.

Każdy ruch powodował ból w innym miejscu jej ciała. Podnosząc się z zimnego betonu, złapała się za zębra. Wciąż była na tabletkach, lecz nie wyobrażała sobie, co będzie, gdy przestaną działać.

– Zack... – Wsparła się na poręczy. – Nie zdołam nawet wejść po schodach, a co dopiero stąd uciec.

– Usiądź.

Z jękiem, przy asekuracji Zacka, opadła na drugi od dołu schodek. Zaciskając zęby, wyprostowała nogę. Była tak spuchnięta, że ledwie nią poruszała. Z rezygnacją patrzyła, jak partner znika w najbliższej wnęce pozbawionej drzwi. Dopiero teraz była w stanie skupić się na miejscu, w którym się znaleźli – na detalach.

Schody z parteru prowadziły do otwartej przestrzeni wielkości sporego salonu, od której ciągnął się szeroki, rozgałęziający się korytarz. Najwyraźniej cała rezydencja była podpiwniczona. Wszędzie znajdowały się mniejsze i większe pomieszczenia, choć w żadnym z najbliższych nie zamontowano drzwi – do każdego można było swobodnie wejść. W wielu miejscach stały zakurzone rupiecie. Niektóre – z pewnością te bardziej wartościowe – przykryto pokrowcami. Pozostałym pozwolono niszczyć.

Obecnie piwnice służyły jako składowisko niechcianych sprzętów i mebli. Była to monstrualnych rozmiarów wersja składzika pod schodami,

gdzie znaleźli skrzynkę z bezpiecznikami. Wszystko, co usuwano z części mieszkalnej, kończyło tutaj. Być może robiono to, gdyż stare meble z czasem zyskiwały na wartości, ale stan widocznych pozostawiał wiele do życzenia. Jedynie prawdziwi kolekcjonerzy mogliby znaleźć tutaj coś wartościowego.

Nicole usłyszała dziwny metaliczny odgłos.

– Zack!

– Jestem, jestem... – Wyjrzał z najbliższego pomieszczenia po lewej.

– Znalazłeś coś?

– Jeszcze nie. Tutaj jest wszystko, ale tak naprawdę nie ma niczego. Okna są zakratowane od zewnątrz, więc nie wyjdziemy tą drogą.

I dzięki Bogu, pomyślała. Nie wyobrażała sobie gramolenia się przez wąski otwór w tym stanie. Nie wspominając już o biegu do bramy lub samochodu...

– Znalazłem jakieś żelastwo – przedmiot przypominający zgięty pręt z brzękiem wylądował na korytarzu – ale na niewiele się przyda, gdy naraz rzucą się na nas cztery psy.

– Zack, to nie ma sensu.

Pewnie, najlepiej sięść i płakać, pomyślał. Też miał dość, ale nie mógł obwiniać nikogo oprócz siebie. To on nalegał, żeby tu przyjechać. Wrócił do Nicole i usiadł obok niej na schodku.

– Obiecałem, że nas stąd wyciągnę i mam zamiar dotrzymać słowa. Przeze mnie tu jesteśmy. Nie poddam się gierkom jakiegoś psychopaty!

– Jakiego psychopaty, Zack... Przecież nikt na nas nie poluje – wyjęczała.

– Chyba nie myślisz, że to wszystko... – Rozłożył ręce i chciał kontynuować, ale Nicole weszła mu w słowo:

– Po włączeniu alarmu czekaliśmy ponad pół godziny. Myślisz, że jeśli ktoś specjalnie nas tu sprowadził, dopuściłby do pojawienia się ochroniarzy, nie mówiąc już o ich śmierci? W końcu przyjadą następni, a może nawet policja. Przetrzęsą ten dom od piwnic aż po strych. Jeżeli ktoś rzeczywiście nas obserwował, mógł to załatwić w każdej chwili. Dopadłby nas, zamknąłby psy i odwołał interwencję ochrony. Tu nikogo nie ma, Zack! Sami to na siebie sprowadziliśmy!

– Nie wierzę...

– Wymyślamy kolejne bzdury, próbując wszystko wyjaśnić, a tak naprawdę nie ma czego wyjaśniać! Ci ludzie nie żyją i zostaniemy oskarżeni

nie tylko o włamanie, ale też o doprowadzenie do ich śmierci.

– Przyznając się do włamania i uruchomienia alarmu mamy jeszcze szansę – nalegał Zack. – Musimy tylko znaleźć jakąś drogę ucieczki.

– Każdy z nich miał broń i kamizelkę, a nie dali rady! Ja ledwo żyję, a ty znalazłeś stary pręt. Ile jeszcze trzeba, żebyś zrozumiał, w jakim gównie utknęliśmy?! – wykrzyczała.

– Broń! – podchwycił Zack. – Leżała niedaleko drzwi.

– Stracisz dłoń, zanim dosięgniesz pistoletu. Te psy są szkolone do polowania, a może nawet do zabijania.

Jakby na zawołanie usłyszeli szczeknięcie.

Zack westchnął. Szacował, że druga grupa zjawi się do godziny. Nie mogli czekać, aż ogary sobie pójdą.

– Jeżeli rzeczywiście chcesz nas stąd wydostać, to wymyśl coś rozsądnego, bo do tej pory wszystko wzięło w łeb! Gdyby nie ja, już dawno przypominałbyś tamtego trupa!

Echo rozniosło bolesne dla Zacka słowa po wszystkich zakamarkach. Nawet psy dały głos, słysząc swe ofiary.

– Masz rację. Uratowałam mnie, więc teraz moja kolej, żeby uratować ciebie.

Nicole szybko pożałowała wypowiedzianych zdań, ale już nie mogła ich cofnąć. Skryła twarz w dłoniach. Poczuła, że Zack zabiera rękę z jej ramienia. Otarła łzy bezsilności i spojrzała za siebie – na schody, skąd dochodziło ujadanie. Zanim odwróciła głowę, partner gdzieś zniknął.

Przytrzymując się poręczy, wstała, choć sama jeszcze nie wiedziała, po co. Jęknęła z bólu, gdy spróbowała oprzeć ciężar ciała na rannej stopie. Miała wrażenie, że pulsująca krew za chwilę rozerwie kończynę. Mimo to pokuśtykała do ściany i weszła do najbliższego pomieszczenia. Oparła się o stojące tam zakurzone biurko i szarpnęła za uchwyt szuflady.

– Co robisz? – przeraził się Zack, widząc Nicole na nogach.

– Nie mamy gwarancji, że kolejni ochroniarze załatwią sprawę. Nie wiem też, ile jeszcze wytrzymam. Zwariuję, jeżeli za coś się nie wezmę. Za chwilę przestaną działać tabletki. Masz rację... Za wszelką cenę musimy dostać się do samochodu przed domem.

Zack skinął głową i zagłębił się w niezbadanej dotąd piwniczce. Jej zawartość okazała się bardziej niż zaskakująca.

– Nicole... Cokolwiek robisz, zostaw to na chwilę.

Pomógł partnerce przejść korytarzem. Gdy znalazła się w sąsiednim pomieszczeniu, zeszywniała. Wypełniały go stare, metalowo-drewniane sprzęty niewiadomego pochodzenia i przeznaczenia. Posiadały proste mechanizmy, klamry, a niektóre także ostrza.

– Co to?

– Nie wiem, czy chcę wiedzieć – odparł i pomógł Nicole oprzeć się o najbliższą maszynę.

Była to długa, szeroka ława. Na jej końcu zamontowano przekładnię z korbą. Prawdopodobnie służyła do opuszczania i dźwigania ciężkiego żelaznego walca umieszczonego pionowo w specjalnej obudowie.

Przyglądali się temu ustrojstwu, jakby właśnie odkryli bursztynową komnatę.

– Ostre?

– Wystarczająco, żeby pod naporem niewielkiej siły przedziurawić ciało – odparł Zack, dotykając żelaznych kolców innej maszyny.

– McCain nie tylko kolekcjonował broń. To średniowieczne narzędzia tortur – oznajmiła Nicole, z obawą przyglądając się sprzętom.

– Skąd wiesz?

– Widziałam kiedyś podobne. Jedna z naszych modelek miała sesję i towarzyszyło jej coś takiego.

– Chcieliście torturować klientów waszą nową serią? – rzekł prześmiewczo Zack, ale natychmiast spowaźniał. To nie był dobry moment.

Nicole nie zwróciła na żart najmniejszej uwagi. Wciąż była zszokowana odkryciem.

– Na tym jest chyba krew. – Zack przymrużył oczy, wskazując masywny stół pod ścianą.

– Jesteś pewny?

– Raczej tak... – Dokładnie go obejrzał. Tkwiły w nim żelazne klamry na ręce i nogi. W wielu miejscach drewno miało ciemne przebarwienia. Prawdopodobnie była to zaschnięta krew. – Na szczęście nie wygląda na świeżą. Założę się, że te maszyny stanowią pamiątki z wypraw.

– Nie sądzę. – Nicole pokręciła głową. – McCainowie podróżowali po wielu kontynentach, a to wszystko wygląda, jakby idealnie do siebie pasowało, pochodziło z jednej epoki i kultury.

Zack spojrział na partnerkę. Ta od razu się domyśliła, co chce powiedzieć.

– O nie... Nawet nie zaczynaj o psychopacie, który nas tutaj zwabił –

zirytowała się i wyszła na korytarz.

Zack podążył za nią.

– Mamy dość prawdziwych problemów – kontynuowała. – Szukajmy tego cholernego wyjścia i wynośmy się... Zack... – Nicole wpatrzyła się w stertę starych mebli. – Tam są drugie schody.

Odwrócił się błyskawicznie.

– A niech mnie!

Stopnie znajdowały się na końcu jednej z odnóg korytarza i były niemalże niewidoczne. Zastawiono je szafkami, które ktoś tam ustawił, nie pozostawiając nawet wąskiego przejścia. Zack musiał wpierw odsunąć kilka, aby precyzyjnie się do schodów. Starał się to zrobić najciszej, jak tylko potrafił, aby nie zwabić psów. Gdy uporał się z problemem, wszedł na górę i przylgnął do drzwi bez klamki. Zaczął nasłuchiwać.

Nicole podeszła bliżej.

– Może zacznę hałasować przy tamtym wyjściu, a wtedy ty mógłbyś... – zamilkła, widząc wymowny gest ręki partnera.

– Słyszę je... – szepnął. – A przynajmniej jednego. – Zszedł do Nicole i zaczął biegać po piwnicy, studiując rozkład pomieszczeń i odległości. Gdy był już pewny swego, pokazał na sufit. – Jeżeli się nie mylę, to w tej chwili jesteście pod kuchnią, może pod jadalnią.

– Czyli blisko tylnego wyjścia...

– Właśnie! Jednak obawiam się, że... Nie pamiętam żadnych dodatkowych drzwi w kuchni, w jadalni ani w pobliżu tych pomieszczeń.

– Ja też nie.

– Nie jestem pewien, dokąd te schody prowadzą. Poza tym w drzwiach nie ma klamki. Założę się, że zrezygnowano z tego zejścia i zabudowano je.

– Dlatego stoją tutaj te meble.

Zack potaknął i pokręcił głową ze zrezygnowaniem.

– Cholera... A tak liczyłem na to wyjście. Tak jak mówiłaś... Mogłabyś zwabić psy, a ja wybiegłbym tędy na zewnątrz.

– Wciąż możemy tak zrobić! – ożywiła się. – Tylko że odwrotnie. Staną tutaj – wskazała zapieczętowane wyjście – zacznę hałasować, a ty uciekniesz tamtymi drzwiami i pobiegiesz prosto do samochodu!

– Miałem nadzieję wymknąć się po cichu.

– Może chociaż uda ci się zdobyć broń.

– To nie byłoby głupie... – przyznał szczerze. – Pistolet leżał przy

ochroniarzu. To tylko kilka kroków od wyjścia.

– A więc?

– Poczekaj. Rozejrzę się jeszcze, a jak nic lepszego nie wymyślę, ruszamy z twoim planem.

– Tylko szybko, bo nie wiem, ile jeszcze wytrzymam.

Nicole oparła się o niski kredens. Dogorywała. Nagle jej nozdrza podrażnił nieprzyjemny zapach. Już wcześniej czuła coś dziwnego, ale założyła, że to przez miejsce, w którym się znaleźli. Teraz była pewna, że im bliżej końca głównego korytarza się znajdują, tym zapach staje się intensywniejszy.

– Czujesz to?

Zack wciągnął powietrze nosem.

– Tak... – Zbliżył się do zamkniętych drzwi – jedynych, jakie zamontowano w piwnicy. – Tutaj śmierdzi jeszcze bardziej. Nawet nie podchodź.

Niespodziewanie rozległ się metaliczny brzęk przypominający odgłos ciągniętego po ziemi łańcucha i coś uderzyło w drzwi po drugiej stronie.

Zack odskoczył od nich jak rażony prądem. Trącił stojące na szafce puste, zakurzone butelki, które spadły na ziemię i roztrzaskały się w drobny mak.

Gdy ucichł odgłos tłuczonego szkła, usłyszeli jęki przypominające rżenie umierającego człowieka.

– Jezu... – stęknęła Nicole, zakrywając usta dłońmi. – Tam ktoś jest...

## ROZDZIAŁ 21

Przez dłuższą chwilę stali, jak osłupiali.

Wreszcie Zack zbliżył się do drzwi i zawołał niepewnie:

– Halo!

Odpowiedziało mu uderzenie i jęk. Najwyraźniej osobnik za nimi był tak bardzo wyczerpany, że nie potrafił nawet wydusić z siebie słowa, nie mówiąc już o wezwaniu pomocy.

Nie wierzyli w to, co odkryli. Nicole zapomniała o bólu i również podeszła bliżej.

– Kto to może być? – szepnęła.

– Jesteś pewna, że chcesz wiedzieć? Wciąż myślisz, że znaleźliśmy się tu przypadkiem?

Kolejny stuk.

– Zack, musimy uwolnić tego człowieka.

– Skąd wiesz, że to człowiek? A jeśli to kolejny pies?

Zapukała dwukrotnie w drzwi.

– Halo!

Odpowiedziało jej podwójne uderzenie.

– To zdecydowanie człowiek... – warknęła. Utykając, poszła w stronę pierwszego wyjścia.

– Dokąd idziesz?

– Po ten pręt, który rzuciłeś na korytarz.

– Poczekaj! – Zatrzymał ją.

– Nie mam zamiaru! Ten ktoś tam umiera!

– A jeśli to włamywacz?

– Jaki znowu włamywacz?

– McCain mógł ich tu sprowadzić, podobnie jak nas. Resztki jednego widzieliśmy na zewnątrz. To może być jego kompan. – Wskazał drzwi.

Nicole się zamyśliła.

– Jeśli to włamywacz, a my go uwolnimy, pomoże nam wytłumaczyć się z tego wszystkiego.

– Równie dobrze może nas zabić, myśląc, że to my go tu wsadziliśmy!

– Ktokolwiek to jest – Nicole odepchnęła rękę Zacka – nie zasługuje na taką śmierć.

– Zaczekaj!

– Na co, znowu?!

– Przyniosę ten cholerny pręt... – rzekł z rezygnacją w głosie.

Chwilę później stał przy skoblu zabezpieczonym kłódką i próbował coś wskórać. Znacznie lepszy byłby łom, którym wcześniej zablokował wyjście. Nie widząc zbyt wielu możliwości, Zack założył gruby pręt, który okazał się zniszczonym pogrzebaczem, pomiędzy futrynę a drzwi i mocno pociągnął. Metal poddał się i jeszcze bardziej wygiął.

– Świetnie...

– Spróbuj w nie kopnąć.

Zrobił tak, ale drzwi ledwie drgnęły. Odpowiedziało im za to pojedyncze uderzenie z drugiej strony.

– Odsuń się... – Zack zaczął bezmyślnie tłuc kłódkę pogrzebaczem, generując przy tym potworny hałas.

Nicole zatkała uszy i odwróciła się. Jej wzrok padł na pobliską ścianę.

– Zack! – wrzasnęła nagle.

Zasapany spojrzał na partnerkę, która stała obok, trzymając w dłoni mosiężny klucz.

– Żartujesz sobie ze mnie?

– Mam nadzieję, że nie, bo zaraz ogłuchnę. Wisiał tutaj. – Wskazała ścianę.

Klucz idealnie pasował do zamka. Na szczęście mechanizm nie został uszkodzony przez uderzenia. Zabezpieczenie gwałtownie odskoczyło, jakby było nowe. Zack zdjął kłódkę. Popatrzył niepewnie na partnerkę, która skinęła głową.

– Uwaga, wchodzimy! Proszę się odsunąć od drzwi!

Nicole rzuciła mu pytające spojrzenie.

Wzruszył ramionami. Skąd miał wiedzieć, co się mówi w takiej sytuacji.

Gdy pchnęli ciężkie skrzydło, ich nozdrza podrażnił porażający smród fekaliiów.



– Jezu... – jęknęła Nicole, zatykając usta i nos.

W środku nie paliło się światło.

Zack wymacał na ścianie włącznik, zanim jeszcze przekroczył próg. Niestety, oświetlenie nie działało.

– Halo...

Nicole została nieco z tyłu.

Otworzyli drzwi na oścież, aby łuna z korytarza rozjaśniła wnętrze. Pomieszczenie wyglądało na puste, choć nie widzieli dokładnie każdego kąta.

– Halo... – powtórzył Zack, robiąc kolejny krok. Usłyszał ciężki, świszczący oddech. Kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Obrócił głowę. Zauważywszy po prawej stojącego w mroku człowieka, drgnął. Osobnik wcale nie wyglądał na wycieńczonego.

– Ty sukinsynu... – warknął więzień.

– Co, proszę?

Łańcuchy zabrzęczały i mężczyzna w brudnych łachmanach rzucił się na Zacka.

– Nicole, uciekaj! – Zasłonił się pogrzebaczem. Gdyby tego nie zrobił, dostałby łańcuchem w twarz. – Jesteśmy tu, żeby panu pomóc!

– Akurat...

Mężczyzna atakował z taką wściekłością, że Zack nie wiedział, jak się bronić, żeby nie wyrzucić mu krzywdy. Przecież chcieli go uratować!

Więzień przyparł przeciwnika do muru i zaczął okładać pięściami zakutymi w stare, żelazne obejmy przypominające te z sali ze średniowiecznymi machinami tortur. Kopnął Zacka w brzuch. Ten zwinął się wpół i wtedy otrzymał kolejny cios – tym razem dostał kolaniem w głowę i padł na beton.

Nicole zapomniała o bólu i rzuciła się na szaleńca. Łapiąc go od tyłu za szyję, starała się odciągnąć mężczyznę od dochodzącego do siebie partnera.

– Jesteśmy po pana stronie! Przyszliśmy pana uwolnić! – Ona również nie chciała skrzywdzić tego człowieka, gdyż był ich jedyną przepustką do wolności.

Mężczyzna nie spodziewał się po wątłej kobiecie aż tak mocnego chwytu, który błyskawicznie odciął mu dopływ powietrza. Bez skrępowań zasadził oprawczyńki łokciem w brzuch, uwalniając się z trzymania. Bezpardonowo pchnął ją na ścianę.

Nicole z jękiem upadła, łapiąc się za bok.

Zack wymacał na ziemi pogrzebacz. Przytrzymując się ściany, wstał. Odszukał wzrokiem partnerkę – leżała w kącie, a ten wariat szedł już do niej.

Nicole zasłoniła twarz, gotując się na atak nogą.

Zack wziął zamach i z całej siły uderzył szaleńca w głowę.

Krew obryzgała ściany.

Więzień padł na kolana, a łańcuchy zabrzęczały przy zetknięciu z betonem. Osobnik zachwiał się i grzmotnął twarzą o twarde podłóżo. Zastygł w bezruchu z otwartymi oczyma.

Słyszając jęki Nicole, Zack otrząsnął się i przyklęknął przy niej.

– Zranił cię?!

– Mogło być gorzej – wymamrotała, obróciwszy się na plecy. Udawała twardą, ale w rzeczywistości było bardzo źle. Wciąż z trudem łapała powietrze po mocnym ciosie w brzuch, a z powodu bolących żeber, które prawdopodobnie połamała, upadając ze schodów, czuła każdy oddech.

Drżącymi rękami Zack delikatnie badał jej ciało, szukając nowych obrażeń.

– Dzięki Bogu! Nie wybaczyłbym sobie... – Wziął ją na ręce i wyniósł na zewnątrz, gdyż w celi oddychali smrodem fekaliów więźnia, który załatwiał się w kącie.

Zack przestał nad sobą panować. Dostrzegł stół i stojące na nim krzesła. Wciąż trzymając Nicole na rękach, kopnął je z całej siły. Pospadały na ziemię, robiąc potworny raban.

– Zack... To nam nie pomoże – uspokajała go.

Ułożył ją na stole.

– Mam gdzieś, co nam pomoże... – Właśnie zabił człowieka, który chciał zabić ich. Podbiegł do drzwi i zamknął je. Zakładając kłódkę, przypomniał sobie o narzędziu zbrodni, które zostało w środku.

– Cholera...

– Co robisz?

Nie odpowiedział. Ponownie wszedł do cuchnącej celi. Kilka sekund później wyłonił się z mroku z wygiętym, zakrwawionym pogrzebaczem.

– Trzymaj... – Przekazał go Nicole. Drżącymi dłońmi ponownie zabezpieczył drzwi, a klucz odwiesił na hak. Strzelał oczyma dookoła, próbując skupić się na czymkolwiek, byle tylko nie myśleć o trupie za drzwiami. Chodził tam i z powrotem. Wiedział, że wkrótce pojawi się ochrona, może nawet policja, a on właśnie zabił człowieka.

– Zack, zrobiłeś to w obronie własnej – odezwała się Nicole, próbując go uspokoić, choć sama była przerażona i nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

– Włamaliśmy się do tego domu, a ja zabiłem trzymanego w piwnicy więźnia. Kto nam uwierzy? No kto?! Powiedzą, że sami go tam zamknęliśmy, a potem zatłukliśmy, bo nie chciał się zamknąć!

– Zaatakował cię, na litość boską!

– Po co w ogóle tam wchodziliśmy... Mówiłem, żeby nie ruszać tych drzwi!

Po chwili nerwowej ciszy odezwała się Nicole:

– Zack, mam pomysł...

– To świetnie, bo ja nie!

– Naprawdę... Posłuchaj... Gdy zjawi się policja, powiemy, że otrzymaliśmy anonimowe zaproszenie.

– Chyba na bal pieprzonych idiotów?! – ryknął rozgoryczony.

Zignorowała jego słowa.

– Otrzymaliśmy klucz do domu.

– Jasne! Tylko że znajdował się w przesyłce, której nie byliśmy adresatami! Genialne!

– Poczekaj...

– A wybite okno w kuchni?!

– Też nas zdziwiło... – przyznała teatralnie, unosząc brwi. – Dopiero potem zrozumieliśmy, że nie tylko my otrzymaliśmy zaproszenie. Po tym, jak z okna biblioteki zobaczyliśmy zwłoki, chcieliśmy opuścić dom, ale psy odcięły nam drogę. Powiemy prawdę, Zack. Rozumiesz?! Przecież to my uruchomiliśmy alarm... Czy tak postąpiliby włamywacze? W twoim samochodzie znajdą uszkodzone przewody. Sami je uszkodziliśmy? Nie... Wszystko dookoła potwierdza naszą wersję!

– Oprócz tego trupa za drzwiami i narzędzia zbrodni z naszymi odciskami palców!

– Do piwnicy zagoniły nas psy. Przecież tak było! Wtedy usłyszeliśmy, jak ktoś krzyczy, wzywa pomocy. Chwilę później znaleźliśmy ciało w otwartej piwnicy, a obok niego pogrzebacz. Zabrałeś go, żeby mieć jakąkolwiek broń. Gdy psy zaatakowały ochroniarzy, morderca wiedział, że się nie wywinie. Musiał uciszyć jedyne go świadka, który mógł go rozpoznać. Facet uciekł, zanim przybyła druga grupa.

Zack patrzył na Nicole, która mówiła coraz pewniej. Dziwił go rozsądek,

jaki partnerka zachowuje po tym wszystkim.

– Otwórz te cholerne drzwi, a nasza historyjka stanie się prawdą...

Zack posłuchał i niemalże bezwiednie wykonał polecenie Nicole. Z obrzydzeniem spojrzął na zakrwawione zwłoki leżące pod ścianą.

– Te średniowieczne sprzęty powiedzą policji więcej niż my. Trafiliśmy do piekła... W całym domu są ślady naszej krwi... Sami się okaleczyliśmy? Uwierzą nam, Zack...

– A jeśli nie?

– Muszą, bo to prawda! To my jesteśmy ofiarami. Zawiniliśmy tylko, wybijając pieprzone okno. Nie zastrzeliłeś ochroniarzy ani nie skatowałeś ich na śmierć. To psy zagryzły tych mężczyzn. Zack... – Podeszła i ujęła jego głowę w dłonie. – Obroniłeś mnie przed tymi bestiami i przed szaleńcem, który nas tutaj sprowadził. Nie możemy dopuścić, żeby to wszystko spadło na nas.

– Mówiłaś, że nikogo oprócz nas nie ma w tym domu!

– Ale policja tego nie wie!

– Sprawdź, kiedy doszło do zgonu. Będą wiedzieć, że byliśmy tu, gdy to się stało.

– Mówiłam już... Alarm wypłoszył prawdziwego mordercę. Ten musiał pozbyć się jedyne go świadka, który mógł go rozpoznać.

Zack zmarszczył czoło.

– Gdzie w takim razie przepadł morderca?

– To już pytanie do policji. Pokażemy im przejście, jakie odkryłam pomiędzy biblioteką a sypialnią. Chyba mi nie powiesz, że takie rozwiązania stosuje się w zwykłych domach...

– No nie...

– Pół godziny temu namawiałeś mnie, żebyśmy pojechali na policję i powiedzieli, co się wydarzyło. Teraz ja ci mówię, że powinniśmy postąpić podobnie, tylko że musimy pozostać tutaj, dopóki oni sami się nie zjawią. Przy odrobinie szczęścia – odmierzyła palcami w powietrzu krótki odcinek – uda nam się uniknąć konsekwencji.

– Nie wierzę w szczęście...

– Dlatego musimy mu trochę pomóc i brzmieć cholernie przekonująco.

– Jest tylko jeden problem... Nie my otrzymaliśmy list i klucze, tylko twój sąsiad. Co więcej, on też nie był zaproszony. Nie ma szans, żeby nam uwierzyli.

– Jeżeli nie wymyślimy niczego lepszego, po prostu powiemy, że pocztę odebraliśmy za Athertona. Widząc źle zaadresowaną kopertę, otworzyliśmy list. Po prostu... skusiły nas pieniądze. Każdego by skusiły...

Zack pokręcił głową, próbując znaleźć lepsze rozwiązanie, ale plan Nicole wydawał się dobrze przemyślany. Nie miał czasu szukać w nim dziur, więc rzekł:

– Ostatecznie wolę odpowiadać za włamanie niż za morderstwo – przyznał, uspokajając się nieco.

– Dokładnie tak...

– Czyli nie wiemy, którędy uciekł morderca i nie widzieliśmy go – upewnił się Zack, spoglądając na Nicole.

Potaknęła, ciesząc się, że partner wreszcie zaczyna myśleć racjonalnie.

– Być może morderca uderzył tego biedaka i wyszedł, zanim my zeszliśmy na dół. W końcu od uruchomienia alarmu do interwencji minęło sporo czasu.

– Powiedziałaś, że psy nas tu zagoniły i że słyszeliśmy krzyki tego człowieka.

– Kto wie... Facet mógł dogorywać nawet godzinę, wzywając pomocy, a może akurat słyszeliśmy, jak ktoś go morduje. Jedno jest pewne... Gdy go znaleźliśmy, już nie żył.

– Dobra... to brzmi rozsądnie – przyznał Zack i zaczął się rozglądać.

– Czego szukasz?

– Ta historia byłaby znacznie bardziej wiarygodna, jeżeli znaleźlibyśmy stąd trzecie wyjście. Powiedzielibyśmy, że widzieliśmy, jak ten ktoś ucieka, ale baliśmy się psów i woleliśmy zostać w bezpieczniejszym miejscu.

– A te drugie drzwi, bez klamki?

– Trochę naciągane... Nie wiemy, dokąd prowadzą. Ostatecznie moglibyśmy je wskazać, ale co, jeśli się okaże, że na górze są zastawione meblami?

– Racja...

Zack zaglądał w każdy kąt. Jeszcze raz przeszedł się po całej piwnicy, szerokim łukiem omijając pomieszczenie ze zwłokami. Nawet nie patrzył w tamtą stronę. Ostatecznie przymknął drzwi. Wiedział, że to głupie, ale zaczynał się zastanawiać, czy za którymś razem, gdy spojrzy do środka, martwy mężczyzna wciąż będzie tam leżał.

W pewnym momencie uwagę Zacka zwrócił krzywo stojący w stosunku

do ściany, częściowo przeszklony kredens. Miał nogi z giętego, rzeźbionego drewna i ozdobne uchwyty. Brakowało mu lewych drzwiczek i był nieco odarty od frontu. Na lakierowanym, zakurczonym meblu widniały ciemniejsze ślady – jakby ktoś go niedawno chwycił, aby przesunąć.

Gdy Zack zerknął za niego, osłupiał.

– Nicole! Tu są jeszcze jedne drzwi!

– Żartujesz?!

– Nie, do cholery! Mamy nasze trzecie wyjście! – wrzasnął uradowany.

## ROZDZIAŁ 22

Zack już zabierał się za odsunięcie kredensu, ale Nicole go powstrzymała:

– Po tym, co... kogo znaleźliśmy za tamtymi drzwiami, nie wiem, czy chcę wiedzieć, co jest za tymi.

– Spójrz na podłogę. Widzisz te ślady? Ktoś korzystał z tego przejścia i to wielokrotnie. – Zack wskazał miejsca na meblu, gdzie warstwa kurzu była znacznie cieńsza lub nie było jej wcale. Przyłożył dłonie, pokazując, jak ktoś łapał kredens, aby go przesunąć.

– To nie twoja robota?

– Nawet go nie dotknąłem!

Drzwi zastawione ciężkim meblem nie miały standardowego rozmiaru – były znacznie niższe od pozostałych w domu i nieco węższe. Nie posiadały też zabezpieczenia w postaci kłódki, a jedynie zwykły zamek. O dziwo, tkwił w nim klucz.

– Sama nie wiem. Wszystko idealnie pasuje do naszej wersji – oznajmiła Nicole, wyraźnie się wahając, czy powinni je otworzyć.

– Jeżeli prowadzą na zewnątrz albo chociażby na piętro, a nie tylko do następnego pomieszczenia, to właśnie twoja historia stała się nie do podważenia. Nie chcesz się przekonać? A jeśli powiemy, że uciekł tędy, a za drzwiami będzie ściana?

– Czy ja wiem... – wzdrygnęła się.

– Wystarczy, że ja wiem.

Nie chcąc pozostawić odcisków, Zack sięgnął po szmatę okrywającą stary fotel stojący obok. Złapał przez nią kredens i odsunął go, podnosząc jedną stronę.

– Oby to nie przysporzyło nam kolejnych kłopotów.

– Chwila prawdy...

Chciał przekręcić klucz, ale ten nawet nie drgnął. Najwyraźniej zamek był otwarty. Zack nacisnął klamkę i drzwi ustąpiły. Poczuli powiew chłodniejszego powietrza niosącego ze sobą wilgoć i zapach charakterystyczny dla podziemnych korytarzy.

– To... Założę się, że prowadzi na zewnątrz – bąknął Zack, nie mogąc uwierzyć w ich szczęście.

Nicole myślała, że to jakaś skrytka, ewentualnie kolejne ukryte przejście prowadzące na parter. Nie spodziewała się, że tędy rzeczywiście będą mogli uciec.

– Chyba nie chcesz tam wejść?

– Nicole, znaleźliśmy wyjście!

– Skąd wiesz?

– Czuję to... Przecież tędy mógł wydostać się ten sadysta – rzucił entuzjastycznie Zack, nawiązując do jej teorii. – Pomyśl... – Złapał ją za ramiona. – Nie czekamy na interwencję policji, tylko biegniemy prosto do nich i mówimy, jak było. Ktoś przetrzymywał tego człowieka – wskazał drzwi celi – a później zabił. Widzieliśmy uciekającego tędy mordercę, więc założyliśmy, że to przejście prowadzi na zewnątrz.

– Zaczekaj... – oznajmiła stanowczo Nicole, ale Zack nie chciał jej słuchać.

– Proszę... Sprawdźmy, dokąd to prowadzi. Jeśli na zewnątrz, to zwabisz psy do domu, a ja wyjdę tędy i zamknę je w środku.

– A jeżeli nie dasz rady i cię dopadną?! – zirytowała się.

Zack zaniemówił. Coś poważnie go zaniepokoiło. Coś, czego wcześniej zupełnie nie wzięli pod uwagę.

– A jeśli nikt nie przyjedzie, a my będziemy tu czekać nie wiadomo jak długo?

– Chcesz powiedzieć, że nikt nie zainteresuje się dwoma zaginionymi ochroniarzami? Nikt nie będzie czekał na ich raport?

– Przecież ktoś utrzymywał tego więźnia przy życiu. Facet nie wyglądał na wycieńczonego, więc regularnie musiał dostawać wodę i jedzenie.

Nicole zeszywniała.

– Załóżmy – kontynuował Zack – że ktoś, może nawet sam McCain, zamknął go tutaj. Myślisz, że policja szwendająca się po domu będzie temu psychopacie na rękę?

– Zack... Ustaliliśmy, że w domu nikogo nie ma.



– Ty ustaliłaś...

– Twierdzisz, że informacja w liście o wyjeździe na operację to jedna wielka ściema?

– Zgaduję, że tak. Pomyśl... Wystarczy, że McCain wziął komunikator jednego z ochroniarzy i zgłosił zakończenie przeszukania. Wsiądzie w ich samochód, po czym porzuci go na jakimś zadupiu. Wróci taksówką do domu, a ciała zakopie w lesie, pozbywając się kłopotu. Zanim ktoś dojdzie do tego, co się stało, mogą minąć dni, tygodnie, miesiące...

– Wciąż się upierasz, że ktoś sprowadził nas tu celowo? – Nicole miała już dość zgadywanek.

– A ty nie? – Zack roześmiał się ironicznie, nie mogąc uwierzyć w naiwność partnerki. – Nie twierdę, że facet miał na myśli nas. Może chodziło mu o Athertona, ale nie zmienia to faktu, że list był podpuchą.

– Ja już naprawdę nie wiem, co myśleć. Mieliśmy ustaloną wersję, a teraz wszystko wzięło w łeb, bo znaleźliśmy pieprzone drzwi. Nawet jeżeli się przez nie wydostaniemy, wszystko zacznie się od nowa!

– Co zacznie się od nowa?! Zwabisz psy, a ja wyjdę na zewnątrz i zamknę je w domu. Pomogę ci tędy przejść i jesteście wolni!

– Zack... Rozumiem twój entuzjazm, ale wierz mi, że ledwo żyję. Zęby mnie bolą od zaciskania ich przy każdym kroku. Spadając ze schodów, chyba połamałam zębra. Czuję ból przy oddychaniu. Nie możemy poczekać godzinę albo dwie w spokoju? A jeśli ci ochroniarze wzięli ze sobą kluczyki z samochodu i teraz któryś ma je przy sobie? Jakim cudem będę wiedziała, że wszystkie psy się zlecą, jak zacznę hałasować? Nie usunę łomu i nie otworzę drzwi, żeby sprawdzić, bo jak któreś bydlę weźmie rozpęd i uderzy w nie, to ich nie utrzymam. Razem mieliśmy z tym problem. Już zapomniałeś?

– Nie rozumiem, dlaczego chcesz tu czekać, jeżeli...

– To ja nie rozumiem, dlaczego chcesz ryzykować!

Zamilkli na chwilę. Zack nie wytrzymał jako pierwszy. To on miał więcej do stracenia.

– Zabiłem go, Nicole. Co z tego, że zrobiłem to w obronie twojej czy własnej. Jeżeli policja nam nie uwierzy, że ktoś inny to zrobił... – Wolał nie kończyć myśli. – Wystarczy, że wyjdziemy na zewnątrz. W lesie zakopię ten cholerny pogrzebacz i nie będę musiał się tłumaczyć, dlaczego przyłapali mnie z narzędziem zbrodni, podczas gdy w tej piwnicy dałoby się znaleźć pewnie z dziesięć takich!

- Rób, jak uważasz... – Podniosła ręce, poddając się.
- Pozwól, że chociaż sprawdzę, dokąd to prowadzi.
- A co ze światłem? Skąd weźmiesz latarkę?
- Zaraz poszukam. Założę się, że jakąś znajdę. Zrobimy tak. Jeśli nie znajdę, zostajemy tutaj. Jeżeli znajdę, pójdę sprawdzić to przejście, a ty zostaniesz... Ha!
- Gdzie? – Podniosła wzrok. Niestety, Zack właśnie znalazł to, czego szukał, w pierwszej szufladzie odsuniętego kredensu.
- A jeżeli zjawi się policja, a ciebie nie będzie?
- Powiesz, że nie byłeś w stanie dalej iść. To szczerą prawdą... Chciałem sprawdzić to przejście i dowiedzieć się, gdzie uciekł morderca.
- Idź już, bo za chwilę zwariuję z bólu, a jedyną osobą, na której mogę się wyżyć, jesteś ty.

\*

Po pięciominutowej nieobecności partnera Nicole zaczęła się niepokoić. Nie wytrzymała. Podeszła do niskich drzwi i szepnęła:

– Zack... – Nie odpowiedziało jej nawet echo. – Zack! – zawołała, choć jeszcze z pewnym umiarem. – Cholera... – Noga coraz bardziej jej doskwierała. Oddałaby wszystko za środki przeciwbólowe.

Nagle usłyszała coś niepokojącego. Problem w tym, że dziwne odgłosy dochodziły nie z ciemnego tunelu, a z okolicy schodów, którymi się tutaj dostali. W pierwszej chwili myślała, że to psy drapią drzwi. Zrobiła kilka kroków w tamtym kierunku. Szmery przerodziły się w stuki, a te w uderzenia. O dziwo, nie słyszała ujadania ani powarkiwania. Czyżby policja, pomyślała. Bo na pewno nie Zack...

Nagle w całej piwnicy zgasło światło. Ktoś musiał wyłączyć zasilanie. Nasłuchując, wyłapała szmery. Później nastąpiło potwornie głośne uderzenie, a zaraz po nim metaliczny brzęk łomu uderzającego o schody – wyłamano drzwi.

Szybkie kroki. To zdecydowanie nie był Zack.

Serce waliło jej jak młotem. W jednej chwili potwierdziły się wszystkie obawy związane z celowym sprowadzeniem ich do tego domu. Błyskawicznie kucnęła. Stęknęła, ale powstrzymała się od krzyku.

Ostatecznie skończyła na czworakach. Zapomniała o bólu. Skupiła się jedynie na dotarciu do tunelu, w którym kilka minut wcześniej zniknął Zack. Niespodziewanie usłyszała jego głos dolatujący z podziemnego korytarza:

– *Nicole!*

– Chryste, Zack, zamknij się – szepnęła, mając nadzieję, że osobnik schodzący do nich niczego nie usłyszał.

– *Nicole!*

Uderzając ranną nogą o beton, minęła drzwi i natychmiast je przymknęła. Dostrzegła snop światła latarki.

– Zack, bądź cicho...

– *Nicole!*

– Zamknij się...

– Co? – Podeszedł skulony, gdyż korytarz był dla niego za niski.

– Zgasło światło. Usłyszałam, jak ktoś wyłamuje drzwi i schodzi tutaj.

– Kto?

– A jak myślisz? – spanikowała.

Zack poczuł dreszcz rozchodzący się po ciele.

– Przepuść mnie... – Chciał jakoś zablokować wejście. Wtedy przypomniał sobie o kluczu z drugiej strony. Gdy uchylił drzwi, oślepiło go mocne światło. – Cholera...

– Pośpiesz się! – krzyknęła Nicole, wiedząc, że zostali dostrzeżeni.

Zack puścił pogrzebacz i wysunął rękę. W ostatniej chwili wyszarpnął klucz z zamka po drugiej stronie. Nastąpiło uderzenie i kredens dobił do ściany, zatraskując drzwi. Sekunda później, a te zmiażdżyłyby Zackowi rękę. Błyskawicznie włożył klucz do zamka i przekręcił go.

Usłyszeli głośny zgrzyt. Ktoś odsunął mebel i zaczął szarpać za klamkę.

– Chryste Panie... – jęknęła Nicole. – Mieliśmy rację...

– Daj mi latarkę... – szepnęła Zack. Poczuł, że partnerka cała drży.

Adrenalina uśmierzyła ból i spanikowana Nicole bez słowa zaczęła brnąć w ciemność.

Wkrótce niemalże biegli pochyleni. Wiedzieli, że drzwi nie zatrzymają długo ścigającego ich psychopaty.

– Miałaś rację... Ten sukinsyn przez cały czas nas obserwował. Nie wywabił go alarm, ale dwa ciała w domu to zupełnie inna sprawa.

– Trzy – dopowiedziała Nicole, mając na myśli martwego więźnia.

– Musi pozbyć się nie tylko zwłok, ale i świadków.

– Gdzie byłeś tak długo? – zapytała z wyrzutem. – Myślałam, że coś ci się stało.

– Tunel okazał się znacznie dłuższy, niż sądziłem.

– Dokąd prowadzi?

– Nie uwierzysz...

## ROZDZIAŁ 23

Światło latarki coraz słabiej rozjaśniało mrok – kończyły się baterie. Wciąż podążali obudowanym drewnem przejściem przypominającym korytarz starej kopalni.

– Ten człowiek nie spocznie, dopóki nas nie dopadnie. Znamy jego sekret.

– Gdy tylko się stąd wydostaniemy, dowiemy się, co jest grane w tym domu.

Po dwóch minutach szybkiego marszu, który dla Nicole wydawał się maratonem, dotarli do końca tunelu – dosłownie końca, gdyż zatrzymali się przy jednolitej ścianie przypominającej dwuczęściową płytę ze zbrojonego betonu. Wysoko po lewej Nicole dostrzegła wystający, zakrzywiony pręt.

– Co teraz? – zapytała z trwogą.

Zack pchnął górną, lewą część płyty, która zaszurała po podłożu i do wnętrza tunelu wlało się nieco światła. Wyjście miało przekrój kwadratu o boku niecałego metra. Jego dolna krawędź znajdowała się na wysokości ich pasa. Zack przekazał pogrzebacz Nicole i zwinnie wypełznął przez otwór. Podał rękę partnerce, która również wydostała się z tunelu. Gdy zobaczyła, gdzie się znajdują, zaniemówiła.

Pomieszczenie przypominało szeroki korytarz biegnący pomiędzy wysokimi, równoległymi ścianami z kamienia i betonu. Za uchyloną kratą, która niegdyś broniła wejścia, dostrzegli zieleń lasu.

W ścianach, w trzech rzędach osadzono kamienne płyty. Przez jedną z nich Zack i Nicole dostali się tutaj. Na starszych widniały wykute napisy, na nowszych – piękne tabliczki z brązu. Ponad połowa płyt była nieopisana.

– To grobowiec... – powiedziała cicho Nicole.

– Mhm... – Zack odczytywał kolejne nazwiska: – McCain... Meyer... Griffin... Te płyty wyglądają na nowsze. – Wskazał prawą ścianę.

Rozglądając się po wnętrzu, Nicole zwróciła uwagę na kąt, gdzie stał okrągły, metalowy przedmiot. Zesztywniała, gdy zrozumiała, na co patrzy.

– Zack... Zack! – Szarpnęła go za ramię.

– Co się stało?

– To psia miska... – wymamrotała.

Spojrzał na wskazany przedmiot.

– O cholera...

– Tutaj trzymał psy...

– Chryste... Musimy uciekać. McCain wie, gdzie nas szukać. Psy mogą się tu zjawić w każdej chwili.

Dopiero gdy wybiegli na zewnątrz, uświadomili sobie, jak potężny jest grobowiec. Był wielkości małego, jednorodzinnego domu. Podobnie jak wnętrze, fasadę również zdobiły kamienie zatopione w betonie, a całość wieńczył płaski dach porośnięty trawą. Poza jego obręb wystawały suche gałęzie, które spadły z koron wysokich drzew szczelnie zakrywających mauzoleum, w efekcie czego budynek był niewidoczny z lotu ptaka.

– Którędy?

Zack zerknął do wnętrza. Łatwo się zorientował, z jakiego kierunku przyszli, gdyż podziemny korytarz stanowił linię prostą pomiędzy domem a grobowcem.

– Gdzieś tam powinna być rezydencja. – Wskazał pobliskie drzewa.

– Chyba nawet ją widzę – potwierdziła Nicole.

– Jeżeli tam wrócimy, nie mamy szans. Idąc w przeciwnym kierunku, w końcu dojdziemy do ogrodzenia.

– Nie wdrapię się na nie z tą nogą!

– Nie wierzę, że całą posiadłość otoczono aż tak wysokim murem.

– A jeśli się mylisz?

– Nicole, nie możemy wrócić w okolice domu.

Spojrzała z trwogą w stronę rezydencji i jęknęła załamana:

– Wiem...

\*

Zaniechali rozmowy, aby niepotrzebnie nie zdradzać swojej pozycji i słyszeć nadciągające niebezpieczeństwo. Las nie był gęsty, więc marsz nie

sprawił większych trudności, ale nie mieli pojęcia, jakim sposobem pokonają ogrodzenie i ile zajmie im dotarcie do niego.

Po kilku minutach niezwykle bolesnej dla Nicole wędrówki dostrzegli sporo przewróconych, wyrwanych z korzeniami drzew. Na niewielkiej polanie pośród pni znajdowały się pionowe płyty nagrobne. Niektóre stały prosto, inne były przekrzywione.

– To jakiś stary cmentarz... – rzekł Zack. – Uważaj... – Wstrzymał Nicole, zapadając się po kostki w bagnie. Pomogła mu się wydostać. – Tędy nie przejdziemy. To jedno wielkie grzędawisko. Musimy je obejść.

– W porządku...

– Jak się czujesz?

– Dam radę. Byle dalej od tego przeklętego domu.

Ominięcie polany kosztowało Nicole sporo sił. Musieli pokonać wiele zwalonych drzew – podmokły grunt nie dawał korzeniom odpowiedniej przyczepności. Kilka potężnych sosen rośło w niebezpiecznym pochyleniu. Niektóre opierały się i ocierały o sąsiednie drzewa. Poruszone przez wiatr, złowrogo skrzypiały. Te odgłosy powodowały u Nicole gęsią skórę.

Wkrótce natknęli się na płytki strumień. Na jego drodze leżało przewrócone drzewo. Już wiedzieli, dlaczego ten teren jest tak grząski. Napotkawszy przeszkodę, strumień rozlał się po okolicy. Woda zawsze znajdzie inną drogę...

Zack zwrócił na coś uwagę:

– To może być nasza szansa.

Nicole spojrzała na niego niezrozumiale.

– Wierzysz, że psy zgubią trop w tym bagnie?

– Nie, nie... Myślałem raczej o ucieczce. Przecież ten strumień nie może płynąć przez mur. W ogrodzeniu musi być otwór.

W Nicole odżyła nadzieja.

– Pewnie będzie zabezpieczony kratą – kontynuował Zack – ale zawsze to jakieś wyjście.

– Spróbujmy więc...

\*

Ogrodzenie, do którego dotarli, okazało się nieco niższe, aniżeli to przy bramie, ale wciąż nieosiągalne bez drabiny. Potwierdziły się też ich przypuszczenia w związku ze strumieniem – przepływał on przez mur zbrojoną betonową rurą o średnicy jednego metra.

– Niech to... – warknął Zack, zerknąwszy do otworu.

Zgodnie z przewidywaniami, od zewnątrz otwór zabezpieczono kratą. Nie bacząc na lodowatą wodę płynącą dnem rury, Zack wszedł do środka, starając się nie zamoczyć butów. Krata była stara i zardzewiała, ale wciąż solidnie trzymała. Zespawano ją z cienkich prętów, tworząc duże oczka, aby nie osadzały się na nich mniejsze zanieczyszczenia. Zack nie miał możliwości jej kopnąć, więc zaczął uderzać rękami. Później ze wszystkich sił starał się ją wypchnąć, napierając barkiem, ale ta ledwie się wygięła.

Nicole zobaczyła, jak Zack wycofuje się i bierze rozpęd.

– Ostrożnie!

Nie usłyszała metalicznego zgrzytu, a jedynie cichy odgłos uderzenia i soczyste przekleństwo wylatujące z ust partnera. Poirytowany bezsilnością, wziął od Nicole pogrzebacz i zaczął tłuc nim kratę, generując przy tym sporo hałasu.

– Zack, przestań! Usłyszysz nas! – przeraziła się. – Na litość boską!

Nawet się nie odwrócił, więc Nicole zeszła nieco niżej. Nieuważnie stanęła na luźnym, mokrym kamieniu. Poślizgnęła się i runęła do strumienia. Ryknęła jak postrzelone zwierzę.

Zack natychmiast przerwał *operację* i podbiegł do partnerki.

– Widzisz, coś narobił... – warknęła, trzymając się za kończynę. Ból był tak nieznośny, że przyćmił odczucie paralizującego zimna wody.

– A jak inaczej chcesz się stąd wydostać?! Nawet ja nie zdołam wspiąć się na ten mur!

– Na pewno nie w ten sposób!

Ich kłótnię przerwało szczekanie psów.

– Cholera... Szybciej! – ponaglił Zack, szarpiąc Nicole, aby wstała.

– Ale gdzie chcesz...

– Do rury!

Usłuchała. Nie widziała lepszego wyjścia. Gdziekolwiek by nie uciekli, psy dopadłyby ich w okamgnieniu, a najwyraźniej już zwęszyły trop.

Zack napierał na kratę ze wszystkich sił. Słyszając coraz głośniejsze ujadanie, wiedział już, że psy ich wyczuły. Nie było czasu na subtelne próby,



więc zaczął tłuc pogrzebaczem beton, próbując wyszczerbić go w miejscu, gdzie zatopiono pręty.

– Zwabisz je tutaj!

– I tak nas dopadną! Co za różnica, gdzie!

Nicole dostrzegła pierwszego nadbiegającego ogara. Zaraz za nim wyłonił się kolejny. Skuliła się i z trwogą patrzyła, jak wyhamowują przed rurą.

Na szczęście woda także dla psów okazała się zimna. Zaczęły ujadać, ale nie odważyły się wejść do lodowatego strumienia. Naciągały szyje, próbując zajrzeć do środka rury, przeskakiwały ją, obwąchiwały i warczały. Zbliżały się do wody, to znowu odsuwały się od niej. Gdy najbardziej zawzięty ogar wsadził łeb do środka i szczeknął, Zack i Nicole mieli wrażenie, że tuż obok uderzyła błyskawica.

Najmniejszy pies przypadkiem wpadł do strumienia, tracąc równowagę na śliskich kamieniach. Zapiszczał i natychmiast wyskoczył na brzeg. Otrzepał się i ponownie zaczął szczerzyć kły.

– Zack, zrób coś! – błagała Nicole, gdyż bestie coraz odważniej podchodziły.

– Staram się, do cholery! – Naprzemiennie uderzał w kratę i w beton, tuż obok mocowania. Niestety, nie był w stanie wziąć porządnego zamachu. Próbuąc znaleźć dogodniejszą pozycję, uklęknął w strumieniu. Natychmiast poczuł, jak zimno przenika przez jego kończyny.

Nicole wciąż trwała zaparta zdrową nogą o wewnętrzną powierzchnię rury, ale czuła, że nie wytrzyma już długo w tej pozycji. Ziębiły ją przemoczone ubrania, a ciało paraliżował strach.

– Zwariuję od tego szczekania! – ryknął Zack.

– Nie tylko ty!

Nagle spory kawał betonu odskoczył, uwalniając jedno z kilku mocowań.

– Udało się! – wrzasnął uradowany Zack. Szarpał uwolnionym końcem, próbując wyruszać sąsiednie. Zapał się jedną nogą i plecami, mocząc przy tym spodnie. Zaczął kopać w kratę. Zdołał wygiąć uwolniony z betonu pręt i powstała niewielka dziura. Przepchnęłyby się przez nią zając, ale nie człowiek.

Z drugim przerdzewiałym mocowaniem poszło znacznie łatwiej. Ostatecznie mocne kopnięcia załatwiły sprawę. Gdy Zack zabrał się za

trzecią końcówkę tkwiącą w betonie, odżyła w nich nadzieja. Wtedy usłyszeli strzał.

Pocisk rozłupał wystający fragment rury w drobny mak, obsypując Nicole odłamkami. Krzyknęła ze strachu, a przez odsłonięte zbrojenie dostrzegła między drzewami ciemną sylwetkę.

– Jezu, to on! Zaraz tu będzie!

Nogi Zacka paraliżowało zimno. Paliły go mięśnie rąk, a dłonie drżały od uderzeń pogrzebacza o kratę i beton. Wreszcie trzecie mocowanie puściło, ale mieli coraz mniej czasu. Zapał się jedną nogą, a drugą ze wszystkich sił kopał uwolnione końce, dopóki nie powstała dziura, przez którą mogliby się przecisnąć.

– Chodź!

– Przejdź pierwszy, potem szybko mnie przeciągniesz. Sama nie dam rady z tą nogą.

– Nicole...

– Nie dyskutuj, do cholery!

Zack przylgnął do betonowej ściany. Szybko zrozumiał, że otwór wciąż jest zbyt ciasny, ale nie miał już czasu, aby go powiększyć. Przełożył ręce na drugą stronę i złapał za krawędź rury, próbując przeciągnąć własne ciało.

Ostra końcówka potargała koszulę i boleśnie przecięła pierś. Ugrzązł już na początku drogi.

– Ja pierdolę!

– Szybciej!

– Nie dam rady!

Próbował odgiąć kratę, ale w tej pozycji był bezsilny. Gdy zacisnął zęby i postanowił po prostu szarpnąć, a efektem martwić się później, z pomocą przyszła Nicole. Z całej siły naparła na pręty, odrobinę je wyginając. Uwolniła zaklinowanego partnera, który natychmiast wy dostał się z pułapki. Gdy tylko znalazł się po drugiej stronie, wyciągnął ręce.

– Szybciej!

Nicole nie zwracała już uwagi na ból czy zimno. Byli tak blisko celu... Usłyszała kroki ścigającego ich oprawcy. To jeszcze bardziej ją zmotywowało. Uważała jedynie, aby nie uderzyć ranną nogą o kratę. Nie obchodziła jej reszta ciała. Przylgnęła do wnętrza rury i wyciągnęła ręce, łapiąc dłonie Zacka. Gdy poczuła jego dotyk, spojrzała przed siebie –

w światło otworu. Dostrzegła gumowe buty zanurzające się do połowy w strumieniu i końcówkę strzelby.

– Szybciej, Zack!

Partner z wyczuciem przeciągnął Nicole i pomógł jej wstać. Widząc za kratą kucającego osobnika w długim, grubym płaszczu, natychmiast pchnął partnerkę na bok. Zrobił to dokładnie w tym samym momencie, w którym usłyszeli huk wystrzału.

Pocisk przeciął jeden ze środkowych spawów w kracie, wyginając końcówki prętów na zewnątrz. Zaraz po pierwszym strzale, padł kolejny.

Towarzyszące mordercy psy ujadają jak wściekłe.

Nicole przyłgnęła plecami do muru, ciężko dysząc. Gdy usłyszała odgłosy przeładowywanej strzelby i kroki w wodzie, przełknęła ślinę.

Zack szarpnął ją za ramię.

– Za tamte drzewa – szepnął, głową wskazując kierunek.

Ukryli się za potężnymi sosnami rosnącymi nieopodal otworu na łagodnym wzniesieniu, z którego spływał strumień. Wiedzieli już, że jeśli tylko zachowają rozsądek, uda im się wyjść z tego cało.

Uspokoiwszy oddech, Nicole ostrożnie się wychyliła. Dostrzegła ruch przy kracie. Prześladowca był zbyt potężny, aby precyzyjnie się przez powstały otwór. Oparł lufę na poziomym pręcie i zaczął celować w przypadkowe miejsca, wypatrując uciekinierów.

– Próbuje się precyzyjnie? – zapytał cicho Zack będący w gorszej pozycji obserwacyjnej.

Nicole pokręciła głową.

– Czeka, aż się ruszymy – szepnęła. – Chyba nie wie, gdzie jesteśmy.

Po dłuższej chwili, która ciągnęła się w nieskończoność, Nicole dostrzegła, jak lufa strzelby chowa się w rurze, a mężczyzna odstępuje od kraty.

– Opuścił... – oznajmiła z ulgą.

– Czekaj... Nie sądzę, że tak łatwo dał za wygraną. Wie, że gdzieś tu jesteśmy.

Po kilku minutach nerwowego wyczekiwania Nicole ponownie dostrzegła ruch przy kracie. Zack miał rację. *Myśliwy* nie opuścił, a jedynie zmienił pozycję.

– Ten skurwiol wciąż tam siedzi. Skąd wiedziałeś? – zapytała szeptem.

– Cały czas słyhać psy... Pewnie się domyślił, że w tak krótkim czasie

nie mogliśmy uciec na tyle daleko, aby zniknąć mu z oczu.

- Chory sukinsyn – stwierdziła Nicole.
- Chory czy nie, musimy coś wymyślić.
- Poczekaj... Słyszysz to?

Ogary nie ujadły tak zawzięcie, jak wcześniej – powarkiwania i szczeknięcia brzmiały przyjaźniej, a wkrótce ucichły. Prawdopodobnie psy oddaliły się od ogrodzenia razem z ich panem.

– Poszedł sobie... – jęknęła z ulgą Nicole i oparła głowę o drzewo. Do jej oczu napłynęły łzy radości i ulgi.

– Poczekaj tam. Odejdę kawałek i zobaczymy.

– A jak wciąż siedzi w tej rurze?

– Jeśli mnie zastrzeli, to będziesz musiała odczekać nieco dłużej – odparł z wyraźną wesołością w głosie Zack.

– Bardzo zabawne...

Mimo pewnych obaw obydwójce poczuli niewymowną ulgę. Gdyby się nie obawiali, że McCain ich usłyszy, wrzasnęliby na całe gardło: Udało się!

## ROZDZIAŁ 24

Szli blisko ogrodzenia, ale nie w stronę ulicy, jak można by się spodziewać, lecz w przeciwnym kierunku. Obawiali się, że ten sadysta będzie tam na nich czekał. Zack pamiętał drogę biegnącą niemalże równoległe do tej, którą należało wybrać, aby dotrzeć do posiadłości McCainów.

Nicole nie protestowała, gdy partner zaproponował dłuższą, lecz pewniejszą drogę ucieczki. Wszystko, byle tylko nie spotkać tego szaleńca i jego przeklętych psów, pomyślała.

Mur wzniesiono w linii prostej, więc można było się spodziewać, że w którymś momencie najzwyczajniej w świecie się skończy. Tak też się stało. Ogrodzenie załamało się pod kątem prostym, a dalej był już tylko las.

Zack stale podtrzymywał Nicole, która dzielnie parła przed siebie. Opierając się na grubej gałęzi, odciążała ranną nogę.

Usłyszawszy cichnący szum, obydwójce zamarli. Wkrótce pojawił się kolejny.

– To samochody! Droga! Udało się! – Nicole przyspieszyła kroku, a euforia uśmierzyła ból.

– Spokojnie... – spowalniał Zack.

Nicole była tak podekscytowana widokiem jezdni, że nie patrzyła już pod nogi. Potykała się o korzenie, a czasem po prostu traciła równowagę z wyczerpania. Gdyby Zack mocno jej nie trzymał, nieraz by upadła. Będąc blisko drogi, dosłownie mu się wyrwała.

– Stój! – krzyknął, ale nie usłuchała.

Utykając, pokonała rów i wybiegła na ulicę prosto pod nadjeżdżający samochód. Kierowca rozpędzonego vana z całej siły nadepnął pedał hamulca. Wysłużona bagażówka wpadła w poślizg. Ustawiając się prostopadle do jezdni, potrafiła sparaliżowaną strachem kobietę.

\*

W momencie uderzenia Nicole poderwała się z łóżka. Przez chwilę strzelała oczyma po jasnych ścianach i otaczających ją sprzętach, próbując zrozumieć, co się wydarzyło. Usłyszała szum, stopniowo przeradzający się w słowa:

– Nico.....ol... Wszyst.....ądku... Już do...

Popatrzyła w lewo. Pod oknem siedział zmartwiony Zack i najwyraźniej coś do niej mówił, gdyż poruszał ustami. Mimo obecności partnera wciąż traktowała wypowiedane przez niego zdania jak coś ulotnego, nieistotnego. Dochodziła do siebie przez ponad minutę. Potwornie bolała ją głowa.

– Nicole...

– Zack? – jęknęła ze zdziwieniem, jakby nie była pewna jego imienia.

– Dzięki Bogu... – Objął ją. W pierwszej chwili niepewnie, ale gdy odwzajemniła uścisk, obawa zniknęła.

– Gdzie jestem?

– Od trzech dni leżysz w szpitalu w St. Michael.

– Ale... Jak? Pamiętam samochód, który mnie potrącił.

– Jaki samochód?

Ściągnęła brwi.

– Szara bagażówka z napisem... Nie pamiętam... Prowadził ją łysiejący facet. Gdy wybiegłam z lasu...

– Wybiegłaś z lasu?! – zdziwił się Zack, łapiąc ją za rękę. – Nicole... zemdlałaś. Nie byłaś w stanie iść, a co dopiero biec – uśmiechnął się dobrotliwie.

– Ale...

– Coś ci się śniło...

– To był sen?

– Najwyraźniej, bo nie potrącił cię żaden samochód. Mieliśmy niesamowite szczęście. Dosłownie... złapaliśmy taksówkę. I nie prowadził jej łysiejący facet, a kobieta – rzekł przyjaźnie Zack.

– W takim razie...

– Potknęłaś się – wyjaśnił, domyślając się pytania. – Nie zdołałem cię utrzymać i uderzyłaś głową o kamień. Niosłem cię niemalże pół mili.

Mina Nicole zdradzała zakłopotanie.

– Na szczęście mój trud został nagrodzony. – Mocniej ścisnął jej dłoń. – Nie wiem, jakim cudem, ani kto nad nami czuwał, ale, jak już wcześniej powiedziałem, dosłownie złapałem taksówkę, która wracała do miasta.

– Mówiłeś, że jestem tu już... trzeci dzień? Dlaczego nie pamiętam nic z poprzednich?

Zrobił skwaszoną minę i wzruszył ramionami.

– Prawdę powiedziawszy, dopiero dziś porządnie się ocknęłaś. Budziłaś się już wczoraj i przedwczoraj, ale nie było z tobą kontaktu. Mówiłem do ciebie, ale nie reagowałaś. Lekarz poważnie się obawiał, że... Tłumaczył to uderzeniem w głowę i skrajnym wycieńczeniem – Zack natychmiast się poprawił, aby nie niepokoić Nicole. – Na szczęście dziś jest już dobrze.

– Chyba nie powiedziałaś nikomu, że włamaliśmy się do tego domu? – zapytała cicho, z nieskrywaną obawą.

– Oczywiście, że nie. Jakby ktoś pytał, to pamiętaj, że uderzyłaś się w głowę. Uciekaliśmy przed zwierzęciem, które cię dopadło i pogryzło. Obozowaliśmy w lesie.

– Nieźle to wymyśliłeś...

– Starłem się, choć gdy powiedziałem o tym wszystkiemu lekarzowi, zdziwił się, po co przyjechaliśmy taki kawał drogi, żeby rozbić namiot w tutejszym lesie. Nie wspomnę już o tym, że miałaś na sobie za duże, męskie spodnie i stary płaszcz.

Nicole wybałuszyła oczy. Zupełnie o tym zapomniała. Teraz leżała w szpitalnej koszuli wiązanej z tyłu.

– I co powiedziałaś?

– Niewiele... Głupkowato się uśmiechnąłem. Pewnie wziął nas za jakichś zboczeńców, którzy poszli do lasu, żeby się bzykać w krzakach.

– A gdy coś na nas wyskoczyło, założyłam, co było pod ręką i w nogi...

– Tak... Powiedziałem, że chcieliśmy zostać tylko na jedną, maksymalnie dwie noce i ruszyć dalej. Facet zaczął mnie traktować poważniej, gdy wspomniałem, że dopadł cię niedźwiedź. Doktor chciał wezwać strażników leśnych, ale powstrzymałem go. Powiedziałem, że to nasza wina i żadne zwierzę nie powinno cierpieć za ludzką głupotę.

– Strażnicy? Cudownie... Z deszczu pod rynnę.

– Ale są też dobre wieści – rzekł łagodnie. – Przeprowadzili badania i nie masz wścieklizny ani połamanych żeber. Tutejsi lekarze to cudotwórcy.

Opanowali stan zapalny i zakażenie. Szczerze... Jeszcze dzień lub dwa, a mogłabyś stracić nogę. Nie żartuję... Tak mi powiedzieli.

Nicole pobladła.

– To rzeczywiście dobra wiadomość.

– Mówiłem. – Pogładził jej dłoń.

– Wciąż nie rozumiem, jak to możliwe, że pamiętam to wszystko, ten dom... a nie potrafię sobie przypomnieć, jak się tu znalazłam. No i te dwa dni... Totalna pustka.

– Odkąd tu jesteś, podają ci silne leki. W połączeniu z przeżyтым stresem, bólem i zmęczeniem...

– A jeżeli jutro się obudzę i nie będę pamiętała także dzisiejszego dnia?

– To znów ci o wszystkim opowiem. – Zack roześmiał się szczerze, rozkładając ręce, choć Nicole nie było do śmiechu.

– Zabawne... I tak przez pięćdziesiąt dni... Widziałeś ten film?

– Jaki?

– *Pięćdziesiąt Pierwszych Randek...*

Zack pokręcił wesoło głową, ale zaraz potem spoważniał, co nie uszło uwadze Nicole. Wyraźnie coś go dręczyło. Nie trudno było się domyślić, co takiego.

– Co z tym świrem? – ściszyła głos.

Zack wstał i podszedł do uchylonych drzwi. Z korytarza dobiegał szum rozmów krzątającego się po placówce personelu, a także pacjentów oraz ich rodzin. Sprawdził, czy nikt nie nadchodzi i cicho domknął drzwi.

– Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. – Wrócił na krzesło wyraźnie strapiony. Po wesołej minie nie pozostał nawet ślad.

– To jakiś wariat, Zack. Nie obawiasz się, że mnie tu znajdzie?

Partner skinął głową.

– Przeszło mi to przez myśl, dlatego siedzę przy tobie prawie cały dzień.

– Dziękuję... Myślałeś o policji?

– Tak, ale...

– Jezu... samochód! – przypomniała sobie o pozostawionym w garażu McCaina wozie Zacka.

– Między innymi... Poza tym, dziś już trochę za późno na policję.

– Co nam pozostało? – zirytowała się.

– Jest coś jeszcze...

Zmarszczyła brwi.



- Pogrzebacz... – wyjaśnił Zack, a Nicole natychmiast zrozumiała.
- Cholera...
- Jak tylko cię tu zostawiłem i lekarze się tobą zajęli, pojechałem do centrum. Stałem już przed drzwiami komisariatu, gdy przypomniałem sobie o tym cholernym kawałku żelastwa. Miałem go zakopać gdzieś w lesie. Ostatecznie został w rurze. Nie zdążyłem go zabrać.
- Chryste...
- Właśnie... McCain ma narzędzie zbrodni z naszymi odciskami palców. Zabiliśmy tego człowieka, ja go zabiłem, i tym samym wyświadczyłem temu psychopacie przysługę. Ma narzędzie zbrodni, nasz samochód, a być może i twoją komórkę. Założę się, że już wie, kim jesteśmy.
- Mam blokadę w telefonie.
- Na połączenia przychodzące również?
- Nie...
- Sama widzisz... Jeśli pójdziemy na policję, to McCain powie, że się włamaliśmy i zabiliśmy tego człowieka.
- Prędzej czy później ten świr nas zidentyfikuje. A może nawet nie musi...
- Co masz na myśli?
- Dalej nie wiemy, czy chciał zwabić nas czy Athertona.
- Myślałem nad tym, Nicole, i sam już nie wiem. Wariuję od rozpatrywania możliwości. – Złapał się za głowę. – Zresztą, dla McCaina może nawet nie być istotne, kto się pojawił w jego domu. Jedno jest pewne... Strzelał, żeby zabić, więc nasza ucieczka była mu wybitnie nie na rękę.
- Bo wiemy, co tam wyprawiał. Siedział przyczajony, dopóki nie włączyliśmy alarmu.
- Raczej do chwili, gdy psy zagryzły tych mężczyzn i znaleźliśmy w piwnicy więźnia. McCain wie, co zrobiliśmy. Poza tym, nie powiedziałem ci jeszcze o wszystkim... – Zack podszedł do okna i delikatnie odsunął żaluzje. Spojrzał na pacjentów wolno przechadzających się wąskimi uliczkami parku zlokalizowanego pomiędzy budynkami szpitala. Zazdrościł tym ludziom spokoju.
- Mianowicie? – dociekała Nicole.
- Wczoraj, gdy spałaś – wskazał telewizor wiszący w kącie – w lokalnych wiadomościach podali informację o zaginionych ochroniarzach. Podobno zniknęli, a samochód porzucono w lesie. Sprawdziłem na mapie...

Strażnicy znaleźli go ponad dwadzieścia mil od tego domu. Mieliśmy rację... McCain podszył się pod jednego z ochroniarzy, zameldował o zakończonej akcji, zwłoki zakopał w lesie, a samochód porzucił. Między innymi dlatego tak szybko chciał nas dopaść i zakończyć sprawę. Miał inne rzeczy na głowie i musiał się nas pozbyć. Gdy zszedł do piwnicy, jeszcze nie wiedział, że zabiłem tego człowieka, a mimo to chciał nas wykończyć.

– Jakiś obłąd... Co to za wariat?

– I to jest najlepsze pytanie ze wszystkich...

– Dlaczego?

– Dziś rano wdałem się w rozmowę z pielęgniarką, która regularnie cię odwiedza. Bardzo miła, serdeczna, starsza kobieta. Pytała, co cię pogryzło i gdzie to się stało. Nie była wścibska, raczej ciekawa.

– A co mnie pogryzło, jakby pytali?

– Mówiłem już... Niedźwiedź.

– Racja, choć trochę to naciągane... Mogłeś powiedzieć, że był to pies.

– Mogłem wiele rzeczy... A właśnie! Gdyby ktoś dopytywał, przyjechaliśmy tutaj stopem. Zostałaś zaatakowana, porzuciliśmy namioty i uciekliśmy w przypadkowym kierunku. Żadnego samochodu...

Skinęła głową.

– Czego dowiedziałaś się od pielęgniarki?

– Wspomniałem jej, że uciekając lasem wzdłuż strumienia, natknęliśmy się na podniszczony mur. Natychmiast podchwyciła, że pewnie dotarliśmy do ogrodzenia tej starej posiadłości. Wiedziała, kto ją zamieszkuje. Nawet znała ojca tego świra, a także dziadka.

– A niech mnie...

– Podobno obecnie mieszka tam już tylko Derrian McCain.

– Autor listu – zauważyła Nicole.

– Zgadza się. Powiedziała, że facet jest koło czterdziestki i nie grzeszy uprzejmością. Jednym słowem... bogaty sknera.

– Zapomniała dodać *psychopata* i *morderca*.

Zack uniósł brwi, robiąc dziwną minę.

– Co znowu?

– Wspomniała, że Derrian McCain całkiem niedawno gdzieś wyjechał, ale nie sprzedał rezydencji.

– Skąd wie?

– Ta kobieta zna pielęgniarkę, która przez jakiś czas opiekowała się

McCainem. Był chorowity. Potem przejęła go jakaś inna babka, a przed dwoma miesiącami całkowicie zrezygnował z opieki medycznej. Podobno wciąż wspominał o jakiejś operacji i bał się jej jak ognia. Odwlekał ją, jak długo mógł, jednakże w końcu...

– To wszystko pokrywa się z treścią listu, ale... przecież ustaliliśmy, że list to podpucha.

– A jeśli nie i coś nam umyka?

– W dziennikach wyczytałam, że synowie tego... Toma, czy jak mu tam było, nie lubili podróżować, a tymczasem w liście Derrian napisał coś zupełnie przeciwnego.

– Z którego roku był ten dziennik?

– Chyba z dwa tysiące pierwszego.

– Szesnaście lat to szmat czasu. Upodobania się zmieniają. Kto wie, jak z nimi było. Ja nie jestem już niczego pewien. Cały czas podejrzewamy McCaina, a tymczasem ktoś inny mógł do nas strzelać. Ktoś, kto po prostu wiedział o nieobecności właściciela domu i ją wykorzystał.

– A jeżeli... – Nicole doszła do bardzo kontrowersyjnego wniosku.

– Mów...

– A jeżeli ten facet w piwnicy to był... Derrian McCain we własnej osobie?

– Ten więzień?! – zdziwił się Zack. – Myślisz, że... zabiłem właściciela domu?! To jakieś wariactwo!

– Ciszej...

Nicole siedziała na łóżku wpatrzona w kołdrę. Wyraźnie próbowała poskładać to wszystko w całość.

– Obyś się myliła, bo...

– Te rozszarpane zwłoki... A jeżeli ktoś rzeczywiście włamał się do rezydencji... Było ich dwóch, tak jak wcześniej założyliśmy. Kazali McCainowi napisać list i z jakiegoś powodu sprowadzić jego brata. Może McCain się uwolnił i spuścił psy. Jednego dopadły, ale drugi, podobnie jak my, zdołał schronić się w domu. Uwięził gospodarza w piwnicy i czekał, aż pojawi się jego brat, którego chcieli dopaść.

– Ale Derrian źle zaadresował list – przypomniał Zack. – Poza tym, ta pielęgniarka coś wspomniała, że z McCainów został już tylko on.

– A jeżeli nie? Derrian mógł zrobić to celowo, aby chronić brata. Skąd oprawcy mieli wiedzieć, gdzie on mieszka? Wpisał prawidłowe imię

i nazwisko, a adres wziął z powietrza.

– Dlaczego akurat list? Czemu nie kazali mu zadzwonić? Mamy dwudziesty pierwszy wiek.

– List mogli lepiej kontrolować. Wystarczyłoby, żeby Derrian krzyknął coś do telefonu i ostrzegł brata. A tak napisał, co chcieli. Przeczytali list i osobiście go nadali.

– Być może... Mimo to się dziwię, że zawierzyli swej ofierze w związku z adresem – zauważył Zack.

– List miał przepaść. W najgorszym wypadku ktoś by go odesłał. Derrian McCain dał sobie czas, aby znaleźć rozwiązanie – oznajmiła Nicole. – Gdy ten uwięziony facet rzucił się na ciebie, nie wyglądał na specjalnie wychudzonego ani wycieńczonego. Nie mógł siedzieć tam zbyt długo. Jeżeli McCain wyjechał jakiś czas temu, ten człowiek już dawno byłby trupem. Słusznie zauważyłeś, że ktoś musiał do niego zaglądać.

– A więc... to rzeczywiście był Derrian McCain? – Zack przełknął ślinę. Racjonalne argumenty Nicole przyprawiły go o ból głowy.

– Wszystko na to wskazuje. Zamiast brata, my się pojawiliśmy. Ktokolwiek uwięził McCain, przyczał się. Musieli mieć pewność, z kim mają do czynienia, więc dali nam chwilę na buszowanie po domu. Mogli nawet nie wiedzieć, jak brat wygląda.

– Pomyśleli, że ja nim jestem i przyjechałem z żoną albo z partnerką.

– To prawdopodobne. Maxymilian McCain mógł mieć tysiące powodów, aby kiedyś opuścić ten dom. Wychodzi też na to, że ten kurier wcale nie był podstawiony. Rzeczywiście przywiózł jakąś paczkę, a pajaki to zbieg okoliczności.

– Kto wie...

– Zack... Terraria mogły ulec zniszczeniu podczas szarpaniny. Zaskoczyli McCaina w jego gabinecie.

– Albo w kuchni... – dywagował partner. – Pamiętasz rozbite talerze?

– Weszli od tyłu. Zaczęło się w kuchni, a potem McCain pobiegł do salonu. Przewrócona figura... Uciekł schodami do gabinetu, gdzie trzymał broń. Tam wszystko się skończyło.

– Gdy włączyliśmy alarm i przyjechała ochrona, ukryty morderca musiał wreszcie zareagować. Za dużo się wydarzyło... – Zack również łączył kolejne fakty, a z każdym odkrytym był coraz bledszy. Teoria Nicole idealnie pasowała do rozwoju wydarzeń.

– Byliśmy ślepi...

– Tylko... po co ktoś miałby wzywać brata McCaina? – dociekał Zack, chcąc zburzyć ten domek z kart, gdyż według wszelkich znaków na niebie i ziemi zabił niewinnego człowieka.

– Stare porachunki... Pieniądze... Nie wierzę, że McCain był bankrutem – oznajmiła pewnie Nicole. – Bogaci zawsze potrafią się zabezpieczyć. Weźmy choćby te złote monety. Może Derrian i jego brat posiadali jakieś wspólne akcje albo inne dobra. Ktoś po prostu potrzebował podpisu. Możemy gdybać i mnożyć sytuacje, ale jedno...

– Nie, nie, nie, nie! – zareagował ostro Zack, po czym wystrzelił: – Psy! Zapominasz o psach! Twierdzisz, że facet, który nas ścigał, był obcym. To dlaczego psy nie rzuciły się także na niego?! Wariowały tylko na nasz widok! – Pstryknął palcami i odetchnął.

– Chyba że psy dobrze znały tego kogoś, a obca była jedynie osoba, której zwłoki widzieliśmy z okna biblioteki...

– Nie, to zbyt naciągane...

– Zack... – Nicole spojrzała na niego, jakby odkryła nieznaną pierwiastek. – Popęlamy jeszcze jeden błąd.

Ciężko opadł na krzesło, bojąc się kolejnych rewelacji.

– Dobij mnie...

– Zakładamy, że ścigał nas facet. A jeśli to była kobieta?

\*

Przez dłuższą chwilę Zack i Nicole w ciszy przyglądali się sobie wzajemnie.

– Chyba nie mówisz poważnie... Kobieta?

– Widziałeś twarz? Bo ja nie...

– No nie, ale...

Niespodziewanie do sali wszedł postawny lekarz, przerywając rozmowę. W sekundzie zamilkli.

– Pani Wyden... – zaczął doktor Donnelly. – Widzę, że dziś jest już znacznie lepiej.

– To prawda, choć... Nie pamiętam nic z poprzednich dni. Mój partner powiedział mi, że nie było ze mną kontaktu.

– Tak... Cieszę się, że ten etap mamy za sobą. – Lekarz spojrzał przyjaźnie na pacjentkę i pobieżnie sprawdził kartotekę, a później odczyty. – Od początku zakładałem, że to przejściowy stan.

– Przejściowy stan, który mógł trwać nie wiadomo jak długo... – dodała Nicole.

Lekarz natychmiast zmienił temat:

– Niestety, przyszedłem także w innej sprawie. Mamy mały... problem. Chodzi o pani ubezpieczenie. – Doktor Donnelly posiadał rzadki dar mówienia łagodnie o poważnych sprawach.

– Co z nim? – zapytała Nicole, marszcząc brwi.

– A tak... – wtrącił się Zack. – Zapomniałem ci powiedzieć. Jest jakiś problem z twoim ubezpieczeniem. Prosiłem pielęgniarki, żeby jeszcze raz wszystko sprawdziły – oznajmił, kierując te słowa do lekarza.

– Zgadza się... Na życzenie pana Seegera sprawdziliśmy ponownie. Niestety, pracodawca nie opłacił ubezpieczenia, więc będziemy zmuszeni obarczyć panią opłatą za pobyt w naszej placówce.

– Niczym się nie przejmuj – powiedział Zack, po czym zwrócił się do lekarza: – Spokojnie. Stać nas na to – oznajmił pewnie, aby jak najszybciej zakończyć wątek ubezpieczenia. Wiedział, że pielęgniarki specjalnie przysłały lekarza, bo same bały się przyjść z tą wiadomością. – Najważniejsze jest zdrowie, a pieniędzmi zajmiemy się później.

– Świetnie... – Doktor wyraźnie odetchnął i z przyjaznym uśmiechem opuścił salę, zamykając za sobą drzwi. Tego typu rozmowy często kończyły się kłótniami. Cieszył się, że tym razem poszło tak gładko.

– Nie rozumiem, dlaczego...

– A kogo teraz obchodzi jakieś ubezpieczenie?! – Zack przysunął krzesło bliżej łóżka. – Powiedziałaś, że nie ścigał nas facet, tylko była to kobieta. Skąd ten pomysł?

– Bo wszystko na to wskazuje. Partnerka albo żona McCaina... – uściśliła Nicole. – No jasne! To ciało pod domem. Zack... Pewnie należało do jej kochanka, z którym zaplanowała całe *przedsięwzięcie*.

– Psy dobrze znały jej zapach, ale nie znały jego... Cholera...

Nicole potaknęła.

– Mogło chodzić o rezydencję. Założę się, że Tom McCain zapisał dom na obydwu braci. Ta starsza pielęgniarka, z którą rozmawiałaś... Nie wspomniała nic o żonie Derriana McCaina?

– Nie...

– Jesteś pewny?

– Tak, dlaczego?

– Miał jechać na operację. Kosztowną operację... – podkreśliła Nicole. – Zamiast tego, trafił do piwnicy. Jeżeli ta wiedźma usunęłaby konkurencję w postaci Maxymiliana McCaina, zgarnęłaby całą pulę. – Nicole przyklasnęła, dumna z odkrycia kolejnej intrygi. – Jestem pewna, że wraz z kochankiem postanowili się pozbyć Maxymiliana, a wkrótce potem Derriana. Może nawet chcieli upozorować bratobójstwo.

– No to mamy cholerny problem, bo zabiłem faceta, którego ona chciała wykończyć. Co więcej, przedwcześnie, zanim dopadli tego drugiego. Wystarczy, że ta kobieta zgłosi morderstwo i skończę w celi śmierci, a ona dostanie dom. Połowę domu...

– Nie wierzę, że zaryzykuje. Po naszych zeznaniach mogłaby pomarzyć o spadku i niemałym ubezpieczeniu za Derriana. Jej kochanek, a dokładnie jego połowa, gnije gdzieś w lesie, a w piwnicy leżą zwłoki noszące nie tylko ślady po pogrzebaczu, ale też po kajdanach. Za dużo pytań i niejasności jak na kogoś, kto planował zbrodnię doskonałą.

– Czekaj, czekaj... A jeśli... – Tym razem Zack na coś wpadł. – A jeśli nie było żadnej żony i to nie Derrian McCain był w tej celi, a jego brat?

– Nie rozumiem...

– Derrian potrzebował pieniędzy. Być może Maxymilian był współwłaścicielem firmy. Jeżeli nie miał rodziny, a z listu wynika, że nie, udziały przeszłyby na brata.

Nicole poważnie się zamyśliła, po czym rzekła:

– W ten sposób eliminujemy ewentualną żonę, o której nikt nie słyszał. Ostatecznie nie wiemy, czy Derrian jakąś miał. Mimo to twoja teoria ma luki.

– Jakie?

– Największą z nich jest ciało, które widzieliśmy... Nie pasuje do niczego. Kto to mógłby być?

– Nie mam pojęcia... – Zack wyraźnie posmutniał. Długo myślał, ale nic nie przyszło mu do głowy. – A więc wracamy do żony McCaina, która wraz z kochankiem chciała się pozbyć męża oraz jego brata... Przepraszam, ale zaczynam od tego wszystkiego wariować – przyznał szczerze Zack i ponownie podszedł do okna. Otworzył je i napełnił pierś świeżym powietrzem. Wierzył, że mu w jakiś sposób pomoże, ale jedynie podsunęło

jeszcze gorsze myśli. Był coraz bledszy na twarzy. Kolejne fakty uderzyły w niego, jakby dostał obuchem siekiery w głowę.

– Jeśli żona McCaina chce cokolwiek odziedziczyć – zaczął, wracając do Nicole – musi ujawnić śmierć męża. Co więcej, teraz z ubezpieczeniem pójdzie jeszcze łatwiej, bo Derrian McCain został zamordowany i to nie przez nią.

Nicole rzuciła Zackowi niepewne spojrzenie.

Partner westchnął i ciągnął dalej:

– Co byś zrobiła, gdybyś miała w piwnicy trupa męża, którego chciałaś się pozbyć, narzędzie zbrodni z czyimiś odciskami palców, a w garażu samochód należący do mordercy?

– O cholera... Wywiozłabym nim ciało i anonimowo zgłosiłabym wszystko policji.

– Pytanie tylko, jak szybko ta zdzira zdoła uruchomić nasz samochód...

– Jeżeli to ona go unieruchomiła, to pewnie szybko. Ale jest coś jeszcze... – zauważyła Nicole, dorzucając brakujący element układanki. – Nie robi tego wszystkiego, o czym mówisz, dopóki nie pozbędzie się kogoś, kogo chciała załatwić od samego początku.

– Brat Derriana... – domyślił się Zack, po czym spochmurniał jeszcze bardziej. – A co, jeżeli już jej się to udało?

– Nie sądzę...

– Nie dostrzegasz czegoś, Nicole. Adam Atherton. Jak dobrze go znałaś?

– Prawie wcale...

– A jeśli Adam Atherton to tak naprawdę... Maxymilian McCain?

Nicole zeszywniała.

– To niemożliwe...

– A to dlaczego?

– Bo...

– Samotny, pod czterdziestkę...

– A niech mnie!



## ROZDZIAŁ 25

Następnego dnia Nicole na własne żądanie wypisała się ze szpitala. Gdy na odchodne otrzymała rachunek opiewający na ponad sześćdziesiąt tysięcy dolarów za kilka dni leczenia, o mały włos nie zemdląca.

Taksówką pojechali do przydrożnego motelu, gdzie Zack wynajmował pokój.

- Wiem, że nie wygląda to najlepiej, ale lepszego nie mieli.
- W zupełności wystarczy. Przecież nie zabawimy tu długo.

Pokój prezentował się schludnie, ale nie odważyli się zaglądnąć pod łóżko. Narzuta, wykładzina i tapety nosiły liczne ślady bytności wcześniejszych lokatorów, ale w łazience nie było pleśni, a pościel i ręczniki pachniały świeżością.

W zupełności wystarczy, powtórzyła w myślach Nicole, mając w pamięci niedawny koszmar. Natychmiast wzięła prysznic, a później się położyła.

Zack siedział na łóżku i przeglądał internet w poszukiwaniu wątków związanych z McCainami. Zanim wraz z Nicole opuścili Pittsburgh, poszperał nieco w sieci, lecz mając zaledwie dwanaście godzin na przygotowania, potraktował właścicieli posiadłości po macoszemu. Wtedy ważniejsza była lokalizacja domu i wynikające z niej ewentualne zagrożenia.

Założył, że taka rezydencja musiała budzić zainteresowanie. Zanim Nicole doszła do siebie w szpitalu, przejrzał kilka ogólnych artykułów znalezionych w sieci, ale widząc nieprzytomną partnerkę, nie potrafił się na niczym skupić. Teraz szło mu znacznie łatwiej. Wpadł na pewien pomysł – postanowił zerknąć do lokalnego portalu informacyjnego. Gdy w okienku wyszukiwania wpisał *McCain*, od razu został zasypany gradem odnośników. Albo nazwisko było bardzo popularne w mieście, albo ci ludzie rzeczywiście tak wiele zrobili dla St. Michael.

Artykuły potwierdzały to, co Zack już wiedział – McCainowie byli nie tylko bogaci, ale i sławni. Rod McCain, który jesienią tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku kupił od miasta rezydencję i przeprowadził się do niej wraz z rodziną, dorobił się na handlu złotem i innymi minerałami. Największe sukcesy zanotował pod koniec lat siedemdziesiątych, kiedy to cena złota biła kolejne rekordy. W artykule pojawiła się wzmianka o firmie inwestycyjnej. Jedno było pewne... Syn Roda McCaina – Tom – nie musiał pracować. Wystarczyło, że figurował w zarządzie firmy jako prezes, którym został po śmierci ojca. Rod McCain i jego żona Elizabeth zginęli w katastrofie lotniczej, lecąc wycarterowanym samolotem z USA do Afryki.

Mimo tej tragedii Tom McCain całkowicie poświęcił się pasji zaszczepionej przez rodziców. Wraz z wybranką serca – kobietą o imieniu Mary – a także ze swymi dorastającymi synami, odwiedzał coraz dziksze miejsca. Niestety, osiem lat po śmierci rodziców stracił żonę. I znowuż przyczyniła się do tego Afryka. Podczas jednej z podróży po tym kontynencie zaatakował ich hipopotam. Elizabeth McCain zmarła na skutek obrażeń. Po miesięcznym pobycie w szpitalu Tom wrócił do domu, ale od dwa tysiące pierwszego roku nie zorganizował ani jednej poważnej wyprawy.

– Czytałam o tym... – odezwała się nagle Nicole, kątem oka zerkając na ekran telefonu. Po niemalże trzydniowej *drzemce* nie potrafiła ponownie zasnąć. Nie mogła też znaleźć wygodnej pozycji, w której nie czułaby bólu. – Miała na imię Mary, prawda?

– Chyba tak. Skąd wiesz? – zdziwił się Zack.

– W dzienniku z ostatniej wyprawy Tom McCain opisywał swoje uczucie do niej. Czytając to, miałam łzy w oczach. Miłość życia została mu odebrana przez miłość do podróży.

Zack skinął głową, choć niespecjalnie przejął się losem ludzi, z powodu których o mały włos nie zginęli.

– Piszą coś o ich dzieciach?

– Jeszcze nie skończyłem czytać. Tutaj coś jest... – Zack zwrócił uwagę na fragment artykułu z dwa tysiące dziewiątego roku. Nosił on tytuł: *Trwają poszukiwania milionera, podróżnika i filantropa, Toma McCaina, który zaginął wraz z synem.*

– Przeczytaj – zachęciła Nicole, podnosząc się na łóżku.

*...Minęły już ponad dwa tygodnie, a poszukiwania McCainów wciąż trwają. Tragedia tej rodziny rozpoczęła się wraz ze śmiercią Roda i Elizabeth McCain, którzy zginęli w katastrofie lotniczej w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku. Osiem lat później dziedzic fortuny stracił żonę, a teraz zaginął wraz ze swym młodszym synem. Do poszukiwań w okolicznych lasach zostali oddelegowani wszyscy dostępni policjanci. Wsparcia udzieliły także służby leśne i strażacy. Mogą się też zgłaszać ochotnicy. Dwa dni temu na leśnej ścieżce, kilkanaście mil od rezydencji McCainów, gdzie strażnicy znaleźli porzucony samochód Toma McCaina, zebrali się wierni i modlili, udzielając wsparcia duchowego rodzinie. Ten piękny gest z pewnością zostanie...*

– Zaczekaj... A więc Derrian McCain był starszym bratem Maxymiliana. To by się zgadzało z treścią listu.

– Tak, ale tu piszą, że młody zaginął.

– Dziwne...

– Pewnie zaraz wszystko się wyjaśni... – Zack wskazał kolejne tytuły artykułów.

*Poszukiwania McCainów zakończone, ale śledztwo wciąż trwa.*

*Policja odnalazła ciała.*

*Koszmar Derriana McCaina.*

*Kłątwa McCainów czy domu Meyerów?*

– Niczego już nie rozumiem – rzuciła Nicole i ponownie odczytała tytuły artykułów, z których wynikało, że młodszy z braci zginął.

– Wychodzi na to, że jedyny żywy McCain to Derrian, starszy syn Toma McCaina. Maxymilian... zginął wraz z ojcem – oznajmił zdumiony Zack, dochodząc do tego samego wniosku, co partnerka. – Czyli Adam Atherton nie może być McCainem.

– Bez sensu... – bąknęła Nicole, gdy kilka zdań pogrzebało wszystkie teorie, które tak skrupulatnie wymyślali.

– Wracamy więc do punktu wyjścia... List sfałszowano lub był pułapką, ale nie na Maxymiliana McCaina.

– Moment, moment... A jeśli młodszy z braci nie zginął?

– Piszą o odnalezieniu ciał – przypomniał Zack i kliknął link.

Pobieżnie przeczytali artykuł.

– Piszą o odnalezieniu dwóch spalonych ciał, ale nie są pewni, czy to ciała McCainów – oznajmiła Nicole po zapoznaniu się z treścią. – Nie ma nic więcej, więc pewnie czekali na badania DNA.

– W kolejnym artykule dziennikarze już są pewni... *Koszmar Derriana McCaina*.

– No dobra... A co z żoną Derriana? – dociekała Nicole, której tylko ta opcja do wszystkiego pasowała. – Na pewno coś o niej piszą.

– Nigdzie nie ma nawet wzmianki, ale tych odnośników jest tyle, że można dostać oczopląsu.

– Nie, nie. Coś tam było – oznajmiła z przekonaniem Nicole, każąc Zackowi wrócić do jednego z poprzednich artykułów.

– Ten?

– Tak. Tutaj... Mam cię! – Wskazała fragment i odczytała go na głos: – *...udzielając wsparcia duchowego rodzinie...* Rodzina to raczej więcej osób, więc Derrian nie został sam, gdy jego ojciec i brat zaginęli.

– Wtedy jeszcze nie znaleziono ciał. Może po prostu nie chcieli napisać Derrianowi McCainowi. To byłoby jak dobiecie go. Ostatni gwóźdź do trumny... W ten sposób stwierdziliby jeszcze dosadniej, że został sam.

– Widziałeś kiedyś dziennikarzy przejmujących się czymś dobrem? Ja nie... Albo Derrian miał żonę lub kochankę, albo w rodzie McCainów figurował ktoś jeszcze.

– Szybciej uwierzę, że twój sąsiad rzeczywiście był Maxymilianem McCainem.

– Hmm...

\*

Przez chwilę próbowali zebrać myśli. Pierwsza odezwała się Nicole:

– Derrian nie pomylił się w adresie. On po prostu nie wiedział, że jego brat zmarł na zawał... Był przekonany, że wciąż mieszka w Pittsburghu i ma się dobrze.

– Adam Atherton to naprawdę Maxymilian McCain? – Zack wciąż miał wątpliwości.

– Wszystko na to wskazuje... I nagle reszta też się zgadza. Żona Derriana postanawia wykończyć jego brata, który za okrągłą sumkę kupił sobie nową tożsamość.

– Dlaczego miałyby to zrobić?

– Bo upozorował własną śmierć. Może nawet zabił ojca... – palnęła bez zastanowienia Nicole.

– To dlaczego żyli z Derrianem w tak dobrych stosunkach? Z listu wynika, że starszy braciszek zapraszał młodszego na każde Święto Dziękczynienia. I co... Podczas krojenia indyka obgadywali, jak wykończyli staruszka?

– Całkiem prawdopodobne...

– Dochodzimy już do absurdów...

– Słyszałam o dziwniejszych przypadkach.

– Tak czy inaczej, mamy przesrane – warknął Zack. – Jeśli żona Derriana rzeczywiście istnieje, poluje na spadek oraz ubezpieczenie, to jedyne, co do tej pory powstrzymywało ją przed pójściem na policję i zgłoszeniem morderstwa, to żyjący brat. Przypomnę ci, że facet od trzech tygodni gryzie glebę. Jeśli ta jędrza dowie się o tym, następnego dnia zwali nam się na głowę policja.

– Masz rację...

Zack wczytał się w artykuły, próbując doszukać się czegoś, co rzuciłoby więcej światła na ich dotychczasowe domysły.

– Ha! – krzyknął jak rażony prądem. – Lubisz zagmatwane historie? To posłuchaj tego...

*McCainowie adoptują syna.*

Nicole wybałuszyła oczy.

– Jak się nazywał? – zapytała natychmiast.

– Wychodzi na to, że... Derrian – oznajmił ironicznie Zack, całkowicie gubiąc się we wszystkim.

– Co?!

– Tom McCain przygarnął Derriana, a dokładniej jakiegoś dzieciaka, któremu nadał takie imię. Piszą tutaj, że przywieźli go ze sobą z jakiejś wyprawy w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym.

– Takie uczynki są popularne... – oznajmiła Nicole. – Założę się, że McCainowie mieli coś na sumieniu i chcieli uciszyć opinię publiczną.

– Jeżeli tak, to mogli adoptować jakieś dziecko z sierocińca w Stanach. Poza tym... Nie wierzysz w bezinteresowną dobroć?

– Jeżeli mamy rację, to kiepsko poszło im wychowanie, bo być może właśnie ta *bezinteresowna dobroć* chciała nas zabić.

– Artykuły obrazują ich w bardzo pozytywnym świetle.

– Niby tak...

Nicole popadła w zadumę.

– Masz ten list? – zapytała po chwili.

– Gdzieś mam... – Zack sprawdził kieszenie kurtki.

– Przeczytaj, proszę, wstęp.

– *Jest mi niezmiernie przykro, ale w tym roku nie mogę zaprosić Cię do siebie na Święto Dziękczynienia...*

– ...zaprosić Cię do siebie... – Nicole podkreśliła ostatnie słowo. – Jeżeli Derrian mieszkałby z kobietą, napisałby: *do nas*.

– Nie wiem, czy nie zapędzamy się za daleko. W takim razie... kto nas ścigał, kogo zabiliśmy w piwnicy i czyj trup leżał na trawniku?

– Chyba masz rację – przyznała Nicole, lecz cały czas coś nie dawało jej spokoju. Stale nie pasował jakiś element.

Zack ponownie przelatywał po tytułach artykułów i zwrócił uwagę na najbardziej enigmatyczny:

„*Klątwa McCainów czy domu Meyerów*”

– Nie działa...

– Co nie działa?

– Link do artykułu o *klątwie*. Wygląda na to, że McCainowie przejęli rezydencję po jakichś Meyerach, z którymi też było coś nie tak.

– Poszukaj czegoś o nich.

– Właśnie wpisuję w wyszukiwarkę, ale nic nie wyskakuje. Tylko to – wyjaśnił Zack zniesmaczony niepowodzeniem. Otworzył ogólną przeglądarkę i przestał ograniczać się do lokalnych informacji. – Też nic... – oznajmił po kilku próbach. – Widocznie nie byli aż tak znani.

– Dziwne...

– Niekoniecznie... Dziś wszyscy wszystko o wszystkich wiedzą, ale w latach osiemdziesiątych internet praktycznie nie istniał, a przynajmniej nie w znanej nam formie. Dopiero w dziewięćdziesiątym trzecim nastąpiło jego upowszechnienie, choć i to trochę zajęło. Tego akurat jestem pewien.

– Niby tak, ale jakieś archiwalne artykuły powinny być w sieci. Właśnie! – Nicole olśniło. – Może w archiwum miejskim...

– Chyba nie myślisz w to brnąć?! – zdziwił się Zack, piorunując ją wzrokiem.

– Po prostu chcę wiedzieć, kto do mnie strzelał – wyjaśniła ostro. – Jeżeli mamy rację, wkrótce policja zapuka do naszych drzwi i zapyta, dlaczego zabiliśmy McCaina, czy kimkolwiek był ten człowiek w piwnicy. Chciałabym mieć jakieś argumenty, którymi moglibyśmy ich przekonać, że to jednak my jesteśmy ofiarami.

Westchnął.

– Jak wyszedłeś wczoraj, nie zmrużyłam oka. Przez prawie całą noc myślałam o tym wszystkim. W którymś momencie założyliśmy, że to żona McCaina chciała się go pozbyć. A jeżeli McCain nie miał żony, jego brat zginął, a ten psychol rzeczywiście przetrzymywał kogoś w piwnicy? Zabiliśmy faceta, którego i tak chciał wykończyć. Wyświadczyliśmy mu przysługę. Jeśli tak, to dlaczego miałyby na nas donosić? Sam by się wkopał... Przecież ten więziony człowiek musiał zniknąć z jakiegoś domu. Ktoś powinien go szukać.

– Jesteś genialna! – krzyknął nagle Zack. – Rejestr osób zaginionych!

– Zdołałeś mu się dobrze przyjrzeć?

– Nie, ale może akurat coś się trafi.

Zack stukał po wirtualnych klawiszach telefonu jak szalony. Gdy wreszcie zawęził obszar poszukiwań do Wirginii Zachodniej, przeraził się ilością trafień.

– I jak?

– To nic nie da, ale może...

Ostatecznie szybko się poddał, bo gdy dopisał nazwę miasta, w którym aktualnie przebywali, ukazały mu się jedynie zdjęcia czterech zaginionych – dwóch kobiet i dwóch mężczyzn – ale sprawy dotyczyły odległych lat.

– Daj temu spokój...

– Łatwo ci mówić, bo nie ty zabiłaś tego człowieka.

– Nie, ja tylko pomogłam... – rzuciła ironicznie. – Jesteśmy pewni, że kogoś nam brakuje. Spróbujmy wykluczyć z tego żonę lub kochankę, skoro nikt o takowej nie słyszał. Ktokolwiek próbował nas dopaść, nie zależało mu na spadku, więc nie musi ujawniać niczyjej śmierci. Załóżmy, że był to McCain. Wie, że jeśli spróbuje nas w to zrobić, za wszelką cenę będziemy się bronić. Nawet jeżeli przyznamy się do zabicia tego więźnia, to po naszych zeznaniach policja przeszuka każdy centymetr kwadratowy domu i lasu. W końcu gdzieś zakopał tych martwych ochroniarzy. No i co z ciałem, które widzieliśmy z okna biblioteki... Zbyt duże ryzyko. Nie martwiłabym się tym, że nas wyda, tylko tym, że gdy zidentyfikuje numery rejestracyjne samochodu lub znajdzie moją komórkę, będzie chciał nas dopaść i... O Jezu...

– Co?

– Torebka i moje dokumenty... Zostały w samochodzie.

– Cudownie...

Niespodziewanie odezwał się telefon Zacka.

– Słucham... Tak, jest ze mną.

– *Dzięki niebiosom* – ryknęła do telefonu przerażona kobieta.

– Już przekazuję... Twoja matka – szepnął do Nicole.

– Skąd ma ten numer? – zdziwiła się partnerka, zatykając palcem mikrofon telefonu.

Zack wzruszył ramionami.

– Musiałam podać go jej przypadkiem... Tak, mam... Co? Możesz powtórzyć? Rozumiem... Zaczekaj chwilkę... – Gdy Nicole ponownie zakryła mikrofon, była blada jak ściana. – Ktoś dzwonił do niej z mojego telefonu.

Zacka przeszły ciarki.

– Tego telefonu? – szepnął, mając na myśli komórkę, która przepadła wraz ze spodniami.

Nicole skinęła głową.

– Ten ktoś się odezwał?



– Nie. Milczał, a gdy mama zapytała, co się dzieje, rozłączył się. Jest przekonana, że zgubiłam telefon.

– Nie wyprowadzaj jej z błędu...

– Co teraz? – zapytała cicho Nicole, wciąż trzymając podenerwowaną matkę na linii.

– Ma samochód, dokumenty i znalazł telefon. Poradził sobie z blokadą, zyskując dostęp do setki twoich znajomych. Jeżeli miałś zapamiętane hasła, to pewnie posprawdzał sobie także pocztę i całą resztę.

– Myślisz, że...

– Ktokolwiek to jest, poważnie się nami zainteresował.

## ROZDZIAŁ 26

– Proszę podpisać w tym miejscu – rzekła przyjaźnie niska brunetka, wdzięcząc się zza biurka, gdy Zack finalizował transakcję najmu samochodu.

Widząc to wszystko, Nicole przewróciła oczyma. Nie znosiła takich laluń. W opinii mężczyzn sama była uznawana za atrakcyjną i nie rozumiała, dlaczego tak wiele kobiet musi pomagać sobie w życiu w tak nędzny sposób. Stała na zewnątrz i co jakiś czas nerwowo zerkała na przedłużającą się wymianę zdań.

Zack uśmiechnął się do pracownicy firmy. Musiał powiedzieć coś żartem, ponieważ kobieta szczerze się roześmiała, ale szybko spoważniała, gdy spojrzała na Nicole stojącą za szybą. Ta spiorunowała ją wzrokiem i odwróciła się, nie chcąc dłużej oglądać tej farsy.

– Dobrze się bawiłeś? – zapytała poirytowana, gdy Zack opuścił biuro.

– Zrobiłem to dla nas...

– Wiadomo – zadrwiła.

– Nie rozumiesz. Korzystając z jej...

– ...napadu chcicy?

– ...rozproszenia, wpisałem w formularzu fałszywe dane. Przekręciłem nazwisko i podałem błędny numer prawa jazdy – oznajmił dumnie.

– Sprytne – przyznała, choć niezbyt szczerze.

Na parkingu firmy szybko odnaleźli wynajęty pojazd. Czteroletni srebrny focus był idealnym wyborem – dzięki niemu nie powinni rzucać się w oczy. Zanim wyjechali na jezdnię, Nicole popatrzyła po zaparkowanych na ulicy samochodach. Gdy ruszyli w stronę centrum, długo spoglądała w lusterko, czy któryś za nimi nie rusza.

– Wiedział, że jestem ranna. Krew... Bandaże... Leki... Dlaczego nie spróbował dopaść mnie w szpitalu? – zaczęła niespodziewanie, wciąż wypatrując kłopotów. – Zostawiliśmy samochód. Rejestracje były

z sąsiedniego stanu, więc istniało spore prawdopodobieństwo, że odwiedzimy tutejszy szpital, zanim wrócimy do domu.

Zack spoważniał.

– Dlaczego? Bo cały czas przy tobie siedziałem, a nocą nie można odwiedzać chorych.

– Jakoś nie wierzę, że dla kogoś pokroju McCaina stanowiłoby to problem...

Ktokolwiek ich prześladował, z pewnością był wpływowym człowiekiem – kimś, z kim należało się liczyć. Ktoś taki, gdyby tylko poprosił odpowiednie osoby, bez trudu uzyskałby potrzebne informacje.

– Mam obawy w związku z naszą wizytą w ratuszu – powiedział Zack. – Jeżeli McCainowie znali wszystkich wielkich tego miasta, to ktoś z pewnością doniesie Derrianowi, że stał się obiektem zainteresowania.

– Też już o tym myślałam i mam pewien pomysł. Najpierw spróbujemy w innym miejscu, a gdy już nie będziemy mieli wyboru, pojedziemy do paszczy lwa.

\*

Słyszając, co sprowadza dziwną parę, starsza bibliotekarka zmarszczyła czoło. Natychmiast nabrała wody w usta i zaczęła taksować wzrokiem przystojnego mężczyznę oraz jego partnerkę. To właśnie Nicole wzbudziła w niej obawy – pomijając plaster na czole i opatrzoną prawą dłoń, utykała, a na twarzy miała nieudolnie zamaskowane korektorem sińce i otarcia.

Ci ludzie zdecydowanie nie wyglądają na restauratorów starych domów, za jakich się podają, pomyślała bibliotekarka i odłożyła stos książek na blat. Założyła ręce na piersiach i rzekła:

– Czego dokładnie państwo szukają?

– Informacji o starych domach... – uściśliła Nicole. – Przepraszam za mój wygląd, ale niedawno spadłam z rusztowania. Oceniałam stan gzymsu osiemnastowiecznej posiadłości – usprawiedliwiła się, przeczuwając, że kobieta coś podejrzewa.

– Mam nadzieję, że nic poważnego się pani nie stało... – rzekła z nieco udawanym przejęciem bibliotekarka.

– Na szczęście wszystko się dobrze skończyło – roześmiała się Nicole. – Właśnie... Mieliśmy zadzwonić do Stevena, żeby przywiózł dłuższe drabiny – zwróciła się do Zacka.

– Na śmierć zapomniałem! Zaraz to załatwię. – Oddalił się i wybrał z listy przypadkowy numer.

Z korytarza dobiegły odgłosy udawanej rozmowy.

– Proszę wybaczyć moje zdziwienie, ale nie wiedziałam, że posiadłość McCainów jest na sprzedaż.

– Nas także zaskoczył telefon właściciela. Wiele firm w kraju zajmuje się podobnymi przedsięwzięciami, ale niewiele pracuje tak... dyskretnie.

– Dyskretnie?

– Zdziwiłaby się pani, jak wielu właścicielom takich posiadłości nie zależy na rozgłosie. To bardzo proste... Jeżeli ktoś zamożny sprzedaje dom i nie kupuje większego, oznacza to zazwyczaj tylko jedno.

– Problemy finansowe – domyśliła się kobieta. – No tak... To zrozumiałe.

– Takie osoby często prowadzą firmy, których notowania mogą spaść na łeb na szyję, jeśli tylko ktoś się dowie, że właściciel ma jakieś problemy. Dlatego klienci cenią sobie nasze usługi. Znajdujemy nabywców w dyskretny sposób, a nie trąbimy o tym w internecie na prawo i lewo. Dodatkowo odświeżamy domy przed sprzedażą, aby podnieść ich wartość. Kupcy, których stać na takie rezydencje, bywają różni. Ci normalni wiedzą, że w starych posiadłościach nie wszystko bywa idealne, ale są i tacy, którzy kręcą nosem na krzywo wiszący obraz. Zawsze można sprzedać taką rezydencję za bezcen, ale nie to jest naszym celem, a im bardziej wymagający klient, tym więcej jest w stanie zapłacić za dom.

– Rozumiem... Problem polega na tym – westchnęła bibliotekarka – że chyba nie będę w stanie państwu pomóc, gdyż nie przypominam sobie, a pracuję tu od dwudziestu pięciu lat, abyśmy mieli w zbiorach jakąkolwiek monografię opisującą stare budynki miasta, zwłaszcza domy prywatne. Z drugiej zaś strony ta rezydencja nie jest wcale aż taka stara. Jeśli dobrze się orientuję, ma nieco ponad sto lat. Może sto pięćdziesiąt... To nie jest zabytek, w dosłownym rozumieniu tego słowa.

– Wydawało mi się, że jest znacznie starsza – zdziwiła się Nicole.

– Obawiam się, że nie.

– To dziwne, bo na terenie posiadłości znajduje się grobowiec, który

wygląda jakby miał znacznie więcej, aniżeli sto lat.

– Nie wiedziałam o nim.

Zack wrócił.

– I jak? Mamy coś? – uśmiechnął się przyjaźnie do starszej kobiety, której najwyraźniej wpadł w oko.

– Niestety – oznajmiła Nicole, a bibliotekarka wzruszyła ramionami i pokręciła głową, robiąc przepraszającą minę.

– Jak to? Zupełnie nic? – zdziwił się. – A stare artykuły?

– A tak! Oczywiście... Zapomniałam... Mogą państwo skorzystać z komputerów. Zaraz za rogiem jest czytelnia. Znajdują się tam trzy stanowiska. Obecnie – zerknęła na obraz z kamery – wszystkie są wolne.

– Nie ukrywam, że już zapoznaliśmy się z artykułami, które są dostępne na miejskim portalu. Czy posiadacie jakieś inne?

– Obawiam się, że nie – zasmuciła się kobieta.

– Wspomniała pani, że nie ma żadnej monografii dotyczącej budynków... – drążyła Nicole, choć wciąż robiła to bardzo grzecznie. – A czy jest może coś o dawnych rodach?

– Ma pani na myśli...

– Ludzi zamieszkujących miasto od wielu pokoleń.

– Najbardziej interesuje nas nazwisko Meyer – sprecyzował Zack.

– Meyer? – zdziwiła się bibliotekarka. Z jej twarzy dało się wyczytać, że doskonale wie, o kim mówią.

– To poprzedni właściciele rezydencji, której historia nas interesuje – oznajmił spokojnie Zack. – McCainowie przejęli ją od nich. Znaleźliśmy stary artykuł na temat jakiejś klątwy łączącej te dwa rody, ale link do niego nie działał.

Kobieta nawet nie próbowała zaprzeczać.

– Wiem, o kogo wam chodzi, ale o żadnej klątwie nie słyszałam. – Zawiesiła się na chwilę, wracając pamięcią do wydarzeń sprzed lat. – To było wiosną tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego.

Zacka zdziwiła pewność kobiety co do daty, wydawałoby się, tak mało istotnego wydarzenia.

– Pamięta to pani?

– Owszem. Nawet bardzo dokładnie. Miałam wtedy dwadzieścia siedem lat. Tej wiosny wyszłam za mąż – uśmiechnęła się. – Tydzień później rezydencja Meyerów spłonęła.

– Spłonęła? Ktoś zginął? – zdziwiła się Nicole.

– Niestety... Jeśli mnie pamięć nie myli, osiem osób, w tym dziecko. Straszna tragedia...

– Dlaczego nigdzie o tym nie napisali? Znaleźliśmy mnóstwo artykułów o rodzinie McCain, ale ani słowa o pożarze.

– To było dawno i pewnie gdzieś o tym napisano, ale jeśli mnie zapytacie o zdanie, to takich spraw nie powinno się roztrząsać – odpowiedziała wyraźnie wymijająco. – Jak najszybciej należy o nich zapomnieć. Wiem, że dziś mamy inne czasy. Ludzie potrzebują tragedii, gdyż się nią karmią. Chcą czytać i słuchać o problemach innych, a nie potrafią zająć się własnymi. Kiedyś mniej skupiano się na sprawach *złych* i nie szukano sensacji. Poza tym, to stosunkowo małe miasto, więc...

– Gdzie moglibyśmy się dowiedzieć czegoś więcej o historii tego domu?

– Koniecznie chcecie drążyć wątek Meyerów? – zapytała zniesmaczona kobieta, unosząc brew.

– To nie tak – uspokoił ją Zack. – Będę z panią szczery. Zgłaszając się do nas, pan Derrian McCain obdarzył nas niemałym zaufaniem. My też nie bierzemy każdego zlecenia, choć wraz z żoną uwielbiamy odnawiać stare domy. Oczywiście skłamałbym, gdybym powiedział, że na tym nie zarabiamy. Mimo to zawsze bardzo dokładnie sprawdzamy klientów. Tym razem się okazało, że McCainowie to nie tylko dobrzy ludzie, ale i bardzo pechowi. Ta rodzina w przeszłości wielokrotnie pomagała miastu, a jednak los nie był dla niej łaskawy. Pan Derrian McCain został sam na tym świecie. Nie ma żony ani dzieci, które mogłyby się nim zająć. Teraz, w związku z bardzo kosztownym leczeniem, jakie musi przejść, jego finanse znacznie podupadły.

– Nie bardzo rozumiem, do czego pan zmierza.

– Jeżeli istnieje choć cień szansy, aby podnieść wartość tej rezydencji i ułatwić panu McCainowi życie, to mamy zamiar z niej skorzystać. Jeśli zaś – Zack się obejrzał, czy ktoś nie podsłuchuje – znajdziemy historyczne przesłanki mogące zaniżyć wartość tego domu, to...

– Po prostu musicie wiedzieć, co zataić. Zawsze chodzi o pieniądze... – skwitowała rozczarowana bibliotekarka. – A już myślałam, że rzeczywiście zależy wam na restaurowaniu naszej kultury.

– Bo tak jest, ale...

Kobieta uniosła rękę, dając do zrozumienia, że usłyszała wystarczająco

wiele.

– Jeżeli ktokolwiek może wam pomóc w tej sprawie, to jedynie ktoś w ratuszu. Mają tam znacznie więcej dokumentów, niż znajdzie pan tutaj czy w sieci.

– Nie sądzę, aby nam je udostępnili ot tak.

– Jeśli posiadacie upoważnienie od właściciela, to nie widzę problemu.

– Niestety, pan McCain zlecił sprzedaż domu już po wyjeździe.

– W takim razie nie wiem, jak inaczej mogę wam pomóc.

– A czy...

– Dziękujemy pani – wtrąciła się Nicole i wymownie spojrzała na partnera. Zrozumiała, że ta rozmowa dobiegła końca, a dalsze naleganie mogło jedynie wzbudzić u tej kobiety jeszcze większe podejrzenia.

## ROZDZIAŁ 27

– To nie jest dobry pomysł – skwitował Zack. – Ta bibliotekarka miała rację. Nie mając upoważnienia, możemy tylko pomarzyć, że ktoś wyda nam jakiegokolwiek dokumenty. Nawet jeśli jakimś cudem będą chcieli nam je pokazać, poproszą o dokładne dane osobowe lub firmy, a nie chcę zostawiać po sobie śladu. Poza tym... nie mamy firmy.

– Dlatego siedzimy, gdzie siedzimy – wyjaśniła Nicole.

– Wystarczy, że burmistrz wykona jeden telefon do McCaina i trafimy za kratki, zanim zdążymy przeprosić za nieporozumienie.

– Musimy...

Otwarły się drzwi i sekretarka zaprosiła ich do środka. W jej biurze pachniało drogimi perfumami, a na biurku panował idealny porządek, choć ewidentnie kobieta miała pełne ręce roboty. Zaanonsowała ich w pośpiechu i natychmiast wróciła przed komputer, łapiąc do ręki telefon.

– Proszę sekundkę zaczekać. Burmistrz zaraz do państwa wyjdzie. – Wskazała rząd krzeseł pod ścianą i wróciła do zajęć.

Jeszcze nie zdążyli wygodnie usiąść, a mosiężna klamka w drzwiach gabinetu burmistrza opadła. Widząc mężczyznę niemalże wbiegającego do biura sekretarki, wstali jak na rozkaz.

– Witam państwa, Christian Donovan.

– Nicole Wyden.

– Zack Seeger.

Po uściskach dłoni Zack natychmiast przeszedł do konkretów:

– Reprezentujemy pana McCaina. Przychodzimy w sprawie jego posiadłości – oznajmił nieco prawniczym tonem.

Sekretarka za biurkiem nawet nie odwróciła wzroku od ekranu monitora.

Burmistrz ściągnął brwi.

– A można nieco jaśniej?



– Owszem, ale pan McCain prosił o zachowanie całkowitej dyskrecji. Powiedział też, że jeśli będziemy potrzebować pomocy, mamy się udać bezpośrednio do pana.

– I powiedział tak Derrian McCain?

– Zgadza się – potwierdził pewnie Zack, mierząc się spojrzeniem z burmistrzem.

– Wejdźcie...

Wnętrze gabinetu Christiana Donowana było eleganckie, ale nie uderzało przepychem. Bordowa wykładzina doskonale tłumiała kroki. Nicole miała wrażenie, że słycać, jak serce wali jej ze strachu. Ten człowiek z pewnością był bardziej podejrzliwy aniżeli bibliotekarka, którą szybko przekonali naciąganą historyjką. Wciąż, choć nie wiedzieć czemu, traktował ich z dużym dystansem, a przecież powinien przyjąć jak swoich, jeśli mieli coś wspólnego z największymi darczyńcami St. Michael.

Burmistrz nie był już najmłodszy. Przerzedzone siwe włosy zaczesane na bok, liczne zmarszczki na twarzy i nieco wystający brzuch... To wszystko zdradzało, iż Donowan najlepsze lata ma już za sobą. Swe mocno podkrążone oczy krył za okularami o grubych szklach zatopionych w oliwkowozielonych oprawkach. Jedynie one i świetnie dopasowany jasny garnitur, za który z pewnością słono zapłacił, nadawały mu nieco stylu.

– Słucham państwa – rzekł, siadając w fotelu. Wysłużony mechanizm cicho skrzypnął.

Burmistrz wyglądał na praktycznego człowieka, mocno stąpającego po ziemi. Zack opowiedział mu niemalże identyczną bajeczkę, co bibliotekarce, ale pominął ckliwe fragmenty o niesieniu pomocy i ratowaniu narodowego dziedzictwa – skupił się na konkretach.

– Rozumiem... – skwitował krótko Donowan, gdy przedstawiono mu problem. – Słyszałem, że Derrian McCain jest chory. Prawdę powiedziawszy to wszystko, co o nim wiem. Zresztą, to żadna nowość, bo choruje od dawna. Jednak nic mi nie wiadomo o sprzedaży posiadłości.

Burmistrz ewidentnie zainteresował się sprawą. Mieli nawet wrażenie, że trafili na potencjalnego kupca.

– Tak jak powiedziałem – zaznaczył Zack – nie po to pan McCain nas wynajął, żebyśmy o sprzedaży krzyczeli na prawo i lewo.

– I wspomnieli państwo, że gdzie macie siedzibę firmy?

– W Pittsburghu – oznajmił pewnie Zack. W pierwszej chwili chciał

skłamać, ale gdyby rzucił nazwę przypadkowego miasta, a Donovan zapytałby o jakieś szczegóły lokalizacji, mogliby wpaść.

– No dobrze... Mimo to wciąż nie bardzo wiem, co was do mnie sprowadza. Chyba nie chcecie mi sprzedać tego domu... – roześmiał się cwaniacko.

Widząc autentyczne zdziwienie na twarzy burmistrza, Zack postanowił przycisnąć i delikatnie ubarwić historyjkę.

– Nie chciałem zabrznieć niegrzecznie...

– Proszę mówić wprost, bo szkoda mojego i państwa czasu.

– Pan McCain kazał nam się dowiedzieć, w których szafach ukryto trupy.

– Że co, proszę?

– Posłużyłem się przenośnią...

– No mam nadzieję...

– Ale nie jest ona do końca wyssana z palca, jak pewnie się pan domyśla.

– Burmistrz milczał, więc Zack miał nadzieję, że trafił w czuły punkt. – Wiemy, że zanim McCainowie przejęli rezydencję, miał tam miejsce pożar. Zginęło w nim wiele osób, a podobne wydarzenia lubią odstraszać potencjalnych kupców. Pan McCain uraczył nas kilkoma ciekawostkami, takimi jak sekretne przejścia i prywatna komnata tortur w piwnicy – rzucił ironicznie Zack, nie chcąc, aby zabrzmiało to zbyt poważnie. Burmistrz wciąż uważnie słuchał. – Na terenie posiadłości znajduje się też duży grobowiec, a w lesie cmentarz z nieopisanymi płytami nagrobnymi. Nie wiem, jak pan, panie Donovan, ale gdybym ja chciał kupić ten dom, wolałbym wiedzieć, z czym będę miał do czynienia, gdy już w nim zamieszkać.

– Czego ode mnie oczekujecie? – zapytał burmistrz z wyrzutem.

– Pan McCain powiedział, że nie ma pojęcia, o wcześniejszych losach tego domu, gdyż ani ojciec, ani dziadek nigdy nie opowiadali mu o tragedii, jaka się w nim rozegrała, a gdy pytał, nabierali wody w usta. Podobno Tom McCain zabrał tajemnicę do grobu.

– Słyszałem o pożarze i tragicznej śmierci Meyerów, ale to tyle. Później dom przejęli McCainowie. Pożary się zdarzają... Koniec pieśni. – Burmistrz zaczął tracić cierpliwość. – Przepraszam, ale czegoś tu nie rozumiem. Co myślicie znaleźć w tym domu albo w okolicznym lesie? Zwłoki Jimmy'ego Hoffy?

– Oczywiście, że nie – roześmiała się Nicole. – Szczególnie interesuje nas

cmentarz, który odkryliśmy w lesie. Meyerowie i McCainowie zostali złożeni w grobowcu, podobnie jak Griffinowie, pierwsi właściciele. Kogo więc pochowano w lesie?

Ta zagadka dała burmistrzowi do myślenia.

– Służbę? – raczej zapytał, niż stwierdził.

– Sporo ich wykończyli przez tych kilkadziesiąt lat – zauważył Zack z wyraźnym rozbawieniem.

Nawet Donovan się roześmiał, gdy dokładniej przeanalizował swe słowa. Jako burmistrz był przyzwyczajony do niewygodnych pytań i błyskawicznego wymyślania dyplomatycznych odpowiedzi. Piastując obecne stanowisko, szybko pojął, że często najlepszym rozwiązaniem, choć niekoniecznie grzecznym, jest odpowiadanie pytaniem na pytanie.

– Chcecie powiedzieć, że na terenie posiadłości pochowano kilka, a może nawet kilkanaście niezidentyfikowanych osób?

– Dokładnie to chcemy powiedzieć – przyznał Zack. – Uważam, że będzie to jedno z pierwszych pytań, jakie otrzymamy od klientów zainteresowanych domem. Czegoś takiego nie da się zataić. Nie wspominając już o mauzoleum, które na dzień dobry odstraszy połowę kupujących. Już wystarczająco dużo problemów będziemy mieli z remontem. Ogrodzenie się sypie, a dom podupadł. Do pełni szczęścia potrzeba nam tylko jakiegoś zapomnianego indiańskiego cmentarza.

– Chętnie bym wam pomógł, ale...

– No i pozostaje jeszcze nieszczęsny artykuł... – Zack wyjął telefon. Miał już otwarty odpowiedni link.

Burmistrz przejął aparat i przeczytał na głos:

– *Kłątwa McCainów czy domu Meyerów*. Kłątwa? Proszę was... Dziennikarze napiszą wszystko, żeby tylko gazeta się sprzedała. Myślałem, że mamy dwudziesty pierwszy wiek... Od urodzenia mieszkam w St. Michael, a o tych sprawach usłyszałem dopiero od was.

– Jeżeli nie pan, panie Donovan, to kto ma wiedzieć?

– Zważywszy, że pytacie o trupy i klątwy... to pewnie *Duch Święty*.

– Rozumiem pana poirytowanie, ale...

– Wątpię...

– Pan McCain wyraźnie powiedział, do kogo mamy się udać – przypomniała Nicole.

– I wierzcie lub nie, ale właśnie to dziwi mnie najbardziej! – Donovan

pacnął ręką w blat biurka. – Nagle McCain potrzebuje pomocy, a gdy jakiś czas temu prosiłem o datek na szkolne boisko, to nawet nie raczył oddzwonić. Rozmawiałem jedynie z jego asystentką, która wiecznie mnie zbywała.

Asystentka, powtórzyła w myślach Nicole. Zack również musiał to wyłapać, gdyż wymienili wymowne spojrzenia. Na siłę próbowali umieścić w tym wszystkim żonę, a tymczasem rzeczywistość boleśnie z nich zadrwiła. Asystentka mogła być jednocześnie kochanką, na którą McCain zapisał swoją część domu.

– Będę z wami szczerzy. Siedzicie tutaj jeszcze tylko dlatego, że przodkowie Derriana McCaina byli rzeczywiście porządnymi ludźmi. Chcę wam pomóc, ale tylko przez wzgląd na dawne czasy. Mam też prośbę... – ciągnął burmistrz protekcjonalnym tonem. – Spójrzcie mi prosto w oczy i powiedzcie, że McCain poinstruował was, iż macie odnaleźć Christiana Donowana, a on w jednej chwili rozwiąże wszystkie wasze problemy i odpowie na każde pytanie.

– Nie – odparł spokojnie Zack. – Pan McCain powiedział, że mamy udać się do burmistrza, który odpowie nam na... No jasne... Nie pan wtedy sprawował urząd.

– No jasne, że nie! – roześmiał się Donowan, nie wierząc w ich naiwność i po raz kolejny pacnął ręką w stół. – A co wy sobie myśleliście? Że od ponad trzydziestu lat siedzę na tym stołku? Litości! Kilka lat, a już wariuję.

– Kto wtedy piastował urząd? – zapytała bez chwili wahania Nicole.

– Kiedy?

– W osiemdziesiątym piątym...

– Reagan – roześmiał się Donowan.

– Nie pytałam o prezydenta...

– I teraz wyjdzie na to, że nie pamiętam... Z drugiej strony, mam ważniejsze sprawy na głowie niż uczenie się historii. Dobra... Chodźcie ze mną i miejmy to z głowy.

Wstali i grzecznie podążyli za Donowanem.

\*

– Czy podać coś do picia? – zapytała sekretarka, widząc, że cała trójka zmierza do sali konferencyjnej.

– Nie – odparł pośpiesznie burmistrz. – Ci państwo zaraz wychodzą.

– Oczywiście.

Nicole z obawą spojrzała na Zacka. On też pojął, iż to ostatnie wyjaśnienie, jakiego Donovan im udzieli. Ten, gdy tylko wprowadził ich do sali konferencyjnej, wrócił jeszcze, aby przekazać sekretarce najnowsze wytyczne:

– Odwołaj moje jutrzejsze spotkanie z Radą Szkoły.

– Mam je całkowicie odwołać, czy przełożyć?

– Przełoż, ale jeszcze nie wiem na kiedy.

– Już do nich dzwonię.

Donowan zamknął drzwi.

– Tutaj macie naszą ścianę chwały. – Wskazał zdjęcia przedstawiające wizerunki byłych burmistrzów. Pod oprawionymi fotografiami widniały podpisy i lata, w jakich poszczególne osoby sprawowały urząd. Wśród ponad dwudziestu mężczyzn znalazła się zaledwie jedna kobieta.

– Oczywiście! Jak mogłem zapomnieć... – Donovan pokręcił głową, po czym dodał nieco ironicznym tonem: – Duma i chwała St. Michael, Susan Sachs. – Postukał palcem po ramie zdjęcia kobiety, które od początku zaintrygowało Nicole. – Pełniła urząd od osiemdziesiątego drugiego do osiemdziesiątego ósmego.

– Proszę wybaczyć pytanie, ale czy ona jeszcze...

– Żyje?

Zack skinął głową.

– Tak, tak... Ma już ponad siedemdziesiąt lat, ale wciąż aktywnie uczestniczy w życiu miasta. Bywa honorowym gościem spotkań rady. Niektórzy po prostu nie potrafią się... wyłączyć. Mam nadzieję, że rozumiecie, co mam na myśli.

– Oczywiście – potwierdziła Nicole.

– Ostrzegam, że to bardzo konkretna kobieta. Radzę wam uważać, bo może nie wykazać tak dużej cierpliwości jak ja.

Cudownie, pomyślał Zack.

– Mam ostatnie pytanie.

– Nareszcie... – rzucił kąśliwie Donovan.

– Gdzie znajdziemy panią Sachs?

\*

– Co o tym sądzisz? – zapytała Nicole, gdy opuścili ratusz.

– Nie lubi swojej pracy, nie lubi McCaina, nie lubi Sachs i nie polubił nas.

– Zapomniałeś o członkach Rady Szkoły. Pytam poważnie...

– A ja poważnie... Stój... – Zack zatrzymał partnerkę, mocno łapiąc ją za ramię.

W pierwszej chwili nie zrozumiała, co się dzieje, ale gdy uświadomiła sobie, że Zack kieruje wzrok na samochód, również mu się przyjrzała. Natychmiast dostrzegła coś leżącego na szybie i masce.

Przechodnie dziwnie przyglądali się pojazdowi.

Zack i Nicole z trwogą podeszli do wynajętego focusa, uważnie lustrując okolicę. Nicole odgięła wycieraczkę i drżącą ręką sięgnęła po potargane i brudne od ziemi oraz zakrzepłej krwi dżinsowe spodnie.

## ROZDZIAŁ 28

Wiedzieli już, że ktoś stale ich obserwuje.

Zachowując pozorny spokój, udali się do pobliskiego centrum handlowego i tak długo kluczyli pomiędzy piętrami, aż ostatecznie się upewnili, że nikt ich nie śledzi. Dla pewności kolejne pół godziny spędzili przyczajeni pomiędzy samochodami, obserwując wyjścia z klatki schodowej i windy na parking.

Nie mieli zamiaru ryzykować – Zack całkowicie wyłączył komórkę, a wynajętego focusa zostawili w pobliżu ratusza. Zakrwawione spodnie Nicole wyrzucili do śmietnika.

Po ponad godzinnej próbie zgubienia ewentualnego *ogona* opuścili bezpieczną kryjówkę. Najpierw z oszklonego budynku wyszła Nicole, a chwilę po niej Zack. Ich celem był postój taksówek po drugiej stronie centrum handlowego. Właśnie tam mieli się spotkać.

Zack podążał za Nicole, utrzymując spory dystans i podobne do partnerki tempo marszu. Najgorsze były chwile, gdy znikająca mu z oczu – skręcała lub lawirowała pomiędzy przechodniami.

Wcześniej się umówili, że zanim Nicole dojdzie do postoju taksówek, dwukrotnie się zatrzyma z dowolnego powodu, aby Zack mógł sprawdzić, czy ktoś idący za nią nie zwalnia.

Na pierwszy postój zdecydowała się obok kramu z gazetami i różnymi drobiazgami. Przymierzyła duże, ciemne okulary. Gdy postanowiła za nie zapłacić, Zack dostrzegł zatrzymującą się furgonetkę – nadszła z naprzeciwka. Poczł uderzenie gorąca i popędził do Nicole. Krzyknął nawet jej imię, ale w tym tłumie nie mogła go usłyszeć. Widząc, jak pojazd zatrzymuje się dosłownie przy niej, zaczął rozpychać się łokciami pomiędzy ludźmi idącymi chodnikiem.

Z wnętrza vana wyskoczył niewysoki, ale umięśniony nastolatek. W rękach trzymał plik gazet. Przekazał je sprzedawcy kramu i wóz ruszył dalej.

Nicole nawet nie wiedziała, jak źle mogło się to dla niej skończyć. Zdziwiła się, gdy Zack ją dogonił. Nie tak się umawiali.

- Chodź... – Złapał ją pod ramię.
- Co się dzieje?
- Na szczęście nic, ale napędziłaś mi stracha.
- Ja?!
- Potem ci wyjaśnię. Zmywajmy się stąd.

\*

Taksówka podwiozła ich pod wskazany adres i Zack uregulował należność. Poprosił kierowcę, aby ten na nich zaczekał, ale mężczyzna miał już umówiony następny kurs. Nawet studolarowy banknot nie był wystarczająco przekonujący.

Trafili pod prywatny dom na spokojnym osiedlu. Wzdłuż drogi rosły potężne klony o przeredzonych koronach, rzucających jeszcze nieco cienia na jezdnię. Po obu jej stronach ciągnął się chodnik oddzielony od drogi niedawno przystrzyżonym pasem zieleni, który przyozdabiały pożółkłe liście.

– Wiem, że nie chcesz tego słuchać – odezwał się Zack – ale powinniśmy jak najszybciej wynieść się z miasta. Nie wiem, co jeszcze tutaj robimy. Ten świr zagraża nie tylko nam, ale i twoim znajomym, matce. Nie dostrzegasz tego?

– Widzę to aż za dobrze, ale powrót do domu niczego nie rozwiąże i ty też o tym wiesz. Nie chcę codziennie budzić się z obawą, kto czeka pod drzwiami... policja czy ten psychol.

Zack westchnął.

- W porządku, ale znasz moje zdanie.
- Czuję, że Donovan wiedział, co robi, dając nam ten kontakt.
- Po prostu chciał się nas pozbyć.
- Zaraz się przekonamy.

Nie byli specjalnie zdziwieni obecnością Susan Sachs w oknie. Mimo iż kobieta pragnęła pozostać niezauważona, zdradziła ją poruszająca się firanka.



Obawiali się, że Donovan dał jej znać i będzie udawała nieobecna, ale zachowała się wręcz odwrotnie. Nie musieli nawet dzwonić. Była burmistrz St. Michael stanęła w drzwiach wejściowych, zanim się do nich zbliżyli.

– Pani Sachs... Nazywam się Zack Seeger, a to Nicole Wyden. Prowadzimy...

– Wiem, kim jesteście – rzekła przyjaźnie, choć z pewnym dystansem. Zesztywnieli.

Cholerny Donovan, pomyślał Zack.

– Wejdźcie... wejdźcie...

Dom nie wyglądał, jakby mieszkała w nim siedemdziesięcioletnia kobieta. Proste meble i jasne ściany pozbawione tapet... Schody w postaci pojedynczych stopni zatopionych w ścianie... W kącie lampa z najnowszej kolekcji jakiegoś studia dekoracyjnego... Przedziwny stolik kawowy – zlepek różnej wielkości sześciąt... To wszystko nadawało wnętrzu bardzo nowoczesnego charakteru.

Z kuchni dobiegał mechaniczny dźwięk robota sprzątającego. Zanim gospodyni zdążyła go wyłączyć, ten był już w połowie drogi do salonu.

– Najmocniej przepraszam... Po prostu nie spodziewałam się gości. – Założyła okulary i za pomocą aplikacji w telefonie poleciała robotowi wrócić do stacji ładującej.

Nicole była pod wrażeniem zaradności kobiety.

Mimo swego wieku Sachs, gdy usiadła, zdjęła okulary – używała ich tylko do czytania.

– To my najmocniej przepraszamy za niespodziewane najście, ale jesteśmy w... podbramkowej sytuacji. – Zack po raz trzeci przytoczył historyjkę o firmie renowacyjnej i sprzedaży posiadłości. Wiedząc już, co dokładnie chce powiedzieć, mówił z taką lekkością i przekonaniem, że nie było mowy, aby kobieta podejrzewała go o kłamstwo.

– To smutne, co spotkało pana McCaina. Wszystkich McCainów... – natychmiast się poprawiła. – Najpierw jego najbliżsi, a teraz on – zmartwiła się Sachs, choć nawet nie drgnęła. Wciąż siedziała wyprostowana, z lekko ugiętymi nogami – nawyk wyrobiony podczas kilku dekad spędzonych na urzędniczych stanowiskach. W końcu spuściła wzrok, jakby nie wiedziała, od czego zacząć.

– Jeżeli dobrze rozumiem, po pożarze w osiemdziesiątym piątym rezydencję przejęło miasto – dociekał Zack.

– Nie do końca, choć można by to tak określić – odparła nieco pokrętnie Sachs. – Dom nie spłonął w całości, jednakże w pożarze zginęli właściciele. Nie został nikt, kto mógłby odziedziczyć go po Meyerach, więc... przeszedł na własność państwa, ale tak naprawdę stanowił jedynie problem, gdyż należało wpompować sporo pieniędzy w remont. Oczywiście mogliśmy go sprzedać niemalże za bezcen, aby przyszedł się tym zająć. Budżet miasta był już zatwierdzony i nie miałam skąd wysupłać dodatkowych pieniędzy. W tym czasie w radzie St. Michael zasiadał Rod McCain. To był niezwykle człowiek, ale i ekscentryk. Wciąż mi przebąkiwał, że nosi się z zamiarem wybudowania własnego domu, w którym mógłby trzymać kolekcję zabytkowej broni i trofeów myśliwskich. Zaproponował nam bardzo hojny układ. Zapłacił znacznie więcej za zrujnowaną rezydencję, niż moglibyśmy oczekiwać. To było idealne rozwiązanie dla miasta. Nikt nie miał nic przeciwko temu. Odwiedziłam ich zimą, dwa albo trzy miesiące po przeprowadzce. Niezwykle szybko uwinęli się z remontem. Wnuczek Roda szalał w śnieżnych zaspach. Były tak duże, że krył się w nich na stojąco. Tę zimą zapamiętam do końca życia. Mróz i opady śniegu dały się nam mocno we znaki. Ale przetrwaliśmy... Jak wszystko...

– A wracając do wydarzeń tamtej wiosny, do pożaru – rzuciła Nicole.

– Tak?

– Wspomniała pani, że wszyscy spłonęli. Po Meyerach nie ostał się żaden spadkobierca?

– Nie. Potworna tragedia... – potwierdziła Sachs z wyraźnym przejęciem w głosie.

– Przepraszam, ale... trudno mi to sobie wyobrazić. O ilu osobach mówimy? Pięciu?

– Jeśli mnie pamięć nie myli, to o sześciu, a licząc ze służbą, chyba nawet ośmiu.

– Osiem osób zginęło w pożarze, który objął zaledwie część domu? Jak pewnie się pani domyśla, odwiedziliśmy rezydencję. Nie potrafię sobie wyobrazić, że nikt nie próbował uciec i nagle wszyscy znaleźli się w jednym pomieszczeniu.

– Podobno Meyerowie byli właśnie w trakcie remontu i nie spożywali posiłków w jadalni, jak zawsze, a w kuchni. Świadek słyszał potwornie głośny wybuch. Śledztwo ustaliło, że eksplozję spowodował ulatniający się

gaz. Ciała były nie tylko zwęglone, ale i zdeformowane. Niektóre eksplozja pozbawiła... – Sachs drgnęła. Nie była w stanie kontynuować.

– Proszę mi wybaczyć pytanie – Zack przerwał trudny moment – ale dlaczego nigdzie nie znaleźliśmy o tym nawet jednej wzmianki? Badając przeszłość rezydencji, natknęliśmy się na szereg artykułów związanych z McCainami, sukcesami i problemami tej rodziny, ale o Meyerach nie znaleźliśmy ani słowa. Coś takiego musiało wstrząsnąć okolicą... miastem... mieszkańcami...

– Zgadza się i właśnie dlatego nigdzie pan o tym nie przeczyta. – Była burmistrz westchnęła, po czym dodała: – Zakazałam publikowania jakichkolwiek artykułów dotyczących tej tragedii.

– Zakazała pani? – zapytał z niedowierzaniem Zack.

– Tak. – Sachs ewidentnie zrzuciła z serca potężny ciężar.

To wyznanie było dość niecodzienne, więc Zack wymownie spojrzął na kobietę, która natychmiast zrozumiała, że nie obejdzie się bez dodatkowych wyjaśnień.

– Miasto miało problemy. Za mojej kadencji odnotowano spadek populacji i to dwa lata z rzędu. Pewnie jesteście to sobie państwo w stanie wyobrazić. Pierwszy raz burmistrzem zostaje kobieta i od razu same problemy. Oczywiście nie spowodowała ich moja osoba, a niekompetentny poprzednik, który zapuścił wszystko, co się dało. Mimo to dla ludzi ważne było tu i teraz. Byliśmy właśnie w trakcie ogromnego przedsięwzięcia. Pojawił się inwestor, który chciał wybudować nieopodal miasta duży zakład produkcyjny. Miał zatrudnić nawet kilkaset osób z St. Michael, więc równoległe z tym projektem zaczęliśmy budowę tanich mieszkań dla pracowników. Osiedle w południowej części miasta, niedaleko rzeki, miało przyciągnąć nawet pięćset rodzin. To była podróż w jedną stronę. Musiała się udać.

– Nagłośnienie tragedii Meyerów mogło skutecznie zniechęcić zainteresowanych przeprowadzką – domyśliła się Nicole. – Nie mówiąc już o inwestorze...

Była burmistrz skinęła głową.

– Plan się powiódł?

– Tak... Zahamowaliśmy spadek populacji. Do dziś utrzymuje się ona na stałym poziomie. Czasem nawet jesteśmy na niewielkim plusie – uśmiechnęła się Sachs. Mimo iż wydawała się przyjazną, ciepłą i skromną

osobą, znała swoją wartość. Doskonale zdawała sobie sprawę, że niegdyś uratowała to miasto przed zgubą.

– St. Michael wiele pani zawdzięcza – przyznał szczerze Zack.

– Cieszę się, że tak pan to widzi. Nigdy go nie zostawię... Meyerowie stali się cichymi bohaterami, jeżeli w ogóle tak można o nich powiedzieć. Niech ludzie mówią sobie, co chcą, ale lubię tak o nich myśleć. Nie oddaliśmy im wystarczającej czci, nie nagłośniliśmy ich tragedii, ale dzięki temu uchroniliśmy miasto przed upadkiem. Wybraliśmy mniejsze zło, jak to mówią. Ja wybrałam...

– Rozumiem, że ich ciała złożono w mauzoleum na terenie posiadłości, podobnie jak szczątki McCainów, a wcześniej także Griffinów.

– Tak.

– Kto więc został pochowany głęboko w lesie? – zapytał Zack. – Mam na myśli nieopisane kamienne płyty.

– Natknęliśmy się na nie, badając czystość wody w strumieniu przepływającym przez teren posiadłości – wyjaśniła Nicole, próbując uwiarygodnić historię.

– Wiedziałam, że kiedyś padnie to pytanie. Miałam tylko nadzieję, że nie dożyję tego dnia. – Sachs posmutniała i spuściła głowę.

– Proszę nam opowiedzieć... – rzekła błagalnie Nicole, choć wiedziała, że sprawia tym kobiecie ból. – Obiecuję, że wszystko, co usłyszymy, zachowamy dla siebie. Dowie się o tym tylko pan McCain.

– Reprezentujemy go – dodał Zack – i jeśli on postanowi coś przemilczeć w stosunku do przyszłych klientów, to tak się stanie, ale pracując na terenie posiadłości, musimy wiedzieć, z czym mamy do czynienia albo... czego powinniśmy unikać.

Była burmistrz pokręciła głową na znak dezaprobaty w stosunku do czynów, o których miała nadzieję więcej nie opowiadać.

– Jakiś czas po pożarze, gdy trwał remont rezydencji, grupa wandalów zdemolowała grobowiec. Naprawdę ciężko mi o tym mówić, gdyż na własne oczy widziałam, czego te... zwierzęta się dopuściły. Aby oszczędzić wam szczegółów, powiem tylko, że zniszczyli płyty nagrobkowe i zbeczęścili zwłoki. Rod McCain wezwał mnie i pokazał wszystko. Ten odór... Widok był... Zakładam, że w jakimś stopniu mogą sobie to państwo wyobrazić.

– Oczywiście... – potaknęli zgodnie.

– Musieliśmy podjąć błyskawiczną decyzję.

– To całkowicie zrozumiałe... – powiedziała Nicole ze szczerym współczuciem.

– O incydencie wiedziałam tylko ja, no i oczywiście Rod. Obiecał, że się tym zajmie. To był dobry człowiek. Wierzcie mi... Gdy niespodziewanie zginął, poczułam się, jakbym straciła brata. Kazał wykopać w lesie groby i umieścić w nich ciała Meyerów. Wszystko odbyło się w ciągu jednego dnia, a właściwie nocy. Rod był bardzo wierzącym człowiekiem. Odnowił wnętrze grobowca, ale nie chciał dopuścić, aby sytuacja się powtórzyła. Sprowadził specjalne płyty nagrobne, a nawet kazał postarzyć kamień. Zabronił je opisywać, aby zapewnić Meyerom wieczny spokój w nowym miejscu pochówku.

– Czy to był jednorazowy incydent? – dopytał Zack. – Mam na myśli dewastację mauzoleum. Czy podobne przypadki zdarzały się także na miejskim cmentarzu?

– Nie, nie...

– Proszę wybaczyć uwagę, ale ludzie raczej nie włamują się na prywatny, chroniony teren, aby zbeczczyć groby. Dlaczego ktoś tak bardzo ryzykował?

– Bo ludzie są głupi, panie Seeger – zirytowała się Sachs, choć nie z powodu pytania, a raczej na skutek poruszonego, bolesnego tematu. – Zimą tego roku, zanim rezydencja spłonęła, doszło w St. Michael do pewnego incydentu, a właściwie kilku. W niewielkich odstępach czasu zaginęło pięć osób. Trzy kobiety i dwaj mężczyźni. Śledztwo trwało i trwało. W międzyczasie wydarzyła się wspomniana tragedia w domu Meyerów. Jeden z policjantów prowadzących dochodzenie bezpodstawnie podejrzewał o udział w uprowadzeniach członka rodziny Meyerów, którego często widywano chadzającego po lesie w towarzystwie dwóch zaginionych. Chodziło o tych mężczyzn. Byli myśliwymi, podobnie jak... przepraszam, ale zapomniałam imienia tego człowieka.

– Nie szkodzi...

– Ogień nienawiści w stosunku do tej rodziny podsyciło znalezienie zwłok jednej z zaginionych kobiet. Na nagie ciało nastolatki natrafiono przypadkiem w lesie niedaleko rezydencji.

– Chyba już rozumiem – rzekła Nicole.

– Nie trudno zgadnąć... Podejrzewaliśmy z Rodem, że ludźmi odpowiedzialnymi za dewastację mauzoleum byli mieszkańcy miasta

należący do rodziny odnalezionej ofiary, ale oczywiście nikogo nie złapano za rękę.

– Śledztwo w sprawie dewastacji niczego nie wyjaśniło? – zdziwiła się Nicole.

Sachs delikatnie się uśmiechnęła.

– Nie było żadnego śledztwa – dopowiedział Zack, a kobieta potwierdziła skinieniem głowy.

– Dlaczego celem ataku stali się akurat Meyerowie? Każdy mógł porzucić to ciało w lesie.

– Dziewczyna miała ranę po kuli. Wszyscy założyli, że przypadkiem postrzelono ją podczas polowania, a że dwaj towarzysze Meyera, ci myśliwi, również zaginęli, oskarżycielom pozostał tylko gospodarz rezydencji. Według nich przypadkiem zastrzelił dziewczynę, a gdy kompani powiedzieli, że na niego doniosą, zabił także ich.

– Nie tłumaczy to nagości zwłok – zauważył Zack.

– I pewnie to było punktem zapalnym... – zauważyła Sachs. – Przypadkiem postrzelona nastolatka to nieszczęśliwy wypadek. Nagie ciało z dziurą po kuli w piersi to dzieło sadysty.

– Czy podejrzewaliście o dewastację mauzoleum kogoś konkretnego? – ciągnęła Nicole.

Kobieta nabrała wody w usta.

– Pani Sachs... Ktoś musiał być *bardziej* podejrzany od reszty.

– Zamietliłmy to pod dywan, nie szukając winnych – przyznała smutno była burmistrz.

– W ogóle nie zgłoszono tego policji?

Pokręciła głową.

– Rod bardzo chciał tak postąpić. Wspomniałam już o jego pobożności. Mimo to nakłoniłam go, aby dał temu spokój. Był zniesmaczony prośbą, choć to chyba za mało powiedziane. Ostatecznie przystał na moje rozwiązanie.

– Ostatecznie?

– Ostatecznie... – potwierdziła Sachs. – Pół roku później znowu zaczęliśmy normalnie rozmawiać – uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Zdziwiliśmy się, że burmistrz Donovan nie wiedział nic o tej sprawie.

– Mało kto wiedział, a dziś już niewielu nawet pamięta, że Meyerowie mieszkali w St. Michael.

– A McCainowie? – zapytał Zack.

– Co z nimi?

– Oni o wszystkim wiedzieli...

– Rod zaklinał się, że nikomu nie powie. Nie miał zamiaru straszyc najbliższych tymi okropnościami. Obawiam się, że nawet jego żona nie wiedziała, nie wspominając już o synu czy wnukach. Elizabeth jeszcze długo wyrzucała mu przeprowadzkę. Była jej przeciwna. Gdyby się o czymś takim dowiedziała, Rod nie miałby życia. Obydwoje kochali podróże, ale Elizabeth patrzyła mało przychylnym okiem na zamiłowanie Roda do polowań. Podczas gdy on szczyił się swymi trofeami przed znajomymi, ona wychodziła z pokoju. Usłyszawszy, że jednym z powodów przeprowadzki z centrum miasta na jego obrzeża ma być fakt, iż Rod chce ładniejszego i większego gabinetu, aby lepiej móc wyeksponować trofea, których nie mieściło już ich poprzednie mieszkanie, urządziła mu potworną awanturę. Nawet przyszła z tym do mnie.

– A dlaczego do pani?

– Chciała, abym wybiła mu z głowy ten dom. W końcu kupował go od miasta, na którego czele stałam.

– Jak McCain przekonał żonę?

– W bardzo prosty sposób – powiedziała dobrotliwie Sachs. – Zapewnił, że wszystkie trofea umieści w jednym gabinecie, do którego Elizabeth nie będzie musiała nigdy wchodzić.

Nicole uśmiechnęła się łagodnie.

– Widzieliśmy ten *pokój chwały*.

– Sama nie podzielałam jego hobby – przyznała Sachs, po czym dodała współczującym tonem: – Czeka was trudne zadanie.

– Nawet sobie pani nie wyobraża – bąknęła Nicole. Czuła, że ta rozmowa zbliża się ku końcowi, więc postanowiła zapytać o coś, co mogło wydać się Sachs dziwne, a może nawet niedorzeczne. Mimo to przybyli tu, aby poznać przeciwnika, kimkolwiek jest.

– Jak opisałyby pani Derriana McCaina?

Była burmistrz podejrzliwie spojrzała na Nicole.

– Obawiam się, że nie rozumiem. Pyta mnie pani o... własnego pracodawcę.

– Nie inaczej.

– Panno Wyden...

– Wiem, jak dziwnie to zabrzmiało, ale proszę spojrzeć na to z naszej strony. Otrzymaliśmy wytyczne na temat sprzedaży domu od człowieka, z którym rozmawialiśmy zaledwie dwa razy i to przez telefon. Po rezydencji oprowadził nas jego kamerdyner. Codziennie napotykamy kolejne przeszkody, o których nie miał pojęcia nawet właściciel. Jeżeli chcemy korzystnie sprzedać dom, musimy wiedzieć, komu możemy go zaproponować. W tym przypadku liczy się wszystko, każdy szczegół. Sposób postrzegania właściciela przez lokalne środowisko również jest niezwykle istotny.

– Myślę – wtrącił Zack – że większym nietaktem byłoby zapytanie o to pana McCaina. I kolejna sprawa... Czy wtedy moglibyśmy liczyć na szczerą odpowiedź?

– Słuszna uwaga... – spuentowała Sachs.

– Burmistrz Donovan bez zastanowienia skierował nas do pani. Po prostu nie widzę lepszego źródła informacji, a tego typu *badania* zawsze przeprowadzamy. Wiedzę o naszych pracodawcach często wynosimy z nagłówek gazet, czasem z opinii współpracowników. Dodam, że wielokrotnie nie są to pochlebne słowa. W tym przypadku musimy pytać, bo nie widzę innego sposobu. W sieci nie ma zbyt wielu informacji o Derrianie McCainie. Proszę wybaczyć stwierdzenie, ale im ktoś bogatszy, tym więcej ma pieniędzy na szafy, w których upycha trupy.

– Zgodzę się z panem – przyznała Sachs. – Cóż mam wam powiedzieć...

– Jedyne prawdę – rzuciła Nicole. – Jeśli to pani jakoś pomoże, burmistrz Donovan nie wypowiedział się o panu McCainie zbyt pochlebnie.

– Biedny Christian... – rzuciła zniesmaczona Sachs. – W ogóle nie powinien obejmować tego stanowiska. – Poprawiła się na sofie, ale wciąż siedziała prosto, jakby ją przywiązano do deski. Ewidentnie nie pałała miłością do obecnego burmistrza. – Chcecie znać moje zdanie? Wyburzcie ten dom...

Spojrzeni na siebie niezrozumiale.

– On przynosi ludziom pecha. Najpierw Meyerowie, teraz McCainowie... Wraz ze śmiercią Mary McCain jej mąż, Tom, zaniechał uczestnictwa w życiu miasta. Sprzedał część firmy, zachowując pakiet większościowy. Skupił się na wychowaniu synów. Po jego śmierci... A właśnie... Nie wiem, czy wiecie, że zginął wraz ze swoim młodszym synem.

– Tak – potwierdziła Nicole. – Wiemy o wszystkim, o czym można było



przeczytać w lokalnych gazetach.

– Po ich śmierci Derrian całkowicie się w sobie zamknął. Nie wiem, czy powinnam o tym wspominać, ale...

– Był adoptowanym dzieckiem – ułatwił Zack.

– Widzę, że rzeczywiście odrobiliście lekcje. Jednakże miałam na myśli coś innego... Jeżeli dobrze pamiętam, to nie mieliście się okazji państwo spotkać.

– Nie... Rozmawialiśmy tylko przez telefon.

– Derrian przeżył w młodości poważny wypadek. Tom adoptował go jako dziewięciolatka podczas jednej ze swych podróży. Mało kto wie o okolicznościach tego wszystkiego. Nie pamiętam już, gdzie to się wydarzyło, ale wiem, że Tom przebywał wtedy w szpitalu. Jakies zatrucie, na szczęście niegroźne, ale wymagające krótkiej hospitalizacji. Jak wiadomo, w krajach Trzeciego Świata, szczególnie w mniejszych miasteczkach, nie ma podziału na lżej i ciężiej chorych. Na łóżku obok Toma leżał wtedy dzieciak, który ucierpiał po ataku dzikiego zwierzęcia. Chłopiec stracił rodzinę, a sam ledwie przeżył. Tom zabrał go ze sobą do domu i zapewnił najlepszą opiekę.

– Szlachetne... – odezwała się Nicole.

– Dobroć McCainowie mieli zakodowaną w genach.

– Proszę wybaczyć kolejne pytanie, ale widziałam w domu fotografię rodziny. Derrian McCain nie jest... Ma jasną karnację.

– Tak... – uśmiechnęła się Sachs, dobrze wiedząc, do czego Nicole zmierza.

– Jak to możliwe?

– Podobno, ale mówię wam to w całkowitym zaufaniu – uniosła palec – matką była Afrykanka, a ojcem misjonarz pochodzący ze Stanów. Oczywiście to tylko plotki, których nawet Tom McCain nie był pewny.

– Skąd więc pani wie?

– Bo sama kiedyś go o to zapytałam, pomagając załatwić papiery w związku z adopcją. Mimo to nie sądzę, aby tak dalekie pochodzenie pana Derriana McCaina było istotne w sprawie sprzedaży posiadłości. Tom uznał go za swego syna i tylko to się liczy.

– Zgadza się – potaknął Zack.

– Jednakże nie dokończyłam wam wątku. Pytałam, czy się z nim widzieliście, bo z ataku dzikiego zwierzęcia, o którym wspomniałam, Derrian nie wyszedł bez szwanku. Ma oszpeconą część twarzy. Po przywiezieniu

chłopca do kraju zdiagnozowano u niego genetyczną chorobę związaną z zaburzeniem krzepliwości krwi. Gdyby pozostał w Afryce, umarłby. Ostatecznie by się wykrwawił. W Stanach mamy znacznie bardziej zaawansowane metody leczenia, ale nie udało się przeprowadzić operacji chirurgicznych w związku z pełną rekonstrukcją twarzy.

– I pewnie dlatego w domu nie ma zbyt wielu fotografii.

Sachs wzruszyła ramionami.

– Mogę to zrozumieć. Nie wyobrażam sobie, co ten dzieciak przeszedł. Ile musiał wycierpieć... – Zadrzała. – Tom odziedziczył po ojcu nie tylko majątek, ale też dobroć. Załatwił chłopcom najlepszych nauczycieli i opiekunów. Mimo iż Derrian musiał się poduczyć języka angielskiego, wyrósł na mądrego, wykształconego człowieka. Przez nauczycieli był uznawany za pojętniejszego ucznia niż jego brat, Maxymilian. W stu procentach wykorzystał szansę, jaką dostał od losu, który wcześniej tak boleśnie go doświadczył.

– Kiedy widzieliście się państwo ostatnio?

– Oj, dawno temu. Nawet nie potrafię powiedzieć. Musiałabym się mocno skupić. Przed dwoma laty? Chyba tak... A może trzema...

– Rozumiem...

– Dlatego tak bardzo zaskoczył mnie ten telefon. Nawet nie wiedziałam, w jakiej sytuacji jest pan McCain.

– Tak. Burmistrz Donovan, podobnie jak pani, dobrze orientuje się w swoim mieście. Wiedział, do kogo nas skierować.

– Burmistrz Donovan?

– A to nie on do pani zadzwonił, że przyjedziemy? – zdziwiła się Nicole.

– Nie... Rozmawiałam z panem McCainem.

Nicole spiorunowała partnera wzrokiem.

Zack zeszywniał i poczuł uderzenie gorąca.

– Chwileczkę... Dobrze rozumiem, że to pan McCain do pani dzwonił? – dopytał, aby się upewnić.

– Tak... – potwierdziła z uśmiechem Sachs. – Przyznam, że nie poznałabym go po głosie, ale zaraz na początku się przedstawił. Dlaczego was to dziwi? Przecież pracujecie dla niego... Powiedział mi, że przyjdziecie i będziecie mieli kilka pytań. Prosił, abym na nie szczerze odpowiedziała.

Zack popatrzył na Nicole, która wciąż taksowała go wzrokiem.

– Co tu się dzieje? – zdziwiła się Sachs. – Zachowujecie się, jakbyście...

– Nie, nie... Wszystko w porządku. Myśleliśmy, że burmistrz Donovan panią... *ostrzegł*. Nie sądziliśmy, że zadzwoni sam pan McCain.

– Chwileczkę... Czegoś tu nie rozumiem. Jeżeli to Christian Donovan was do mnie skierował, to skąd Derrian McCain wiedział, że u mnie będziecie?

Nicole przełknęła ślinę.

## ROZDZIAŁ 29

Na koniec rozmowy Zack nakłamał Sachs, że w drodze do niej odbyli szybką rozmowę z Derrianem McCainem, w której poinformowali go, gdzie się udają. Biorąc pod uwagę zaskoczenie malujące się na ich twarzach, gdy wychodzili, była burmistrz raczej im nie uwierzyła, ale rozstali się w miłej atmosferze.

Taksówką przejechali do centrum miasta. Obawiali się, że w motelu *ktoś* może na nich czekać. Usiedli na ławce w parku, gdzie z daleka mogli wszystkich obserwować.

– Ten człowiek mnie przeraża – zaczęła Nicole. – Wie o każdym naszym ruchu.

– Zastanawiam się, po co ta cała szopka – rzekł Zack. – Spodnie na samochodzie... Telefon do Sachs... Gdyby chciał nas zabić, już dawno bylibyśmy martwi. Wystarczyło, żeby zaczął się na nas przy aucie.

– Pewnie powstrzymało go miejsce publiczne – zgadywała Nicole. – Dzwoniąc do tej kobiety, jasno dał nam do zrozumienia, że wie o wszystkim, co dzieje się w tym mieście. Założę się, że gdy wyszliśmy, Donovan zadzwonił do McCaina i stąd ten wiedział, gdzie się udajemy.

– Myślisz, że McCain potwierdził burmistrzowi nasze słowa? Skłamał, że zlecił sprzedaż, aby się do nas zbliżyć...

– Tylko dlaczego to zrobił, jeśli mógł nas wcześniej dorwać? – zastanawiała się Nicole.

– Pozwolił nam na wizytę u Sachs. Sam kazał jej powiedzieć prawdę. Chce, żebyśmy go poznali i wiedzieli, z kim mamy do czynienia. Mówi nam w ten sposób, że się nas nie boi. W piwnicy przetrzymuje i pewnie morduje ludzi, a tymczasem wszyscy uznają McCainów za największych dobroczyńców i zbawców St. Michael.

– Od samego początku ten sukinsyn bawi się naszym kosztem. Próbowaliśmy wymyślać setki scenariuszy, a tymczasem to wszystko jego sprawka. Zaplanował to od samego początku, od listu.

– Nie wiem już, co myśleć o tej kopercie, więc skupmy się na tu i teraz.

– A co według ciebie robię?! – wybuchnęła.

– Facet daje nam jasny przekaz! – zareagował równie ostro Zack. – Mimo to mam wrażenie, że nie chce nas zabić, a jedynie stąd wykurzyć. Udowodnił, że panuje nad tym terenem. Pozwolił nawet porozmawiać z byłą burmistrz. Gdyby teraz zaczęli o nas trąbić w wiadomościach, że zaginęliśmy albo znaleziono nasze ciała, ludzie natychmiast powiązaliby nas z McCainem. Myślę, że to wszystko jedno wielkie ostrzeżenie, a jednocześnie sugestia, że nic nam nie zrobi, jeśli się stąd wyniesiemy.

Nicole parsknęła śmiechem i rzekła ironicznie:

– Ostrzeżenie? – Pustym wzrokiem patrzyła na bawiące się dzieci. Ich matki siedziały nieopodal i z uśmiechem komentowały zachowanie trzech dziewczynek ganiających za dmuchaną piłką. – Naprawdę chcesz wracać? – zapytała.

– Tak...

– A twój samochód?

– Chyba zgłoszę kradzież i na tym skończymy.

– Tutaj?

– Nie. U nas. Coś wymyślę. Nie tankowaliśmy po drodze, więc nie ma dowodu na to, że pojechaliśmy w konkretnym kierunku... Po prostu musimy dobrze się zastanowić, zanim to zgłosimy. Będziemy mieli na to całą drogę powrotną.

– Jak wrócimy?

– Nie wiem... Transport publiczny raczej odpada. Dziś wszędzie są kamery. Na każdym dworcu i na każdej stacji... Spróbujemy dogadać się z jakimś taksjarzem. Może nawet z tym, który wiozł nas do Sachs. Mam jeszcze jego numer. Zastanawiam się, czy za parę stówek nie wyświadczyłby nam prywatnej przysługi, nie korzystając z taksówki.

– To byłoby najlepsze rozwiązanie – przyznała Nicole – pod warunkiem, że facet nie ma nic wspólnego z McCainem.

– Jak to?

– Sachs wiedziała, więc ktoś na nas doniósł. A jeśli to nie Donowan poinformował McCainą?

Długo siedzieli w parku i zastanawiali się nad najlepszym rozwiązaniem. Niestety, nie znaleźli nawet dobrego.

\*

Mężczyzna, który wcześniej tego samego dnia zawiózł ich pod dom Susan Sachs, nie był zbyt zadowolony, gdy Zack mu wyjaśnił, jakiej usługi potrzebuje. Ostatecznie dał się namówić, ale w jego głosie wyczuwało się obawę przed podejrzanym interesem. Nie była ona bezpodstawna – już raz tak go sprawdzono. W niemalże identyczny sposób postąpił właściciel firmy taksówkarskiej. Wtedy propozycja dotyczyła nie pięciuset, a stu dolarów, i złożono ją, gdy wciąż trwała jego zmiana. Odmówił i tylko dzięki temu zachował pracę.

Zgodnie z prośbą Zacka mężczyzna zabrał własny samochód. Zanim wpuścił podejrzanym klientów do wozu, zażądał połowy kwoty jako zaliczki i poprosił o pokazanie reszty pieniędzy.

Kobieta utykała, choć próbowała to maskować. Istniało spore prawdopodobieństwo, że historyjka o kradzieży samochodu i pobiciu przez złodzieja była prawdą. Pokazali nawet rachunek ze szpitala, co jeszcze bardziej uwiarygodniło ich wersję wydarzeń.

Ci ludzie rzeczywiście wyglądali na osoby, którym potrzebna jest pomoc, ale przez pierwszych dwadzieścia mil kierowca siedział jak na szpilkach. Czekał tylko, aż któryś z pasażerów każe mu wracać i rzuci w twarz podpisanym przez szefa wypowiedzeniem. Mimo to niewiele ryzykował, gdyż miał już serdecznie dość obecnej pracy. Coraz częściej nosił się z zamiarem odejścia i otwarcia własnego biznesu, więc ewentualne zwolnienie zbytnio nie pokrzyżowałoby mu planów. Być może byłoby po prostu pożądanym bodźcem do zmian w życiu.

Para nie wyglądała na chętną do rozmowy. Każde patrzyło w swoją stronę, choć na zewnątrz niewiele było już widać. Zawodowa ciekawość taksówkarza wzięła górę.

– Zgłosili państwo kradzież i pobicie?

– Tak... – odparł Zack z nadzieją, że na tym skończy się ich rozmowa. Tak się jednak nie stało.

– Dlatego odwiedziliście państwo Susan Sachs? – Mężczyzna doskonale wiedział, kto mieszka pod adresem, gdzie zawiózł ich kilka godzin wcześniej.

– Nie rozumiem – przyznał szczerze Zack.

– Była burmistrz jest pomysłodawczynią powołania straży sąsiedzkiej w St. Michael. Myślałem, że pojechaliście do niej w związku z tym... wypadkiem.

– Nie, nie... Nawet nie wiedzieliśmy o tym. A szkoda... – rzucił z udawanym przejęciem Zack. – Pani Sachs to...

– Znajoma... Znajoma rodziny – wtrąciła się Nicole. – Miałam ją odwiedzić i przekazać coś od mojej matki.

– Rozumiem... – potaknął kierowca, ale za długo siedział w tym biznesie i wysłuchał zbyt wielu ludzi. Wiedział, kiedy ktoś kłamie.

Wraz z pokonaniem osiemdziesiątej mili przestał się przejmować i zaczął cieszyć łatwo zarobionymi pieniędzmi. Podejrzana para nie wyglądała, aby miała przysporzyć jakichkolwiek problemów. Wciąż się do siebie nie odzywali i nie mieli też ochoty na rozmowę z nim. Trudno. Nie to nie, pomyślał. Poprawił się w fotelu i pogłośnił radio.

– Mam nadzieję, że państwu nie przeszkadza?

– Skądże – bąknęła Nicole.

\*

Gdy kierowca taksówki się upewnił, że tym razem nie trafił na kontrolę uczciwości organizowaną przez firmę, zaczął zachodzić w głowę, co naprawdę mogło spotkać tych dwoje. Rany na ciele kobiety pasowały do historyjki o kradzieży samochodu i pobiciu, lecz coś się nie zgadzało. Facet powinien ją tulić, a tymczasem zachowywał się jak obcy. Pięćset dolarów za jeden kurs skutecznie powstrzymywało ciekawość kierowcy, ale im dłużej jechali i im dalej był od domu, tym gorsze myśli zaprzętały jego głowę. O zbyt wielu przypadkach słyszał, aby bez zabezpieczenia przyjąć takie zlecenie. Jego pasażerowie nawet nie wiedzieli, że pod siedzeniem ukrył pistolet pożyczony od kolegi. Pięćset dolarów... Zastanawiał się, czy te pieniądze są warte stresu, na jaki się naraził. Przecież ludzie giną za mniejsze kwoty! W głowie rozgrywał ewentualne scenariusze, a serce waliło mu coraz

mocniej. Pierwszy raz odważył się na takie ryzyko i wiedział już, że nigdy więcej nie przyjmie podobnego zlecenia.

Nie dał tego po sobie poznać, ale odetchnął, gdy otrzymał drugie dwieście pięćdziesiąt dolarów i nikt na do widzenia nie odciął mu dłoni. Szybko odjechał, patrząc w lusterko. Na szczęście dziwna para stała beczynnie na chodniku i czekała, aż zniknie im z oczu, skręcając na skrzyżowaniu. Był pewien, że nie mieszkają pod adresem, gdzie kazali mu się zatrzymać. To wszystko świadczyło o jednym – uciekali. Przed kimś albo przed czymś...

\*

– Myślisz, że coś podejrzewa? – zapytała Nicole, gdy ruszyli chodnikiem w kierunku skrzyżowania.

– Oczywiście. Nikt normalny nie prosi o taką przysługę. Mam tylko nadzieję, że szybko zapomni. Założę się, że dla niego to było bardziej stresujące niż dla nas.

– Obyś miał rację.

Dochodziła północ. Mieszkali w bezpiecznej okolicy, a ulica była dobrze oświetlona przez latarnie. Mimo to szli szybko, jak na możliwości Nicole – obydwójce chcieli już być w domu, w swoim łóżku. Ostatnie, czego pragnęli o tej porze, to rzucać się w oczy wścibskim sąsiadom. Wiedzieli, że jutro, gdy tylko się obudzą, ponownie przyjdzie im się zmierzyć z rzeczywistością, ale w tej chwili marzyli tylko o śnie.

Nicole spojrzała na drzwi własnego domu i nagle sobie o czymś przypomniała.

– Mamy klucze?

Zack spokojnie poklepał ręką po kieszeni. Odpowiedział mu metaliczny brzęk.

– Już myślałam, że zostały w twoim samochodzie.

Jego niepokoiło coś innego – z obawą dotknął klamki. Przez całą drogę zachodził w głowę, co jeszcze może ich czekać. Na szczęście drzwi były zamknięte. Zapaliwszy światło, odetchnął. Meble, półki, książki, a nawet poczta sąsiada leżąca w nieładzie na stoliczku – wszystko było na swoim miejscu.



Ostatecznie uspokoili się dopiero, gdy Zack sprawdził parter i piętro.  
Przeszli do sypialni i zrzucili ubrania. Zasnęli, jakby ktoś podał im środki nasenne.

## ROZDZIAŁ 30

Rankiem obudził ich irytujący dźwięk komórki – dzwonił zniecierpliwiony klient Zacka. Nie chcąc przeszkadzać Nicole w powolnym dojściu do siebie, partner opuścił sypialnię i pośpiesznie zszedł do kuchni.

– Oczywiście... Dziś wieczorem podeślę panu moją wizję strony – tłumaczył, nie przejmując się ponaglającym telefonem. Na to zlecenie miał jeszcze dwa tygodnie, ale obiecał, że postara się wyrobić szybciej – to był jego największy błąd. Umierał z głodu, lecz dzwoniący mężczyzna nie dawał się łatwo zbyć. Chciał jak najwięcej usłyszeć o pomysłe. Zack ułokował aparat pomiędzy głową a ramieniem i wyjął z lodówki mrożoną pizzę oraz colę. Po tym wszystkim nie miał ochoty na wodę i zdrową żywność. Włożył pizzę do mikrofalówki i nastawił odpowiedni czas.

– Tak... Ascetyzm połączony z elegancją i detalami – odezwał się wreszcie, gdy klient zamilkł. – Pamiętam naszą pierwszą rozmowę i wytyczne.

Czekając na zbawienny dzwonek mikrofalówki, Zack zerknął przez okno. Przy domu zmarłego sąsiada szwendał się jakiś mężczyzna. Wyglądał na bezdomnego, który szukał kąta na darmowy nocleg. Widok przesłaniał samochód Nicole stojący na podjeździe, więc Zack zmienił miejsce obserwacji – przeszedł do okna w salonie. Gdy to zrobił, mężczyzny już nie było. Na ulicy w pobliżu domu Adama Athertona nie stał też żaden samochód.

Zack ściągnął brwi. Nagle usłyszał w głośniku swoje imię i zrozumiał, że rozmówca milczał już od kilku sekund – z pewnością czekał na jakąś odpowiedź. Zack nie miał pojęcia, o co klient pytał i co do niego od jakiegoś czasu mówił. Powiedział jedyne słowa, jakie przysły mu do głowy:

– Panie Welling... Obiecuję, że gdy skończę, będzie pan zadowolony, a im dłużej rozmawiamy, tym mniej czasu pozostawia mi pan na myślenie

o tym projekcie. – To musiało nieco uspokoić natręta, gdyż szybko się rozłączył. – Nareszcie... – bąknął Zack. Gdy odłożył telefon, był zły sam na siebie, że pozwolił, aby ktoś zawracał mu głowę w poniedziałkowy ranek. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że jest już piątek – całkowicie stracił rachubę czasu. W St. Michael spędzili prawie tydzień.

Z zamyślenia wyrwał go ledwie słyszalny odgłos otwieranych drzwi sypialni na piętrze. Wszystko zaczęło się jak każdego innego dnia, ale Zack wiedział, że gdy partnerka wreszcie do niego dołączy i spojrzą sobie w oczy, będą musieli stawić czoła zupełnie nowej rzeczywistości, którą chwilowo zostawili sto trzydzieści mil na południe od domu.

Nicole długo nie schodziła.

Rozważywszy wszystkie za i przeciw, Zack postanowił nadrobić zaległości z klientami. Chciał wreszcie pojechać do miasta i odbyć wiecznie odkładane spotkania. Nie miał samochodu, więc musiał wezwać taksówkę. W tym samym momencie usłyszał kroki na schodach.

Gdy Nicole wreszcie zeszła, usiadła przy kuchennym blacie na obrotowym stołku i niemrawo spojrzała na połówkę jeszcze ciepłej pizzy. Była głodna jak wilk, ale jednocześnie nie miała na nic ochoty. Myślała, że noc przywróci jej siły i chęć do życia, ale wciąż była potwornie zmęczona i obolała.

– Jak noga? – zapytał Zack.

– Lepiej – odparła, obojętnie spoglądając na zabandażowaną stopę, która w tej chwili była jej najmniejszym zmartwieniem. Łudziła się, że gdy wstaną, piętno poprzednich dni bezpowrotnie zniknie. Tymczasem sen był tylko chwilowym oderwaniem od problemów.

– Jadę do centrum. Muszę załatwić parę spraw.

– Weź mój samochód. W tym stanie nigdzie się nie wybieram.

– Racja, przecież jeszcze masz urlop...

– Cudowne wakacje...

– Załatwię ci telefon. Wezmę go na siebie, zanim nie wyrobisz sobie nowych dokumentów.

Westchnęła i utkwiała wzrok w podłodze. Nie mogła uwierzyć w swą nieostrożność.

– Na drugi raz przypnę sobie torebkę do ramienia zszywaczem. Jak mogłam zostawić ją w wozie...

– Jak mogłem ci jej nie przynieść...

– Pomyślałam, że będę sprytna i zostawię torebkę, żeby nie biegać z nią po tym cholernym domu.

– Nie obwiniaj się. To było mądre. Widziałaś kiedyś włamywacza z torebką?

Prychnęła, ale natychmiast spoważniała.

– Spróbuję też załatwić drugi samochód.

– Powinieneś jak najszybciej zgłosić kradzież twojego. Ubezpieczyciel będzie tego wymagał.

– Pomyślę nad tym, jadąc do centrum. Niewiele za niego dostaniemy. To będzie ułamek kwoty, jaką musimy zapłacić za leczenie w szpitalu.

– Zajmę się tym. To jakaś pomyłka... Jak cię nie będzie, spróbuję się dowiedzieć, co jest grane. Choć tym się nie przejmuj. Kluczyki leżą obok telewizora. Mało brakowało, a i je byśmy stracili. W ostatniej chwili, zanim wyjechaliśmy, wyjęłam je z torebki.

\*

Zack wziął prysznic i włożył garnitur, którego nie znosił.

– Jak wyjedziesz z garażu, wyłączę zasilanie bramy. W twoim samochodzie został też pilot, prawda? – Nicole była pewna, że ponowne spotkanie z tym psychopatą to tylko kwestia czasu.

– Racja – potaknął Zack. – Wie, gdzie mieszkamy, więc bez problemu mógłby się zakraść do domu. Twój wóz stoi na podjeździe, więc wyłączę bramę od razu.

– Tak? – zdziwiła się i wyjrzała przez okno w kuchni. Właśnie sobie przypomniała, że już wieczorem widziała tam swój samochód, ale w ogóle nie zwróciła na to uwagi. Spojrzała na Zacka, który zbliżył się do drzwi dzielących część mieszkalną od garażu. Chwyciwszy klamkę, obrócił głowę i rzekł:

– Zanim wyjechaliśmy, schowałaś samochód, prawda?

Nie była w stanie potaknąć. Sparaliżował ją zimny dreszcz wędrujący po ciele.

Zack przykucnął i sprawdził zamek. Wydawał się nietknięty. Nacisnąwszy klamkę, przypomniał sobie, że wieczorem nie sprawdził garażu.

Drzwi ustąpiły.

Nozdrza Zacka podrażnił fetor wypełniający pomieszczenie. Wewnątrz stał jego samochód, a za kierownicą dostrzegł zwłoki mężczyzny, którego zabił w piwnicy rezydencji McCainów. Poczłł obezwładniającą niemoc. Wszystko powróciło...

## ROZDZIAŁ 31

Nicole zemdliło. Osunęła się po framudze drzwi i rozpłakała. Na czworakach wyszła z przejścia i wyzuta z sił położyła się na panelach w korytarzu. Pusto wpatrywała się w białą ścianę, a łzy spływały jej po nosie i policzku na podłogę.

Zackowi wywracało żołądkiem, ale nie wyszedł z garażu. Przecież coś musieli zrobić!

Trupa upozorowano na kierowcę – przypięto go pasem, jedną rękę przywiązano do kierownicy, a drugą do drążka automatycznej skrzyni biegów. Do odzieży martwego mężczyzny doczepiono białą, kwadratową kartkę.

Zack zacisnął zęby i wziął potężny haust powietrza. Wstrzymał oddech i otworzył drzwi od strony kierowcy. Tapicerka, deska rozdzielcza i kierownica były umazane krwią.

Kartka okazała się odwróconym zdjęciem, pod którym krył się woreczek strunowy z przenośną pamięcią. Oprawca przypiął je dużą agrafką nie tylko do potarganej koszuli ofiary, ale także do ciała.

– Chory sukinsynu...

Zack z obrzydzeniem szarpnął za dołączone przedmioty i zamknął samochód. Wtedy na tylnym siedzeniu dostrzegł torebkę Nicole. Zabrał ją i wyszedł z garażu, zanosząc się kaszlem. Pociągnął za klamkę drzwi, które potwornie trzasnęły. Na domiar złego, przechodząc do części mieszkalnej, niechcący kopnął leżącą w korytarzu Nicole.

– Jezu, przepraszam!

– Zostaw mnie! – odkrzyknęła, gdy próbował pomóc jej wstać.

– Otworzę tylko okna i zaraz do ciebie wrócę.

Biegając po domu, długo przypatrywał się zdjęciu, zanim zrozumiał, co na nim uwieczniono. Był to wykrzywiony kawałek metalu przypominający

pręt z uchwytem – pogrzebacz, którym Zack zabił tego biedaka.

Gdy otworzył wszystkie okna, chciał to samo zrobić z drzwiami garażowymi. Powstrzymał się w ostatniej sekundzie.

– Skup się Seeger, do cholery! – skarcił się i otrząsnął. Mało brakowało, a pokazałby wszystkim mieszkańcom osiedla, co trzymają w garażu.

Nicole nie leżała już w korytarzu. Siedziała na podłodze w salonie, oparta plecami o sofę. Nie płakała. Patrzyła w dal, nie skupiając się na konkretnym punkcie.

– Kochanie...

– To koniec, Zack – powiedziała zrozpaczona. Jej twarz nawet na chwilę nie zmieniła wyrazu.

– Coś wymyślimy...

– Co? – jęknęła, wpatrując się w ścianę. – To nigdy się nie skończy.

– Kochanie, damy radę. Uciekliśmy z tego przeklętego domu, z miasta, więc i z tym sobie poradzimy – powiedział pewnie Zack. Łapiąc jej głowę w dłonie, uniósł delikatnie, aby wreszcie popatrzyła mu w oczy. – Nie pozwolę, aby ten wariat zniszczył nam życie.

Słowa Zacka przyjęła obojętnie. Nie była w stanie uwierzyć, że uda im się znaleźć z tego jakieś wyjście. Wciąż czuła odór bijący od zwłok.

Mimo pewnych obaw Zack uchylił w garażu dwa szerokie okna, aby nieco przewietrzyć pomieszczenie. Gdy przechodził przed maską samochodu, miał nieodparte wrażenie, że gdziekolwiek nie stanie, spogląda na niego usadowiony za kierownicą trup.

Zack wyszedł stamtąd z ciarkami na plecach.

– McCain ma wszystko, czego potrzebuje, żeby nas zrobić – wymamrotała załamana Nicole.

– Gdyby chciał tak postąpić, już mielibyśmy tutaj nalot policji, która znalazłaby w domu narzędzie zbrodni. Poza tym facet nie zabawiałby się ze zwłokami, tylko wrzuciłby trupa do bagażnika. Nawet byśmy o nim nie wiedzieli. – Zack delikatnie chwycił dłoń Nicole zaciśniętą w pięść. – Gdyby ten sukinsyn chciał to zakończyć, już byłoby po wszystkim. Przecież nie musiał wypuszczać nas z miasta.

– Twierdzisz, że pozwolił nam wyjechać?

– Przewidział, co zrobimy. Każdy rozsądny człowiek wiałby stamtąd. Właśnie dlatego mamy w garażu to, co mamy. Sprawdziłaś, co zawiera ta pamięć?

- Laptop wiecznie się aktualizuje... Jakby nie miał kiedy! – Rąbnęła pięścią w stół.
- Spokojnie, kochanie.
- Spokojnie?!
- Tak. Jemu właśnie o to chodzi. Chce doprowadzić nas do szaleństwa.
- I świetnie mu się to udaje!

\*

Gdy wreszcie otworzyli pamięć, okazało się, że zapisano na niej zaledwie jeden kilkuminutowy plik video. Włączyli go i zamarli. Szybko zrozumieli, że mają do czynienia z następującymi po sobie, krótkimi fragmentami nagrań z różnych kamer.

– To nie może być prawda... – Nicole zeszywniała, widząc na ekranie laptopa, jak podjeżdżają samochodem Zacka pod bramę posiadłości. Natychmiast zatrzymała odtwarzanie i krzyknęła: – Przecież one nie działały!

– To inne ujęcie – zauważył Zack. – Przyjrzyj się. Widać pręty. Ta kamera musiała być umieszczona po drugiej stronie bramy.

Gdy wznowili odtwarzanie, Nicole wciąż nie mogła uwierzyć w to, co widzi. McCain wiedział o ich przybyciu od samego początku. Obraz przeskoczył i teraz Zack majstrował przy furtce. Kolejne ujęcie pokazało, jak dzwonią do głównych drzwi, a następne przedstawiało moment, w którym wybijają szybę na tyłach rezydencji i wchodzą do środka.

– Mój Boże...

Przyglądając się dokumentującemu włamanie zapisowi z kamer, Nicole coraz bardziej bladła. Pod koniec krótkiego, amatorsko zmontowanego filmiku umiejętnie przedstawiono zlepek ujęć z wtargnięcia ochroniarzy. Kamery zarejestrowały oburzenie Zacka i jego złość, gdy kazano mu położyć się na ziemi. Wyglądało to, jakby psy rzuciły się na uzbrojonych mężczyzn, broniąc domowników.

– To jakiś absurd... – stwierdziła Nicole, nie mogąc zrozumieć, jakim cudem McCainowi udało się to wszystko obrócić na swoją korzyść.

Ostatnia kilkusekundowa część nagrania przedstawiała Nicole trzymającą od tyłu więźnia skutego łańcuchem, a później Zacka uderzającego



nieszczęśnika pogrzebaczem. Zabili tego człowieka w obronie własnej, a kamery zarejestrowały morderstwo z zimną krwią.

\*

Wirtualny suwak odtwarzacza tkwił w skrajnej pozycji, a oni siedzieli w bezruchu, nie będąc w stanie wypowiedzieć nawet słowa. Na końcu nagrania nie usłyszeli żadnego dziwnego głosu, ani też nie otrzymali ostrzeżenia czy instrukcji, jak wydostać się z tego koszmaru.

Filmik zmontowano niemalże idealnie, choć ewidentnie przy użyciu amatorskiego programu. Ukazywał ich nie tylko jako włamywaczy, ale też jako morderców. Żaden z fragmentów nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości. Wybrane ujęcia pogrążały ich tak samo jak zwłoki w garażu, które niedawno odkryli.

Nicole zaczęła wyliczać:

– Włamanie, morderstwo, ucieczka z miejsca zbrodni, nieumyślne spowodowanie śmierci dwóch osób. Założę się, że wrobi nas też w pozbycie się ciała. Zack... Jeżeli ktoś zobaczy ten film, dostaniemy karę śmierci.

– Przestań! – ryknął, tracąc zimną krew.

– Ten facet wszystko zaplanował... Jeszcze nie rozumiesz?!

– Co mam rozumieć?!

– Chciał się pozbyć człowieka, którego więził! Musiał tylko znaleźć kogoś, kogo w to wrobi!

– A gdybyśmy tam nie zeszli i go nie zabili?

– Jesteś pewny, żebyśmy tam nie zeszli, jeżeli nie znaleźlibyśmy tych monet na górze? – Milczenie Zacka wystarczyło za odpowiedź. – Wiem, że nie chcesz tego słuchać, ale musimy się oddać w ręce policji i powiedzieć, jak było.

– Myślisz, że nam uwierzą?! Facet ma narzędzie zbrodni i film dokumentujący włamanie oraz morderstwo! A co my mamy?! Zwłoki w garażu! Zwłoki kogoś, kogo zabiłem!

– W samoobronie...

– Obrazy z kamer kontra zeznanie mordercy i jego współniczki! Nie wiem, czy zauważyłaś, ale na nagraniu ta twoja *samoobrona* została

przedstawiona zgoła inaczej! – wykrzyczał Zack, wyszarpując z laptopa pamięć. Złapał ją kleszczami, a do drugiej ręki wziął zapalniczkę.

– Co robisz?!

Tak długo trzymał pamięć nad ogniem, dopóki plastik się nie stopił. Gdy przedmiot nieco ostygł, połamał go, a kawałki wylądowały w koszu.

– Mogliśmy tam coś wypatrzeć...

– Jak nieumyślnie zabijamy jeszcze kogoś?! Nicole, błagam... Muszę pomyśleć, co zrobić z tymi zwłokami.

– Chyba nie chcesz się ich pozbyć?!

– A masz lepszy pomysł?!

– Powiedziałam już.

– Oczywiście, policja... Przecież na tym filmie wyraźnie widać, że go zabijam! Może od razu zawiozę trupa na posterunek i dołączę karteczkę z napisem: *SORRY*.

– Zakopując go, przyznasz się do winy.

– Przecież go zabiłem, do jasnej cholery! Jestem winny!

– Był skuty łańcuchem! Nie my go tam zamknęliśmy!

– Na nagraniu nie widać, kto go zamknął, tylko kto go zabił!

– Może moglibyśmy dostrzec coś jeszcze, gdybyś go nie zniszczył!

– Kurwa!!! – ryknął i machnął ręką, zrzucając laptopa na ziemię. Obudowa pękła, a ekran natychmiast zgasł.

– Zack, na litość boską, opanuj się! Miałam tam moje prace dla studia!

– Pierdolone falbanki i kokardki...

– *Falbanki i kokardki*, na których zarabiałam więcej od ciebie! – Podniosła połamany sprzęt, próbując go uruchomić. – Zadowolony?! – wrzasnęła, gdy laptop nie zareagował po wciśnięciu klawisza *Power*.

– Przynajmniej możemy się skupić na prawdziwym problemie – warknął i poszedł na górę.

\*

Nicole weszła na piętro dopiero po dwóch godzinach – gdy obydwójce nieco ochłonęli.

Zack siedział przed komputerem i studiował satelitarną mapę okolicy. Kątem oka dostrzegł partnerkę stojącą w drzwiach. Mimo to nie miał zamiaru

się z niczym kryć. Już wcześniej powiedział, co chce zrobić.

– Zack...

Odsunął się od komputera i spojrzał na Nicole.

– Jeżeli to się wyda, wezmę wszystko na siebie – oznajmił smutno, godząc się na konsekwencje. – Sam to załatwię. Nie pojedziesz ze mną. Jeżeli ktoś mnie nakryje, powiesz tylko, jak było i że zabroniłem ci dzwonić na policję. Potwierdzę twoje zeznania.

– Zack, proszę cię...

– Nie. Za daleko to zaszło, aby temu sukinsynowi się upiekło. Kimkolwiek jest, nie ma prawa w ten sposób się nad nami znęcać.

– Co potem? Chcesz się codziennie budzić i przeglądać kanały informacyjne, zachodząc w głowę, czy ktoś nie odkrył zwłok, które zakopałeś?

– Nie wiem, co będzie potem, ale one nie mogą dłużej być w garażu. Jak to sobie wyobrażasz?

– Już mówiłam...

– Nie chcę słyszeć o policji... A jak załatwię sprawę zwłok, wracam tam.

– Gdzie?

– Do St. Michael.

– Chyba żartujesz?!

– Nie... Pojadę sam.

– I co chcesz osiągnąć?!

– Uzyskam od tego kutafona przyznanie się do winy.

– Przecież nikogo nie zabił!

– Ale manipulował nami! Psy cię okaleczyły. O mały włos nie rozszarpały nas na strzępy, jak tego biedaka, którego ciało widzieliśmy. Jeżeli McCain ma te nagrania, to i mnóstwo innych. Zdobędę je, a wraz z nimi dowód, że zaplanował to wszystko, aby nas wrobić. Nas albo Athertona...

– Nie pozwolę ci tam wrócić – wyłkała.

– Zawsze możesz jechać ze mną.

– To jakiś obłęd! Dwie sekundy... Tyle brakowało, a zastrzeliłby nas jak te zwierzęta, których trofea wisiały na ścianach. I ty chcesz tam wracać?

– Właśnie tak. Nie wiem jeszcze jak, ale udowodnię, że to nie nasza wina. Słusznie zauważyłaś... Broniliśmy się przed tym wariatem. Niestety, dowody na to są w jego domu. Nie wierzę, że usunął nagrania. A nawet jeśli tak

postąpił, potrafię odzyskać dane z dysków. Mam odpowiednie programy. Policja też nimi dysponuje. Jeżeli poddał nagrania obróbce, to musiał je wielokrotnie zapisywać. Taka zabawa pozostawia po sobie ślady.

– A jeżeli...

Nagle usłyszeli cichy dźwięk telefonu dochodzący z dołu. Nicole natychmiast rozpoznała dzwonek, jaki miała ustawiony w swej komórce dla nieznananych numerów.

– Jakim cudem... – jęknęła.

\*

Zack zerwał się z krzesła i pobiegł za partnerką.

Muzyka będąca remiksem popularnego popowego utworu zaprowadziła ich do stoliczka, gdzie leżała poczta Adama Athertona. To właśnie spomiędzy listów wybrzmiewały znane dźwięki.

Nicole rozsunęła koperty. Widząc swój telefon, dostała gęsiej skórki. Folia ochronna na wyświetlaczu była popękana i porysowana, podobnie jak obudowa, ale telefon wciąż działał. Dzwonił nieznanany numer. Nie miała odwagi odebrać.

– To on? – zapytał Zack.

– Skąd mam wiedzieć?

Telefon ucichł.

– Jeżeli to był on, zadzwoni jeszcze raz.

Drgnęli, gdy sprawdziły się słowa Zacka. Kilka sekund później aparat ponownie się odezwał.

– Odebrać? – zapytała z trwogą Nicole.

– Mam ja to zrobić?

Potaknęła i przekazała partnerowi telefon.

– Słucham... Tak, to telefon panny Wyden, mówi Zack Seeger...

Nicole wzrokiem próbowała wymusić na nim jakikolwiek znak zdradzający, z kim rozmawia.

Unosząc palec, wyraźnie zasłuchany Zack pokręcił głową, aby partnerka go nie rozpraszała.

– Rozumiem, panie Donovan. W takim razie jutro o ósmej wieczorem u pana. Dziękuję...

– Burmistrz St. Michael? – zdziwiła się Nicole, przejmując telefon, gdy Zack zakończył rozmowę.

– Najpierw mnie opieprzył, co to za firma, że nie może nas znaleźć w internecie, a potem się przyznał, że zapamiętał tylko twoje nazwisko. Znajomy pomógł mu załatwić numer do ciebie. Na szczęście w Pittsburghu nie mieszka zbyt wielu Wydenów.

– Tak powiedział?

Zack skinął głową.

– Jakoś w to nie wierzę...

– Ja też nie.

– Czego chciał?

– Zdobył kontakt do kogoś, kto może opowiedzieć nam co nieco o tej posiadłości.

– Mowy nie ma, żeby tam wróciła! Już ci powiedziałam... – Nicole odwróciła się na pięcie i przeszła do salonu.

– A ja ci powiedziałem, że zrobię wszystko, żeby się z tego wypłatać.

– Nie widzisz, że to pułapka?! Skąd wziął się tutaj ten telefon?! Przecież to jasne, że Donovan jakimś cudem dogadał się z McCainem! Nie zdziwiłabym się, gdyby to od niego miał mój numer. Obaj chcą nas ściągnąć z powrotem do St. Michael.

– Co?! Wątpię... Po co urządziłoby tę szopkę ze zwłokami? Dlaczego nie wykończył... nie wykończyli nas w mieście?

– Dlaczego nie wykończyli? Przecież McCain strzelał do nas, do ciężkiej cholery! Nie pojedę tam, żeby ich zapytać, dlaczego pozwolili nam przeżyć! Mogę jedynie zgadywać, dlaczego... Bo nie wiedzieli, ile powiedzieliśmy w szpitalu. Nie mogli donieść na nas policji, bo gdybyśmy zostali aresztowani, powiedzielibyśmy wszystko, żeby uniknąć odsiadki. Nie mogli nas też zabić, zanim nie przygotowali sobie konkretnego haka, na którym chcą nas powiesić. Mam dalej wymieniać?

– A niech mnie... – bąknął Zack, ale przyszło mu do głowy coś jeszcze: – A jeżeli Donovan nie jest z nikim w zмовie, tylko chce się pozbyć Derriana McCaina?

– Nie rozumiem.

– Rod McCain i jego syn Tom ze wszystkimi świetnie się dogadywali i pewnie jeszcze dostali klucze do miasta. Derrian to zupełnie inny przypadek. Ma wszystkich w dupie, a oni jego! Pamiętasz, jak Donovan się

zalił, że McCain nawet nie raczył do niego oddzwonić, gdy ten prosił o datek na szkołę?

– Było coś takiego – wymamrotała Nicole.

– Donovan uznał, że najwyższy czas się odegrać. Uwierzył w naszą bajkę. Może nawet ma chrapkę na ten dom i chce zrobić dookoła niego sporo szumu, aby cena spadła.

– Wątpię...

– To miałyby sens, Nicole. Dlaczego Donovan najpierw nas zbywa, a teraz nagle chce się spotkać w cztery oczy? Mógł mi podać nazwisko tego kogoś przez telefon. Jeżeli nie działa z McCainem, to działa przeciwko niemu.

– Wtedy nie działałby z nami. Jeżeli uwierzył w historyjkę, to wie, że reprezentujemy McCaina.

– Cwaniak chce się z nami dogadać i kupić ten dom po zaniżonej cenie – dywagował Zack. – Nie zdziwiłbym się, gdyby nawet podstawił jakiegoś świadka, który za sto dolców powie wszystko, co Donovan każe mu powiedzieć. Dom otoczy mgła niejasności – Zack teatralnie gestykułował – i wspaniałomyślny burmistrz proponuje wykup po śmiesznej cenie.

– Tak samo, jak zrobił to Rod McCain w osiemdziesiątym piątym – zauważyła Nicole, powoli przekonując się do tej teorii.

– Tak jest! – Zack przyklasnął. – Być może nawet Donovan rzeczywiście o niczym nie wiedział, ale wystarczyły dwadzieścia cztery godziny i znalazł kogoś zorientowanego w sytuacji. Rod McCain kupił dom prawie za bezcen. Skorzystał z tragedii Meyerów. Burmistrz podłapał sposób i...

– I co?

– Nicole... A jeżeli w osiemdziesiątym piątym Rod McCain nie skorzystał na tej tragedii... przypadkiem?

– Uważasz, że doprowadził do pożaru, bo chciał przejąć ten dom?

– To możliwe... Przecież rezydencja nie spłonęła całkowicie... Mury pozostały nienaruszone.

– Sachs powiedziała, że był pobożnym człowiekiem. Nawet zadbał o ciała Meyerów po dewastacji mauzoleum.

– Najważniejsze to zachować pozory – zauważył Zack, wyraźnie nad tym główkując. – Równie dobrze Rod McCain mógł sam zniszczyć grobowiec, aby odsunąć od siebie podejrzenia. Pamiętasz? Nie chcieli śledztwa...

– Sachs nie chciała – uściśliła Nicole.

– Ale McCain ostatecznie przystał na ten pomysł. Poza tym, to tylko jej wersja. Jego już nie wysłuchamy.

– Ciała w ziemi szybciej się rozkładają... – przyznała Nicole. – Gdyby ktoś kiedyś wydobył je z komór, mógłby się dowiedzieć, że śmierć Meyerów wcale nie była taka przypadkowa, jak wszyscy założyli.

– Cholera...

– Pytanie tylko, czy informacja od Donowana będzie wartościowa, czy to zwykły podstęp, żeby coś ugrać.

– Możemy się o tym przekonać jutro o dwudziestej w St. Michael.

– Ty naprawdę chcesz tam wrócić...

– Tak.

Nicole opadła na sofę i przytuliła podłużną poduszkę.

– A co z... tym? – Popatrzyła na korytarz, na przejście do garażu. – Jeden wariat wchodzi do naszego domu, jak do własnego, drugi dobija się tylnym wejściem.

– Jeżeli Donovan ma coś na McCainia, to jestem w stanie podjąć ryzyko. Mam pewien pomysł, ale będę potrzebował twojej pomocy.

## ROZDZIAŁ 32

Zaczekali, aż zapadnie zmrok i zasłonili płachtami okna w garażu.

Wywlekli zwłoki z samochodu, ułożyli je na grubych foliach malarskich, po czym owinęli nimi ciało i bardzo szczelnie zakleili taśmami pakowymi. Gdy skończyli, nie było widać ani jednego czarnego skrawka folii. Trupa umieścili w bagażniku. Na koniec otworzyli okna, aby pozbyć się drażniącego zapachu.

Dwie godziny czyścili plastiki oraz tapicerkę samochodu. Niestety, gdy skończyli, wciąż czuli odór zwłok, więc wrzucili do wozu cały zapas zapachów samochodowych, jaki posiadali i spryskali wnętrze odświeżaczem powietrza.

Wstępnie Zack chciał się pozbyć ciała, topiąc je w jeziorze, ale to zawsze stwarzało niebezpieczeństwo wypłynięcia zwłok lub przypadkowego odnalezienia ich przez nurków lub wędkarzy. Ostatecznie postanowił zrobić dokładnie to samo, co McCain z pewnością uczynił z martwymi ochroniarzami.

O północy byli gotowi do drogi.

Ciało zastawili walizkami oraz torbami. Kilka wylądowało także na tylnym siedzeniu. Wcześniej włożyli do nich przypadkowe rzeczy z szafy i łazienkowych półek. Wyglądało, jakby wyjeżdżali na co najmniej miesiąc.

\*

Jechali zgodnie z przepisami, aby nie kusić losu.

Nicole miała wrażenie, że udają się do St. Michael po raz pierwszy. Wszystko wyglądało podobnie, tylko pora się nie zgadzała.

Do lasu nieopodal miasta dotarli na długo przed świtem, dając sobie co najmniej godzinę na zaplanowaną operację.



– Tutaj coś było – zauważyła Nicole, gdy minęli leśną drogę.  
– Cholera...  
– Za szybko jedziesz. Zawróć... Możemy nie mieć kolejnej szansy.  
– Mam tylko nadzieję, że znowu nie natkniemy się na jakieś przekłete dzieciaki.

Zack posłuchał i po chwili podążali już w przeciwnym kierunku.

– To tam... – poinstruowała Nicole, dostrzegłszy przesmyk.

Gdy zjechali z jezdni i zaczęli zagłębiać się w leśną ciemność, poczuli narastające obawy. Wyjeżdżając z Pittsburgha, Zack postanowił, iż pozbędzie się ciała w lesie nieopodal rezydencji McCainów, ale w miarę pokonywania kolejnych mil Nicole przekonała go, że to niezbyt dobry pomysł. Obawiała się, że im bliżej miasta będą, tym większe prawdopodobieństwo, iż mogą zostać nakryci. Jak się szybko przekonali, młodzież myślała podobnie, gdyż w pierwszej leśnej dróżce, w którą wjechali – wiele mil przed granicą miasta – natknęli się na inny samochód. Był to mocno poobijany, poddany amatorskiemu tuningowi stary musclecar. Po marce i modelu domyślili się, że należy do pary nastolatków, którzy specjalnie *zabłądzili* w lesie.

W przeciwieństwie do poprzedniego traktu, ten wydawał się mniej uczęszczany. Droga była znacznie bardziej wyboista i zarośnięta. Samochód podskakiwał na nierównościach, jakby jechali po przeoranym polu.

Z bagażnika co chwilę dolatywały stuki. Zack nie zwracał na nie większej uwagi, ale Nicole miała wrażenie, jakby ciało z tyłu ożyło i próbowało się wydostać. Aż ciarki przechodziły jej po plecach.

Nawierzchnia z pewnością nie przeszkadzała strażnikom dysponującym samochodami terenowymi z napędem na cztery koła, ale focus Zacka nie nadawał się na tego typu drogę. Na niektórych odcinkach koleiny były tak głębokie, że pojazd głośno darł podwoziem o wał ziemi pomiędzy nimi.

Zack uważnie przypatrywał się licznikowi. Po pokonaniu mili zaczął rozglądać się za odpowiednim miejscem na postój. Z ulgą dostrzegł bezdrzewne pobocze. Natychmiast się zatrzymał i zgasił światła.

Nicole siedziała jak na szpilkach.

– Dobra... Do dzieła... – stęknął. Założył latarkę czołową i poszedł wybadać teren. Co kilka kroków wbijał pręt, aby znaleźć miękki grunt, w którym łatwiej mu będzie kopać. Miał wrażenie, że wreszcie zaczyna sprzyjać mi szczęście, gdyż niemalże cała powierzchnia, po której szedł, wydawała się idealnym miejscem na pozbycie się zwłok.

Starał się być twardy, ale to wszystko przerastało nawet jego. Nie mógł uwierzyć, że jeszcze kilka dni temu siedział spokojnie przed komputerem, a jego jedynym zmartwieniem od dłuższego czasu był dobór grafiki i czcionek na projektowanych stronach. W tej chwili wszystkie telefony klientów z pretensjami okazały się nieistotną błahostką w porównaniu z tym, co miał zamiar zrobić.

\*

Wróciwszy do samochodu, Nicole błyskawicznie uporządkowała rzeczy w bagażniku i zajęła miejsce kierowcy. Pomijając pomoc w zataszczeniu ciała na miejsce *pochówku*, przypadło jej w udziale prostsze zadanie – miała czekać w samochodzie i wypatrywać ewentualnych problemów. Jeśli zobaczyłaby jakieś światła, Zack kazał jej zatrąbić. W zależności od sytuacji, ukryłby się lub wróciłby do samochodu. Każda z opcji miała swoje następstwa.

Gdyby zdążył wrócić, mieli udawać parę zakochanych, których nie stać na motel. W przeciwnym razie Nicole musiałaby robić za idiotkę, którą nawigacja wyprowadziła w las. Dosłownie... Jeśli strażnicy zastaliby ją tutaj samą, wróciłaby na główną drogę i krążyła po niej tam i z powrotem, każdorazowo oddalając się na kilka mil od leśnego traktu. Jeździłaby szosą tak długo, dopóki nie zobaczyłaby gdzieś Zacka.

To wszystko było jedynie teorią i Nicole miała nadzieję, że nie będzie musiała zastosować jej w praktyce.

Zewsząd dochodziły podejrzane odgłosy. Były słyszalne, i to wyraźnie, nawet przez podniesione szyby. W niektórych momentach miała ochotę nacisnąć klakson i wezwać Zacka. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak sam może tam gdzieś być i kopać, otoczony przez dzicz. Kilka razy zbliżała rękę do kierownicy i tyle samo razy się powstrzymywała.

To było najprostsze, a jednocześnie najbardziej wyczerpujące psychicznie zadanie, z jakim przyszło jej się zmierzyć. Stale coś *atakowało* samochód. Czasem był to ledwie słyszalny odgłos skrzydeł owada uderzającego o szybę, a czasem głośny stuk, jakby coś spadło z drzewa i odbiło się od karoserii. Duże, opadające na szybę liście każdorazowo straszły Nicole, przyprawiając ją o stan bliski zawału.

\*

Godzinę po tym, jak zostawiła Zacka w lesie, zaczęło świtać. Niebo delikatnie pojaśniało, ale pomiędzy drzewami wciąż zalegał mrok. Z każdą minutą przerażające odgłosy cichły. A może po prostu przyzwyczajała się do nich... Stale wlepiała wzrok w lusterka i w ciemność zalewającą obydwie końce leśnej drogi. Kątem oka coraz tęskniej wypatrywała światła latarki Zacka.

– Wreszcie! – krzyknęła radośnie. Dostrzegłszy pomiędzy drzewami jaśniejącą łunę, wyskoczyła z samochodu. Zaczęła biec w stronę Zacka. Wtedy jego latarka zamigotała i zgasła.

Nicole zastygła w bezruchu. Oświetliła telefonem otoczenie, ale nikogo nie dostrzegła.

– Zack... – odezwała się niepewnie.

– *Jestem, jestem...* – dobiegło z oddali.

– Już myślałam, że coś ci się stało!

– *Cholerne baterie... Możesz mi pomóc? Nic nie widzę.* – Zack potwornie dyszał i był zlany potem.

Gdy go odnalazła i oświetliła mu twarz, przeraziła się.

– Co ci się stało?

Na czole miał szeroką szramę. W niektórych miejscach podeszła krwią.

– Walnąłem czerepem o gałąź – odburknął. – Miałem wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Poszedłem sprawdzić, coś mnie rozproszyło i masz tego efekt. Tylko cudem nie rozwaliłem wtedy latarki.

– Skończyłeś?

Pokręcił głową.

– Pieprzę to. Niech wilki je zeżrą.

– Co?! – Nicole wybałuszyła oczy.

– Żartowałem...

– Kretyn! – Uderzyła go pięścią w ramię.

Uśmiechnął się. Obydwoje poczuli wyraźną ulgę. Gdy wrócili do samochodu, Zack padł wycieńczony na fotel pasażera.

– Dasz radę prowadzić z tą nogą? – zapytał.

– Tak... Musimy cię opatrzyć.

– Mamy ważniejsze sprawy na głowie.

– To zobacz sobie, jak wyglądasz...

Dopiero gdy Zack opuścił osłonę przeciwsłoneczną i zerknął w zatopione w niej lustro, zrozumiał, że Nicole ma rację. Nie mógł się tak pokazać u Donovana. Gdy dotknął czoła, zapiekło niemiłosiernie – aż syknął z bólu.

– Dobra... Pamiętam, że przed miastem była stacja benzynowa. Zatrzymaj się tam.

# ROZDZIAŁ 33

## St. Michael, Wirginia Zachodnia

Gdy Zack kończył opatrywać głowę w toalecie na stacji benzynowej, na zewnątrz szarzało.

Od początku Nicole była przeciwna pozbyciu się ciała, ale gdy wszystko zakończyło się pomyślnie, poczuła niewymowną ulgę. Przynajmniej nie mają już trupa w bagażniku, uspokajała się. Porzucili go niecałe pół godziny drogi od miasta. Opuszczając St. Michael, zarzekała się w duchu, że jej noga więcej tu nie postanie, a tymczasem nieco ponad dobę później byli już z powrotem.

Minęło dopiero pięć minut, odkąd zatrzymali się na stacji, a Nicole miała wrażenie, że Zack siedzi w toalecie całą wieczność. Choć nigdzie się nie spieszyli, przypominało jej to czekanie na niego w nocy, w lesie. Miała wrażenie, że każdy przejezdny zatrzymujący się na stacji dziwnie przygląda się ich samochodowi. Ostatecznie założyła nawet ciemne okulary.

Wreszcie drzwi toalety trzasnęły i zobaczyła Zacka. Wyglądał całkiem przyzwoicie, jak na kogoś, kto rozbił sobie głowę. Nie chciał słyszeć o opatrunku, więc dała mu swój korektor, aby wyrównał nieco koloryt skóry na czole i nie straszył ludzi.

– Dokąd teraz?

– Do centrum. Zjemy coś i zadzwonimy do Donowana, że już jesteśmy i że zależy nam na czasie.

\*

Zgodnie z przewidywaniami Zacka burmistrz zgodził się na wcześniejsze spotkanie, ale dopiero po godzinie oddzwonił i poinformował o jego miejscu – podał dziwnie brzmiący adres i szybko się rozłączył. Najwyraźniej nie był zbyt zadowolony, że musi zmienić swe plany z ich powodu.

Siedząc w barze przy głównej ulicy nad nietkniętą zimną jajecznicą, Nicole wpisała otrzymany adres w nawigację telefonu. Urządzenie niemalże natychmiast wyświetliło dwie propozycje trasy.

Przeanalizowali mapkę, skupiając się na miejscu docelowym.

– To środek lasu.

– Powiedz jeszcze, że tam, gdzie... – Zack nie dokończył, widząc zbliżającą się kelnerkę.

– Nie, ale nie podoba mi się to.

– Pamiętajmy, że facet jest burmistrzem. Musi uważać, z kim się zadaje i w jakiej sprawie. Nie wiem, czy na jego miejscu nie postąpiłbym identycznie.

Ten sam adres Nicole wpisała w wyszukiwarkę internetową.

– Tartak... Teren został wystawiony na sprzedaż, bo firma zbankrutowała.

– I pewnie miasto trzyma nad wszystkim pieczę.

– Trudno o bardziej ustronne i podejrzanе miejsce. Proszę cię, nie jedźmy tam. – Złapała Zacka za rękę. – Poczekajmy do wieczora i spotkajmy się u Donowana.

– Gdyby chciał nas sprzątnąć, wcześniej nie zapraszały nas do siebie.

– Od tego czasu mógł rzeczywiście dogadać się z McCainem. Może właśnie na to potrzebował tej godziny, po której oddzwonił.

– Nie, nie... Już ustaliliśmy. Tak jak powiedziałem, to moja wina i ja to naprawię. Zostań w mieście – zaproponował szczerze Zack. – Sam się z nim spotkam.

– Musiałeś mocno uderzyć się o tę gałąź, jeżeli myślisz, że puszcę cię samego na...

– Wiesz co... – przerwał jej. – To wcale nie jest taki głupi pomysł, żeby się rozdzielić. Jeśli masz rację i Donowan coś kombinuje, to widząc tylko jedno z nas, dwa razy się zastanowi, zanim czeokolwiek spróbuje.

Początkowo Nicole była przeciwna propozycji Zacka, ale szybko się do niej przekonała. Mimo to bała się zostać sama w mieście czy w motelu. Zgodziła się rozdzielić, ale gdy już będą na miejscu.

Nawigacja wyprowadziła ich z miasta, a po przejechaniu pięciu mil kobiecy głos kazał skręcić w utwardzoną leśną drogę. W większości miejsc, szczególnie na zakrętach, była ona szersza od zwykłej jezdni. Dwie ciężarówki transportujące drewno spokojnie mogłyby się tutaj minąć. Ten widok nieco uspokoił Nicole, która na każdym kroku spodziewała się pułapki. Dziwiła się, a wręcz irytowała spokojem Zacka. Traktował to spotkanie, jakby właśnie jechali do któregoś z jego stałych klientów.

Wkrótce dostrzegli ogrodzenie z przerdzewiałej siatki i podobnie wyglądającą, szeroką bramę. Jedno jej skrzydło było otwarte do wewnątrz. Zdążyło już przerosnąć trawą. Na zamkniętej części bramy przymocowano dużą tablicę ogłoszeniową. Widniał na niej numer telefonu i informacja o możliwości kupna tego miejsca. Na otwartym skrzydle wisiała przeżarta rdzą tabliczka zabraniająca wstępu na teren prywatny.

Wolno minęli ogrodzenie i zgodnie z wytycznymi Donowana skręcili w prawo. Teren był ogromny. Przez dwieście metrów jechali pomiędzy składami zbutwiałego już drewna. Opuszczone budynki z wolna pochłaniała przyroda, metal pożerała rdza, a pozostawione pnie, bale i deski, używane niegdyś do produkcji mebli, nadawały się już tylko na opał.

Zack zwrócił uwagę na niepokojący fakt:

- Widzisz te ślady opon?
- Myślisz, że już tutaj jest?
- Nie tak się umawialiśmy...

Ślady były wyraźne i dość szerokie, a to sugerowało ciężki pojazd – co najmniej pick-upa.

Zack spojrzął na zegarek. Donovan miał się pojawić dopiero za godzinę. Oczywiście ślady mogły być stare, ale obydwójce wiedzieli, że takie miejsca często wabią podejrzanych typów robiących podejrzane interesy.

Minąwszy spory stos drewna, poczuli uderzenie gorąca, gdy przed potężnym budynkiem dostrzegli vana z otwartymi bocznymi drzwiami.

Zack uchylił szybę. Ktoś krzątał się po olbrzymiej hali – było słychać ponagląjące krzyki. Ci ludzie nie przypominali ekipy remontowej.

- Błagam, zawróćmy – jęknęła Nicole.

Widząc wychodzącego z hali rosłego osobnika o zarośniętej twarzy

i posturze zapaśnika, Zack zeszywniał.

Mężczyznę najwyraźniej zaskoczyła obecność osób trzecich. Wrzucił do vana niesione żelastwo i hardo wyszedł przed wóz, obrzucając ich nienawistnym spojrzeniem.

Zack dodał gazu i koła zabuksowały na luźnej ziemi. Usłyszeli cichnące krzyki złodziei:

– *Hej, ktoś tu jest! Spadamy!*

Zatrzymali się za stertą desek i zaczęli nasłuchiwać. Wyłapali odgłos uruchamianego silnika oraz uderzenie przesuwnych drzwi. Coś ciężko zgrzytnęło i stary motor vana złowrogo zawył. Podejrzany samochód szybko się oddalił.

Nicole wyraźnie odetchnęła, a Zack wysiadł i postanowił udać się na obchód.

\*

– Myślałam, że się za nami rzucą – oznajmiła Nicole, gdy partner wrócił.

– Ja przez chwilę też. Facet nie wyglądał na strachliwego. Nie chciałbym mieć z nim do czynienia.

– Donovan mógłby się dwa razy zastanowić, zanim posłał nas w takie miejsce.

– No powiedz to...

– A nie mówiłam, do cholery?!

Uśmiechnął się do niej. Miała rację. Jak zawsze...

– Co teraz?

– Wrócimy pod halę i zostawię samochód na środku drogi, żeby go było widać. Powinien skutecznie odstraszyć innych złodziei.

– A jak pojawi się policja albo straż leśna?

– Powiemy prawdę... Czekamy na burmistrza. Jak chcą, mogą zaczekać z nami.

– Chciałabym widzieć ich miny...

– Znajdźmy ci dobrą miejscówkę. Spróbuję to tak rozegrać, żeby Donovan zmył się stąd pierwszy.

– A jeżeli się nie uda?

– Odjadę kawałek i wrócę po ciebie.



Znalezienie odpowiedniej kryjówki dla Nicole nie było wcale takie proste. Potężna hala oznaczona numerem dwa, przy której mieli czekać na Donowana, okazała się niemalże pusta. Wewnątrz pozostał jedynie sięgający sklepienia wielotonowy dźwig do przenoszenia drewna. Wszystkie mniejsze maszyny z pewnością zdemontowano i sprzedano. Po lewej, na wysokości piętra, widniał szereg pomieszczeń, do których prowadziły schody. Większość biur miała wybite okna i otwarte lub wyłamane drzwi.

– To nie ma sensu – oznajmiła Nicole.

– Mhm... Poszukajmy czegoś na zewnątrz. Może przy bramie... Ostrzeżesz mnie, gdy zobaczysz jego samochód.

– Za daleko... Nie usłyszę rozmowy.

– Przecież ci ją streszczę.

– Nie ma mowy. Mogę zaczekać przy bramie, ale gdy przejedzie, podejść bliżej.

– A jeśli Donowan cię zauważy?

– Przecież twierdzisz, że nie ma złych zamiarów. – Nicole uniosła brwi.

– Dobra... – westchnął Zack. – Spróbuję rozmawiać z nim tak, aby ustawił się do ciebie plecami. Może nawet uda mi się zwabić go do hali.

\*

Ostatecznie Nicole przyczała się w zdewastowanej budce przypominającej kłitkę ochroniarską. Mógł się w niej zmieścić najwyżej jeden człowiek. Znajdowała się dwadzieścia metrów za bramą wjazdową i była wielkości przenośnej toalety.

Gdy tylko na horyzoncie pojawił się czarny SUV, Nicole natychmiast zadzwoniła do Zacka.

– Przyjechał – oznajmiła. W jej głosie dało się wyczuć obawę.

– Dzięki.

– Proszę cię, uważaj na siebie.

– Nie martw się. Dawaj go tutaj... – zażartował, aby rozładować atmosferę.

Czarny cadillac escalade wjechał na teren tartaku i podobnie, jak wcześniej oni, skręcił w prawo. Miał przyciemniane szyby, więc nie było nikogo widać.

Nie wygląda to dobrze, pomyślała Nicole. Gdy samochód zniknął jej z pola widzenia, przebiegła obok bramy i skryła się za najbliższym stosem desek. W oddali dostrzegła czerwone światła stopu potężnego SUV-a. Ostrożnie, choć szybko, kryjąc się za zwałami drewna, zaczęła przemieszczać się w stronę hali numer dwa.

\*

Czarny cadillac zatrzymał się tuż obok samochodu Zacka.

Z wozu natychmiast wyskoczyło dwóch strażników. Nie przypominali umiędzionych, wysportowanych typów, którzy w takich sytuacjach zazwyczaj towarzyszą biznesmenom. Kierowca był mocno po pięćdziesiątce i miał długą siwą brodę, a jego towarzysz swą przeraźliwie wychudzoną twarzą raczej budził współczucie aniżeli strach.

Pierwszego Zack kojarzył. Pracował w ratuszu, w informacji. Wyglądało na to, że Donovan zabrał dwóch przypadkowych strażników, aby tylko formalnie się zabezpieczyć. Burmistrz wysiadł jako ostatni. Poprawił marynarkę, zapiał guzik i szepnął coś chudzielcowi. Ten podszedł do Zacka i rzekł niepewnie, wręcz przepaszajaco:

– Muszę pana dokładnie obszukać.

Zack posłał Donovanowi podejrzliwe spojrzenie. Mimo to spokojnie uniósł ręce i strażnik zaczął robić swoje.

– A panna Wyden? – rzucił na dzień dobry burmistrz.

– Została w mieście. Kontaktuje się z potencjalnymi klientami.

Donovan skinął głową, ale nie wyglądał na przekonanego.

– A to co? – zdziwił się Zack, gdy drugi strażnik podszedł do niego z podłużnym urządzeniem.

– Sprawdzam, czy nie ma pan podsłuchu – wyjaśnił spokojnie ochroniarz tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Zack uniósł brwi, żądając w ten sposób wyjaśnień.

Burmistrz obojętnie wzruszył ramionami i rzekł łagodnie:

– Dla pewności...

Gdy mężczyźni skończyli, Donovan podszedł i wyciągnął dłoń.

– Przepraszam za to, ale w dzisiejszych czasach ludzie sprawdzają nawet własne matki.

– Nie mam panu za złe. Pańskie stanowisko...

– Wejźmy do hali – zaproponował burmistrz.

Zack omiół wzrokiem okolicę, ale nigdzie nie dostrzegł Nicole. Albo tak dobrze się ukryła, albo jeszcze tutaj nie dotarła.

Gdy znaleźli się w blaszanym kolosie, Donovan wystrzelił jak z kałacha:

– Mogę zobaczyć jakiś pana dokument?

– W celu?

– Po tym, jak nie znalazłem w internecie żadnego telefonu do was, kazałem moim ludziom sprawdzić to i owo. Nie zlokalizowali w Pittsburghu żadnej firmy renowacyjnej zarejestrowanej na pana ani na panią Wyden.

– Podobno nie zapamiętał pan mojego nazwiska.

– Ale gdybym je usłyszał, skojarzyłbym.

Zack bez zbędnego tłumaczenia wyjął portfel, a z niego prawo jazdy. Burmistrz obejrzał je dokładnie. Wyglądało na prawdziwe.

– Firmę prowadzi rodzina mojej partnerki. Zajmują się handlem nieruchomościami. Podpięliśmy się pod nich – wyjaśnił spokojnie Zack.

Donovan uniósł brew. Nie uwierzył w ani jedno słowo.

– Przypomnę, że to pan chciał się spotkać.

– Zgadza się. – Burmistrz spojrzął za siebie, upewniając się, gdzie są strażnicy. – Co zrobicie z uzyskanymi informacjami?

Zack westchnął.

– Wykorzystamy lub... zataimy, jeżeli zajdzie taka potrzeba. Po prostu nie chcemy, żeby ktoś nas zaskoczył, gdy dojdzie do negocjacji cenowych podczas sprzedaży domu. Musimy wiedzieć, od jakiej ceny możemy zacząć i na co się...

Donovan uniósł rękę, nie dając Zackowi dokończyć.

– Okej... Myślę, że to, co powiem, będzie dla pana niemałym zaskoczeniem.

– Zamieniam się w słuch.

– Jak pewnie pan wie, panie Seeger, rok osiemdziesiąty piąty był rokiem... burzliwym, zarówno dla tej rezydencji, jak i dla miasta.

– Tak. W pożarze zginęli Meyerowie, poprzedni właściciele. Dom przejęła rodzina McCainów. Tyle już wiemy...

– Nie inaczej, ale... – Donovan ściszył głos – *tyle* oznacza w tym przypadku nic.

– Wciąż słucham...

– Chodzi o ten pożar. Ile pan o nim wie?

– Pewnie tyle, ile pan wcześniej, gdy pojawiliśmy się w ratuszu – odparł pokrętnie Zack, ale też zarzucił przynętę: – Susan Sachs napomknęła, że Meyerów podejrzewano o coś okropnego.

– O uprowadzenie kilku osób. Zgadza się. Dziwne, że ta kobieta aż tak się przed wami otworzyła, ale przynajmniej nie muszę wszystkiego tłumaczyć od początku.

– Zakładam, że nie chciał pan się z nami spotkać tylko dlatego.

– Bez przesady... O tym moglibyśmy porozmawiać przez telefon. Mam coś dla pana, ale musi to pozostać między nami, bo inaczej stracę na tym interesie znacznie więcej, niż chcę zyskać. Rozumiemy się?

– Oczywiście... A co pan chce zyskać?

Burmistrz jakby nie usłyszał pytania. Skinął głową na strażników. Silnik cadillaca przyjemnie zamruczał i pojazd wjechał do środka.

Zack cofnął się o kilka kroków.

– Spokojnie, panie Seeger. Nie szykujemy się na pana.

– Wciąż pamiętam, co powiedział pan o zaufaniu w stosunku do własnej matki.

Donowan parsknął śmiechem. Kazał strażnikom zatrzymać wóz. Znajdowali się na początku długiej hali. Mężczyźni wysiedli i otworzyli bagażnik. Zack nie widział, co się w nim znajduje, ale gdy ochroniarze wywlekli z niego zakneblowanego człowieka, poblądł. Spojrzał na burmistrza, który spokojnie oznajmił:

– Nie ma za co...

## ROZDZIAŁ 34

Nicole nie mogła uwierzyć własnym oczom, widząc przez szczelinę w blaszanej ścianie, jak ochroniarze Donowana wyszarpują z bagażnika czarnego cadillaca skrzepowaną, na szczęście żywą osobę.

Biedak próbował się oswobodzić. Nagle więzień wyslizgnął się chudzielcowi i rąbnął głową o beton. Po hali przeleciał głuchy stuk i skrzepowany osobnik przestał się szarpać. O dziwo, nie stracił przytomności. Leżąc, wykonywał przypadkowe ruchy głową, strzelając oczyma we wszystkie strony.

– *Uważajcie trochę...*

– *Co to ma znaczyć?*

Echo roznosiło słowa Zacka i Donowana po całej hali, ale też bardzo je zniekształcało. Nicole rozumiała tylko co drugie zdanie, reszty się domyślała. Musiała poszukać innej szczeliny.

\*

Zaszokowany obrotem spraw Zack jeszcze bardziej się cofnął.

– Nie wiem, co pan planuje, ale nie będę w tym uczestniczył.

– Już pan uczestniczy, panie Seeger. – Donowan podszedł do skrzepowanego osobnika. – To Bruce Backerly. Dla przyjaciół *BiBi*, ale nie sądzę, że w tej chwili się do nich zaliczamy.

Związany mężczyzna był po sześćdziesiątce i miał podobnie długi i obfity zarost jak jeden z ochroniarzy, ale zupełnie nie dbał o swój wygląd. Nie pachniał zbyt dobrze, a jego ubranie nie prezentowało się najlepiej. Nie miał też wszystkich zębów, a te, których jeszcze nie stracił, delikatnie mówiąc... bardzo zaniedbał. Wyglądał na bezdomnego, więc można było

podejrzewać, że ludzie burmistrza znaleźli go pod przysłowiowym mostem i wyciągnęli z kartonu.

Donowan otrząsnął się z obrzydzeniem. Fetor bijący od Bruce'a Backerly'a przyprawiał go o mdłości.

– Proszę docenić moje poświęcenie – zwrócił się do Zacka. – Wie pan, jak w samochodzie teraz śmierdzi? Nie obejdzie się bez kosztownego czyszczenia.

– Nie kazałem panu nikogo przywozić.

– Trochę szacunku, panie Seeger. Moi ludzie nieźle się naszukali, zanim zlokalizowali tego cwaniaczka. Nie sądzę, żebyście wykazali podobną determinację. Nie rozumiem, jak...

– Ja też nie rozumiem... niczego... Jeżeli zaraz mi pan wszystkiego nie wyjaśni, to kończymy tę rozmowę.

Donowana drażnił opór rozmówcy, choć nie spodziewał się bukietu kwiatów w podzięcie.

– Ten facet – wskazał Backerly'a, który doszedł już do siebie – powie panu więcej o historii tego domu niż ktokolwiek inny w mieście.

– No to słucham... – Zack założył ręce na piersiach, manifestując niezadowolenie. Nie podobał mu się sposób przekazu informacji, który Donowan uznał za zupełnie naturalny.

– Mówiliśmy o pożarze... Myślę, że chętnie jeszcze raz pan o nim posłucha. Zwłaszcza od człowieka, który sam zaproszył ogień.

Zack uniósł brwi. To rzeczywiście było zaskakujące.

– Przyznam się – kontynuował burmistrz – że dopóki mnie nie odwiedziliście, nie miałem pojęcia o żadnej z usłyszanych od was spraw. Sachs i Rod McCain musieli niegdyś świetnie się dogadywać, gdyż dopiero piąty wykonany przeze mnie telefon uchylił rąbka tajemnicy. Dowiedziałem się, że stary McCain kupił ten dom niemalże za bezcen. Oczywiście w papierach jest dość pokaźna kwota, ale mało kto wie o drugiej umowie, dzięki której rezydencję wyremontowano niemalże na koszt miasta. Oczywiście wszystko skrzętnie ukryto. St. Michael zatrudniło firmę McCaina do dużego zlecenia, na którym skubaniec nieźle się obłowił. Rod, za pozwoleniem ówczesnej burmistrz Sachs, zrobił kolejny interes życia.

Zack powoli się domyślał, że Donowan nie sprowadził ich po to, aby cichaczem przejąć ten dom. Miał go gdzieś. Zależało mu, aby upokorzyć Susan Sachs i pokazać byłej burmistrz, gdzie jej miejsce.

– To bardzo ciekawe, choć niewiele zmienia w związku z historią tego domu.

– Owszem, ale to dopiero początek opowieści. Twierdzi pan, że zajmuje się odnową starych domów. Jakie domy najprościej kupić? Mówiąc *najprościej*, mam na myśli... najtaniej.

– Zniszczone – odparł natychmiast Zack.

– I w tym momencie mnie olśniło. Kazałem sprawdzić raport o szkodach, jakie wyrządził pożar w osiemdziesiątym piątym. Przeczytałem w nim o domu strawionym przez płomienie, a tymczasem spłonęła zaledwie kuchnia, jadalnia i fragment korytarza. Ogólnie niewielka część parteru. Strzelałbym, że jedna czwarta. Zdziwiłby się pan, na ile wyceniono koszt napraw spowodowanych przez ogień.

– Nie będę zgadywał, ale...

– Dwieście tysięcy dolarów... O tyle zaniżono wycenę domu. To całkiem sporo, nawet przeliczając na dzisiejsze realia. Wtedy za takie pieniądze można było kupić jeszcze więcej. To tak jakby dziś dali panu rabat w wysokości pół miliona na odświeżenie dwóch pokoi. Proszę mi wierzyć, że za tę kwotę Rod McCain nie tylko wyremontował kuchnię, jadalnię i odmalował ściany.

– Nie rozumiem, do czego pan zmierza.

– Zasmuca mnie pan, panie Seeger. Wszystko sprowadza się do pieniędzy. Aby wartość nieruchomości spadła, ktoś musi coś z nią zrobić. Najlepiej coś złego, jednocześnie pozbywając się właściciela, aby ten nie miał pretensji. Prawda, panie Backerly?

Przewracając się na bok, więzień zaniósł się kaszlem.

– Chce pan powiedzieć – odezwał się Zack – że nie tylko zaproszył ogień, ale też przyczynił się do śmierci Meyerów?

– Dokładnie to chcę powiedzieć, a nasz *BiBi* zaraz potwierdzi moje słowa.

– Ten mężczyzna przyznał się do tego?

– Nie, sypnął go koleżka, który ponoć czekał w samochodzie, aż ten drań i jego towarzysze skończą robotę.

– Towarzysze?

– Proszę nie robić sobie nadziei. Już sprawdziłem... Dwaj pozostali nie żyją. Przypadkiem zginęli podczas wyburzania jakiegoś pustostanu. Ciekawe,

prawda? Postawcie go na nogi – rozkazał strażnikom burmistrz. – Szybciej mu przejdzie, jak spojrzę mi w oczy.

Ochroniarze Donowana z obrzydzeniem złapali śmierdziucha pod ramiona i oparli go o samochód.

– Tylko nie o wóz! – jęknął burmistrz.

– Nie rozumiem, po co to wszystko – zdziwił się Zack. – Wystarczyłoby mi pańskie słowo. Dokopalibyśmy się do reszty.

– Nie sądzę, bo nawet ja miałem problem.

Wtedy coś tknęło Zacka i poprosił Donowana na stronę. Odeszli dobrych kilka kroków.

– Powiedział pan, że jego wspólnicy nie żyją. Jeżeli to wszystko prawda, dlaczego on jeszcze chodzi po świecie?

– Też mnie to ciekawi i ręczę, że za chwilę się dowiemy.

Zack spojrzał podejrzliwie na burmistrza.

– Ten człowiek swoim zeznaniem może pogrozić McCainów.

– Im to już raczej wiele krzywdy nie wyrządzi, ale Susan Sachs jeszcze się spoci. – Donowan uśmiechnął się cwaniacko, a jego brwi podskoczyły jak rażone prądem.

– Gdy byliśmy w ratuszu, nawet nie wiedział pan, kto rządził miastem w osiemdziesiątym piątym, a chwilę później staje się pan zagorzałym wrogiem tej kobiety. O co tutaj chodzi?

– Panie Seeger... Umówmy się, że informacje na temat domu przydadzą się panu, ale jeśli już pomagam je zdobyć, również chcę skorzystać.

– W porządku. Uczciwa oferta. Zgadzam się na pana metody, ale chcę wiedzieć, dlaczego.

Burmistrz westchnął i spojrzał groźnie na Zacka, dla którego upór mógł się źle skończyć. Na szczęście Donowan opanował emocje i rzekł:

– Susan Sachs od zawsze uznawano za zbawczynię St. Michael. Pieprzony *anioł stróż*... Jak kiedyś zdechnie, to pewnie zmartwychwstanie, a przy jej grobie dniem i nocą będą czuwać mieszkańcy. Rozumie mnie pan?

– Mam obraz...

– Jakiś czas temu jej córeczka zaczęła rozpowiadać za moimi plecami, że ma zamiar kandydować w przyszłych wyborach na burmistrza. Jakie miałbym szanse z rodziną zbawczyni miasta?

– Oczerni pan Sachs i jej córka nie będzie miała po co startować w wyborach.



– Oczernię? O nie, nie, nie... – Donovan pogroził Zackowi palcem jak małemu dziecku. – Wreszcie ktoś powie prawdę i ludzie się dowiedzą, jak wyglądały jej rządy. To dzięki McCainowi postawiła to miasto na nogi. Dlatego też jadła mu z ręki. Niektórzy żartowali, że to Rod McCain jest prawdziwym burmistrzem. Ona była tylko twarzą operacji, które on sugerował. To osiedle na południu St. Michael... Materiały finansowało miasto, ale budynki postawiła firma, w której Rod miał udziały. Derrian McCain do dziś odcina kupony od inwestycji, w których palce maczał jego dziadek. Nie mam pojęcia, jak ten matoł mógł doprowadzić ród do bankructwa.

– Nie wiedziałem...

– Szczerze? Ja też nie, dopóki nie zacząłem grzebać. I chyba mało kto wie o tym, co tu się działo za rządów Sachs.

– Myśli pan, że razem z Rodem McCainem uknuli spisek i chcieli wykurzyć Meyerów?

– Myśle? Ja to wiem... Nie mam tylko pojęcia, dlaczego. Bo nawet jak na pomysłowość tych dwojga, morderstwo tylu osób i podpalenie domu to trochę za wiele, żeby po prostu obniżyć jego wartość. Pan ma swoje pytania, ja swoje. Jak pan widzi, to spotkanie – rzekł głośniejszym głosem Donovan, wskazując Backerly'ego, który podniósł głowę – musiało się odbyć, zanim ktoś uciszy naszego jedyne świadka. Poruszyliście gniazdo szerszeni i teraz latają nad naszym miastem.

Podeszli do samochodu, przy którym stali strażnicy wraz z więźniem.

– Panie Backerly... – zaczął spokojnie burmistrz. – To pan Seeger. Zarówno on, jak i ja, bardzo chcielibyśmy usłyszeć o pana wkładzie w tragedię Meyerów. Obiecuję, że nic się panu nie stanie, dopóki będzie pan z nami szczerzy.

Mężczyzna spojrzał niepewnie na Donowana, a później przeskoczył wzrokiem na Zacka. Wyglądał na przerażonego. Kto wie, co mu zrobiono, zanim tutaj dotarł.

– Obiecuję ci, *BiBi*, że jeśli nas zadowolisz, załatwię sprawę po cichu, a ty wrócisz tam, skąd moi ludzie cię zwinęli. Sachs już jest spalona, potrzebuję tylko twojego potwierdzenia, bo nie chciałbym posłać do piekła niewłaściwej osoby. Znalazłem finansowy dowód na to, że Susan Sachs pomogła McCainowi przejąć ten dom. Chcę wiedzieć, czy to ona kazała ci zająć się Meyerami, czy zrobił to ktoś inny. I dlaczego ty i ten drugi,

kierowca, jeszcze żyjecie, podczas gdy pozostali wasi towarzysze gryzą piach od ponad trzydziestu lat?

– Nic nie rozumiecie – wyjąkał przestraszony więzień, a z jego ust buchnął odrażający smród.

– To łaskawie nas oświeć, o *wielki BiBi* – warknął drwiąco Donovan.

– Mieliśmy się nimi zająć, ale...

– Wiedziałem! – Burmistrz klasnął w dłonie i euforycznie zakręcił się na prawej nodze, nie potrafiąc opanować radości. – Panie Seeger, jestem pana dłużnikiem!

Zack nie był tak entuzjastycznie nastawiony do sytuacji. Nie dość, że brał udział w nielegalnym przesłuchaniu, to właśnie się dowiedział, że wraz z Nicole narazili się niegdyś bardzo wpływowej rodzinie i ich wysoko postawionym znajomym.

– Coś jeszcze chciał pan powiedzieć... – zachęcił Zack.

– Tak jest! Mów dalej *BiBi*. Cóż cudownego jeszcze nam powiesz? – Donovan nie posiadał się z radości.

– Podobno Sachs kazała to zrobić, bo Meyerowie zabili kogoś z jej rodziny.

Zapadła cisza, a burmistrz wybałuszył oczy.

– Co zrobili? – zapytał ostro Donovan, mając nadzieję, że się przesłyszał.

– Meyerowie zabili jej dalszą kuzynkę albo kuzyna... Nie pamiętam już. Spytajcie ją, to wam powie.

– To pierwsze, co zrobię, jak z tobą skończymy, ale czuję, że chcesz nam jeszcze coś powiedzieć.

– Ale co?

– Jak do tego doszło, ot co...

– Pojechaliśmy tam nocą i...

– Kto?!

– Ja i jeszcze trzech. To miało wyglądać na wypadek, ale cholerny staruch nas zauważył. Zaczął się drzeć i musieliśmy go uciszyć. Potem pojawił się John Meyer ze strzelbą i wszystko diabli wzięli!

– Zabiliście Meyerów i podpaliliście dom, żeby wszystko wyglądało na wypadek.

Backerly nerwowo potaknął, bojąc się gniewu burmistrza.

– Założę się, że Sachs to zorganizowała – ciągnął dalej Donovan – a McCain jak zwykle skorzystał.

– Mówili, że to McCain wszystko wymyślił – tłumaczył *BiBi*. – Kumplował się z Sachs. Gdy usłyszał, co Meyerowie jej zrobili, doradził, jak może się zemścić.

Zacka nagle olśniło.

– McCain nie przejął posiadłości dla zysku. Chciał pomóc Sachs wszystko zatuszować.

Więzień skinął głową.

– Gdyby ktoś inny kupił dom i zaczął grzebać – kontynuował Zack – znalazłby ślady po kulach. Tak samo z ciałami... Miało być cicho i czysto, a wyszło odwrotnie.

– Sachs i McCain bali się, że policja poskłada wydarzenia w całość – dodał burmistrz.

– Nie, panie Donovan... Policja była po ich stronie. Pomogli wszystko zatuszować. Nie było żadnego wybuchu gazu, jak ludzie mówili.

– Co?

– Chryste... – jęknął Zack. Chwycił Donowana za ramię i odciągnął go, aby ponownie zamienić z nim słowo na osobności.

Strażnicy niepewnie spojrzeli jeden na drugiego.

– Całe miasto w tym siedziało? – warknął cicho Zack.

– Sam się dziwię – przyznał szczerze burmistrz. – Najwyraźniej chodziło tylko o to, aby ktoś zaufany przejął dom. Policja nie zadaje pytań, spalone ciała Meyerów lądują w grobowcu, a McCain remontuje budę i pozbywa się śladów zbrodni.

– Wie pan coś o tym morderstwie krewnej Sachs?

– Pierwsze słyszę... Trzydzieści lat temu, czy nawet dawniej, zdarzyły się jakieś zniknięcia, ale kto by to pamiętał. Nie przypominam sobie, żeby kogoś skazano.

– Owszem, skazano... – podjął Zack. – I natychmiast wykonano wyrok.

Donowan obrzucił rozmówcę niepewnym spojrzeniem.

– Nie było dowodów, więc policja, Susan Sachs i najbardziej wpływowy człowiek w mieście wzięli sprawiedliwość w swoje ręce. Nie mogli tego zrobić sami, więc posłużyli się nimi – Zack skinieniem głowy wskazał Backerly'a – a potem ich uciszeli. Szumowiny, po których nikt nie płakał. Słyszał pan... Nawet policja w tym siedziała. Z pewnością wzięli czterech skazańców i powiedzieli im, że ich wypuszczą, ale muszą zrobić coś dla miasta. Potem pozbyto się problemu.

– Tylko że nie całego... – zauważył Donovan. – Dlaczego?

– Dobre pytanie...

Wrócili do więźnia.

– Jakim cudem przeżyłeś ty i twój kumpel, który prowadził samochód?

– To nie tak... Bill i Louis zginęli w tym przeklętym domu. Jeden dostał kulkę od Meyera, drugi... ode mnie – przyznał ze skruczą *BiBi*. – Nie wiem, panie Donovan, jakim cudem ich spalone ciała znalazły się w zawalonym budynku. Nie miałem z tym nic wspólnego.

Zacka i burmistrza po raz kolejny sparaliżowała niewiedza.

Wreszcie odezwał się Donovan:

– Zabiłeś współnika?

– Bo nie chciał postępować zgodnie z planem. Mieliśmy dokładne wytyczne, co i jak.

Burmistrz ponownie został bez słowa.

– Przenieśliśmy wszystkie ciała na parter i wrzuciliśmy w płomienie.

– Chcesz powiedzieć, że ktoś wyciągnął z tego domu spalone ciała twoich towarzyszy i podrzucił je do budynku, który miał zostać wyburzony?

– Nie wiem, panie Donovan. Zaprószyłem ogień w kuchni, jak mi kazano. Ciało Billa chciałem wrzucić w ogień, ale Louis był temu przeciwny, więc najpierw załatwiłem jego, a potem dokończyłem robotę i uciekłem.

– Policja pomogła zatrzeć ślady – domyślił się burmistrz. – Firma, w której McCain miał udziały, budowała to osiedle na południu. Na pewno trafił się jakiś niepotrzebny pustostan. Ilu zabiliście? – zwrócił się do Backerly'a.

– Sześciu... – odparł bez wahania więzień. – Czterech Meye-rów, ogrodnika i służącą, ale później się okazało, że zidentyfikowano jeszcze dwa dodatkowe ciała. Kobiety i dziecka... Musieli przypadkiem zginąć w pożarze.

– Jak to, przypadkiem?

– Pewnie ukryli się w kuchni, bo nie znaleźliśmy tych dwojga. Na szczęście pożar załatwił sprawę.

– Dlaczego uwzięliście się na Meyerów?

– To była zaraza, panie Donovan! Powiedziałem już, że zabili kogoś z rodziny tej Sachs. Nawet gdyby nam nie obiecano wolności, chętnie bym ich wyrznął ponownie. – *BiBi* splunął na ziemię, okazując w ten sposób pogardę.

– Jeżeli były dowody na ich winę, to dlaczego nikogo nie aresztowano?

Mężczyzna nabrał wody w usta.

– *BiBi...* Nie pogrywaj sobie ze mną – ostrzegł burmistrz.

– Nie było konkretnych dowodów, ale wszyscy wiedzieli, że to oni. Jak zginęli, ludzie przestali znikać. Lepszego dowodu nikt nie potrzebował.

Zack parsknął śmiechem.

– Świetny sposób, żeby sprawdzić, czy ktoś jest winny – ironizował Donovan, ale nie miał zamiaru odpuścić: – Skąd? Skąd wiedzieliście?

– Strażnik leśny znalazł nagie ciało kobiety niedaleko rezydencji McCainów.

– Sachs powiedziała to samo – dodał Zack.

– Ja nic więcej nie wiem... Przysięgam! Pogadajcie z policją! Jeżeli były dowody, to oni je mieli! Kazali nam załatwić Meyerów i powiedzieli, że potem wyjdziemy. Ile razy mogłem liczyć na taki układ?

– Kto ci kazał, szef policji czy Susan Sachs?

– Obydwoje. Ona miała pomóc w ułaskawieniu, a gliniarz powiedział, co i jak mamy zrobić.

– Dlaczego wybrali akurat ciebie i resztę?

– Nie wiem, czemu resztę. Ja miałem iść siedzieć za morderstwo żony. Puszczalska zdzira... – warknął Backerly. – Dawała dupy na prawo i lewo, to dostała za swoje. Mieli dowody i narzędzie zbrodni, a ja nie wykazałem skruchy. Pójście na układ było moją jedyną szansą.

Donovan spojrział na Zacka, który wzruszył ramionami. Nie widzieli powodu, dla którego Backerly miałby ich okłamywać.

Nagle Zack poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. W wejściu do hali zobaczył Nicole. Donovan również ją dostrzegł.

– No proszę... Z miasta tutaj kawał drogi – rzucił ironicznie burmistrz do Zacka, który spiorunował partnerkę wzrokiem.

– Panie Donovan... – przywitała się.

– Panno Wyden...

Burmistrz wyszedł Nicole naprzeciw. Nie miał ochoty na uścisk dłoni, więc włożył ręce do kieszeni. Jeszcze raz wymownie spojrział na Zacka, a później na kobietę, żądając w ten sposób wyjaśnień.

– Nie wiedzieliśmy, czy...

– ...możecie mi ufać – dokończył za Zacka Donovan.

– Powiem wprost – rzekła cicho Nicole, aby strażnicy jej nie usłyszeli. –

Jeżeli ten człowiek mówi prawdę, może grozić panu niebezpieczeństwo.

– Mnie? – zdziwił się burmistrz.

– Proszę wyświadczyć sobie przysługę i przez chwilę się nie odwracać... Ci strażnicy wyglądają mi na starszych od pana. Idę o zakład, że to emerytowani policjanci, a nawet jeżeli nie, to z pewnością wielu takowych w mieście znają.

– Sam znam i co z tego?

– Przed chwilą padło konkretne oskarżenie w stosunku do policji, która w osiemdziesiątym piątym brała we wszystkim udział. Jeżeli zeznania tego człowieka ujrzą światło dzienne, posypie się sporo głów.

Mimo ostrzeżenia Donovan kątem oka zerknął na swoich ludzi. Dopiero teraz to do niego dotarło.

– Sprawa nabierze rozpędu, a ci strażnicy będą wiedzieli, z czyjego powodu.

– Myślicie, że boję się kogoś we własnym mieście?

– Pytanie powinno brzmieć, czy boi się pan własnego miasta... – uściślił Zack. – Proszę pomyśleć... Sachs, McCain, szef policji i jego ludzie, może nawet strażacy... Nie twierdzą, że Meyerowie nie zasłużyli, ale jeśli to się wyda, wiele osób poczuje się zagrożonych.

Donovan z niedowierzaniem pokręcił głową. Ta absurdalna teoria była... niepokojąca.

– I chcecie, żebym... co zrobił? – zirytował się. – Mam odpuścić Sachs?

– Wiemy, dlaczego chce pan ją dorwać – wtrącił Zack. – Nie chodzi o sprawę sprzed trzydziestu lat, a o usunięcie zagrożenia ze strony jej córki w związku ze zbliżającymi się wyborami.

Burmistrz nie skomentował tego.

– Pan chce osiągnąć swoje, my swoje – dodała Nicole. – Jedźmy do niej razem. Powiemy, że odkryliśmy prawdę. Jeżeli będzie chciała zachować resztki godności, to wraz z rodziną wycofa się z życia miasta. Puści jej pan to płazem, bo kiedyś sporo zrobiła dla St. Michael, ale przecież nie może pan pozwolić, aby ktoś taki wciąż miał wpływ na mieszkańców.

Burmistrz wyraźnie bił się z myślami.

– A jak się nie przyzna?

– Pan pomógł nam, my pomożemy panu.

– To znaczy?

– Powiemy, że po tym, co usłyszeliśmy od Backerly'a, sprawdziliśmy

jedno z ciał Meyerów, które zakopano w lesie i oznaczono nieopisaną płytą. Okazało się, że nieszczęśnik, owszem, spłonął, ale wcześniej został zamordowany.

– A Derrian McCain?

Zack przełknął ślinę. Miał nadzieję, że Donovan nie poruszy tego problemu.

– Co z nim? – zapytała Nicole, widząc zmieszanie partnera.

– Wciąż żyje ostatni spadkobierca i chce sprzedać dom, w którym zamordowano od cholery ludzi. Ich trupy pochowano na terenie posiadłości. Naprawdę muszę wam wyjaśnić, co się stanie, jeśli...

– Tak jak powiedzieliśmy panu na początku. Musimy wiedzieć nie tylko, jak zareklamować dom, ale też... co przemilczeć. Bądźmy ze sobą szczerzy... Nam także zależy, aby tę sprawę wyciszyć. Jeżeli Sachs i jej rodzina zgodzą się wycofać z wyścigu szczurów, zyskają wszyscy. W przeciwnym razie, gdyby sprawa morderstw wyszła na jaw, Derrian McCain może zapomnieć o sprzedaży domu, a panu będzie groziło poważne niebezpieczeństwo. Ci strażnicy już wiedzą... Nie chcemy pójść do Sachs, aby dowiedzieć się prawdy. Chcemy jej pokazać, że nam wszystkim również zależy na wyciszeniu sprawy. Każdy może na tym zyskać.

– Nie zabijają burmistrza... – rzekł z przekonaniem Donovan.

– Wypadki chodzą po ludziach. Byli w stanie zamordować... Ile? Sześć... Osiem osób? Śmierć kolejnych dwóch zataili. Proszę mi wierzyć, że uszkodzenie służbowego wozu nie będzie stanowiło dla nich problemu.

Donovan zerknął na strażników pilnujących Backerly'a.

– Dobra, spróbujemy po waszemu, ale ja będę gadał.

– Zgoda.

## ROZDZIAŁ 35

– Panie burmistrzu... Cóż za niespodzianka! – Szczerze uśmiechnęła się Susan Sachs, choć stosunków z tym człowiekiem nie mogła ocenić nawet jako *bonne*.

– Możemy wejść?

– Ooo... To państwo. – Kobieta natychmiast rozpoznała niedawnych gości. – Proszę uprzejmie. – Otworzyła szerzej drzwi. Nie pamiętała, czy Christian Donovan kiedykolwiek zaszczyił jej dom swoją osobą. Co więcej, wizyta burmistrza w obecności tych dwojga była bardziej niż podejrzana.

– Kawy? Herbaty?

– Może szklankę wody... – odparła Nicole.

Zack poprosił o to samo.

– A dla mnie garść informacji – wystrzelił Donovan.

Sachs zeszywniała. Nie wiedząc, jak zareagować, potaknęła i z przyklejonym do twarzy uśmiechem przeszła do kuchni. W okamgnieniu wróciła z dzbankiem wody z cytryną i czterema szklankami. Nie miała już tak wesołej miny jak przed kilkoma minutami, gdy ich witała.

Nicole i Zack zajęli sofę, a burmistrz fotel. Sachs usiadła na drugim – naprzeciwko podejrzanej pary.

– Słucham państwa. W czym jeszcze mogę pomóc?

Burmistrz nie miał zamiaru się cackać, bo inaczej wyglądałoby, że przyjechał jedynie wy badać sytuację. Atak musiał być frontalny.

– Ostatnio dotarły do mnie druzgoczące wieści i z przykrością muszę stwierdzić, iż zawiodłem się na pani.

Sachs spochmurniała, choć nie przeraziły jej słowa Donowana. Goście pierwszy raz zobaczyli jej naturalny wyraz twarzy.

– Jestem pewna, że cokolwiek ma pan na myśli, potrafię to wyjaśnić.



– Wierzę, że ma pani dar przekonywania, bo zatuszowanie morderstwa dziesięciu osób to nie lada wyczyn.

Sachs parsknęła śmiechem, jakby rzeczywiście nie wiedziała, o co ją oskarżono.

– Czy my jesteśmy w ukrytej kamerze? – Rozejrzała się podejrzliwie, ale z figlarnym uśmiechem na twarzy. Zarzut wydał jej się tak absurdalny, że spojrzała na burmistrza pobłaźliwie i rzekła: – Ma mnie pan... Ale za śmierć Kennedy’ego odpowiadać nie będę.

– Obawiałem się, jak pani to przyjmie, dlatego niezmiernie się cieszę, że humor wciąż dopisuje. Tymczasem muszę oficjalnie panią poinformować, że zgłoszę do prokuratury wnioski o wszczęcie śledztwa w związku ze śmiercią państwa Meyer, którzy do wiosny osiemdziesiątego piątego roku zamieszkiwali rezydencję na obrzeżach miasta. Później przejął ją Rod McCain, ale o tym doskonale pani wie.

– Osiemdziesiąty piąty?

– Zgadza się... Trzydzieści dwa i pół roku temu, żeby być dokładnym.

– Mogę prosić o więcej szczegółów, zanim rzuci mnie pan lwom na pożarcie?

Sachs nabierała coraz większego dystansu. Po uśmiechu dobroduszej babuni nie pozostał nawet ślad. Donovan poważnie się obawiał, czy za chwilę była burmistrz nie wyrzuci ich za drzwi, ale jeżeli mieli rację, to jej również powinno zależeć na wyciszeniu tej sprawy.

– Proszę bardzo... Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty piąty, wiosna. Meyerowie giną w pożarze. Jak pani wie, ci państwo – wskazał Nicole i Zacka – zajmują się sprzedażą posiadłości. Dotarli do człowieka, któremu zleciła pani wymordowanie Meyerów, posądzając ich o rzekome zabójstwo kogoś z rodziny.

– Chwileczkę... – zaproponował Zack, ale natychmiast został uciszony przez Donowana. Nie tak się umawiali! W sekundzie burmistrz obrócił wszystko przeciwko nim, wychodząc z tego obronną ręką.

– Ja zleciłam czyjeś zabójstwo?

– Owszem – ciągnął Donovan. – Co gorsza, obawiam się, że w sprawę wplątanych jest szereg innych osób. Policjanci... Strażacy... Śledztwo z pewnością nie zostanie przeprowadzone przez naszą jednostkę. Będę nalegał, żeby sprawą zajęło się Federalne Biuro Śledcze, aby uniknąć jakichkolwiek niejasności i powiązań.

– Czy macie państwo jakieś dowody potwierdzające tę absurdalną teorię, czy dysponujecie tylko zeznaniem jakiegoś bezdomnego? Bo jeśli na tym chcecie oprzeć...

– A skąd pani wie, że ten człowiek był bezdomny? – wypalił Donovan. – Nie zdradziłem wcześniej tego szczegółu.

Zack i Nicole siedzieli jak na tykającej bombie. Obawiali się, że Sachs w którymś momencie nie wytrzyma, może nawet spróbuje uciec, a ona tymczasem oparła się wygodnie i przyjaźnie się uśmiechnęła.

– Panie Donovan... To nie żadna tajemnica, że za sobą nie przepadamy. Wierzę, że gdyby nadarzyła się okazja usunięcia mnie z pańskiego pola widzenia, skorzystałby pan z niej bez wahania. Dlaczego więc przychodzicie do mnie i oskarżacie mnie o jakieś... Trudno mi nawet znaleźć odpowiednie słowo... Wystarczyło zgłosić sprawę odpowiednim władzom, a oni rozwiążą wasze wątpliwości.

– Bo chcę wiedzieć, dlaczego?

– Nie, panie Donovan. Boi się pan konsekwencji. Usłyszał pan kilka zdań, a dokładnie oszczerstw, i na ich podstawie wysnuł teorię. Swoją drogą... idiotyczną! Prościej rzucić się na jedną osę niż spróbować pozbyć się ula. Oczywiście... ul można zniszczyć, ale czy ilość uządleń nie okaże się śmiertelna?

Donovan przymrużył oczy. Zastanawiał się, czy Sachs właśnie zagroziła mu śmiercią, czy była to tylko mało istotna metafora. Biorąc pod uwagę, że ta kobieta spędziła większość swego życia na podobnych rozmowach, trudno mu było uwierzyć w przypadkowość wypowiedzianych przez nią słów.

– Obydwoje wiemy, że dla tego miasta zaprzedałaby pani duszę diabłu. Nie kwestionuję pani oddania. Nikt nie zakwestionuje... Dlatego też nie wierzę, że nagle podjęła pani tak nieodpowiedzialną decyzję, kierując się zwykłą zemstą.

– Czego pan chce? A właściwie... Co pan chciał osiągnąć, przychodząc tutaj?

– Już powiedziałem. Dla mnie liczy się prawda i dobro miasta.

Sachs prychnęła.

– Gdyby tak było, nie odwiedziłby mnie pan w towarzystwie, tylko przyszedłby sam.

– W porządku... Kawa na ławę. Jest pani konkretną kobietą, a mnie zależy na obywatelach St. Michael. Nie mogę pozwolić, aby ktoś zamieszany

w taki proceder wciąż zasiadał w radzie. Gdyby skandal ujrzał światło dzienne, zostałbym napiętnowany za trzymanie kogoś pani pokroju na stanowisku honorowego członka. Ludzie nie uwierzyliby, że o niczym nie wiedziałem. Ustąpi pani i nikt z pani rodziny nie będzie już więcej angażował się w sprawy miasta.

– A więc o to panu chodzi! – Sachs natychmiast pojęła, że Donovan chce zablokować możliwość kandydowania na burmistrza jej córce. – Myślałam, że kieruje panem coś więcej niż chęć szantażu z powodu panicznego strachu przed dwiema kobietami.

Donovan nie przejął się zniewagą.

– To oferta. Co więcej... jednorazowa.

– Pani Sachs... – podjął Zack, ale rozmówczyni natychmiast mu przerwała:

– Państwo, to lepiej, żeby już zamilkli. Nie macie o niczym pojęcia – zwróciła się do wszystkich – a skaczecie mi do gardła jak wygłodzone lwy.

– W takim razie proszę nas uświadomić... – powiedział ostro Donovan.

– Uświadomić? Gdy Meyerowie mordowali moją kuzynkę, co najwyżej kończył pan koledź ciężko opłacony przez rodziców. – Nachyliła się. – Wiem, że ledwo zdał pan egzaminy. Pewnie zupełnie przypadkiem w ostatnim półroczu pańskiej nauki ojciec bardzo hojnie wsparł tę placówkę.

– Rozumiem, że ma pani jakieś dowody na przekupstwo profesorów i...

– Nie mam żadnych dowodów i nie mam zamiaru niczego wyciągać na wierzch, tak jak pan chce to zrobić, szkodząc w ten sposób mojej rodzinie, a także wielu innym osobom.

– Przecież powiedziałem, że...

– Proszę mi stale nie przerywać! – upomniała go Sachs jak pierwszoklasistę. – Ja i moja rodzina od początku musieliśmy walczyć o każdą posadę, o każdy grosz. Panu wszystko zostało podane na srebrnej tacy przez służącego w białych rękawiczkach. Ja musiałam przepychać się łokciami, pan miał ludzi, którzy rozpychali tłum. Za każdym razem, gdy napotykałam opór, walczyłam argumentami, nieraz poprzez sądy. Pan załatwiał wszystko pieniędzmi i układami. Mimo to minęło wiele lat, a nigdy nie wyrzuciłam panu niczego. Do dziś... Gdy zakończyłam kadencję, chciałam się usunąć w cień, ale mój następca poprosił mnie o czynny udział w życiu miasta. Tak samo zachowali się kolejni burmistrzowie. Dopiero panu

zaczęłam przeszkadzać. Dlaczego? Bo ludzie szybko dostrzegli potrzebę zmian i zaczęli bardziej szanować moje słowa niż pana.

– Od momentu, gdy wszedłem do gabinetu, skutecznie mamiła pani wszystkich swymi poglądami, zgoła odmiennymi od moich.

– Mamiłam?! Panie Donovan... Proszę zapytać poprzedników o zdanie na mój temat, gdyż wybujające ego bywa kiepskim doradcą.

– Dość! – Burmistrz się poderwał. – Zapłacisz za to, a razem z tobą cała reszta! – Pogroził jej palcem.

Patrząc, jak Donovan zmierza do drzwi, Zack i Nicole wstali, nie bardzo wiedząc, jak zareagować.

– Na koniec jeszcze coś ci powiem...

– To ja coś ci powiem – warknęła Sachs. – Siadaj, bo nie dożyjesz jutra! Zapadła cisza.

– Coś ty powiedziała? – Donovan się wrócił.

– Widzę, że jeszcze można cię czymś zaskoczyć.

– Koniec z tobą i z twoją rodziną – warknął groźnie.

– Jeśli chcesz żyć i znać prawdę, siadaj.

– Teraz, to sobie ją wsadź!

– Jeżeli stąd wyjdiesz, najpóźniej pojutrze ludzie przeczytają twój nekrolog.

– Słyszeliście to?! – Donovan zaśmiał się ironicznie. – Grozili mi już różni i w różny sposób, ale jeszcze nigdy siedemdziesięcioletnia kobieta, ostoja moralna tego miasta! – zakończył drwiącym tonem.

Sachs usiadła i założyła nogę na nogę.

– Której części ostrzeżenia nie rozumiesz? To, że w domu nie mam broni, nie oznacza, że nie będzie ci groziło niebezpieczeństwo, gdy stąd wyjdiesz.

– Bezczelna do końca!

– Może wysłuchajmy, co pani Sachs ma do powiedzenia – odezwała się Nicole, próbując opanować sytuację.

– Nie wiem, jak wy, ale ja słyszałem już wystarczająco wiele.

– To twoje miasto, a wiesz o nim mniej, niż ci się wydaje.

– Myślisz, że po tym wszystkim, co usłyszałem, w coś ci uwierzę?

– Dokładnie tak... Uwierzysz mi dzięki *temu wszystkiemu*. A prawdę zna już niewielu... Chcesz ją usłyszeć, czy dalej będziesz stroszył pióra niczym nadęty paw, który uciekł przed myśliwym?

– Masz minutę... – Donovan usiadł i również założył nogę na nogę.

Robiąc zawadiacką minę, splótł ręce na kolanie, po czym dodał: – I niech to będzie ciekawa minuta.

Atmosfera była tak gęsta, że Nicole i Zack postanowili się nie odzywać. Sachs ewidentnie się zastanawiała, jak zacząć. Donovan postanowił jej pomóc:

– Czterdzieści pięć sekund...

Kobieta westchnęła i pokręciła głową.

– Meyerowie przybyli do Stanów na początku lat pięćdziesiątych. Wcześniej mieszkali w Ameryce Południowej.

Donovan ściągnął brwi, choć nie było w tym nic zaskakującego, może z wyjątkiem nazwiska, które średnio wpasowywało się w *południowe* realia.

– Nie wiedzieliśmy, skąd tak naprawdę Meyerowie się wzięli, ale krążyły pogłoski, że podczas II wojny światowej opuścili Europę i osiedlili się w Ameryce, przyjmując fikcyjne nazwisko. Nie udało mi się dotrzeć do prawdy. Z pewnością dokumenty wyrobili jeszcze w Europie i tutaj przybyli jako Meyerowie.

– Mam nadzieję, że to do czegoś prowadzi...

– Owszem... To był zamożny ród, jednakże nikt tak naprawdę nie wiedział, czym się zajmowali, skąd mieli pieniądze. Żyli w tej rezydencji, którą kupili od Griffinów i niepotrzebnie się nie wychylali. Raz nawet poprosiłam znajomą w banku o przysługę. Okazało się, że konto Meyerów regularnie zasilają wpływy z pewnego szwajcarskiego banku. Na tym moje małe prywatne śledztwo się zakończyło. Polityka szwajcarskich banków jest niczym gruby mur z cegieł. Nic sobie nie robią z naszego prawa. Tylko odpowiedni nakaz mógłby ich zmusić do ujawnienia czegokolwiek i to pod wieloma warunkami.

– Minuta minęła – wtrącił się Donovan – a na razie usłyszałem jedynie nudną historię rodu.

– Gdyby był pan bardziej uważny, powinien zapytać mnie, dlaczego w ogóle zainteresowałam się tymi ludźmi i kazałam ich sprawdzić.

Burmistrz uniósł brwi, żądając wyjaśnień – Sachs dostała nadprogramową minutę.

– Rok po ich przeprowadzce do Stanów, w pięćdziesiątym pierwszym, w St. Michael zniknęło dwoje ludzi. Byli to pracownicy straży leśnej. Ich konie znaleziono kilka mil za miastem. Pasły się na leśnej polanie. Policyjne psy podjęły trop, ale straciły go przy murze posiadłości Meyerów, nieopodal

strumyka, który do dziś przez nią przepływa. Ówczesne władze poprosiły właścicieli o możliwość przeszukania terenu.

– Niech zgadnę... Meyerowie odmówili.

– Wręcz przeciwnie. Bez wahania wpuścili funkcjonariuszy z psami, ale te już nie podjęły tropu. Przeszukano wiele hektarów lasu, razem z terenem posiadłości. Po roku śledztwo trafiło do niechlubnej części policyjnego archiwum spraw nierozwiązanych. W pięćdziesiątym drugim wydarzyła się podobna historia. Straż leśna natknęła się na porzucone namioty i obozowe rzeczy. Wywnioskowano, że należały do czterech młodych osób. Ich również nie odnaleziono, a psy tropiące...

– Dotarły do muru posiadłości – uzupełnił Donovan.

– Jeżeli chce się pan bawić w zgadywanki, to może przestanę mówić, a zacznę tylko potakiwać lub kręcić głową, jak te maskotki przyklejane do deski rozdzielczej.

– No więc? – westchnął burmistrz.

– Podobno psy godzinami kluczyły po lesie. Ostatecznie zgubiły trop przy głównej drodze. Nie zmienia to faktu, że ponownie wszystko odbyło się w okolicy tej rezydencji. Ówczesny szef policji poprosił burmistrza o pomoc. Choć pomoc, to za wiele powiedziane. Poszedł... skonsultować tę sprawę. Pragnę podkreślić, że nie było najmniejszego dowodu, który wskazywałby na udział Meyerów w którymkolwiek zniknięciu. Służby chciały zdobyć nakaz przeszukania domu, ale jak wspomniałam, nie było żadnych podstaw, aby taki dokument wystawić. Sędzia się nie zgodził, a Meyerowie odmówili dalszej współpracy. Szczerze? Na ich miejscu postąpiłabym tak samo, bo to zwykła policyjna zgadywanka. Mimo to burmistrz osobiście udał się do nich i poprosił o możliwość przeszukania ogrodzonej części lasu należącego do terenów posiadłości. Ostatecznie Meyerowie się zgodzili, ale zabronili policji wchodzić do domu. Kolejne śledztwo pozostało nierozwiązane.

– Przecież nawet nie wiadomo, czy za tym drugim razem ktokolwiek zaginął. Pojawiło się jakieś zgłoszenie?

– W naszym mieście nie, ale w stanie i owszem. Zniknęło czworo dwudziestoparolatków. Dwie pary. Ośmioro rodziców straciło dzieci. Rozpoznali ich rzeczy. Śledztwem zajęła się nawet policja stanowa, ale i oni szybko się poddali. Tak, jakby ci ludzie rozplłynęli się w powietrzu.

– Jakież ślady zwierząt, opon? Cokolwiek? Przecież to był las. Na grząskim podłożu zawsze zostawia się jakieś ślady.

W tym momencie Zack przełknął ślinę. Przypomniał sobie o miejscu, gdzie zakopał ciało. Otrząsnął się i słuchał dalej.

– Nic... Dlatego podejrzania padły na Meyerów. Po prostu mieszkali najbliżej miejsca zbrodni.

– Domniemanej zbrodni... – uściślił Donovan.

– Trzeba też pamiętać, że dawne techniki nie były tak doskonałe, jak obecne.

– Policja stanowa przeszukała rezydencję?

– Nie było podstaw. To tak, jakby zażądać nakazu na pana dom, legitymując się powodem, że przecznicę dalej ostatni raz widziano bezdomnego, który zaginął.

Minęło już kilka dobrych minut od momentu, gdy Sachs rozpoczęła opowieść, jednakże nawet burmistrz był ciekaw, dokąd ta historia prowadzi. Nie wspominając już o Zacku i Nicole, którzy słuchali jak zahipnotyzowani.

– Co wydarzyło się później?

– Uspokoilo się. Sprawy przycichły, a życie wróciło do normy. Aż do mojej kadencji... Znowu się zaczęło... Najpierw myśliwi, później trzy kobiety, w tym moja kuzynka.

– Wszyscy zniknęli tego samego roku?

– Tak. W styczniu osiemdziesiątego piątego.

– Seryjny morderca? – zgadywał Zack.

– Też tak sądziliśmy i natychmiast wszystkim przypomniały się sprawy sprzed lat.

– Znowu ofiary zniknęły w okolicy rezydencji?

– Myśliwi tak... Wiemy to, bo mówili swemu koledze z kółka łowieckiego, gdzie mają zamiar polować. Trudno powiedzieć, w jakich okolicznościach zniknęły kobiety, ale mógł to być nawet ten sam dzień. Dwie z nich ostatni raz widziano w ich domach. Trzecia, moja kuzynka, wcześniej wyjechała za miasto. Miała wrócić właśnie tego dnia, gdy zniknęli mężczyźni i spotkać się z tymi dwiema dziewczynami, które również zaginęły. To były jej koleżanki. Mieszkała już wtedy sama, więc trudno cokolwiek powiedzieć.

– To jej nagie ciało znaleziono w lesie nieopodal rezydencji? – zapytała Nicole.

– Nie... Jednej z pozostałych dziewczyn. Od tego momentu w St. Michael rozpuściło się piekło. Już nie chodziło o pijanych nastolatków, którzy gdzieś przepadli, ani o myśliwych, których sama najchętniej bym zastrzeliła.

Kocham zwierzęta i nie znoszę tego typu rozrywek. Zniknęły trzy kobiety, a niedługo po tym jedną znaleziono martwą, nagą, z dziurą po kuli w piersi. Od razu założono, co spotkało pozostałe dwie. Mieszkańcy domagali się krwi. Gdyby tylko się dowiedzieli, kto jest winny, natychmiast odbyłby się lincz. Bywają chwile, w których ludzie, mimo rozbieżnych poglądów, są w stanie się zjednoczyć. W osiemdziesiątym piątym doszło do takiej sytuacji.

– Mieszkańcy St. Michael sami wymierzili sprawiedliwość? – zdziwił się Donovan.

– Na szczęście, nie. Podobnie, jak w przypadku dawnych zniknięć, nie istniał żaden konkretny ślad, ale ludzie dorobili sobie własną teorię. Zaczęli przyglądać się Meyerom. Założyli nawet specjalną grupę. Śledzili każdy ich krok.

– Przecież właśnie tak powinna postąpić policja! – zirytował się burmistrz.

– Policja robiła swoje, ale mieszkańców było znacznie więcej. Nie przejmowali się prowadzonym śledztwem ani procedurami, jakie obowiązywały policjantów. Niektórzy nawet pokonywali mur i zakradali się pod dom, próbując zdobyć jakiś dowód. Trwało to dwa miesiące i...

– ...niczego nie wykryto – domyślił się Donovan.

– Niestety... Skończyła się nagonka na Meyerów, a zaczęła na policję i służby miejskie. Dostało się nawet wydawcy gazety, którego pod groźbą pobicia zmuszono do publikacji obraźliwego dla władz miasta artykułu. To był słowny lincz na policji i na mnie. Nawet rodzina się ode mnie odwróciła. Nie wiem, dlaczego wszyscy myśleli, że stoję ponad prawem.

– Ale pomogło, bo na poważnie wzięliście się do roboty... – zauważył burmistrz.

Sachs westchnęła, nie komentując słów Donowana.

– Widząc i słysząc to wszystko, sama chciałam się przekonać, czy przypadkiem podejrzenia nie są słuszne. Zaczęłam grzebać w starych dokumentach, lecz niewiele znalazłam. Możecie mi wierzyć lub nie, ale użyłam wszystkich znajomości, jakie miałam. Dowiedziałam się jedynie tego, że w drugiej połowie lat czterdziestych ci ludzie przybyli do Ameryki Południowej, a stamtąd kilka lat później przenieśli się do Stanów i zamieszkali w tej rezydencji. To wszystko... Reszta ich historii okazała się jedną wielką niewiadomą. Doszło nawet do tego, że osobiście udałam się do nich pod pretekstem przeprosin za szkalowanie przez mieszkańców. Przy



okazji chciałam wypytać o kilka szczegółów, ale nie byli zbyt rozmowni. Natychmiast mnie przejrzeni i nabrali wody w usta.

– Dało to pani do myślenia... – rzucił Zack.

Skinęła głową.

– Byłam przyparta do muru. Codziennie spora grupa protestujących wykrzykiwała pod ratuszem nieprzyjemne hasła, krytykując opieszałość władz. St. Michael to nie Nowy Jork, Los Angeles czy Chicago, gdzie każdego roku ginie po kilkaset osób. W mniejszych miastach takie przypadki występują sporadycznie i ludzie inaczej je odbierają.

– Wcześniej wspomniała też pani o potrzebie rozwoju St. Michael, o inwestorze, o budowie osiedla, o chęci przyciągnięcia nowych mieszkańców...

– Zgadza się. To wszystko wpłynęło na podjęte decyzje. Musieliśmy ratować miasto, a dokładniej to, co z niego zostało.

– Zakładam, że zbliżamy się do wielkiego finału... – niecierpliwił się Donovan.

– Byliśmy zdesperowani. Za wszelką cenę chcieliśmy zdobyć jakieś dowody przeciwko... komukolwiek. Musieliśmy... coś zrobić. Obawialiśmy się zamieszek, więc odbyliśmy potajemne spotkanie. Ja, szef policji, Rod McCain i jeszcze kilka osób. Powiedziałam im o wszystkim, co odkryłam. Wtedy ktoś wysunął dość odważną hipotezę. Pewnie państwo słyszeli, że pod koniec II wojny światowej wielu nazistów uciekło z Europy i dotarło do Ameryki Południowej.

– Chwileczkę... – ożywił się Donovan. – Chce pani powiedzieć, że w naszym mieście mieszkali naziści i ich potomkowie? To jakiś absurd!

– Powiedziałam jedynie, że to była odważna hipoteza. Za nią poszła kolejna... Pewnie pan wie, że nasze miasto zostało założone pod koniec osiemnastego wieku przez niemieckiego imigranta.

– Podobno...

– A niech mnie... – skwitował Zack. – Myśleliście, że sto pięćdziesiąt lat później jego potomkowie pomogli uciekającym z Europy Niemcom.

– Owszem, na początku padła taka sugestia, ale były to niczym niepotwierdzone spekulacje. Po prostu fragment historii przypadkowo dopasował się do wysnutej teorii. Ostatni potomkowie założycieli St. Michael zmarli dawno temu, ale pojawiało się coraz więcej wątpliwości.

– Nawet gdyby to wszystko była prawda, to dlaczego Meyerowie mieliby

kogokolwiek zabijać? Na ich miejscu siedziałbym cicho i nie wychylałbym się, dopóki nie dożyłbym spokojnej starości.

– A co powiedziałam o Meyerach... Alienowali się z naszej społeczności. Nie wychylali się...

– Co nie znaczy, że ich ulubioną formą rozrywki było porywanie i zabijanie ludzi. Hmm... – Donovan zrobił zabawną minę, po czym sparodiował nieżyjącego już członka rodziny Meyerów: – To co, panowie... Minał rok. Pora znowu się zabawić. Spróbujmy tym razem dwóch mężczyzn. A może trzy kobiety? Nie... Już wiem! Capniemy całą piątkę i będziemy mieli na dłużej... – Po tym wywodzie burmistrz zmienił głos na normalny. – To chyba najgłupszy wniosek, jaki można było wysunąć, nie mając żadnych dowodów!

– Gdy nie ma innych opcji, na siłę próbujemy dostosować rzeczywistość do teorii. Identycznie działają wróżby, panie Donovan. W wydarzeniach zaczynamy szukać pasujących wzorców.

– I na tej podstawie odstrzeliliście Meyerów?

– Panie Donovan...

– No co? To moja teoria... Musi pani przyznać, że wydarzenia pasują do niej jak ulał.

Sachs westchnęła ciężko.

– Nikogo nie odstrzeliliśmy. Po spotkaniu, o którym wspomniałam, kazałam na chwilę zostać szefowi policji. Nie widząc innego wyjścia, poprosiłam go o zorganizowanie małej... *grupy wywiadowczej*. – Sachs opatrzyła to określenie cudzysłowem. – Mieli stale obserwować dom, a gdy nadarzy się okazja, wejść do niego i po cichu przeszukać rezydencję. – Nagle była burmistrz wstała i podeszła do półki z książkami. Wyjęła z niej kilka ciasno ułożonych tomów encyklopedii. Za nimi leżał stary dziennik.

Nicole przymrużyła oczy. Natychmiast rozpoznała grzbiet. Miała wrażenie, że patrzy na jeden z notatników, które z Zackiem znaleźli w bibliotece McCainów.

Sachs wróciła do nich i położyła notes na stoliku. Brulion był bardzo stary. Mógł mieć nawet sto lat. Donovan ostrożnie otworzył go na przypadkowej stronie. Zack i Nicole nachylili się, aby lepiej przyjrzeć się stronom zapisanym niezrozumiałym językiem.

– To jakaś chińszczyzna – zirytował się burmistrz, próbując cokolwiek przeczytać.

– Dokładnie niemiecki... – Sachs uśmiechnęła się dobrotliwie. – To metody badań, a mówiąc dokładniej... tortur, jakim autor tego dziennika poddawał pacjentów. – Gdy to powiedziała, Donovan natrafił na schematyczny szkic człowieka z zaznaczonymi na ciele punktami. – Daliśmy ten dziennik zaufanemu tłumaczowi, oczywiście nie mówiąc, skąd go wzięliśmy. Okazało się, że...

– Mieliście rację...

– Chyba tak...

– Chyba? Ja panią proszę. – Nawet Donovaną przekonał ten dowód.

– W trakcie II wojny światowej Meyerowie, oczywiście najstarsi członkowie rodu, najprawdopodobniej zajmowali się badaniami, o których już wspomniałam. Wtedy nielegalne doświadczenia na ludziach, a szczególnie na jeńcach w obozach koncentracyjnych, były powszechnie stosowane. Testowano nowe leki i broń, a także ludzką odporność na różne zabiegi. Wielu...

– Moment... – powstrzymał ją Donovan, unosząc dłoń. Prawda uderzyła w niego niczym grom z jasnego nieba, jeżąc włosy na rękach. – Meyerowie kontynuowali badania na terenie naszego miasta?

Susan Sachs rozłożyła ręce.

– Być może stąd te wpływy z europejskiego banku – zauważyła Nicole.

– Kto wie... Wielu nazistów uciekło także do Szwajcarii – wyjaśniła Sachs.

– Podczas oględzin domu w piwnicy rezydencji znaleźliśmy kilka średniowiecznych machin służących prawdopodobnie do zadawania bólu – oznajmiła Nicole.

– Nie, nie... To znaczy... Nie sądzę, bo te *narzędzia* to własność Roda McCaina. Osobiście uczestniczyłam w załatwianiu pozwolenia na transport jednej z tych machin śmierci. Rod był kolekcjonerem każdego typu broni.

– Kiedy pani mu w tym pomogła?

– Dawno temu... Niedługo po przeprowadzce do tej rezydencji.

– Być może pierwsze *okazy* znalazł właśnie w piwnicy Meyerów i to one go zainspirowały do powiększenia kolekcji.

– Do tego już nie dojdziemy...

– Ta *grupa uderzeniowa*... Sprawdzili też piwnicę? – dociekał Donovan.

– Z tego, co wiem, nie zdążyli.

– Znaleźli w domu coś jeszcze?

– Owszem... W którymś z pokoi natknęli się na ślady krwi. Okazało się, że należały do jednej z uprowadzonych kobiet.

– Do pani kuzynki...

Sachs przytaknęła smutno i spuściła wzrok.

– Mieliście rację... – rzekł Donovan, odkładając dziennik.

– Niestety... W tym momencie zaczyna się ta mroczna część historii.

Zanim Sachs cokolwiek powiedziała, Donovan dokończył za nią:

– Miasto miało problemy, więc zamietliście sprawę pod dywan, ale winni nie uniknęli kary. Ludzie przestali protestować, bo tragedia Meyerów okazała się rozwiązaniem wszystkich problemów. McCain przejął rezydencję i zatarł ślady zbrodni. Gdyby się okazało, że w mieście mieszkali naziści i, nie daj Boże, eksperymentowali na ludziach, St. Michael byłoby skończone. Moglibyście za darmo rozdawać mieszkania, a i tak nikt by ich nie chciał.

– To może lekka przesada, ale wizerunek miasta rzeczywiście był bardzo zagrożony – odparła dyplomatycznie Sachs. – Patrząc z perspektywy lat, zagrywka się opłaciła.

– Kto zniszczył mauzoleum Meyerów? – dopytał Zack.

– Ktoś, kto się dowiedział, kim naprawdę byli. Takie historie bardzo trudno utrzymać w tajemnicy.

– Tego kogoś też uciszyliscie? – zapytał ostro Donovan.

Sachs nie odpowiedziała, ale jej milczenie wyraziło więcej niż słowa.

## ROZDZIAŁ 36

Wychodząc od Susan Sachs, Donovan nawet nie wspomniał o wcześniejszym zamiarze zgłoszenia odkrytego procederu prokuraturze lub FBI. Wydawał się jeszcze bardziej zszokowany prawdą niż Zack i Nicole, którzy odwieźli go do ratusza.

Dawna pani burmistrz była dumną kobietą i z pewnością z podniesioną głową stanęłaby na sali sądowej, mierząc się z zarzutami. Donovan miał świadomość, że jeśli puści parę z ust, wiele wysoko postawionych osób zostanie trafionych rykoszetem. Zastanawiał się, jak bardzo dostałoby się też jemu. Nie bez znaczenia była również początkowa groźba śmierci rzucona beznamiętnie przez Susan Sachs. Z pewnością sama nie pociągnęłaby za spust, ale znalazłoby się wielu do tego zdolnych, gdyż zagrożenie często popycha ludzi do czynów, o które nigdy by się nie posądzali.

– A niech mnie... – zaczęła Nicole, gdy zostali sami w samochodzie. Patrzyła, jak zamyślony burmistrz wolno zmierza w stronę tylnych drzwi ratusza.

– Jeżeli pójdzie do sądu, rozniesie Sachs w pył, którym sam się udusi. Pytanie, czy w ogóle dożyłby procesu i czy tak naprawdę chciałby do niego doprowadzić. Wkrótce się okaże, jak bardzo zależy mu na mieście i ile znaczy dla niego kolejna kandydatura. Wątpię, żeby córka Susan Sachs wycofała się po tym wszystkim, co dziś usłyszeliśmy. To byłby przejaw tchórzostwa. Jeżeli Donovan chce jakoś zareagować, musiałby działać natychmiast. W przeciwnym wypadku może sobie darować. Wskoczy z tym za parę miesięcy, to Sachs powie, że już dawno się przyznała i że burmistrz umyślnie to zataił.

– Wpadliśmy w jedno wielkie bagno.

– W sumie ta cała historia niewiele zmienia.

– Oprócz tego, że staliśmy się kolejnymi niewygodnymi świadkami dawnych wydarzeń.

– Tak, ale sprawa bezpośrednio dotyczy McCainów – rzekł spokojnie Zack. – Sachs wiedziała, że może swobodnie przy nas mówić, bo nasz klient to potomek człowieka, który brał udział w tej masakrze. Pośrednio czy bezpośrednio, Rod McCain jest winny. Derrian, jeżeli tylko zależy mu na zachowaniu nieskazitelnego nazwiska, za wszelką cenę powinien chcieć to ukryć.

– Okej... Sachs nie obawiała się mówić, bo wszyscy myślą, że dla niego pracujemy. Co w chwili, gdy prawda nagle wyjdzie na jaw?

– Nic... Będziemy kolejnymi, którzy ją znają. Tymczasem musimy rozwiązać własne problemy.

– Donovan niewiele nam pomógł.

– Niestety...

Zack sięgnął za siedzenie, spod którego wyjął pistolet.

– O nie!

Nicole trzymała już klamkę drzwi samochodu, kiedy dostała w głowę stróżką zimnej wody.

– Ej!

Krople ścieki po włosach i wsiąkły w bluzkę. Poirytowana spojrzała na Zacka, a później na pistolet – imitację prawdziwej broni.

– Wiesz, po co tu przyjechaliśmy.

– Pozbyć się ciała i pogadać z Donovanem! Zack... Rod McCain pomógł zatuszować morderstwo dziesięciu osób. Już zapomniałeś o tych ochroniarzach, których ciał nie odnaleziono, i o trupie rozszarpanym przez psy?

– Pamiętam i to aż za dobrze. Pamiętam też o narzędziu zbrodni, które ten czubek ma u siebie w domu, a także o obejrzanym nagraniu, na którym ja zabijam tego człowieka, a ty mi w tym pomagasz.

– Zack...

– Poczekaj... Zakładając, że ten wariat da nam spokój, do końca życia będziemy budzić się z obawą, co tym razem znajdziemy w garażu albo w domu. Jeżeli nie pozbędziemy się dowodów, nawet po śmierci tego sukinsyna ktoś może znaleźć nagrania i zacząć zadawać pytania. Zupełnie przypadkiem dzięki Sachs zdobyliśmy kartę przetargową. Wiemy, czego dopuścił się przodek McCaina. Możemy tego użyć!

- Chcesz się targować z mordercą?!
- Odda nam nagrania i narzędzie zbrodni. W ten sposób kupi sobie nasze milczenie.
- Jaką będzie miał gwarancję, że go nie wydamy?
- Żadnej, podobnie jak my. Skąd mamy wiedzieć, ile kopii nagrań wykonał... Mimo to będzie świadom, że tak jak on ma na nas haka, tak od dziś my mamy na niego.
- Nie chcę tam wracać... – Odwróciła głowę, a do jej oczu napłynęły łzy.
- To zostań w mieście. Sam to załatwię.
- Zginiesz tam! – wykrzyczała.
- Nic mi nie będzie! Spójrz... – Z tylnego siedzenia wziął sporych rozmiarów metalową skrzynkę. Odblokował zabezpieczenia i otworzył wieko. W środku znajdował się kolejny pistolet, ale nieco dziwaczny, a pod nim rząd nietypowych pocisków.
- I chcesz mi powiedzieć, że w tych też jest woda?
- Prawie... Środek usypiający. Używa się go w weterynarii. A że człowiek to też zwierzę...
- Skąd to masz?
- Pamiątka po ojcu. Był weterynarzem. Nie przypuszczałem, że to ustrojstwo kiedykolwiek mi się przyda, szczególnie w takich okolicznościach.
- Mówiłeś, że twój ojciec zmarł pięć lat temu. Skąd pewność, że ten środek w ogóle jeszcze zadziała?
- Termin ważności minął niecały rok temu – podał jej jedną fiolkę – ale nie oznacza to, że nie zadziała. Może zadziałać nieco później, może trochę słabiej, ale zadziała.
- Szkoda, że nie wziąłeś go na pierwszy wyjazd.
- Wierz mi... Widząc te cholerne psy, natychmiast tego pożałowałem. Nicole westchnęła i otarła łzy.
- Wiem, że mówiłam to już tysiąc razy, ale naprawdę nie chcę tam wracać.
- Nie musisz. Zostawię cię w centrum, a ja przejadę się do niego i zapytam grzecznie, o co mu, do cholery, chodzi.
- Parsknęła ironicznym śmiechem.
- A on strzeli ci między oczy i odpowie... o nic.
- Załatwię go tym. – Poklepał ręką po metalowym pudełku. – Związę go

i spróbuję się dowiedzieć, dlaczego się nas uczeplił.

– Dobrze wiesz, że nie puszczę cię tam samego. I co... Podjedziesz pod bramę i pomachasz do kamery?

– Nie. Mam pomysł, ale wcześniej musimy odwiedzić parę miejsc.

\*

Godzinę później jechali główną drogą biegnącą na wschód od terenów rezydencji – niedaleko miejsca, gdzie przed kilkoma dniami udało im się złapać taksówkę, gdy Zack wyniósł z lasu nieprzytomną Nicole.

Szukali miejsca, gdzie mogliby zostawić samochód. Ostatecznie zdecydowali się na przydrożny parking. Stało na nim wiele innych pojazdów. Ostatnie dwa dni były nieco cieplejsze i w lesie ponownie pojawiły się grzyby.

Dalsza droga prowadząca w głąb lasu została przegrodzona unoszonym, zabezpieczonym szlabanem. Według nawigacji można było dotrzeć tędy do rzeki. Mimo obecności ponad tuzina samochodów nigdzie nie zauważyli żywego ducha, więc spokojnie spakowali potrzebne rzeczy do plecaków.

Przebiegli ulicę i zagłębili się w las po przeciwnej stronie drogi. Musieli wrócić się niemalże milę. Już wcześniej Zack ustawił nawigację, aby wskazywała pożądaną lokalizację. Prędzej czy później powinni byli trafić na ogrodzenie lub strumień, który przepływał przez tereny McCainów.

Nicole nie mogła znieść otaczającej ich ciszy.

– Gdy byłeś w sklepie, myślałam nad tym, co powiedziała Sachs. O Meyerach i o tym, czego się dopuścili.

– Myślisz, że zabili te wszystkie osoby?

– To możliwe, ale jeżeli są winni, musieli gdzieś ukryć zwłoki. Tyle osób...

Zack spojrzał podejrzliwie na partnerkę, unosząc brew.

– No co? Jeśli Susan Sachs ma rację, ci sadyści mogli je gdzieś zakopać, ale równie dobrze mogli je też pociąć i spalić. Jak myślisz?

– Biorąc pod uwagę wszystko, co nas spotkało, nie wiem, czy bardzo bym się zdziwił, gdyby mi ktoś powiedział, że je zjadali. Kto wie, co w tych chorych umysłach się zrodziło...



– Myślałam raczej o grobowcu. Pamiętasz te wszystkie płyty bez napisów?

Zack zatrzymał się i ściągnął brwi.

– Nie wierzę, że Meyerowie trzymaliby dowody własnej zbrodni w takim miejscu. Zresztą, nawet gdyby tak było – ruszył dalej – po dewastacji mauzoleum prawda wyszłaby na jaw.

– Chyba że ktoś zniszczył tylko komory, w których złożono ciała Meyerów.

– Pamiętasz, jak Sachs wspomniała o kilku zniknięciach? Najpierw ci strażnicy leśni, potem dzieciaki, a po ponad trzydziestu latach jeszcze dwaj myśliwi i trzy kobiety, z czego jedną odnaleziono martwą. Dziesięć zaginionych ciał... Mam wrażenie, że coś tu nie gra.

– Masz rację... – przyznała Nicole. – Nagle zrobiliby sobie trzydzieści lat przerwy? Myślisz, że nie przestali?

– Nie wiem. Przecież nawet policja nie wie. Ale jeśli w ciągu roku ginęły dwie, trzy osoby, a mieszkali tu przez trzydzieści lat, to...

– Prawie sto ciał... – obliczyła błyskawicznie Nicole.

– Sto? Nie, nie... To raczej niemożliwe. Zdecydowanie coś tu nie gra, ale nie to. Policja nie zauważyłaby zniknięcia kolejnych dziewięćdziesięciu osób? Sto porwań i zero poszlak prowadzących do sprawców... To nawet w filmie nie byłoby realne.

– A kto powiedział, że sprawa dotyczyła tylko St. Michael... Rocznie w Stanach odnotowuje się kilkaset tysięcy zniknięć. Myślisz, że trzy na rok w jedną czy w drugą stronę kogokolwiek zainteresują?

– Skąd znasz te dane? – zdziwił się Zack.

– Jak byłeś w sklepie, zerknęłam jeszcze raz na stronę z wizerunkami osób zaginionych. Potem spojrzałam na statystyki. Sachs zaimponowała mi tym, co zrobiła. Wiem, że nie powinno się brać spraw w swoje ręce, ale gdyby oni wtedy nie zareagowali, Meyerowie wciąż mogliby zabijać.

– Wolę się nad tym nie zastanawiać.

– A ja tak – ciągnęła Nicole – bo może się okazać, że Sachs i jej ludzie dotknęli tylko czubka góry lodowej. Wystarczy, że Meyerowie zmienili źródło, z którego korzystali. W ciągu trzydziestu lat mogli uprowadzić setki, jeśli nie tysiące osób. Spróbowali w St. Michael, ale to za małe miasto, aby coś takiego pozostało niezauważone.

– Nie mów mi, że wciąż chcesz się bawić w detektywa. Mam ci

przypomnieć, po co tam idziemy? Jeszcze przed godziną mówiłaś...

– Po prostu zastanawia mnie, gdzie podziały się te wszystkie ciała. Przecież w domu Meyerów znaleźli krew tylko jednej zaginionej kobiety.

– Pewnie dlatego, że nie mieli czasu na dłuższe poszukiwania.

– Pytanie, dlaczego tylko jednej i co nagie ciało robiło w tym lesie...

– Nicole, nie wiem... Chcę tylko odzyskać ten kawał żelastwa i nagrania. To wszystko... Nawet jeśli masz rację, Meyerowie nikogo już nie skrzywdzą, za to Derrian McCain to świr, jakich mało i to z nim za chwilę staniemy twarzą w twarz.

– Zakładając, że uda nam się go przekonać do czegokolwiek. Myślisz, że jak wyjdziemy, zapomni o naszej wizycie i o tym, że próbowaliśmy z nim pogrywać?

– Nie, ale gdy się dowie, że ciało mężczyzny, którego więził w piwnicy, jest zakopane stosunkowo niedaleko jego domu i wystarczy jeden anonimowy telefon, żeby policja je znalazła, dla własnego dobra powinien trzymać język za zębami.

\*

Szli lasem wzdłuż drogi ponad pół mili, zanim postanowili zmienić kierunek marszu. Po kilkunastu minutach od zagłębienia się w las pomiędzy drzewami dostrzegli mur – odnalezienie rezydencji okazało się prostsze, niż zakładali. Wkrótce zlokalizowali także strumień i rurę, którą się wydostali.

– Naprawił kratę... – zauważyła Nicole.

Wykrzywione pręty zostały naprostowane.

– Nie ona mnie martwi.

W oddali usłyszeli groźnie brzmiące ujadanie.

Zack zdjął plecak i wyjął kupione wcześniej mięso. Nastrzyknął je środkiem uspokajającym i przerzucił nad murem. Ostatecznie na leśnym runie spoczęło sześć porcji świeżej, soczystej wołowiny.

– Nie wierzę, że tym je zwabisz. Są za daleko. Poza tym, te psy mogą być wyszkolone, żeby nie brać jedzenia od obcych.

– Zasmakowały w ludzkim mięsie, więc tym też nie powinny pogardzić. Założę się, że McCain je głodził, aby stały się agresywniejsze. Jeśli mam rację, to tym lepiej dla nas.

Nasłuchując, odczekali dziesięć minut, ale wyglądało na to, że żadne psisko nie przybiegło, więc Zack wyciągnął potężne nożyce do cięcia grubych drutów. Zaczął stukać o kratę. Gdy i to nie pomogło, postanowił przystąpić do działania. Przeciął kilka prętów i przez sporą dziurę wszedł do rury jako pierwszy. Niepewnie wyjrzał poza jej obręb po drugiej stronie.

– Chryste... – Zmroziło go, gdy dostrzegł, że kilka kroków od otworu, przy kawałkach wołowiny, czai się brunatnoczarne psisko.

Natychmiast się cofnął, aby przekazać Nicole dobrą wiadomość. Gdy ponownie wyjrzał z rury, jeden kawałek mięsa zniknął, ale pies również. Nagle usłyszał stuki nad głową.

Czując człowieka, ogar wskoczył na betonową obręcz i stanął dokładnie nad Zackiem, który zamarł w niewygodnej pozycji, starając się nie zamoczyć butów.

Nicole natychmiast dostrzegła desperackie sygnały partnera. Znalazła gruby patyk i rzuciła nim za ogrodzenie.

Pies drgnął i obrócił łeb. Zeskoczył z betonowego pierścienia, ale szybko stracił zainteresowanie nieistotnym odgłosem. Wciąż trwał nieopodal miejsca, skąd wypływał strumień. Zaczął węszyć.

Nicole spojrzała na Zacka, który pokręcił głową. Sięgnęła więc do plecaka po zapasowy kawałek mięsa. Rzuciła z całej siły, aby wylądował dalej niż pozostałe.

Wołowina przeturlała się po leśnym runie, oblepiając się liśćmi.

Poskutkowało – tym razem ogar bez wahania rzucił się w stronę *intruza*. W biegu porwał mięso i zaczął nim szarpać na wszystkie strony. Gdy *przeciwnik* przestał stawiać opór, psisko położyło się i rozpoczęło powolną konsumpcję.

– Wstrzyknęłaś do mięsa środek usypiający? – szepnął Zack.

– Nie miałam na to czasu...

– Okej... Miejmy nadzieję, że wcześniejsza dawka wystarczy.

Anestetyk zadziałał szybciej, niż można było przypuszczać. Kilka minut później pies padł. Nawet nie dojadł drugiej porcji mięsa rzuconej przez Nicole.

Zack nie był już w stanie dłużej trwać w niewygodnej pozycji, więc wyszedł na zewnątrz.

Nicole z plecakami wgramoliła się do rury.

– Daj mi mój i zaczekaj tutaj.

- Nie ma mowy! Nie będę po raz kolejny słuchała, że idziesz tam sam!
- Dobrze... Tylko proszę cię, zachowuj się ciszej...
- To mnie nie denerwuj.

Wolno ruszyli przed siebie, wypatrując kłopotów. Z trwogą minęli głośno sapiące, śpiące psisko. Nicole nie odważyła się zbliżyć do niego na odległość mniejszą niż kilka kroków.

Trzymając pistolet w pogotowiu, Zack szturchnął bydlę nogą. Chciał mieć pewność, że pies się nie obudzi i nie zaatakuje ich od tyłu.

\*

Leśne podłoże usłane liśćmi i gałęziami niemiłosiernie chrzęściło pod stopami, uniemożliwiając ciche zakradnięcie się gdziekolwiek. Szli najostrożniej, jak potrafili, ale i tak mieli wrażenie, że każdy ich krok słychać z odległości mili. Przez całą drogę do grobowca Nicole z obawą spoglądała przez ramię, czy ogar ich nie goni.

Z ulgą przywitali mury mauzoleum. Krata była uchylona, podobnie jak poprzednio. Chwilę nasłuchiwali, zanim odważyli się wejść do środka. Pamiętali o tym, że McCain trzymał tu psy.

Płyte, przez którą wydostali się z podziemnego tunelu, ponownie ustawiono we właściwej pozycji. Nikt by się nie domyślił, że gdzieś tutaj ukryto przejście. Miska stała w tym samym miejscu, co kilka dni temu.

– Co za człowiek robi z grobowca budę dla psów? Myślałam, że przeniósł tutaj zwierzęta z naszego powodu.

Zack nie odpowiedział. Właśnie siłował się z kratą – już wiedział, dlaczego wejście było stale otwarte. Przerdzewiałe elementy zawiasów niemalże zwały się w jedno. Szarpał ze wszystkich sił, ale bez efektu.

– Pomożesz mi?

Pociągnęli razem, lecz zdołali jedynie skrzywić kratę.

– Jeszcze trochę... Gdyby tylko udało nam się ją bardziej przygiąć...

Gdy pręty kraty wystarczająco zbliżyły się do przerdzewiałego metalu tkwiącego w murze, Zack rzekł:

– Postaram się ją utrzymać. Weź z plecaka sznur i przywiąż to draństwo do skobla.

Nicole natychmiast wykonała polecenie.

– A jak wyjdziemy?

– Mam plan, ale chwilowo musimy odgrodzić się od tych cholernych psów! Błagam, pospiesz się, bo nie utrzymam jej długo!

Po minutowej operacji Zack stęknął z wysiłku, puszcżając pręty. Otrzepał ręce. Wygięta krata tak bardzo naprężyła spleciony sznur, że ten mógłby posłużyć za strunę do gitary. Mimo usilnych starań, pomiędzy murem a zamknięciem powstała niewielka przestrzeń – na szczęście szczelina była zbyt wąska, aby psy McCaina mogły się tędy przecisnąć.

– Co teraz? – zapytała Nicole, powątpiewając w plan Zacka.

Partner wyjął z bocznej kieszeni plecaka klucz i pomachał nim.

– Jeżeli McCain nie zmienił zamka, powinien pasować do tych drzwi w piwnicy.

– Myślałam, że go tam zostawiłeś... – zdziwiła się Nicole, po czym dodała z obawą: – Nie musiał niczego zmieniać. Wystarczy, że zastawił drzwi większą ilością mebli.

Zack spochmurniał, gdyż zupełnie nie wziął tego pod uwagę.

– O mój Boże... – odezwała się Nicole niewyraźnym głosem, jakby zobaczyła ducha.

Partner spojrzał na nią, po czym obrócił głowę, podnosząc wzrok. Widząc to, co ona, poczuł dreszcz wędrujący po plecach – w kącie wisiała niedbale zamaskowana kamera, a jej obiektyw był zwrócony bezpośrednio na nich. W obudowie świeciła się czerwona dioda.

Rozległo się szczekanie psów.

– McCain już o nas wie... – rzuciła Nicole.

Zack podbiegł do wyjścia, ale psy były szybsze. Zanim przejął od Nicole pistolet z anestetykiem, dwa ogary rzuciły się na kratę. Odskoczył, aby nie poharatały go zębami.

– Szkoda czasu... Szybko, pomóż mi! – Przykucnął przy płycie, za którą krył się tunel.

– Jeżeli tam wejdziemy, znajdziemy się w pułapce!

– A masz lepszy pomysł?! Mamy tu czekać, aż ten świr przyjdzie, przetnie sznur i wpuści do środka psy?!

– Jeżeli to zrobi, co powstrzyma go przed wpuszczeniem ich do tunelu?!

– Nie wiem, do cholery!

Usłyszawszy odgłos przeładowywanej strzelby, zastygli w bezruchu. Jeden gwizd i psy zamilkły. Odstąpiły od kraty i posłusznie usiadły. Obróciły

łby, wlepiając ślepią w nadchodzącego pana.

\*

Wyłaniający się z lasu mężczyzna miał ponad sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu. Był ubrany w gruby, ciemnobrązowy płaszcz i te same wysokie gumowe buciory, które widzieli w rurze, gdy przed kilkoma dniami wymknęli się z objęć śmierci. Poharataną bliznami twarz gospodarza trudno było opisać. Z pewnością obydwój zapamiętają jej wrogi wyraz do końca życia.

Zack stanął na linii strzału, zasłaniając Nicole.

Derrian McCain trzymał dwulufową strzelbę, niedbale mierząc w nieproszonych gości. Nie musiał dokładnie celować. Korytarz grobowca miał jakieś trzy metry szerokości. Istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że chybi. Ostatecznie... zawsze mógł strzelić ponownie.

– Wyłażcie... – warknął ochrypłym głosem i zakaszłał.

Widok potwornej twarzy przyprawił Nicole o gęsią skórę. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że wciąż trzyma pistolet z nabojami usypiającymi. Zauważywszy, że Derrian McCain odsuwa się od kraty i obraca głowę, aby nie nadepnąć swoich *pupilków*, uniosła broń i bez zastanowienia strzeliła obok ucha Zacka.

Mężczyzna dostał w lewe ramię i nieco opuścił broń, ale zaraz ją podniósł do poprzedniej pozycji.

– Ty suko...

Zack odepchnął Nicole, samemu padając na beton. Usłyszeli ogłuszający huk, który wypełnił ciasną przestrzeń. Część śrutu uderzyła o kratę. Reszta wbiła się w przeciwległą ścianę.

Nicole drżącymi dłońmi przeładowała pistolet i ponownie strzeliła, ale nabój otarł się o kratę i zamiast w pierś McCaina, trafił w drugie ramię.

Gospodarz jęknął. Chciał wycelować, ale szybko tracił siły. Nawet nie potrafił unieść strzelby. Czuł postępujący paraliż.

Zack wciąż leżał na betonie, tymczasem Nicole stała już przy kracie i celowała w głowę McCaina.

– Rzuć broń... – wycedziła przez zęby.

Strzał z tak bliskiej odległości, nawet jeśli to były tylko naboje usypiające, mógł zakończyć się tragicznie i McCain doskonale o tym wiedział. Upadając na ziemię, wypuścił z ręki strzelbę.

Nicole wycelowwała w prawego psa niezrozumiale wpatrującego się w nieruchome ciało pana. Trafione zwierzę zaskowyczało. Drugi ogar odskoczył, ale nie oddalił się zbyt daleko. Chwilę później on także dostał dawkę anestetyka.

Zack z podziwem patrzył, jak Nicole pewnie oddaje strzały. Nawet nie pomyślała o tym, żeby przekazać mu broń. Dopiero gdy psy padły, oparła się plecami o ścianę i spuściła głowę.

– Już dobrze... – Podeszedł do niej. – Możesz oddać mi pistolet?

Była jak w transie. Zack miał wrażenie, że za chwilę strzeli i do niego. Jej dłoń zeszywniała na rękojeści pistoletu.

– Kochanie, już po wszystkim. Spójrz na mnie... – Delikatnie uniósł jej głowę. W oczach zobaczył gasnącą nienawiść ustępującą fali rozpacz i bezradności.

– Po wszystkim? – jęknęła, spoglądając na uśpione psy i nieprzytomnego McCaina. – Uważasz, że to oznacza *po wszystkim*?

– Nicole, uratowałaś nas! – próbował przekonywać Zack, ale w tej chwili niewiele do niej docierało.

# ROZDZIAŁ 37

**Rezydencja Meyerów  
Wiosna 1985 r.**

Ogień zaprószono w kuchni, gdzie przypadkowy pożar był najbardziej prawdopodobny, jednakże długi korytarz dzielący ją od salonu zapobiegł rozprzestrzenieniu się żywiołu na resztę domu.

Gdy płomienie strawiły część parteru i zaczęły przygasać, wewnątrz rezydencji Meyerów wciąż było goręcej niż w piekle, a korytarze wypełniały kłęby ciemnoszarego, duszącego dymu. Wylatywał jedynie przez wybite od żaru okna pomieszczeń ogarniętych pożogą.

\*

Obolały chłopiec otworzył oczy. Nad nim unosiła się gruba warstwa mlecznego dymu. Jednocześnie poczuł zimno i ciepło. Chłód ciągnął od posadzki, na której leżał, a reszta ciała, w szczególności twarz, otulona była przyjemnym ciepłem bijącym od nagrzanego stropu, a także wpadającym do piwnicy przez drzwi na parterze.

Corey Meyer zaniósł się kaszlem. Był półprzytomny i nie wiedział, co się dzieje. Potwornie bolała go głowa, a twarz niemiłosiernie piekła. Bał się jej dotknąć. Podnosząc się, poczuł, jak coś spływa mu po czole i nosie.

Był zbyt przerażony, aby płakać. Ostrożnie wstał. Prawie niczego nie widział – poruszał się po omacku. Spojrzał w niewielkie okna osadzone wyżej od jego głowy – wszystkie zabezpieczono kratami. Niektóre były zastawione meblami lub sprzętami ułożonymi jeden na drugim.



Na zewnątrz wciąż jeszcze było ciemno. Nie wiedział, gdzie szukać włącznika światła. Rzadko bywał w piwnicy. Nie wolno mu było schodzić tutaj samemu. Odważył się tylko raz, w dniu szóstych urodzin. Dorośli byli zajęci rozmową. Dobrze pamiętał tamten dzień – przemknął obok otyłej kucharki. Ta myślała, że jak zwykle przyszedł pomyszkować w kuchni i przedwcześnie skosztować kilku frykasów przygotowanych na urodzinowe przyjęcie. Nie miał przyjaciół ani kolegów, z którymi mógłby się bawić, więc sam organizował sobie czas. Te urodziny, a dokładnie lanie, jakie wtedy dostał od dziadka, za pozwoleniem rodziców, boleśnie wryły mu się w pamięć. Nawet nie wiedział dokładnie, za co oberwał. Niczego nie zepsuł, ani nawet nie dotknął. Przespacerował się jedynie po piwnicy. Od tego wydarzenia minął rok i wciąż nie rozumiał.

Gdy uświadomił sobie, gdzie jest, przeraził się. Natychmiast przestały go boleć zębra i twarz. Nie czuł też żalu po stracie matki. Nie pamiętał, że spłonęła w kuchni, ratując mu życie, bo... nie pamiętał niczego, co wydarzyło się w ciągu minionych godzin. Nie wiedział, skąd bierze się ciepło nad jego głową ani dziwna mgła. Spróbował jej dotknąć. Przez chwilę się bawił, zanurzając w niej dłoń.

Szybko zrozumiał, że im niżej ma głowę, tym łatwiej mu się oddycha. Uznał to za ciekawą zabawę i na czworakach zaczął pełzać po zimnej posadzce. Co chwilę ramieniem zawadzał o jakiś przedmiot. Dwa razy uderzył w coś głową, gdyż nie zawsze patrzył przed siebie – sprawdzał, czy nie śledzi go jakiś potwór.

Piwnica była spełnieniem marzeń siedmiolatka – prawdziwym torem przeszkód, kopalnią skarbów. Nie bał się ciemności. Nie czuł też strachu przed nieznanym. Ekscytowało go, na co natknie się za kolejnym zakrętem. Miał tylko nadzieję, że nie będzie to dziadek czekający z różgą.

Wzrok Corey'a powoli przyzwyczajał się do mroku. Bywały miejsca lepiej oświetlone przez blask księżyca wkradający się niewielkimi oknami, ale większą część piwnicy zalewała ciemność. Chłopiec nie potrafił pojąć, dlaczego rodzice bronili mu dostępu do tak niezwykłego miejsca. Czuł się jak *Piotruś Pan* w swej mrocznej *Nibylandii*. Jedynie odgłosy podobne do strzelającego w kominku drewna stale kazały mu spoglądać w stronę miejsca, z którego rozpoczął wędrówkę w nieznaną.

Słyszał też ciche piski. Wiedział, że w opuszczonych miejscach grasują myszy i szczury. Wielokrotnie je widział. Dyscyplina i odwaga wpajana

przez wujka Bena nie poszły na marne. Kiedyś miał zostać panem tego domu. Wiedział, że tylko kobiety boją się takich głupstw. Razem z wujkiem zakładał pułapki na te obrzydliwe, roznoszące chorobską gryzonie. Jesteś od nich sto razy większy, więc czemu miałbyś się ich bać, tłumaczył wujek Ben. *My, ludzie, stanowimy gatunek nadrzędny. Nie boimy się słabszych od siebie. Słabość należy eliminować!*

\*

Jeden z międzymeblowych korytarzy zaprowadził chłopca w ślepy zaułek. Corey mógł się poddać i zawrócić albo wdrapać się na *pokład statku Kapitana Hooka*. Przecież nie takie przeszkody pokonywał! Odwrót oznaczał rezygnację z marzeń, a on nigdy nie rezygnował. To kobiety są słabe. To one często się poddają, załamują i płaczą, wpajał wujek. *Ty jesteś mężczyzną. Musisz być silny, dbać o nie i pokazywać wszystkim dookoła, jaki odważny jesteś.*

Siedmiolatek złapał oburącz zakurzony blat biurka, a stopę oparł na mosiężnym kluczu wystającym z drzwiczek. Podciągnął się. Jęknął, gdy pęknięte żebro uderzyło o *burtę statku*, ale zignorował ból, wspominając słowa wujka... *Bohaterowie muszą cierpieć, aby później dostąpić chwały.*

Stanął na biurku niczym zdobywca, bezskutecznie odganiając rękami obłoki dymu. Nieopodal dostrzegł idealnie płaską powierzchnię – wysokie lustro odbijające jego sylwetkę. Niewiele w nim widział, ale właśnie tak wyobrażał sobie bohatera – skrytego w cieniu nocy. Wyglądał naprawdę imponująco. Zaintrygowała go jedynie twarz – była nienaturalnie czarna, wręcz brzydka, pobrużdżona jaśniejszymi smugami. Jej odbicie nie przypominało tego, co zawsze widział o poranku, gdy matka zmuszała go do mycia zębów.

Ciekawość zwyciężyła. Zeskoczył z biurka i podszedł do lustra. W pierwszej chwili miał wrażenie, że to brud, który osadził się na szkle. Przetarł powierzchnię rękawem i cofnął się, nie poznając samego siebie.

Skóra twarzy była niemalże czarna, poprzecinana strużkami krzepnącej krwi. Mieszała się ona z dymem i piwnicznym brudem, oblepiając głowę chłopca, gdy ten pokonywał kolejne etapy labiryntu.

Uszczyptał się w rękę – tak mu radzono, gdyby śnił o czymś nieprzyjemnym i chciał się obudzić. Niestety, ciemność nie pojaśniała, podobnie jak oszpecona twarz nie znikła. Pierwszy raz, odkąd się ocknął, poczuł dreszcze.

Oddalając się od lustra, Corey wtopił się w otaczającą go czern.

Matka zawsze czytała mu bajki, jakie czyta się chłopcom w jego wieku. Dlatego najbardziej lubił, gdy przed snem odwiedzał go wujek lub dziadek. Przypomniawszy sobie opowieść o człowieku, który nie posiadał odbicia w lustrze. Teraz on stał się kimś takim. Zrobił jeszcze dwa kroki w tył i... całkowicie zniknął. Poruszył ręką, później drugą. Patrzył w lustro, ale nie widział w nim siebie.

– Wow...

Pomimo niesamowitej przygody było mu coraz zimniej, a odgłosy dobiegające z sufitu bardzo go niepokoiły. Wolał nie myśleć, co będzie, jeśli wujek albo dziadek zejdą tutaj. Postanowił zawrócić i znaleźć wyjście.

Nagle coś głośno zgrzytnęło w oddali. Skrył się za starym kredensem, przy którym stało krzesło. Czyżby *Kapitan Hook* przypomniał sobie o nim? Musiał to sprawdzić.

Wdrapał się na krzesło i dostrzegł promień światła latarki żwawo przeskakujący z przedmiotu na przedmiot.

– ...coś?! – zapytał zniekształcony głos.

– *Same st... graty!* – odkrzyknął ktoś w podobny sposób.

– *Idź tędy, ja... tam!*

– Do...!

Chłopiec przykucnął. Głosy nie należały do żadnego z domowników. Co gorsza, w ogóle nie przypominały głosu zwykłego człowieka. Czy to mogli być kosmici?

*W swoim domu nie masz się czego bać. To miejsce, w którym zyskujesz przewagę, a inni ją tracą.* Przypomniawszy sobie słowa wujka Bena i jak prawdziwy mężczyzna postanowił sprawdzić, kto naruszył jego własność.

Zakradł się bliżej. Słyszał wyraźne kroki, a także niezrozumiałe dla niego zdania, które dziwne istoty wymieniały między sobą. Co chwilę stwory obijały się lub ocierały o jakąś przeszkodę. Były już bardzo blisko, więc Corey przycisnął się i zaczął nasłuchiwać. Przez ułamek sekundy mignął mu w oddali oświetlony fragment potężnego czarnego buciora.

Gdy dziwni włamywacze się poruszali, ich ubrania cicho szeleściły, więc

chłopiec dokładnie wiedział, gdzie się znajdują. Kilka kolejnych kroków i siedmiolatek był w stanie usłyszeć ciężki, syczący oddech jednego z nich. Znalazł szczelinę, przez którą zobaczył obydwu potwory. Niespodziewanie bliżej stojący osobnik oświetlił twarz towarzysza, gdy ten coś powiedział.

Chłopca przeszył dreszcz. Dostrzegł nienaturalnie gładką skórę zdeformowanej głowy, potworne oko bez powiek wielkości połowy twarzy oraz duży nos przypominający zwężającą się rurę. Przerażony cofnął się i nieumyślnie trącił butelkę stojącą na ziemi, jednocześnie potykając się o nią. Padł na posadzkę i głośno jęknął z bólu.

\*

– Jezu... – warknął mężczyzna przytłumionym głosem.

Jeszcze przez dobrych kilka sekund słychać było turlającą się po podłodze butelkę. Osobnik natychmiast oświetlił pobliską przestrzeń. Poczł zimny dreszcz, gdy w smudze światła poruszyło się coś czarnego i natychmiast wpełzło pomiędzy meble. W pierwszej chwili myślał, że to przerośnięty szczur, ale stworzenie było znacznie większe od gryzonia.

Strażak zdjął maskę i wrzasnął:

– John, chodź tu natychmiast!

– Zwierzę czy człowiek? – zapytał od niechcienia kompan z brygady.

– Nie wiem, ale mam wrażenie, że widziałem nogę... stopę...

– *Wielką Stopę?* – zadrwił towarzysz.

– Nie chrzań... Nie jestem ślepy.

– Dobra, dobra. – John również zdjął maskę i oświetlił pobliskie meble. –

Jak żyję, jeszcze nigdy nie widziałem takiej rupieciarni. Idź tędy, ja powęszę tam.

Rozdzielili się.

– Możesz wyjść! Nie bój się! Jesteśmy tu, żeby ci pomóc!

– Mark, spójrz tutaj...

– Masz go?

– Nie, ale mam coś lepszego.

Wezwany strażak zbliżył się do otworu drzwiowego jednego z wielu pomieszczeń.

– Co to jest, do cholery?

– Chyba jakieś... urządzenie. Wygląda na stare. Sznury są poprzecierane, a drewno zmurszałe.

– Popatrz tam... – Mark skierował światło latarki w kąt, gdzie stała podobna machina.

– Co oni tu robili?

– Hej! Chyba go widziałem!

– Idź, będę cię osłaniał – oznajmił od niechcienia John. Całkowicie stracił zainteresowanie domniemaną ofiarą. Wielokrotnie uganiał się po opuszczonych budynkach za podobnymi zbiegami, którzy później okazywali się przerośniętymi gryzoniami albo psami.

Pożar opanowano, nie groziło im niebezpieczeństwo, a to coś nie miało dokąd uciec, więc John spokojnie kontynuował studiowanie dziwnych machin, które odkrył.

– Wiem, że weźmiesz mnie za wariata, ale myślę, że to krew! – oznajmił głośno.

Towarzysz wrócił i przesunął rękawicą po drewnie.

– Jeśli już, to stara... Wiesz, kto tu mieszkał?

– A ty nie? – zdziwił się John.

Coś zaszurało kilka kroków od nich.

– Mały, wychodź! Nie mamy całego dnia – irytował się starszy strażak.

– Teraz mi wierzysz?

Ostatecznie obydwaj poszli w kierunku, z którego dobiegł podejrzany odgłos.

– Kto tu mieszkał? – ciągnął temat Mark.

– Nie znam nazwiska, ale podobno byli zdrowo pieprznięci.

– *Mark, John! Jesteście tam?! – zawołał ktoś z góry. – Mark! John!*

– Jeszcze tylko jego tu brakuje – bąknął cicho starszy strażak do kompana, po czym odkrzyknął: – Tak, szefie, jesteśmy tu!

– *Znaleźliście kogoś?!*

– Być może! – wrzasnął John, po czym zwrócił się ciszej do Marka: – Pójdę mu powiedzieć, co jest grane.

– I niech się zamknie, bo jedyne, co robi, to straszy mi tego dzieciaka – dodał szeptem Mark.

– Mam mu to powiedzieć słowo w słowo?

– Możesz... – Młody strażak uśmiechnął się prowokacyjnie. – I zamknij drzwi do piwnicy, żeby smarkacz nie uciekł. Jak go znajdę, przyprowadzę na

górze.

John poszedł w stronę schodów. Szef dopadł go przy wyjściu.

– Kto ci pozwolił zdjąć maskę?!

A panu, odszczeknął John w myślach. Nie znosił tego człowieka, a tolerował go tylko dlatego, że uwielbiał pracę strażaka.

– Kapitanie, Mark chyba kogoś znalazł.

– Mam w dupie, co Mark znalazł! Idź tam i powiedz mu, że ma przerwać, cokolwiek robi. Wynosimy się stąd.

– Dlaczego?

– Kuchnia przypomina krematorium. Tam jest z dziesięć ciał – wysapał dowódca. – Czas wezwać mądrzejszych od siebie!

– Mark powiedział, że widział jakiegoś dzieciaka. Nie możemy go tu zostawić – zaznaczył ostro John.

– Chryste... – Kapitan zmierzwił włosy. – Dzieciaka? To pewnie syn Meyerów.

– Mógł być świadkiem...

Dowódca spojrzał niepewnie w ciemność, wypatrując światła latarki Marka – nowo przyjętego członka załogi.

– Dobra... Pilnuj wyjścia, gdyby dzieciak okazał się cwańszy od nas. – Kapitan założył maskę. – Pamiętaj, że jeżeli go wypuścisz, wypuścisz świadka, a wtedy możesz się pożegnać z robotą.

John odprowadził wzrokiem dowódcę, który szybko zniknął mu z oczu.

\*

– Mark! – zawołał kapitan. – Mark!

– Tu jestem, szefie... – Młody strażak natychmiast rozpoznał ostry ton.

Dowódca oświetlił twarz podwładnego.

– Następny! Szarpnęło cię nie w tę stronę, co trzeba?! Zakładaj tę cholerną maskę!

– Nie chcę go straszyć.

– Gównu mnie obchodzi jakiś dzieciak, a tym bardziej od Meyerów! Jeżeli jej nie założysz, jutro możesz nie przychodzić do pracy!

Debil, pomyślał Mark i wykonał polecenie.

Kapitan zatrzymał się przy stercie starych desek, dwa kroki za podwładnym.

– Przed chwilą znowu go widziałem...

Mark usłyszał dziwny odgłos.

– Uważaj!!! – krzyknął kapitan.

Zanim ostrzeżony strażak zdążył się obrócić, zainkasował potężny cios w głowę. Deska roztrzaskała się na jego masce w okolicach ucha, tłukąc szklaną osłonę oczu. Zamroczony młodzik upadł na plecy i stracił przytomność.

– Idealnie... – rzekł dowódca i przykucnął przy Marku, odrzucając drugą deskę. Natychmiast zdjął swojemu człowiekowi maskę i sprawdził puls. – Spokojnie... Poboli, przestanie – rzekł prześmiewczo kapitan. Podniósł latarkę Marka i dwoma snopami światła omiótł przestrzeń wokół siebie. – Możesz już wyjść, mały! Jesteś tu, żeby ci pomóc!

Chociaż pewnie już to słyszałeś, dodał w myślach dowódca. Powietrze w tym miejscu było ciężkie i duszące, ale musiał pozbyć się maski. Ograniczała mu pole widzenia i nie słyszał żadnych szmerów.

– Na zewnątrz czekają mama i tata – rzucił łagodnie. – Wybuchł pożar i musieli uciekać z domu. Martwią się o ciebie.

\*

Chłopak siedział skryty pod masywnym biurkiem. Powoli wracała mu pamięć. Po słowach strażaka odnalazł w głowie obraz żywcem palącej się matki. Nie żyła, a ten człowiek łągł. Rozejrzał się za czymś, co mogło posłużyć za broń. Nie miał zamiaru się poddać. Nie we własnym domu...

Nagle jego oczy zostały porażone ostrym światłem latarki. Zdradził go ciężki oddech.

– Mam cię, gnojku!

Kapitan boleśnie chwycił chłopca za rękę. Ten odegrał mu się zębami wbitymi w przedramię. Mężczyzna warknął, mimowolnie puszczając Corey'a, który natychmiast czmychnął pod najbliższy stół. Rozjuszony strażak gwałtownie odsunął krzesła i wpełznął pod mebel, łapiąc siedmiolatka za nogę. Chłopiec obrócił się i kopnął przeciwnika w twarz. Złamał mężczyźnie nos. Poczuł, jak chwyt słabnie i znowu się wyrwał.

– Ty mały, niewdzięczny sukinsynu! – Wstając, kapitan wyrznął głową w blat. Ze złością przewrócił stół. Rozwścieczony nogą pchnął krzesło, które uderzyło uciekającego chłopca w plecy. Corey z okrzykiem bólu poleciał na posadzkę, raniąc kolana i przedramiona.

Kapitan podbiegł i złapał go za ubranie. Szarpnął nim, jedną ręką podnosząc na nogi.

– Byłeś cholernie dzielny, mały, ale musimy kończyć tę zabawę, bo za chwilę wujaszek Mark wstanie z potwornym bólem głowy i... – Dowódca zastygł w bezruchu, gdy młody strażak wyrósł przed nim jak spod ziemi.

Mark nie miał maski, a jego twarz była pocięta odłamkami ze zbitej osłony.

– Puść go... – warknął.

Kapitan z całej siły zacisnął dłoń w pięść.

– Cofnij się. Ta sprawa nie dotyczy ciebie, więc zejdz mi z drogi albo wyniosą stąd dwa ciała.

Korzystając z okazji, chłopiec zwinnie się okręcił i wyślizgnął z koszuli, która została kapitanowi w ręce. Pólnagi rzucił się w ciemność.

– Uciekaj! – krzyknął Mark i wziął zamach.

Dowódca wykonał unik, skoczył do przodu i błyskawicznie znalazł się za podwładnym. Zakładając mu na szyję morderczy uścisk, podciął go i powalił na beton. Przygniótł strażaka ciężarem własnego ciała. Wykręcił mu rękę, a gdy ten krzyknął z bólu, wsadził mu do ust zakrwawioną, brudną koszulę nocną chłopca. Odwrócił swego człowieka na plecy i mocno pięścią grzmotnął w krwawiący już nos.

Marka zamroczyło.

Dowódca wetknął szmatę jeszcze głębiej w usta młodego mężczyzny, a jego nos zatkał potężnymi rękawicami i z całej siły docisnął.

Strażakowi zaczęły drżeć ręce i nogi.

Kapitan trzymał jeszcze długo po tym, jak ciałem biedaka przestały wstrząsać mimowolne skurcze. Gdy się upewnił, że załatwił sprawę na dobre, zaciągnął zwłoki pod wysoką szafkę, na której stała jeszcze jedna – mniejsza. Z ust swej ofiary wyszarpnął szmatę i rzucił ją w kąt. Trącił mebel i odsunął się. Górna szafka spadła na głowę martwego strażaka, kantem wbijając się w jego twarz. Krew trysnęła na wszystkie strony i zaczęła zalewać posadzkę.

– John! John! – ryknął na całe gardło kapitan, starając się idealnie zatuszować zbrodnię. Usłyszał otwierające się w oddali drzwi.



- Szefie?!
- Złaż tu! Mark oberwał!

\*

Trwający w ukryciu siedmiolatek z przerażeniem patrzył na scenę mordu. Wiele z tego, czego uczył go wujek Ben, w jednej chwili straciło sens. Okazało się, że dobro nie zawsze zwycięża.

Przypomniął sobie, jak jego odbicie znikło, gdy oddalił się od lustra. Pobiegł więc przed siebie – w najdalszy i najciemniejszy kąt. Przykucnął pod ścianą, próbując zlać się z otaczającym go mrokiem.

Niespodziewanie, gdy napał plecami na mur, kilka cegieł wsunęło się głębiej – były całkowicie luźne, niepołączone zaprawą z resztą ściany. Zaskoczony obrócił się i dotknął wgłębienia, po czym mocniej pchnął. Trzy cegły z łomotem wpadły do środka pomieszczenia po drugiej stronie ściany.

– *Słyszał pan, kapitanie?*

– *Pieprzę szczury, gdy mój człowiek umiera! Pomóż mi go podnieść! Musimy go stąd zabrać!*

– *Panie kapitanie?!*

– *Tutaj, do cholery!*

Chłopiec popychał kolejne cegły, aż powstał otwór, przez który zdołał się przecisnąć. Poczul wilgoć, a jego nozdrza podrażnił zapach mokrej ziemi. W tym miejscu powietrze było lżejsze, przyjaźniejsze. Wcześniej mu się wydawało, że piwnicę zalewała ciemność, ale tutaj nie widział dosłownie niczego. Wymacał cegły, które pospadały i drżącymi z zimna oraz przerażenia rękami starannie układał je z powrotem. Chwilę po włożeniu ostatniej przez milimetrowe szczeliny prześlizgnęło się światło, ale natychmiast przeskoczyło na sąsiednią ścianę.

Corey potwornie sapał. Był obolały, zmęczony i przerażony. Długo jeszcze słyszał nerwowe pokrzykiwania mężczyzn. Gdy światło latarek wreszcie znikło, a głosy ucichły, odetchnął. Jego oddech powoli wracał do normy. Poczul zimno. Skulił się i dłońmi potarł ramiona.

# ROZDZIAŁ 38

## Rezydencja McCainów Obecnie...

Derrian McCain gwałtownie drgnął, jakby ktoś strzelił do niego we śnie. Otworzył oczy i zrozumiał, że skrupowano mu ręce sznurem, a nogi przywiązano do krzesła taśmą pakową. Siedział w jadalni. Nie rozumiał tylko, dlaczego z jego twarzy skapuje woda i moczy mu ubranie.

– Nareszcie... Już myślałem, że będę musiał iść po czwartą. – Zack postawił pustą szklankę na długim stole i usiadł obok partnerki – naprzeciwko więźnia.

Nicole nie mogła przestać wpatrywać się w okaleczoną twarz McCaina. Mimo iż do nich strzelał, współczuła temu człowiekowi.

– Panie McCain – zaczął ostro Zack. – Nie przyszliśmy tu pana skrzywdzić. Chcemy się tylko dogadać. Głównie od pana zależy, czy...

Niespodziewanie odezwał się telefon Nicole. Spojrzała na wyświetlacz – dzwonił burmistrz Donovan. Ukradkiem pokazała Zackowi, kto próbuje się z nimi skontaktować i natychmiast pokręciła głową – nie chciała odbierać. Gdyby McCain wiedział, że Donovan im pomaga, mógłby odegrać się także na nim. Odrzuciła połączenie i wyciszyła telefon.

– Wracając do powodu naszej wizyty...

– Wtargnęliście na mój teren, zabiliście moje psy i jeszcze macie czelność wysuwać żądania? – wycharczał McCain.

– Uśpiliśmy je, podobnie jak pana. Są zamknięte w garażu, a przynajmniej trzy z nich. Pewnie wkrótce się obudzą. W przeciwieństwie do pana nie mamy w zwyczaju strzelać do ludzi ani do zwierząt z ostrej amunicji.

– Nie strzelam do zwierząt – warknął.

– A ta kolekcja w gabinecie? – zapytał Zack.

– To mojego dziadka.

– Dlaczego zwabił nas pan tutaj? – dołączyła Nicole.

McCain spojrział na nią wrogo i rzekł:

– Nie zapraszałem was... Sami przyjechaliście. Cokolwiek się wydarzyło, stało się na wasze życzenie.

– Kogo przetrzymywał pan w piwnicy? – zapytał Zack.

McCain uśmiechnął się złowrogo.

– Jednym słowem chcesz wiedzieć, kogo zabiłeś... – rzucił prześmiewczo. – Odpowiedź znajdziesz w swoim garażu.

– O tym pogadamy później. Nie powiesz mi?

– Pieprz się... – warknął McCain.

– O co chodziło z tym listem? – Zack pacnął ręką w położony na stole papier.

McCain odczytał pierwszą linijkę i prychnął.

– Tak kończy się wtrącanie w nieswoje sprawy – skwitował, unosząc brwi.

– Chciałeś zwabić Adama Athertona i zabić go, podobnie jak poprzednie ofiary. Dlaczego? – zapytała Nicole.

Usta McCaina wykrzywił uśmiech.

– Nie masz o niczym pojęcia, Nicole.

Dostała gęziej skórki, gdy ten psychopata wypowiedział jej imię.

– Chcesz mojej rady? Nie trudź się, bo i tak nie dojdiesz do tego, co się tutaj dzieje.

– Dość tej zabawy... – zdenerwował się Zack.

– Ooo... Zaczyna się robić poważnie. No dalej... Jeszcze mam czyste gacie.

– Nie będę cię straszył, ale to od ciebie zależy, jak długo tutaj posiedzimy. Przyszliśmy po ten pogrzebacz i po dyski z nagraniami z kamer. Możemy sami je znaleźć, a możesz nam powiedzieć, gdzie są i znikamy. Decyduj...

– Proszę bardzo... Chętnie założyłbym ręce na piersiach w oczekiwaniu na rezultaty waszych poszukiwań, ale... – szarpnął mocno – chyba nie dam rady.

Ekran telefonu Nicole ponownie pojaśniał. Donowan usilnie próbował się z nimi skontaktować.

– Odbiorę w kuchni. To może być coś ważnego.

Zack skinął głową i powiódł wzrokiem za partnerką, która zniknęła w korytarzu.

– Ładna... – skomentował hardo McCain, gdy Nicole wyszła. – Musi być dobra w łóżku.

Zack nie zareagował na przytyk. Nie chcąc tracić McCaina z oczu, stanął w wyjściu z jadalni. Za wszelką cenę chciał usłyszeć, o czym Nicole rozmawia z burmistrzem.

– Gdy znalazłem komórkę, poczytałem sobie wasze rozmowy – kontynuował gospodarz, próbując wyprowadzić rozmówcę z równowagi. – Szczypta ironii, trochę pikanterii i te cholerne, żółte, szczerzące idealnie białe zęby, uśmiechnięte buźki.

Zack z politowaniem spojrzał na pociętą bliznami twarz McCaina.

– Domyślam się, że nie lubisz symetrii.

– Rzygać mi się chciało, jak widziałem pana poświęcenie, panie Seeger. A wszystko po to, żeby dobrać się do jej majtek. Z drugiej strony, trudno się dziwić... Cholernie dobrze w nich wygląda, a jeszcze lepiej bez. Nie masz pojęcia, ile razy cofałem sobie nagranie z łazienki. Nie jest już najmłodsza, ale wciąż wygląda idealnie. Te jędrne piersi...

– Zamknij się!

– Przed chwilą chciałeś, żebym mówił. Teraz mam się zamknąć? Zawsze się zastanawiałem, dlaczego facetów tak bardzo pociągają kobiece piersi albo pośladki. Może mi powiesz? Pewnie nie... – McCain wzruszył ramionami, odpowiadając sam sobie. – Jak chcesz to rozegrać?

– Co? – warknął Zack.

– Pobijesz skrzępowanego człowieka, żeby dalej mieć tę dupeczkę, że masz jaja, a nie wydmuszki? No jak będzie? A może to moja twarz tak cię zmiękczyła? Nawet uderzenie w nią pięścią wydaje ci się odrażające... Mam rację? Myślisz, że gdybym ją wsadził między jędrne cycuszki panny Wyden, też by protestowała? A może między nogi...

Zack spojrzał wrogo na McCaina.

– Tak... Zdecydowanie między nogi...

Nie wytrzymał. Doskoczył do niego, łapiąc pistolet nabity nabojem usypiającym. Mocno przycisnął lufę do pociętego bliznami policzka.

– Jeszcze słowo, a sprawdzimy ostrzeżenie z ulotki, żeby nie strzelać z bliskiej odległości.

– Założę się, że o celowaniu w głowę też coś napisali – wycharczał McCain, nie tracąc poczucia humoru ani pewności siebie. – Spójrz na mnie. Dobrze mi się przyjrzyj... Myślisz, że ktoś taki jak ja boi się jeszcze czegokolwiek lub przed kimkolwiek czuje respekt? Całe życie upokarzany... Całe życie w cieniu...

– Możesz dalej żyć w cieniu albo gnić w grobie. Robakom będzie obojętne, czy zeżrą gładziutką, czy poharataną mordę.

– Zack, co robisz? – zapytała Nicole, widząc partnera celującego w głowę McCaina.

– Właśnie, Zack... Wyłumacz Nicole, co robisz. Bo mi to wygląda na znęcanie się nad więźniem. Z drugiej strony pewnie mam szczęście, że od razu mnie nie zabiłeś – roześmiał się McCain.

– Mam już dość jego pieprzenia. Odkąd wyszłaś...

– Muszę ci coś powiedzieć. – Skinęła głową, wzywając go na korytarz.

Zack ściągnął brwi i wyszedł z jadalni.

– Mam nadzieję, że jeśli to będzie numerek, to szybki, bo ręce zaczynają mi drętwieć! – krzyknął McCain.

– Co chciał Donovan?

– Nie ucieknie? – zapytała z trwogą Nicole, gdy zostawili McCaina samego.

– Oknem? Poza tym jest przywiązany do krzesła.

– Okej... – Nicole próbowała się uspokoić i zebrać myśli. – Po pierwsze, znalazł się czwarty pies.

– Gdzie?

– Kręci się przy garażu.

Zack podbiegł do okna w kuchni, którego wybitą część zabezpieczono folią i taśmą.

Zwierzę musiało wyczuć pozostałe psy, gdyż cicho skomlało, obwąchując okolicę.

– Zostały trzy naboje... Załatwię to bydlę, póki mamy okazję.

– Poczekaj. Jest coś jeszcze. Chodzi o telefon Donowana. Sachs zadzwoniła do niego i... dogadali się.

– To dobrze, ale co nas to obchodzi?

– Na koniec Sachs ostrzegła burmistrza, żeby i tak uważał, bo być może on sam kiedyś będzie musiał stanąć twarzą w twarz z podobną sytuacją.

– Nie rozumiem...

– Wiemy, że Derrian McCain był adoptowanym dzieckiem.

Zack skinął głową.

– Gdy po raz pierwszy odwiedziliśmy Sachs, okłamała nas. Okazuje się, że Derriana nie przywieziono z żadnej wyprawy. To syn Meyerów, który zdołał uciec mordercom.

– Co?!

– Podobno znaleziono go dwa miesiące po tym, jak spłonęła rezydencja. Ukrywał się w mauzoleum. Pewnie wydostał się piwnicą. Przeszedł do grobowca podziemnym tunelem, o którym Backerly i reszta nie wiedzieli.

– Jakim cudem przeżył?!

– Rod McCain niemalże natychmiast przejął ten dom. Podobno dzieciak podbierał jedzenie jego psom. Wtedy, w osiemdziesiątym piątym, w mauzoleum również znaleziono psią miskę. Myśleliśmy, że Derrian trzymał tam zwierzęta, ale ta miska to była pamiątka po tym, co przeżył. Dwa miesiące żywił się, czym popadło, dopóki go nie znaleźli.

– Chryste...

– Sachs pomogła McCainom załatwić papiery na tego dzieciaka. Cudownym trafem pojawił się w rodzinie tuż po powrocie Toma McCaina z podróży w osiemdziesiątym siódmym. Prawda jest taka, że chłopiec trafił na ponad rok do szpitala, gdzie lekarze próbowali przywrócić mu twarz, ale się nie udało. Nie mogli poddać go operacji, bo cierpiał na rzadki przypadek zaburzenia krzepliwości krwi.

– A Sachs jak zwykle pomogła wszystko zataić...

– Być może Meyerowie zabili te wszystkie osoby, ale dzieciak był niewinny... Nie mogli oddać go pod opiekę byle komu, bo nikt nie wiedział, co chłopiec widział.

– Z czasem mógłby ich wszystkich pogrzyść...

– Twarz była idealnym pretekstem, aby odizolować go od reszty świata – zauważyła Nicole.

– Mój Boże... – jęknął Zack.

– Wiesz, co to oznacza? – Partnerka kojarzyła kolejne fakty. – Pamiętasz artykuł o śmierci brata Derriana i ich ojca?

– Tak.

– Gdy zginęli Rod i Elizabeth McCain, Derrian był już nastolatkiem. Wystarczająco mądrym, aby wszystko zrozumieć.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Słuchaj dalej... Mary, żona Toma, ginie osiem lat później, a w dwa tysiące dziewiątym Derrian pozbywa się ostatnich prawdziwych McCainów.

– To była zemsta?

Nicole skinęła głową, po czym rzekła:

– Wykończył wszystkich i odzyskał dom, który stracił w wieku siedmiu lat.

## ROZDZIAŁ 39

Zack miał w głowie mętlik.

– Powiedziałaś Donowanowi, gdzie jesteśmy?

– Nie...

– Dobrze. Jezu... Ten człowiek zamknięty w piwnicy... Ten, którego zabiłem. Założę się, że był kolejną ofiarą McCaina... Meyera... czy jak mu tam.

– To nawet mógł być ktoś, kto miał związek z jego tragedią. Zack... – Nicole nagle pobladła. – Już wiem, jak Meyerowie wabili ofiary. Listownie...

– Derrian był dzieckiem, gdy doszło do masakry. Nie mógł jeszcze wiedzieć o pewnych sprawach. Przecież nie mogli pokazywać mu takich okropności.

– Wszystkiego dowiedział się z dzienników. Założę się, że znał niemiecki. Nie zdziwiłabym się, jakby w którymś notatniku Meyerowie opisali, jak ludzie bezskutecznie próbują się do nich dostać. Derrian odkrył prawdę i postanowił się zemścić, a później kontynuował *dzieło* przodków. Wiedział, że nazwisko McCain zapewni mu nietykalność. Nikt by go nie podejrzewał. Musiał tylko pozbyć się reszty domowników. Zapytajmy go, czy...

– Myślisz, że przyzna się do bycia seryjnym mordercą?

– Nie musi. Po prostu chcę zobaczyć jego reakcję. Spróbujmy go sprowokować. Może się dowiemy, jak pozbywał się zwłok.

– Kiepsko to widzę...

Wrócili do jadalni. Gospodarz siedział w identycznej pozycji, w jakiej go zostawili – patrzył na wejście, oczekując pojawienia się swych oprawców. Spojrzał na Zacka i uśmiechnął się zawiadaczająco.

– Czyżby mała sprzeczka kochanków?



– Koniec gierki, McCain. – Nicole usiadła naprzeciwko. – Chyba że wolisz nazwisko Meyer. Corey Meyer... Zgadza się, czy coś nam umknęło?

Oczy Derriana zapłonęły gniewem. Choć nigdy nie zapomniał prawdziwego imienia, ostatni raz słyszał je ponad trzydzieści lat temu.

– Nie dość, że ładna, to jeszcze sprytna. Rozwiążcie mnie, a z radością zaklaskam.

– Ile osób zwabiłeś w podobny sposób? – Nicole postukała palcem po liście.

Więzień pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Ładna, sprytna i uparta... Lepiej nie mogłeś trafić. – McCain wymyślał kolejne przytyki, którymi chciał sprowokować Zacka.

– Teraz ja z tobą rozmawiam...

– No i ostra...

– Gdy twoi przodkowie przeprowadzili się do Stanów, kontynuowali swoje chore eksperymenty. Zaczęli porywać i mordować przypadkowe osoby. Mieszkańcy St. Michael szybko się połapali, więc Meyerowie zmienili taktykę. Zaczęli wabić ofiary z innych miast, stanów. Nie miałeś o tym pojęcia, dopóki nie dorwałeś się do starych dzienników. Widziałam kilka w bibliotece. Zobaczyłeś, czym dziadunio i tatunio się zajmowali i ci odwaliło. Sam zacząłeś mordować.

– Ostrożnie, panno Wyden...

– Popraw mnie, jeśli się mylę.

– Ja morduję? Zaglądaliście ostatnio do garażu? – ponowił wątek McCain. Zmienił temat, licząc, że czymś zaskoczy hardą kobietę. – Ciekaw jestem, co policja powie, gdy znajdą w nim ciało.

– Mówisz o zwłokach mężczyzny, którego trzymałeś w piwnicy? Przypadkiem znajdą się w lesie, dwadzieścia pięć mil na północny zachód stąd.

McCain zmarszczył brwi, nie rozumiejąc, o czym Nicole mówi. Spojrzał na Zacka, który rzucił mu teatralny uśmiech.

– Chyba nie wszystko poszło po twojej myśli...

– Do ilu osób wysłałeś podobne listy? – kontynuowała Nicole, próbując ustalić, o ilu przypadkach może być mowa.

Zack stał obok i milczał.

– Myślałem, że jednak masz jaja, gdy przed chwilą mnie napadłeś – McCain zwrócił się do Zacka. – A tu się okazuje, że ona ci je ukradła.

– Jak to jest, gdy bezbronna ofiara patrzy na twoją twarz i jedyne, co widzisz w jej oczach, to obrzydzenie? – Tym razem Nicole spróbowała prowokacji. – Myślisz, że to strach, ale nie... Oni nie bali się ciebie, tylko tego, jak wyglądasz.

– Nieźle, ale obrażano mnie już nieraz. Wymyśl coś mocniejszego, bo na razie kiepsko ci idzie, panno Wyden. A może powinienem powiedzieć *Seeger*... Kiedy ślub?

– Najbardziej intryguje mnie, jak udało ci się pozbyć tych wszystkich ciał. Pewnie mi nie powiesz, ale jeżeli twoi przodkowie nie wpadli, to założę się, że dziadunio opisał jakiś złoty środek w swoich wspomnieniach. Już się nie mogę doczekać, gdy przełożymy te dzienniki policji. Z pewnością tłumacz dostanie gęsiej skórki, jak będzie robił przekład.

McCain nie potrafił się dłużej opanować i wybuchnął śmiechem.

– Przyznam, że jesteście razem przezabawni...

Nicole popatrzyła niezrozumiale na Zacka. Nagle kątem oka dostrzegła, jak McCain zmienia pozycję – ni stąd ni zowąd nachylił się nad stół i oparł o niego rękami, choć jeszcze przed chwilą trzymał je skrupowane za plecami. Nicole zastygła w bezruchu, czując niemoc ogarniającą jej ciało.

\*

– Coś się stało? – zapytał ironicznie Derrian McCain.

– Zack...

Nie odezwał się. Nie było go też w przejściu, gdzie wcześniej stał. Poczowała jedynie chłód ciągnący po nogach i usłyszała szum koron drzew. Ktoś otworzył tylne drzwi. Wychwyciła ciche stuki. W wejściu do jadalni stanął ogar. Warknął, wyszczerzył zębiska i szczerknął złowrogo.

– Zack!!!

– Siad! – padło ostre polecenie.

Nicole spojrzała na McCaina, ale to nie on je wypowiedział.

Za psem stanął Zack, a bydlę podniosło łeb i przyjaźnie spojrzało na swego pana.

– Zack... Nie rozumiem...

– Słyszałeś, Zack... Panna Wyden nie rozumie – rzucił zabawnie McCain, przecinając scyzorykiem taśmy krępujące nogi. Rozmasował

nadgarstki boleśnie otarte od sznura. – Przysięgam, że jeśli jeszcze raz zwiążesz mnie tak mocno, to odpłacę ci tym samym. – Derrian pogroził Zackowi scyzorykiem.

– Zack! Co tu się, do cholery, dzieje?! – Nicole drżała.

– Spokojnie, kochanie.

– Brakuje tylko... *Nic, z czym sobie nie poradzimy albo obiecuję, że nas stąd wydostanę* – bąknął McCain i pogłaskał swego pupila.

Zack przykucnął obok Nicole i chwycił ją za ręce. Była tak sparaliżowana strachem i rozwojem wydarzeń, że nawet nie zaproponowała.

– Kochanie... Wiem, że to, co powiem, może być dla ciebie szokiem, ale obiecaj mi jedno. Nie krzycz, bo to niczego nie zmieni, a jedynie pogorszy sytuację.

Bezwiednie skinęła głową.

Przysunął się do niej i szepnął coś do ucha, wiążąc ręce sznurem, którym wcześniej skrupowali gospodarza.

Oparty o ścianę Derrian McCain ze stoickim spokojem patrzył, jak blada twarz Nicole Wyden staje się... jeszcze bledsza. Nie rozpłakała się, ani nie zaczęła krzyczeć. Po prostu osunęła się na oparcie krzesła – zemdląca.

## ROZDZIAŁ 40

– Gdy ponownie będziesz chciał coś zmienić w scenariuszu, to bądź tak uprzejmy i mnie poinformuj, okej?

– O co ci chodzi?

– O tego cholernego kuriera... Miał przywieźć jakiś stary badziew, a nie pająki!

– Nie przesadzaj...

– A gdyby wybiegła z krzykiem i nie zaciągnąłbym jej już do domu?

– Sam wymyśliłeś tę szopkę z pająkami. Jedyne ci pomogłem...

– Mogłeś tym wszystko spieprzyć.

– A ty wszystkim innym... Z tysiąc razy! Kto ci kazał włączać ten alarm?! Nie mogłeś jej od tego odwieźć?

– A myślisz, że pokazałem jej przejście? Sama je znalazła. Zawsze mogliśmy ją po prostu zabić, a tak przynajmniej wiemy, że jeszcze należy się przyjrzeć kilku innym osobom.

– Szczególnie Sachs i Donowanowi.

– Zwłaszcza jemu. Jest cwany. Za cwany...

– Za dużo osób o wszystkim wie. Po jaką cholere zaprowadziłeś ją do niego?! Trzydzieści lat był spokój, a nagle wszyscy się uaktywnili jak suki w rui.

– Nalegała. Z powodu tych ochroniarzy i tak musieliśmy chwilowo trzymać się poza domem. Co miałem jej powiedzieć? Chciała poznać twoją historię. Jeśli zabawa, to na całego. Gdyby Donowan się nie zainteresował, a Sachs trzymała język za zębami, nikt by się nie dowiedział. Przez ponad trzydzieści lat pizda milczała, ale Donowan potrafi być przekonujący. Nie wiedziałem, że ma z Sachs i z tobą na pieńku.

– Nic mu nie zrobiłem. Zadzwoił i chciał pieniędzy. Niech sobie poszuka innego sponsora. W życiu słowa ze mną nie zamienił, a jego poprzednicy

*zamordowali mi rodzinę. Bezcelny gnój!*

*– Donovan zagroził Sachs ujawnieniem wszystkiego. To nasza wina, bo już dawno powinniśmy uciszyć niektóre osoby. Teraz trochę na to za późno.*

*– Nie martw się Donowanem... Wypadki chodzą po ludziach. Podczas gdy on będzie się zastanawiał, jak wykorzystać przewagę, my wymyślimy, jak się go pozbyć. Jeżeli Sachs zna moje pochodzenie i do tej pory nic z tym nie zrobiła, przemilczy kolejnych dziesięć lat, czy ile jej tam zostało, a córeczka jeszcze może na tym skorzystać. Dam jej trochę drobnych na kampanię. Wszyscy będziemy żyli w zgodzie, a staruszka zabierze sekret do grobu. Według mnie wystarczy załatwić Donowana, a sprawa sama przycichnie.*

*– W porządku...*

*– Ale Sachs musi nam oddać ten dziennik! Nie miałem pojęcia, że go ma.*

*– Cicho... Chyba dochodzi do siebie.*

*– Musimy coś z nią zrobić i to szybko.*

*– Nie chcesz się zabawić? Nie, to nie... W takim razie daj mi chwilę. Pół roku się z nią męczyłem. Nie mam zamiaru teraz tego spieprzyć. Zobaczmy, co powie. Mogę potrzebować twoich zabawek...*

*– Częstuj się...*

\*

Nicole otworzyła oczy. Siedziała na tym samym miejscu, co wcześniej.

Zack usadowił się naprzeciwko, a McCain stał w przejściu prowadzącym na korytarz, ramieniem oparty o ścianę. Pies gdzieś przepadł.

*– Dzień dobry... – odezwał się Zack, zabawnie marszcząc brwi. Nie był pewny, czy Nicole już go słyszy.*

*– Daruj sobie... – warknęła.*

*– Jesteś z nami... Świetnie!*

Niespodziewanie na stole wylądowały dwie złote monety.

Nicole spojrzała na nie, a później na Zacka.

*– A założyłem się o stówę, że je znajdziesz... – wymamrotał z niezadowoleniem. Spojrzał na list i odczytał fragment, który znał już niemalże na pamięć. – Ukryłem go w tym, co zawsze tak cię irytowało.*

Sekundę później Nicole usłyszała potwornie głośne uderzenie zegara dobiegające z parteru, być może z salonu. Dopiero teraz uświadomiła sobie,

że McCain gdzieś przepadł.

– Były w zegarze, Nicole! W zegarze!

– Co z tego... – bąknęła. – I tak byśmy z nimi nie wyszli...

– Hmm... Prawda.

– I jak? – McCain wrócił. – Pokaz się udał?

Nicole nie odpowiedziała.

– Pogodziłaś się już z faktem, że będziesz miała brzydkiego szwagra?

– Daj spokój – zganił go Zack, po czym dorzucił wesoło: – Rodziny się nie wybiera, prawda?

– Maxymilian? – Nicole dopiero teraz pojęła, że ma do czynienia z braćmi. – Jak to możliwe? – zapytała, wpatrując się w byłego partnera.

– Co? Że on ładny, a ja brzydki? Kwestia genów i... jednego pożaru – zakończył poważnie Derrian.

– Jak nie masz nic mądrego do powiedzenia, to idź pogłaskać psa.

– Dobra, dobra... Nie broń jej, bo ruchanka na do widzenia i tak nie dostaniesz.

Nicole z odrazą spojrzała na McCaina.

– A może jednak chciałabyś sprawdzić, który z nas byłby lepszy? Założę się, że tak...

– Zamknij się wreszcie! – Zack pokręcił głową i spojrzał na zaczerwienione oczy Nicole. – Przepraszam za brata...

– Wal się...

– Przykro mi, kochanie, że tak to się kończy, ale ty też nie byłaś z nami szczerą.

– Co? – wyłkała.

Zack wstał i sięgnął po kartki leżące na stole. Nicole dopiero teraz je zauważyła.

– Detektyw Nicole Wyden... Rodzice nie żyją, niezamężna, brak dzieci. Akademia policyjna ukończona z wyróżnieniem. Kilka pochwał... Bla... Bla... Bla... W maju dwa tysiące szesnastego roku siostra Julianne i jej córka giną z rąk seryjnego mordercy. W sierpniu dwa tysiące szesnastego zawieszona za niestosowanie się do poleceń przełożonego. Terapia u psychologa i znowu... Bla... Bla... Bla... W październiku występujesz z policji. Uniewinniona w procesie o zabójstwo mordercy swojej siostry i siostrzenicy z powodu niewystarczających dowodów... – Zack spojrzał na

Nicole. Jej wyraz twarzy drastycznie się zmienił. Nie płakała już, nawet nie wyglądała na przerażoną.

– Powiedz mi, Nicole... Dlaczego mnie okłamałaś?

– Dlaczego nas okłamałaś? – dodał McCain.

– Nie okłamałam.

– Jasne... Nie powiedziałaś całej prawdy.

– Nie widziałam potrzeby.

– A już myślałem, że coś między nami zaiskrzyło. Niestety, w moim... naszym fachu – wskazał brata – trzeba wykazywać sporo ostrożności, zanim do kogokolwiek się zbliżysz. Mimo to spodobałaś mi się, ale wtedy odkryłem, kim naprawdę jesteś.

– Odkryłeś nieistotną przeszłość. Zostawiłam policję i znalazłam normalną pracę. To wszystko.

– Chcesz mi powiedzieć, że zupełnie przypadkiem zbliżyłaś się do brata seryjnego mordercy?

– Ej! – upomniał go McCain. – Odezwał się niewinny!

Zack uniósł rękę.

– Idąc dalej tym tropem... Nie wierzę, że była pani detektyw, całe życie uczona ostrożności, nie sprawdziła swojego kochanka. Pamiętam, jak poznaliśmy się w pubie. Długo mnie obserwowałaś, zanim podeszałaś. Gdybyś chciała, szybko odkryłabyś, że Zack Seeger, to tak naprawdę czysta fikcja. Imię i nazwisko połączone z jednoosobową firmą i kontem w banku.

– Nie byliśmy ze sobą długo. Skąd mogłam wiedzieć...

– Zmierzam do tego, że... od początku miałem wrażenie, iż nie spotkaliśmy się przypadkiem. Nie wyobrażasz sobie mojego zdziwienia, gdy odkryłem twoją historię, która pewnie wciąż się pisze. Powiedz mi, Nicole, jak było naprawdę... Wzięli cię do tajniaków? Miałaś się do mnie zbliżyć i w ten sposób dobrać się do mojego brata? A może to zemsta za to, że ktoś zabawił się nożem z twoją siostrzyczką i jej córeczką? Jarret Dwyer... Tak się nazywał? Biedaka znaleziono martwego w jego własnym domu. Miał głowę rozwaloną kawałkiem żelastwa. Tak sobie pomyślałem, że przygoda z pogrzebaczem odświeży ci nieco pamięć, ale świetnie się maskowałaś.

Nicole szarpnęła więzy, ale nie miała szans się oswobodzić.

– Widzę, że trafiłem w czuły punkt.

– Po co urządzaliście tę maskaradę? Jeżeli coś ci... wam nie pasowało, nie mogliście mnie po prostu zabić albo od razu rzucić pieprzonym psom na

pożarcie?

– To proste... Musieliśmy wiedzieć, co planujesz i ile wie policja. Przyznam, że tak dobrze się kryjesz, iż wciąż nie jesteśmy pewni, czy dla nich pracujesz.

– Innymi słowy... – wtrącił się McCain – Max, chyba że wolisz Zack, w którymś momencie spieprzył sprawę. – Brat spiorunował go wzrokiem. – Musimy tylko wiedzieć, w którym i jak bardzo. Dlatego pozwoliliśmy ci, laleczko, na to niby śledztwo, ale na naszych warunkach. Przy okazji wiemy, że zagrażają nam także inni, więc chyba... należą ci się podziękowania, bo odkryliśmy sporo ciekawych faktów.

Nicole ze zrezygnowaniem pokręciła głową.

– Ale muszę przyznać, że zagranie z alarmem było genialne – dodał z uznaniem Zack. – Na tyle genialne, że musieliśmy cię jakoś wyprowadzić z domu, żeby Derrian mógł pozbyć się ciała i zatuszować całą sprawę. Nie wiem, jakim cudem wpadłaś na to, że pod schodami jest ukryte pomieszczenie, ale chylę czoła. Szczerze... Na początku chcieliśmy ci tylko trochę dopiec. Gdybyś nie wymyśliła tego alarmu, pewnie zabawa szybko by się skończyła. Ale jeśli już chciałaś się zabawić w detektywa, to dlaczego nie. Sami skorzystaliśmy... Szkoda, że nie widziałaś swojej miny, gdy Sachs powiedziała o telefonie od McCaina. Pamiętasz? Zadzwoił i poprosił, aby nam o wszystkim opowiedziała. Zastanawiałem się, co wtedy zrobisz. Najpierw myślałem, że pęknieś po tym, jak dorwał cię ten pies. Potem ci ochroniarze i trup w piwnicy. Już wtedy zacząłem mieć wątpliwości, czy rzeczywiście jesteś gliną. Przecież tyle razy mogłaś to przerwać. Sytuacja u Sachs całkowicie mnie zaskoczyła. Albo wciąż tak dobrze udajesz, albo...

– Kim był ten człowiek, którego zabiłeś w piwnicy?

– Przykra sprawa – skrzywił się Zack.

– Twoim niedoszłym teściem – warknął McCain, nie mogąc się powstrzymać.

– No jasne... – potaknęła Nicole. – Jaki inny więzień rzuciłby się na kogoś, kto go uwalnia.

– Fakt... Ojciec nie podzielał naszego hobby. Chyba nawet miał nam je za złe – roześmiał się Zack. – Gdy się dowiedział, dostał szału... Musieliśmy go jakoś... uspokoić. Jednakże mimo różnicy zdań nie byliśmy w stanie...

– Trzymaliście go w tej piwnicy osiem lat?

– Codziennie dostawał pełnowartościowe jedzenie i witaminy – wyjaśnił



Derrian, nie widząc w tym nic złego.

– No tak... Ciało nie odnaleziono...

– Odnaleziono, ale nie te – uśmiechnął się przyjaźnie Zack, wzruszając ramionami. – Jak mówią, diabeł tkwi w szczegółach.

– Dlaczego trzymaliście ojca w piwnicy? Okazalibyście mu większą łaskę, gdybyście go zabili.

– Braciszek powiedział, że się nim zajmie, ale miał za miękkie serduszko, prawda? – Zack zwrócił się do Derriana, który uniósł brew. – Nie uwierzysz, jak bardzo się zdziwiłem, gdy po roku się przyznał, że ojciec wciąż żyje. Mimo to pozbyliśmy się problemu, czyli tatusia wtrącającego się w nieswoje sprawy. Niestety, musiałem się wynieść poza miasto. – Zack spojrzał krzywo na brata, jakby miał mu to za złe.

– Po czym okazało się to rozwiązaniem waszych problemów – zauważyła Nicole. – Mogłeś szukać ofiar po całych Stanach, z łatwością wypatrując słabe sztuki. Przy okazji nowy sposób pozyskiwania *zasobów do badań* przypadł ci do gustu. Młode kobiety i przygoda na jedną noc.

Zack się zaśmiał. Nicole trafiła w sedno.

– Tak jak powiedziałaś... Kilka zniknięć w tę czy w drugą stronę nikogo nie zainteresowało. Smutne, ale prawdziwe. Jeśli dobrze poszukasz i nie atakujesz pierwszej lepszej ofiary, to jej zniknięcie długo może pozostać niezauważone. Najważniejszy w tym wszystkim jest plan. No i cierpliwość... Przy odrobinie szczęścia wszyscy pomyślą, że smarkula mająca się za dorosłą zwiła z nowo poznanym facetem. Jeżeli wydarzy się to jeszcze po kłótni z tatusiem albo z mamusią, historia staje się tym bardziej wiarygodna.

– Potem wystarczyło pozbyć się zwłok... – dokończyła Nicole.

– Ciekawe, prawda? Jeżeli zabijesz trzy osoby, a ich ciała się znajdą, od razu otrzymujesz plakietkę *seryjnego*. Jeśli zaś dobrze pomyślisz i nie masz zrytego mózgu, nie potrzebujesz się chwalić dokonaniem, tylko czerpiesz z nich wewnętrzną satysfakcję, możesz uprowadzić sto, a nawet tysiąc osób i nikt cię z niczym nie powiąże.

– Prawie nikt... – dorzucił McCain. – W końcu z jakiegoś powodu przyczepiła się do ciebie.

– Niestety... Choć wciąż mam wątpliwości, czy pracuje dla policji – przyznał Zack. – Ale będę z tobą szczery, Nicole. Jeżeli mi powiesz, gdzie popełniłem błąd, zginiesz szybko. Jeżeli nie, cóż... Kolejne godziny będą dla

mnie równie przykre, co dla ciebie bolesne. – Dotknął jej włosów i przesunął ręką po policzku.

Odsunęła się natychmiast, z obrzydzeniem patrząc mu w oczy.

– Nie chrzań...

– Tego się obawiałem... – Zack wstał i skinął głową na brata.

– Nareszcie... – bąknął McCain.

– Zanim zaczniecie, mam jedno pytanie – rzuciła niespodziewanie Nicole. – Kim był ten trup, którego widzieliśmy z okna biblioteki?

– Za dużo chciałabyś wiedzieć, kochanie...

– W takim razie mam inne pytanie... Jak się dzieliliście?

– Co?

– Ty je posuwałaś za życia – spojrzała na Zacka, po czym przeskoczyła wzrokiem na Derriana – a ty po śmierci lub w trakcie?

McCain podszedł i uderzył ją pięścią w twarz.

– Ej! – zareagował Zack.

Nicole nawet nie jęknęła. Z odrazą popatrzyła na starszego z braci, jakby domagała się kolejnego ciosu.

– Dwaj kretyni... – wyrzuciła z siebie i roześmiała się. – Myśleliście, że zabawiacie się ze mną, a tymczasem to ja świetnie bawiłam się z wami.

– Mówiłem ci! – rzucił McCain. – Wiedziałem, że jest z policji!

– Cholera... Ale nie byłaś taka cwana, jak pies wgryzł ci się w nogę.

– Masz rację, lecz sami się wtedy podłożyliście. Dlaczego pies zaatakował moją nogę, a nie twoją? – zwróciła się do Zacka, który zmarszczył czoło. – W końcu ochraniałeś mnie własnym ciałem, prawda? Potem niby przypadkiem wyrzuciłeś mój telefon, a twój wcześniej się rozładował. Zapomniałabym o najlepszym... pająki! Tylko tobie, idioto, powiedziałam, że się ich boję, a prawda jest taka, że sama trzymałam kiedyś jednego w domu. Myślałeś, że wyrwiesz panienkę, pomieszkasz z nią i wszystko się wyjaśni. No i ten list... Ja was proszę... Już bardziej kretyńskiego sposobu na sprowadzenie mnie tutaj nie mogliście wymyślić? Mniej byś się skompromitował – spojrzała na byłego partnera – gdybś zabrał mnie na romantyczną wycieczkę i zepsuły się nam samochód. Naprawdę wcześniej ktoś się na to nabierał? Aaa... Właśnie... Zapomniałabym o samochodzie... Powiedziałam ci kiedyś, że się na nich nie znam. Cieszę się, że we wszystko uwierzyłeś. Po tym, jak braciszek podrzucił nam samochód z trupem, przy okazji zerknęłam sobie pod maskę. Akurat wtedy,

gdy byłeś na górze. Jakimś dziwnym trafem kable i przewody nie wyglądały na wymienione. Wszystko wydawało się... nietknięte, a chyba mówiłeś, że nie da się tego naprawić.

McCain spojrział niepewnie na brata.

– Wciąż jeszcze myślicie, że to wy pozwoliliście mi pobawić się w jakąś grę?

– Cieszę się, że chociaż nocami wynosiłaś z tego korzyść... – rzucił Zack.

– Zastanawia mnie jedna rzecz... – Nicole ponownie zwróciła się do byłego partnera. – Dlaczego chcieliście mi to wszystko pokazać? Dlaczego nie zabiliście mnie od razu? Jeśli wiedzieliście, że kiedyś pracowałam w policji, to co wam to dało?

– I tak nas namierzyliscie... – oznajmił McCain. – Wiedzieliśmy, że zabawa potrwa tak długo, dopóki nie dowiesz się czegoś o porwanych osobach.

– A potem zacząłem mieć wątpliwości, czy rzeczywiście jesteście gliną – przyznał Zack. – Jeśli przetrwałaś to wszystko i nie zdradziłaś się, to przy okazji postanowiłem potowarzyszyć ci w śledztwie. Oczywiście chyba rozumiesz, że ostatecznie musieliśmy tutaj wrócić na końcowy test. Nieświadomie pomógł nam w tym Donovan, ale wierzę, że w końcu i ja bym cię przekonał.

– Dzięki tobie wiem też, komu jeszcze mogę *podziękować*. Kto maczał palce w zabójstwie mojej rodziny i w tym... – McCain wskazał palcem twarz. – Jeśli o mnie chodzi, to zwykła zemsta... nic innego. A ty mi w niej pomogłaś. Wkrótce wszyscy zapłacą...

– Błagam was...

– Jak myślisz? – wtrącił się Zack. – Dlaczego wciąż tutaj siedzisz skrepowana, a nad domem nie latają policyjne helikoptery?

Nicole milczała.

– Podpowiem ci, kochanie. Widzisz ten wazon na stole? W środku znajduje się urządzenie zagłuszające wszelkie elektroniczne sygnały. Możesz mi wierzyć albo i nie, ale pod stołem jest niewielki czerwony przycisk.

– Uruchomiłem je zaraz po telefonie od burmistrza, gdy zostałem tutaj sam – oznajmił spokojnie McCain.

– Tak więc wszyscy, którzy do tej pory nas słuchali, gdziekolwiek nie ukryłabyś mikrofonu, nie wiedzą, o czym tu rozmawialiśmy od chwili, gdy

się rozłączyłaś z Donovanem. Nawet w tajemnicy ci powiem – Zack ściszył głos – że ciążę i tak nigdy nie znajdziecie. Możesz więc sobie być nawet z FBI albo CIA. Nie ma ciąży, nie ma zbrodni. W zaufaniu zdradzę ci też pewien sekret... Gdy twoi ludzie wreszcie dojdą do wniosku, że coś jest nie tak i pojawią się w rezydencji, nas ani ciebie już tutaj nie będzie. Oczywiście sposób, w jaki znikniemy my, będzie nieco się różnił od twojego zniknięcia, ale pewnie rozumiesz, że nie mamy zamiaru ciągnąć tego w nieskończoność. Czekają na nas nowe wyzwania.

Nicole spojrzała na zegar wiszący na ścianie i obrzuciła Zacka wrogim spojrzeniem, po czym roześmiała mu się w twarz.

– Wiesz, w jaki sposób cię namierzyłam?

– No nareszcie! Powiedz, proszę! Błagam! Tylko dlatego jeszcze tu siedzimy! – ucieszył się Zack.

– Meyerowie porywali przypadkowe osoby i dlatego nie wpadli. Ty skupiłeś się na młodych i ładnych.

– Mówiłem... – warknął krytycznie McCain.

– Nie chciałeś bezdomnych, bo śmierdzieli. Samotne grubasy były za ciężkie, a dziwki bałeś się kroić, bo mogły mieć HIV! Pewnie! Moja wina... Myślisz, że nie wiem, iż niejedną przeleciałeś? Od kiedy zacząłem ci dostarczać młode kobiety, ani razu nie usłyszałem słowa protestu, więc wyświadczy mi teraz przysługę i zamknij mordę!

– Młode, ładne, samotne... – kontynuowała Nicole. – Mieszkające we własnych czterech kątach, bez dzieci, najlepiej w okolicach trzydziestki... Chętne na jednodniową, a dokładniej jednonocną znajomość. Poznawałeś je w pubach i barach, często spędzałeś z nimi noc, pewnie dosypując czegoś do kieliszka... Kopiowałeś telefon i dokumenty, a rano, jak gdyby nigdy nic, wychodziły z twojego mieszkania. Po miesiącu obserwacji wiedziałeś już, jak bardzo ktoś będzie za nimi tęsknił. Czekałeś na odpowiedni moment.

Zack nie krył podziwu dla analizy Nicole.

– Muszę przyznać, że zaimponowałeś mi świetną organizacją.

– Dziękuję – odparł niepewnie. Nie wiedział, że od tak dawna go obserwowano.

McCain miał złe przeczucia.

– Po miesiącu ponownie umawiałeś się z wybranymi kobietami. Śledziłeś je, więc wiedziałeś, gdzie możesz się ich spodziewać. Przekładkowe spotkanie na ulicy... Miła rozmowa... Tyle tylko, że nie mieszkałeś już tam,

gdzie wcześniej, a daleko poza miastem. Wyprowadziłeś się... Odniosłeś sukces finansowy w biznesie, o którym wspominałeś na pierwszej i ostatniej randce. Pieniądze pozwoliły ci kupić sporą posiadłość. Która kobieta nie poleciałaby na tak dobrze wymyśloną historyjkę.

– Skąd to wszystko wiesz?

Nicole się roześmiała.

– Zaskoczony?

– Trochę...

– Wpadłeś, gdy zabrałeś się za ostatnią ofiarę. Kruczoczarne włosy, czerwona sukienka, długie nogi.

– Pamiętam...

– Zniknięciami kobiet policja zainteresowała się znacznie wcześniej. Była to jedna z podstawionych agentek. Pamiętała, że kiedyś już się z tobą spotkała. Na początku naprawdę myślała, że po prostu się nią zainteresowałeś, ale w tej pracy zawsze trzeba mieć się na baczności. Gdy się zorientowała, że próbujesz ją wywieźć daleko za miasto, nabrała podejrzeń. Na wszelki wypadek dała znać koleżance z wydziału, gdzie jest.

– No tak...

– Wiedzieliśmy – kontynuowała Nicole – że ostatnią noc spędziła z tobą w tej rezydencji. Zabiliście ją, nawet nie wiedząc, z kim macie do czynienia. Policja chciała przeprowadzić akcję rankiem następnego dnia, ale zrozumieli, że masz wspólnika, gdyż dom był własnością kogoś innego. Jak się szybko okazało, członka znanego rodu. Mimo długiej obserwacji nie udało nam się ustalić, w jaki sposób pozbyliście się ciała. Dwie noce później namierzyłam cię w barze. Nie mogliśmy pozwolić, żebyś skrzywdził kolejną kobietę. Miałeś rację... Widzieliśmy się już kilka razy wcześniej, gdyż obserwowałam nie tylko ciebie, ale też paru innych facetów. Zbliżyłam się, a ty sprawdziłeś mnie, jak każdą swoją ofiarę. Dowiedziałeś się, że pracowałam w policji, więc nabrałeś podejrzeń. Myślałeś, że szykujemy się na ciebie i miałeś rację. Wtedy, *kochanie*, popełniłeś największy z błędów. Wcale nie musieliśmy złapać cię za rękę, żeby mieć pewność, gdyż nagle ilość zaginięć młodych kobiet w Pittsburghu i okolicy spadła. Może nie drastycznie, ale jednak. Dlaczego? Bo uspokoiliś się na kilka miesięcy. Zaproszenie do rezydencji, czyli zabawa w poszukiwaczy skarbów, była dla mnie ostatecznym sygnałem. Myślałam, że od razu poznam *wielkiego brata*. Dziesięć mil na południe stąd czekała jednostka specjalna, ale okazałeś się

sprytnym przeciwnikiem, więc zagraliśmy w twoją grę, ale na moich warunkach.

– Bolesnych warunkach... – skomentował Zack. – Jak bardzo żałujesz, że wtedy ich nie wezwałaś?

– Miałam zapytać o jeszcze jeden szczegół...

McCain coraz bardziej się denerwował.

– Dlaczego uważacie, że nikt nie przybędzie mi z pomocą? Myślicie, że nad domem pojawią się helikoptery, a syreny będzie słyhać z pięciu mil? Śledztwo trwało prawie rok... Kilka miesięcy kręciłam się przy tobie, a miesiąc mieszkaliśmy pod jednym dachem. Każdej nocy się zastanawiałam, kiedy skręcisz mi kark. – Nicole ponownie spojrzała na zegar wiszący na ścianie... – Przyznaję... Pracuję dla policji. Pięćdziesiąt pięć minut temu dałam im znak, że za godzinę mogą wkraczać. Jeżeli nawet nie znajdą ani jednego ciała, to przynajmniej ostatecznie przerwą to wszystko. Maxymilianie McCain... Zostaniesz oskarżony o zamordowanie własnego ojca, nie wspominając już o przetrzymywaniu go wbrew jego woli przez wiele lat. A pan, panie Meyer, McCain, wszystko mi jedno, pójdzie siedzieć za współudział. Do tego wszystkiego dojdzie jeszcze porwanie funkcjonariusza na służbie i fizyczne oraz psychiczne znęcanie się nad nim. Między innymi dlatego tak bardzo chciałam, żebyś mnie uderzył. Myślę, że moje zeznanie dotyczące ataku waszych psów na ochroniarzy również dorzuci co nieco do wyroku, nawet jeśli nie zlokalizujemy ich ciała, choć wierzę, że jeżeli dobrze przekopie my las, znajdą się nie tylko oni.

Zack łagodnie się roześmiał, kucając przy Nicole.

– Chyba zapomniałaś o urządzeniu zagłuszającym.

– Bądź tak miły i weź moją komórkę.

Ściągnął brwi i natychmiast przejął od McCaina telefon Nicole.

– Chyba nie musisz ci mówić, jak ją odblokować. To też był dla mnie sygnał, że jesteście w zмовie. Twój brat zadzwonił do mojej *matki*. Nie musiał się męczyć z odblokowaniem telefonu, bo powiedziałaś mu, jak to zrobić, prawda?

Zack przesunął palcem po ekranie, rysując wymagany kształt.

– Sprawdź sobie ostatnie połączenie.

– Nie musisz... Godzinę temu dzwonił Donovan – oznajmił pewnie Zack.

– Sprawdź... – nalegała.

– Dwa razy dzwonił Donovan i... dwa razy go odrzuciłaś – oznajmił

zaskoczony, podnosząc wzrok.

– Zgadza się... Poprosiłam, aby co jakiś czas próbował mnie łąpać. Przecież nie mogłam zwrócić się z tym do policji... – roześmiała się ironicznie. – Dwukrotne odrzucenie jego telefonu miało być znakiem do rozpoczęcia akcji.

– Jakoś nie słyhać brygady ratunkowej – zakpił McCain.

– Spokojnie... Umówiłam się z chłopakami, że od momentu, gdy Donovan ich zawiadomi, oni dają mi godzinę na wyciągnięcie z was prawdy. Myśleliście, że przez ponad pół godziny byłam nieprzytomna? Z zaciekawieniem słuchałam waszych planów.

Derrian i Zack wymienili niepewne spojrzenia.

– Racja... Chyba wam jeszcze nie wspomniałam, że Donovan od początku jest po naszej stronie i o wszystkim wiedział. Mój telefon, który podrzuciłeś do domu... – Spojrzała na McCaina. – Znalazłam go wcześniej. To ja dałam znać Donovanowi, że go mam i że ma na niego zadzwonić. Szybko ustaliliśmy, jak sprowadzi nas z powrotem do St. Michael. Nie tylko ty, *kochanie*, myślałeś, w jaki sposób tu wrócimy. Uprzedzę wasze pytanie... Sachs również została wtajemniczona. Obydwoje świetnie się spisali. Tak więc całe przedstawienie, które postanowiłeś mi zafundować, było tak naprawdę dla ciebie, a nie dla mnie.

– Nie wierzę jej... – warknął zaszokowany McCain.

– Gdy Donovan usłyszał – kontynuowała Nicole – że może się pozbyć z miasta seryjnych morderców, natychmiast się zgodził. Sachs była nieco mniej optymistycznie nastawiona do współpracy, bo wiedziała, że skończy się to odkryciem prawdy sprzed lat, ale gdy przedstawiliśmy jej zarzut udziału w morderstwie dziesięciu osób, od razu zmieniła zdanie.

– Kłamiesz... – warknął Zack z niedowierzaniem.

– A o sytuacji z osiemdziesiątego piątego wiemy od emerytowanego szefa policji. Gdy dowiedział się, że planujemy akcję u McCainów, a później ekshumację wszystkich możliwych grobów, jakie znajdziemy na terenie posiadłości, natychmiast zaczął mówić. Domyślił się, że prawda prędzej czy później i tak wyjdzie na jaw, bo był świadomy – Nicole zwróciła się do McCaina – do czego tutaj kiedyś doszło. Darujemy wszystkim winy, wiedząc, kogo pomogli się pozbyć. A tobie, *kochanie* – spojrzała na Zacka, a zaraz potem na zegar – i twojemu braciszкови pozostało jakieś dziesięć sekund wolności.

## ROZDZIAŁ 41

Rozległ się potworny huk i brzęk tłuczonego szkła – wybito kilka okien.

Policja wtargnęła do budynku w wielu miejscach jednocześnie, wykrzykując znane formułki. W ciągu kilku sekund w rezydencji znalazło się ponad piętnastu funkcjonariuszy ze służb specjalnych.

Członkowie brygady błyskawicznie się rozdzielili. Część pobiegła schodami na piętro, reszta zabezpieczyła parter. Dowódca grupy uderzeniowej zwrócił uwagę na niedomknięte drzwi prowadzące do piwnicy.

– Martinez i Wilson za mną!

Gdy zeszli na sam dół, okazało się, że oświetlenie nie działa. Policjanci włączyli latarki w karabinach.

Bezsłownie, używając jedynie gestów, dowódca nakazał swoim ludziom się rozdzielić. Jeden miał wrócić na parter, sprowadzić posiłki i zająć się zasilaniem, drugi poszedł sprawdzić najbliższe pomieszczenie. Kierując karabin, a wraz z nim latarkę w różne miejsca, oficer wolno szedł naprzód.

Ze słownego raportu Nicole Wyden wynikało, że jedyna droga prowadzącą stąd na zewnątrz znajdowała się na końcu piwnicy. Można nią było przejść do mauzoleum. Grobowca pilnowało czterech ludzi, a kolejnych pięćdziesięciu funkcjonariuszy oddelegowano do patrolowania ogrodzenia. Niektórym towarzyszyły psy.

Wkrótce również w piwnicy rezydencji zaroilo się od policji. Przywrócono w niej zasilanie i siedmiu funkcjonariuszy ostrożnie przeszukiwało każdy kąt, dopóki nie dotarli do końca szerokiego korytarza. Zgodnie z przewidywaniami, ścigani musieli wejść do tunelu, gdyż na posadzce, w pobliżu kredensu zasłaniającego ukryte przejście, widoczne były świeże ślady.

Dowódca skinął głową, aby jego ludzie uporali się z zamkniętymi od wewnątrz drzwiami, a sam nawiązał kontakt z podwładnymi oczekującymi



w grobowcu.

- Cole, Beck, jesteście tam? Odbiór.
- *Na pozycjach, odbiór.*
- Idą do was... Prawdopodobnie są uzbrojeni i mają zakładniczkę.
- *Czekamy w gotowości.*
- Chcę ich żywych!
- *Zrozumiałem. Bez odbioru.*

Kilka solidnych kopniaków załatwiło sprawę drzwi.

- Wilson, do tunelu. Martinez, osłaniaj go!
- Rozkaz!
- Muszę wam powtarzać, że chcę ich żywych?
- Nie, sir!

\*

– Uwaga na główkę, kochanie... – Zack z udawanym przejęciem poprawił sobie Nicole przewieszoną przez ramię. Przykucnął i pokracznie wszedł w ciemną odnogę tunelu.

McCain przytrzymał zbite z desek niskie drzwiczki, pomagając bratu przenieść zakładniczkę przez ukryte przejście w ścianie tunelu prowadzącego do mauzoleum. Słyszając przyniesione przez echo głosy policjantów, Derrian wpełznął w czerń tuż za Zackiem i przymknął prowizoryczne drzwi, które na powrót stały się integralną częścią ściany podziemnego korytarza biegnącego prostopadle do tego, w którym się znaleźli.

- Zagaś latarkę... – polecił Zack.

Nie chcąc, aby cokolwiek ich zdradziło, chwilowo zaprzestali ucieczki. Postanowili przeczekać, aż policjanci przejdą obok. Nastąpiło to minutę później, jednak ta ciągnęła im się jak godzina.

- Dobra, spadamy... – szepnął McCain. – W końcu znajdą i ten tunel.
- Ale nas już w nim nie będzie – jęknął Zack, gdyż Nicole coraz bardziej mu ciążyła, a nie mógł się nawet porządnie wyprostować.
- Po cholere ją taszczysz? Strzeliłbyś jej w łeb...
- Zakładnik zawsze się przyda.
- Na razie tylko nas spowalnia.
- Zasuważ i nie gładź tyle.

Podziemny korytarz, którym się przemieszczali, tylko w początkowej części był tak solidnie obudowany drewnem, jak ten łączący dom i mauzoleum. Po krótkiej wędrówce zmienił się w prowizoryczny tunel. Przed zawaleniem się stropu chroniły ich jedynie drewniane stemple ustawione w kilkumetrowych odstępach. W wielu miejscach widniały spore kopce powstałe z osuwającej się ze ścian ziemi.

Szli dobrych kilka minut w linii prostej, dopóki nie dotarli do dziury wykutej w betonowym fundamencie ogrodzenia.

– Jeszcze z dwieście metrów... – rzucił McCain.

– Mam nadzieję, że nie chciałeś mnie tym pocieszyć – odparł zziębnięty Zack.

– Mówiłem, żebyś ją zostawił.

Zack położył Nicole na ziemi. Nie był w stanie dłużej jej nieść. Złapał kobietę za rękę i zaczął ciągnąć bezwładne ciało.

Nagle nad głowami usłyszeli przytłumione szczekanie psów.

– To nasze?

– Niemożliwe. Pewnie policyjne... Jesteśmy już za ogrodzeniem. Cholery musiały nas usłyszeć. Szybciej...

\*

Nicole poczuła bolesne szarpnięcie. W ustach miała słodkawy posmak krwi i potwornie bolała ją szczeka.

Gdzieś z oddali dobiegło szczekanie, ale bardzo ciche i głuche, jakby dolatywało zza grubej ściany.

Uświadomiła sobie, że dolną częścią ciała drze o podłogę. Ktoś ciągnął ją za skrupowane ręce. Próbowwała dostrzec jakieś szczegóły, ale wszystko zalewała ciemność. Szybko zrozumiała, gdzie prawdopodobnie się znajduje. Nie chcąc się zdradzić, pozostała bezwładna. Jedynie delikatnie obróciła głowę, aby kątem oka dostrzec, co dzieje się z przodu. Zauważyła białą lunę oświetlającą wąską przestrzeń.

W pierwszej chwili myślała, że wloką ją podziemnym przejściem do mauzoleum, ale coś się nie zgadzało – tunel wyglądał inaczej, niż go zapamiętała. Poczowała ciarki na ciele, gdy zrozumiała, że za chwilę ci dwaj wymkną się obławie. Dokładnie obliczyła, co ile sekund mijają stemple. Gdy

znalazła się na wysokości kolejnego, gwałtownie szarpnęła, wyrywając się Zackowi.

– Cholera!

– Co jest?! – krzyknął McCain.

– Poświeć mi!

Nicole się podniosła, wzięła rozpęd i uderzyła barkiem o stempel, wyłamując go. Miała skrupowane jedynie ręce, więc natychmiast kopnęła w drugą podporę. Za sklepienia spadło kilka desek i posypała się ziemia, chwilowo odcinając ją od oprawców.

– Jasna cholera!

Nicole zaczęła biec w przeciwnym kierunku.

– Suka...

– Goń ją, kretynie!

Za plecami usłyszała ruch, stęknęcia i mocno przyspieszony oddech. To musiał być Zack – przemęczony wleczeniem jej taki kawał.

McCain wrócił, aby oświetlić bratu drogę.

Nicole zniszczyła następną podporę po prawej stronie. Nie miała czasu na tę po lewej. Zack był już niebezpiecznie blisko. Ze sklepienia spadła jedna deska i posypała się ziemia. Nicole miała nadzieję, że tunel wreszcie się zawali, ale tak się nie stało, a ciemna sylwetka Zacka była coraz bliżej. Rzuciła się do ucieczki, lecz młodszy z braci szybko ją dogonił – złapał za brzuch i zaczął szarpać w przeciwnym kierunku.

– Dokąd to, kochanie...

Nicole skorzystała z tego, że Zack ją trzyma. Podskoczywszy, odepchnęła się nogami od stempla, którego wcześniej nie zdążyła zniszczyć. Wyłamała go i obydwójce wylądowali na ziemi przysypani deskami.

Upadając, Nicole umiejętnie przygniotła Zacka ciężarem własnego ciała. Tunel okazał się zbyt wąski, aby były partner mógł ją łatwo z siebie zepchnąć. Szybko odchyliła głowę i trafiła potylicą w nos Zacka.

– Ty suko – stęknął i zasadził jej pięścią w bok.

– Długo jeszcze będziesz się z nią bawił?! – wrzasnął poirytowany McCain.

– Pomógłbyś mi – wyjęczał brat, wydostając się spod Nicole i desek. Rozwścieczony kopnął na oślep, trafiając policjantkę w bok.

Gdy Nicole kuliała się z bólu, Zack złapał ją za włosy i zaczął ciągnąć w stronę brata, który z niedowierzaniem kręcił głową, jak jedna baba, i to

skrępowana, mogła przysporzyć im tylu kłopotów.

Nicole starała się nie krzyczeć, ale każda próba oswobodzenia kończyła się potwornym bólem. Ku swej uciechu, w jasnym świetle latarki Derriana dostrzegła coraz więcej drobinek ziemi spadających ze sklepienia.

– Posp... – McCain nie zdołał dokończyć. Został zagłuszony obrywającym się stropem. Półmetrowa warstwa gleby zapadła się, przysypując Zacka i Nicole.

Do tunelu wlało się światło.

– Max! – McCain rzucił się bratu z pomocą. Zaczął rozgrzebywać ziemię. Szybko natrafił na czyjeś ciało i natychmiast odkopał twarz. – Jasna cholera – zirytował się, widząc rysy policjantki. – Mówiłem, żebyś dał sobie z nią spokój! – krzychał na brata, którego wciąż nie potrafił zlokalizować. Usłyszał szczekanie psa. – Jeszcze tylko ich tu brakuje... – Wtedy jego dłoń natrafiła na coś miękkiego. Był to policzek Zacka. – Mam cię... – Błyskawicznie odsunął ziemię z twarzy nieprzytomnego brata i poklepał go mocno, próbując jak najszybciej przywrócić mu świadomość. – No dawaj! Spieprzyłeś, to teraz pomóż mi choć trochę! – McCain odgarniał ziemię jak szalony. Gdy odkopał górną część ciała Zacka, nad zapadliskiem pojawił się zdezorientowany policjant.

– Stój! – krzyknął oficer, wyciągając broń. – Ręce do góry! Tylko spokojnie...

Derrian McCain zastygł w bezruchu, nie podnosząc wzroku. Wiedział już, że nie zdoła uratować brata. Max żył, ale szybkie wydostanie go spod zwałów ziemi było niemożliwe. Błyskawicznie przekalkulował szanse i podjął jedyną rozsądną decyzję.

– Nie daj się... – Na swój sposób się pożegnał i skoczył w głąb podziemnego korytarza, znikając policjantowi z oczu. Słyszał cichnący raport oficera zdawanego dowódcy. Oświetlając sobie drogę latarką, podniósł upuszczoną wcześniej strzelbę i szybko ruszył do wyjścia.

\*

Tunel kończył się drewnianą klapą od zewnątrz zamaskowaną roślinnością. Można ją było otworzyć jedynie od środka, a wyjścia strzegła żelazna zasuwa.

Przeciskając się włazem, McCain nie wiedział, że policjant, który namierzył go w zapadlisku, był zaledwie kilkanaście kroków za nim.

Wreszcie, pomyślał, słysząc świergot ptaków. Wziął głęboki wdech i poczuł woń jesiennego lasu.

Oficer wychylił się z tunelu zaraz za uciekinierem. Dostrzegłszy zbiega, wygramolił się przez właz i krzyknął:

– Rzuć broń i podnieś ręce do góry! Powoli i spokojnie!

Zaskoczony McCain odwrócił się i spojrzał groźnie na funkcjonariusza. Tego przeszył dreszcz na widok poharatanej bliznami twarzy.

– Co, do...

Policjant się skrzywił i nieco opuścił broń. Derrian McCain brutalnie to wykorzystał. Uniósł strzelbę i nacisnął spust. Trafił w pierś. Siła uderzenia targnęła oficerem do tyłu – wpadł do tunelu. Morderca z uśmiechem na twarzy przeładował broń. Wtedy kątem oka dostrzegł nadbiegającego psa. Zdążył wycelować, ale nie był w stanie oddać strzału. Człowieka zabiłby bez wahania, ale gdyby nie psy, jako dziecko nie przeżyłby tych dwóch miesięcy w samotności. Za bardzo cenił te zwierzęta. Odrzucił broń i spróbował odeprzeć atak rękami.

Policyjny owczarek rzucił się na niego z impetem.

McCain stracił równowagę i przewrócił się na plecy. Zwierzę szarpało go za nogawkę, rozrywając spodnie. Drugą nogą Derrian kopnął psisko w łeb. Owczarek głośno zaskowyczał i odskoczył.

Z daleka dobiegł rozkazujący głos:

– *Nie ruszaj się!*

McCain błyskawicznie wstał.

– *Stój!*

Padł strzał.

Morderca poczuł ostry ból przeszywający nogę. Runął na ziemię, ale wciąż miał siłę, aby walczyć. Dostrzegł swoją broń. Zaczął czołgać się w jej stronę, pozostawiając na liściach krwawy ślad. Gdy był metr od strzelby, nadbiegł policjant i odkopnął ją.

– *Nie ruszaj się!*

## ROZDZIAŁ 42

– Agentko Wyden! – krzyknął kapitan. – Agentko Wyden! Wyciągnijcie ją, do cholery!

Nicole poruszyła palcami prawej dłoni i uniosła powieki, ale natychmiast je przymknęła, gdyż stale leciały jej do oczu drobinki ziemi. Uwolnioną ręką przetarła twarz. Poczuła, jak szturcha kogoś łokciem.

– Spokojnie... Już panią wyciągamy... Wszystko będzie dobrze...

Gdy uświadomiła sobie, że głos, który do niej mówi, nie należy do Zacka ani do jego brata, poczuła niewymowną ulgę. Koniec, pomyślała. Nareszcie...

– Co z McCainami? – zapytała, choć nawet jeszcze nie wiedziała, kto się dookoła niej krząta.

– *Fabio* przysypało, a brzydał dostał kulkę... – rzekł wesoło dowódca, nachylając się nad zawaliskiem. – Kapitan Jonathan Simons, do usług.

– Nie żyją?

– Niestety... obaj przeżyli.

Nicole spróbowała się podnieść, podczas gdy dwaj policjanci szybko usuwali z niej ziemię.

– Proszę się nie ruszać... – zareagował ostro oficer.

Poczuła uderzenie gorąca, widząc twarz Zacka leżącego nieco dalej. Do połowy był jeszcze przysypany ziemią.

– Jesteście pewni, że żyje?

– Sprawdziliśmy. Przed chwilą jeszcze oddychał, ale czy będzie roślinką, czy zwierzęciem, okaże się później. Mam nadzieję, iż nie ma pani za złe moim ludziom, że najpierw zajęli się panią.

– Chyba nie...

– Coś panią boli?

– Wszystko...

– Świetnie... To znaczy, że jest czucie. Bałem się o pani kręgosłup – przyznał szczerze kapitan. – Takie wypadki potrafią być fatalne w skutkach.

– Złego diabli nie biorą – rzekła ironicznie Nicole, próbując dostosować się do sposobu mówienia kapitana. Prawdę powiedziawszy, chciało jej się płakać z bólu.

– Proszę spróbować wstać, ale powoli i ostrożnie – poinstruował jeden z oficerów.

Policjanci złapali Nicole pod ramiona.

Krzywiła się, ale dała radę.

– Chyba mam połamane żebra i coś z barkiem...

– Zaraz będą tu chłopcy z drabiną. Wyciągniemy panią.

– Jasne... Nigdzie się nie wybieram.

– A wy, na co czekacie? – Kapitan pogonił swoich ludzi. – *Fabio* sam się nie odkopie.

– Rozkaz...

– Dzięki za ratunek... – powiedziała szczerze Nicole.

– Drobiazg... Właściwie to sama się pani uratowała. My tylko panią odkopaliśmy. – Jonathan Simons znany był ze swej brutalnej szczerości i wszyscy, którzy z nim dłużej pracowali, zdążyli przywyknąć.

– Kapitanie... Chyba mamy problem – oznajmił po chwili jeden z oficerów pracujących w zapadlisku.

– Co tam?

– Trzy ręce... – zgłosił niepewnie policjant.

– Co?

Nicole ściągnęła brwi, z zaciekawieniem przyglądając się odkryciu.

– Właśnie odkopaliśmy trzecią rękę – potwierdził oficer. – Z czego jedna nie wygląda na męską i raczej nie należy do tego faceta.

– No więc w czym problem? Dawajcie go tu razem ze wszystkimi rękami i na górze spróbujemy coś dopasować.

– Kapitanie...

– Czwarta ręka, czy trzecia noga?

– Chyba całe ciało...

– Cholera... – warknął dowódca i natychmiast połączył się ze swoimi ludźmi w wozie. – Mówi Simons. Potrzebuję techników. Jakies sto, sto pięćdziesiąt metrów na południe od ogrodzenia. Mamy ciało... I niech ktoś

się tu jeszcze z łaski swojej pojawi, bo trzeba dobrze sprawdzić ten drugi tunel i ogrodzić teren.

– *Przyjęłam, bez odbioru.*

– Kapitanie...

– Tak?

– Kolejne ciało...

– Żartujesz sobie ze mnie?

– Nie, sir...

Cudownie, pomyślał dowódca.

– Panie kapitanie, chyba znalazłem coś jeszcze...

– Słuchaj... – Simons przykucnął. – Umówmy się, że pokopiesz z dziesięć minut i potem zgłosisz mi wszystko, co znalazłeś, okej?

– Tak jest...

– To ich ofiary – wyjaśniła Nicole. – A my zachodziliśmy w głowę, jak się ich pozbywają.

– Jeżeli ma pani rację, agentko Wyden, to ilu ciał możemy się tu spodziewać?

Spojrzała na kapitana niepewnym wzrokiem. Po prostu bała się zgadywać.

– No cóż... – Jonathan Simons widział już w życiu wiele, więc niespecjalnie się zdziwił. Nie pozostało mu nic innego, jak ponownie nawiązać kontakt ze swoimi ludźmi.

– Jest tam ktoś jeszcze, czy wszyscy już do mnie biegną?

– *Kapitanie...*

– Dzwoncie do sąsiednich wydziałów. Będziemy potrzebowali więcej techników. Najlepiej sprowadźcie wszystkich z całego stanu. I niech wezmą ze sobą sporo worków i jeszcze więcej rolek żółtej taśmy.

– *Przyjęłam, bez odbioru.*

– Aaa! I niech ktoś załatwi dokładne mapy tych lasów. Wezwijcie strażników. Od teraz nie chcę tu widzieć żadnego cywila.

\*

Simons był twardzielem, ale o gołębim sercu. Osobiście pomógł Nicole pokonać drogę do ambulansów, które nie były w stanie dojechać na miejsce.



Agentka nie chciała skorzystać z noszy. Odstąpiła je McCainom i rannemu policjantowi, któremu życie uratowała kamizelka.

– Burmistrz Donovan i szef policji z St. Michael powiedzieli mi, jak się pani poświęciła. Cholernie doceniam, choć nie wiem, czy słowa są w stanie to oddać. Pół roku pod przykrywką... Z tego, co wiem, pracuje pani dla FBI, ale gdyby przypadkiem panią wyrzucili, proszę się odezwać. Na pewno będę w stanie pomóc...

– Doceniam, kapitanie, ale jeśli nie wyrzucili mnie przez te pół roku, to pewnie teraz też tego nie zrobią.

– Racja... – uśmiechnął się Simons, ale szybko stracił humor. – Będę z panią szczerzy... Pierwszy raz boję się tego, co chłopcy znajdują.

– Ja też...

– Jak panią na to namówili?

– Praca jak każda inna...

– Śmiem wątpić!

– Co będzie z McCainami? Gdzie trafią? – zmieniła temat Nicole, nie chcąc wracać do przeszłości.

– Najpierw tam, gdzie pani. Do szpitala... Później pewnie też, ale do innego.

– Chory system...

– Dlatego powiedziałem *niestety*, gdy zapytała pani, czy żyją.

– Czuję, że dogadalibyśmy się, gdyby jednak wywalili mnie z FBI.

– Jestem tego pewien...

# ROZDZIAŁ 43

## Okolice rezydencji McCainów Dwa dni później...

– Panie burmistrzu... – przywitał się młody śledczy, podchodząc do Donowana i szefa policji, który przejął dowodzenie po Jonathanie Simonsie.

– Szefie, przyjechało FBI.

– Nareszcie! Ileż można czekać...

– O co chodzi? – zdziwił się burmistrz, który przybył na miejsce dosłownie chwilę wcześniej.

– Dzwoniłem do nich z pytaniem, kiedy wreszcie się zjawią, bo trupów przybywa i już nie mam ich gdzie trzymać. Potem federalni zaczną mi wytykać błędy w zabezpieczeniu materiału dowodowego. Jeśli chcą przejąć śledztwo, niech to zrobią od razu. Też mamy swoją robotę – dokończył cicho szef policji, widząc podchodzących agentów. – Choć raz ktoś ma lepszy garnitur od nich – szepnął do Donowana, który znany był z tego, że zawsze dobrze się ubierał.

Burmistrz parsknął śmiechem, co nie uszło uwadze niższego agenta o krępej budowie ciała. Mężczyzna nie wiedział jeszcze, z kim ma do czynienia. Zdjął okulary i krzywo spojrzął na Donowana. Ten natychmiast spoważniał.

– Nazywam się Colter. To agent Sergel – przedstawił towarzysza.

Federalni stanowili swoje przeciwieństwo. Niższy, bardziej wygadany, miał twarz zabijaki, a wyższy przypominał wychudzonego więźnia, który przez dwa miesiące żył o samej wodzie. Przywitał się jedynie skinieniem głowy i nie wyglądało na to, że w ogóle się odezwie.

– Kto tutaj dowodzi?

– Ja – oznajmił szef policji. – To ja was wezwałem. Miło, że wreszcie jesteście.

– Co się stało?

– Jak to, co się stało?!

– Dlaczego pan nas wezwał? – wyjaśnił Colter nieco protekcyjnym tonem.

Donowan i szef policji popatrzyli po sobie niezrozumiale.

– Nie poinformowano was?

– O czym? – odrzekł ze stoickim spokojem niższy agent.

– Jak to, o czym?! O obławie! O McCainach! O ciałach zakopanych w cholernym tunelu!

Tym razem agenci wymienili się spojrzeniami.

– Chcecie powiedzieć, że o niczym nie wiecie? – zapytał burmistrz, wybałuszając oczy ze zdziwienia.

– Słuchajcie... Wzywacie nas, to przyjeżdżamy... Mówcie, co jest grane, bo wsiadamy w samochód i wracamy.

– Wasza agentka, Nicole Wyden, nie poinformowała was o sprawie McCainów? Mieliście się pojawić następnego dnia, czyli wczoraj. Nie ma was, to dzwonię, bo moi ludzie od dwóch dni zabezpieczają materiał dowodowy. Zaczynają nam się kończyć worki, nie mówiąc już o lodówkach, a wy przyjeżdżacie i mówicie, że o niczym nie wiecie?!

– Proszę wybaczyć, ale to jakieś kpiny.

– Przepraszam, a pan to kto?

– Christian Donowan. Jestem burmistrzem St. Michael.

– Mhm...

– Panowie, to naprawdę kiepski dzień na żarty! – Szef policji coraz bardziej się irytował.

– Jak nazywała się ta agentka?

– Nicole Wyden...

Colter dał znak partnerowi, aby ten ją sprawdził. Agent Sergel natychmiast sięgnął po telefon i odszedł na bok.

– Mówiliście, że ile ciał macie?

– Do tej pory dwadzieścia sześć.

Tym razem Colter wybałuszył oczy.

– I wciąż znajdujemy kolejne... Zakopano je w ścianach tunelu. Czasem trafiamy na same kości, ale niektóre ciała... Powiem tak... Nie chcielibyście

być teraz w skórze moich ludzi, którzy muszą...

Wrócił agent Sergel i szef policji uciął w pół zdania, oczekując wyjaśnień.

– Przykro mi, ale w FBI nie pracuje żadna Nicole Wyden. A przynajmniej nie w terenie...

– Żartuje pan?

– Tak, żartujemy... Kolega właśnie zamawiał nam pizzę – odszczeknął Colter.

– Ty też z nią rozmawiałeś – szef policji zwrócił się do Donowana.

– Oczywiście! Nawet pokazała mi legitymację!

– To agentka, która działała pod przykrywką. Może macie ją w innej bazie?

– Obawiam się, że doszło do nieporozumienia...

– Nieporozumienia?! – odparł zaszokowany Donowan. – Nieporozumieniem jest wegetariański hot-dog! Kobieta powiedziała, że pracuje dla FBI i namierzaliście McCainów od prawie roku! Znaleźliśmy dwa tuziny ciał, a kolejne to tylko kwestia czasu, więc chyba trudno mówić tutaj o nieporozumieniu!

– Pomogła zorganizować obławę, w której brała udział jednostka specjalna – dodał szef policji. – Dowódca brygady nazywał się Simons.

– Wszystkich nabrała? – zapytał Donowan, który powoli skłaniał się ku temu, że agenci rzeczywiście nie wiedzą, kto to Nicole Wyden.

– Paranoja!

– Nicole Wyden... – dociekał Colter.

– Tak... Przeliterować wam to? – warknął szef policji.

– Nie trzeba.

– I co teraz?

– Będziemy potrzebowali zeznań. Jeśli jakaś kobieta podszyła się pod agentkę FBI, to musimy wyjaśnić i tę kwestię. A jeżeli już tu jesteśmy, pokażcie, co macie...

– Moment, moment – wstrzymał ich szef policji. – Zadzwońcie do szpitala! Była ranna i pewnie trafiła na obserwację!

– Macie numer tej placówki?

– Nie.

– Znajdź w internecie... – rzucił Colter do towarzysza, traktując go jak chłopca na posyłki.

Agent Sergel ponownie się oddalił. Chwilę trwało, zanim uzyskał potrzebne informacje. W tym czasie doszli do odkrytego fragmentu tunelu. Nieopodal leżało kilka zamkniętych worków ze zwłokami.

– Na razie sprawdziliśmy ściany na długości niecałych trzydziestu metrów po obu stronach.

– Jak długi jest tunel?

– Prawie pół mili...

– I już znaleźliście dwadzieścia sześć ciał?

Szef policji potaknął.

– Jezu...

Gdy agent Sergel do nich dołączył, nie miał wesołej miny.

– Wysoka, wysportowana brunetka po trzydziestce, podejrzenie połamanych żeber i zwichnięta ręka?

– Tak! To ona!

– Wypisała się wczoraj rano na własne żądanie – oznajmił spokojnie Sergel, chowając telefon do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Szefie, dzwonią nasi ze szpitala! – krzyknął detektyw koordynujący akcję wydobywania zwłok. – Podobno nie mogą pana złapać.

– Cholera... Zostawiłem komórkę w samochodzie. Dawaj mi ich! – Wyszarpnął podwładnemu telefon. – Słuchajcie... – zaczął ostro, ale natychmiast zamilkł.

Gdy funkcjonariusz pilnujący sali Derriana McCaina zakończył zdawanie raportu, szef policji rozłączył się bez słowa. Po chwili wymamrotał zaszokowany:

– McCainowie nie żyją.

– Kto to? – dopytał Colter.

– Sukinsyny odpowiedzialne za to wszystko... Moi ludzie powiedzieli, że godzinę temu każdego z nich odwiedziła agentka FBI... Nicole Wyden.

# ROZDZIAŁ 44

St. Michael

Po południu, tego samego dnia...

Christian Donovan siedział na wygodnej sofie, podczas gdy Susan Sachs parzyła kawę.

Gdy była burmistrz dowiedziała się o zniknięciu Nicole Wyden, natychmiast chciała usłyszeć jakieś wyjaśnienia, więc zaprosiła do siebie jedyną osobę, której mogła ufać, a która wiedziała o wszystkim z pierwszej ręki.

– Mleczka, Christianie?!

– Poproszę, ale odrobinę.

Sachs przyniosła dwie filiżanki i wróciła jeszcze po talerz z kilkoma kawałkami świeżo upieczonego ciasta ze śliwkami, którego aromat unosił się w całym domu.

– Jakaś konkretna okazja? – uśmiechnął się przyjacielsko Donovan.

– Pozbyliśmy się z miasta dwóch morderców, a poza tym moja wnuczka ma dziś urodziny. Wieczorem do niej jadę. Poprosiła, abym upiekła to ciasto. Uwielbia je. – Nałożyła kawałek burmistrzowi, a ten natychmiast spróbował.

– Pyszne... – przyznał szczerze.

Sachs upiła łyk kawy i rzekła:

– Nie mogę uwierzyć w numer, jaki wywinęła ta kobieta. Oszukała ciebie, mnie, naszą policję i FBI!

– To rzeczywiście dziwne, ale... zrobiła to w dobrej wierze. Podobnie jak ty kiedyś. Gdyby znowu do mnie przyszła, od razu bym się zgodził.

– Ze mną nie rozmawiała już tak przyjaźnie jak z tobą, ale gdy dowiedziałam się, że ty i szef policji popieracie pomysł, nie mogłam odmówić – roześmiała się ironicznie Sachs. – Ta kobieta nadawałaby się do

polityki. Była bardzo przekonująca. – Uniosła brwi, upijając kolejny łyk kawy.

– Postaram się udobruchać ludzi... Pomogę twojej córce objąć ten cholerny stołek.

– Christianie...

– Nie, nie... Mam już dość. Zresztą, wszyscy wiedzą, że to była pomyłka. Znamy się nie od dziś. Już ci kiedyś powiedziałem, że jeżeli tylko ktoś mnie jeszcze posłucha, a będę miał taką możliwość, to w następnych wyborach pomogę twojej córce. Dobrze, żeby miastem rządził ktoś mocno stąpający po ziemi.

– To może nie być takie proste, bo McCainowie od zawsze byli mile widziani w radzie. Niestety, to ja zaprosiłam do niej Roda. Nie chcę, żeby teraz moja córka za to zapłaciła.

– Nie martw się. Właśnie to wykorzystamy. Ród McCainów przestał istnieć w dwa tysiące dziewiątym, wraz ze zniknięciem Toma. To, co po nich zostało, nie powinno być w ogóle brane pod uwagę. Zresztą... Derrian całkowicie wycofał się z życia miasta, a jego brat... już wtedy był martwy. Ta kobieta, Nicole Wyden, czy jak jej tam, gdy odwiedziłem ją przedwczoraj wieczorem w szpitalu, żeby za wszystko podziękować, powiedziała mi, że przez osiem lat trzymali ojca w piwnicy. To psychopaci, Susan. Nie martw się nimi. Kiedyś McCainowie pomagali miastu na każdym polu. Twoja córka nie będzie odpowiadała za grzechy ich spadkobierców.

– A co z prawdą? Jeśli Wyden zniknęła, nasz układ diabli wzięli.

– Zobaczymy... Nie wychylajmy się, a może sprawa Meye-rów sama przycichnie. Mam nadzieję, że tunel wypełniony ciałami w zupełności wystarczy policji i nie będą rozgrzebywali cmentarza. Jeśli ta kobieta rzeczywiście rozplynęła się w powietrzu, to istnieje szansa, że federalni się nie połapią. Rozmawiałem już z szefem policji. Niewielu zna prawdę o Meyerach i zaręczam ci, że wszyscy będą siedzieć cicho.

– Obyś się nie mylił...

Donowan ukroił spory kawałek ciasta.

– Wiesz, Christianie, stanowimy całkiem zgrany zespół – rzuciła Sachs.

– Podobały mi się nasze pozorowane kłótnie – oznajmił prześmiewczo burmistrz. – Byłaś naprawdę niezła.

– Ty też... Myślę, że Sachswie i Donowanowie powinni trzymać się razem. Co powiesz na stanowisko honorowego członka rady, jeżeli moja

córka obejmie po tobie urząd?

– Nie mam nic przeciwko...

– Miło mi to słyszeć.

– Jednak jest coś, co nie daje mi spokoju. Ta policjantka wspomniała o klątwie Meyerów czy McCainów. W końcu się nie dowiedziałem, o co w tym wszystkim chodziło. Kazałaś wykasować ten artykuł z sieci i nie dotarłem do prawdy.

Sachs odłożyła talerzyk.

– To była historia wyszana z palca. McCainowie zawsze stanowili gorący temat, na którym można było sobie podnieść czytelność gazety. Jeden dziennikarz zauważył pewną zależność. Rod i Elizabeth zginęli w dziewięćdziesiątym trzecim, Mary McCain w dwa tysiące pierwszym, a Tom i Max zaginęli w dwa tysiące dziewiątym.

– Co z tego?

– Los przypominał sobie o McCainach co osiem lat...

– Nie zauważyłem tej zależności. Ale skąd od razu klątwa?

– Ten dziennikarz doszedł do absurdalnego wniosku, że to wina domu.

– Co?!

– Wcześniej rezydencja *pochłonęła* Meyerów, później *uwzięła się* na McCainów. Chodziło o powiązanie liczbowe. Ilość ciał odpowiadała okresom, po których ginęli kolejni McCainowie.

– Co za nonsens. Meyerów było sześciu...

– Plus służąca i ogrodnik...

– No dobra, ale przecież Derrian, czy jak mu tam wcześniej było, przeżył.

Mamy siedmiu...

– Owszem, ale dziennikarz o tym nie wiedział. Mimo to...

– Co?

Sachs westchnęła.

– Młoda Meyerówna podobno była w ciąży... To znowu daje nam osiem.

– Chryste Panie... Co ciekawe, od dwa tysiące dziewiątego, kiedy to niby zaginęli Tom McCain i jego syn, znowu minęło osiem lat.

– A niech mnie...

– Sam widzisz. Może jednak coś w tym jest.

Sachs wyraźnie posmutniała.

– Błagam cię... Nie miej wyrzutów... Należało im się. Tylko w jednym miesiącu zabili pięć osób.



– Cztery... – uściśliła.

– Dwóch mężczyzn i trzy kobiety, w tym twoją kuzynkę... – oznajmił pewnie Donovan.

– Dwie kobiety...

Burmistrz ściągnął brwi. Poprawiając się na sofie, zaczął intensywnie myśleć. Nagle zrozumiał, co nie pasuje do schematu.

– To nagie ciało w lesie...

Sachs skinęła głową.

– Policja znalazła tę biedną dziewczynę martwą, z raną postrzałową, w zupełnie innym miejscu, na obrzeżach St. Michael. To była sierota, która właśnie zaczęła nowe życie. Nikt po niej nie płakał, więc postanowiliśmy, że jej śmierć może pomóc miastu.

– Przenieście zwłoki w okolice rezydencji, aby dobrać się do Meyerów.

Była burmistrz potwierdziła ze smutkiem i drżącą ręką podniosła filiżankę.

– Też bym tak zrobił na twoim miejscu – stwierdził pewnie Donovan i nałożył sobie jeszcze kawałek ciasta. – Naprawdę świetne! – rzucił wesoło z pełnymi ustami.

# EPILOG

## Gdzieś w USA...

- Panie dyrektorze, przyszła pani Reflin.
- Świetnie! Niech wejdzie.
- Oczywiście...

Szczupła blondynka po czterdziestce uprzejmie poprosiła oczekującą kobietę.

Gdy Jade Reflin znalazła się w biurze dyrektora, asystentka zamknęła za nią drzwi, a na interaktywnym panelu sterującym wbudowanym w blat biurka nacisnęła czerwony guzik. Dyrektor identycznie postąpił u siebie. Było to podwójne zabezpieczenie mające na celu zagłuszenie każdego elektronicznego sygnału, jaki mógł wydostać się z pomieszczenia.

– Panno Reflin, gratuluję! – Wstając, dyrektor zaprosił agentkę, aby usiadła przed nim.

Jade śmiała się w duchu za każdym razem, gdy osobiście miała okazję spotkać tego człowieka. Jeszcze nigdy nie widziała kogoś tak niskiego, a pracującego dla FBI. Ostrożnie usiadła, gdyż ręka podwieszona na temblaku bolała ją przy każdym gwałtowniejszym ruchu.

- Dyrektorze Adams...
- Jak ramię?
- Niestety, lekarz dostrzegł delikatne pęknięcie, ale nie chciałam słyszeć o gipsie.

James Adams szczerze się zmartwił.

- Ja też miałam nadzieję, że skończy się na przemieszczonym barku...
- A żebra?
- Lepiej... Myślałam, że dostał pan raport lekarza. Gdy odmówiłam założenia gipsu, pogroził mi, że dowie się pan o wszystkim i sama będę

jeszcze o niego prosiła.

James Adams uśmiechnął się i rzekł:

– Mam nadzieję, że odszkodowanie choć trochę ulży w bólu.

– Zapewne. A w związku z leczeniem... Mam drobną uwagę.

– Tak?

– Na drugi raz załatwcie mi lepszy pakiet ubezpieczeń. Zdziwiłam się, dostając w szpitalu rachunek na sześćdziesiąt tysięcy dolarów. – Podała go dyrektorowi, a ten obojętnie zerknął na kartkę, po czym podarł ją i wyrzucił do kosza.

– Nicole Wyden już nie istnieje... – uśmiechnął się Adams.

– Mogę mieć kolejną uwagę?

– Słucham...

– Nie sądzę, aby następnym razem podobna przykrywka była dobrym rozwiązaniem. Codziennie się zastanawiałam, kiedy Seeger mnie załatwi.

– Uważam, że w tym przypadku przykrywka bazująca na pani prawdziwej przeszłości była genialna. Wystarczyło pozmienić nazwiska. Wiedzieliśmy, że panią sprawdzi i nabierze podejrzeń. Nie dość, że porwania ustały, to jeszcze był zmuszony zabrać panią tam, gdzie mógł spokojnie zabić – roześmiał się Adams, choć Jade Reflin nie było do śmiechu.

– Czyli w miejsce, gdzie pozbyli się już wielu ciał. Nie chcę być niegrzeczna, ale prawie mnie załatwili.

– Jade... – Dyrektor przeszedł na ty. – Wszyscy popełniamy błędy... Nawet ja... Przyznam, że mieliśmy sporo szczęścia, a wielu aspektów nie wzięliśmy pod uwagę. Kazałem ci wrócić do szpitala i pozbyć się problemu. Nie wiesz tego, ale godzinę później mieliśmy telefon od jednego z agentów terenowych. Sprawdzał Nicole Wyden.

– Czy pracuję dla FBI?

Dyrektor skinął głową.

– I co znalazł?

– Na szczęście nic, gdyż zaraz po tym, jak wyszłaś od McCainów, kazałem wyczyścić kartotekę. Gdyby sprawdzili cię godzinę wcześniej, musiałbym się niezłe tłumaczyć.

– A ja nie?

– Ty oficjalnie znowu nie istniejesz.

– Nie rozumiem, dlaczego mam wszystkim pokazywać legitymację FBI, a gdy ktoś zapyta, to nie ma mnie w żadnej bazie.

– Czasem będziesz, ale nie zawsze. Tylko w trakcie sprawy. Już tłumaczyłem... Mało kto w FBI wie, że ta sekcja w ogóle istnieje. Między innymi dzięki temu mogliśmy sobie pozwolić na... *zabieg* w szpitalu. Ten cały Simons słusznie zauważył, że McCainowie nie trafiliby do więzienia, a już na pewno nie Derrian McCain. Są sytuacje, których nawet FBI nie przeskoczy, ale my możemy.

– Rozumiem, choć... nie do końca.

– I niech tak pozostanie. Nie będę ukrywał, że cieszę się, iż nie zawahałaś się przed wykonaniem ostatniego rozkazu, choć wcześniej o nim nie rozmawialiśmy. Wiem, że początkowe ustalenia były nieco inne, lecz...

– To był kolejny test?

– Można tak powiedzieć.

– Świetnie... Ile ich jeszcze będzie?

– Kto wie...

– Od początku był pan pewien, jak McCainowie skończą?

– Mniej więcej... Teraz już wiem, że mogę na tobie polegać w każdej sytuacji.

– Po prostu... potrafię się odwdziżyć za wygrzebanie mnie z bagna.

– Rozumiem i doceniam. Aczkolwiek, jeśli mnie zapytasz o zdanie, to zabójca twojej siostry i siostrzenicy po prostu dostał to, na co zasłużył. Nie były jego pierwszymi ofiarami i z pewnością nie byłyby ostatnimi. Ktoś taki nie może przebywać na wolności tylko dlatego, że jakiś policjant sknocił zabezpieczenie materiału dowodowego.

– Przełożeni nie byli dla mnie zbyt wyrozumiali.

– Nie dziwię się, bo tak samo jak zwykli ludzie, policjanci również zobowiązani są przestrzegać prawa. Zaplanowane zabicie mordercy to też morderstwo.

– Dlatego tak bardzo spodobała mi się robota tutaj.

– Cieszę się...

– Panie dyrektorze... dlaczego ci dwaj musieli zginąć akurat z mojej ręki? FBI też by sobie z nimi poradziło. Federalni przejęli śledztwo od policji, a my przejęliśmy od nich. Gdzie w tym sens?

James Adams wyraźnie się wahał, ale szybko znalazł wymijającą odpowiedź:

– Tak postanowił ktoś, kto płaci mi i pani za niezadawanie niepotrzebnych pytań.

– Rozumiem...

– Powiedziałem ci już, że McCainowie prędzej czy później skończyliby w taki sam sposób. Musiałem na chwilę wstrzymać akcję. Nie wydałbym na nich wyroku, gdyby policja nie znalazła tych ciał w bocznym tunelu. Pewnie żyliby jeszcze trochę, dopóki nie powiedzieliby nam prawdy.

– Wie pan, że w którymś momencie zaczęłam współczuć McCainowi?

– Derrianowi McCainowi? – upewnił się Adams.

Potaknęła.

– Jak zobaczyłam w tym mauzoleum miskę i zrozumiałam, że przez jakiś czas grobowiec był jego domem, to...

– Poczekaj, Jade! – zareagował ostro Adams. – Wielu, naprawdę wielu ludzi doznało w życiu podobnej tragedii albo i gorszej. Pracując jako detektyw, sam widziałem niejedno. Mimo to nigdy w życiu nie będę usprawiedliwiał mordowania niewinnych, nawet patrząc przez pryzmat przeszłości, jakakolwiek by ona nie była. Wielu doznaje gorszych krzywd, a staje się po nich jeszcze lepszymi ludźmi.

– U McCaina zadziałało to po prostu odwrotnie... – wyjaśniła spokojnie agentka. – Nie wszyscy są tacy twardzi...

Adams ugryzł się w język, aby nie powiedzieć za dużo. Postanowił zmienić temat:

– Przypomniało mi się coś jeszcze...

– Tak?

– Wiedz, że niezwykle doceniam twoją kreatywność, ale nie powinnaś kończyć zadania w tak ryzykowny sposób. Podkreślę jeszcze raz... Gdyby nie uciekli tym tunelem, a zwłoki by się nie znalazły... Poza tym rzeczywiście mało brakowało, a przypłaciłabyś to życiem.

– Uznałam, że mieliśmy na nich wystarczająco dużo dowodów, żeby...

– Nie, nie rozumiesz... – Adams uniósł rękę. – Nie pomyślałaś. Żeby poszli siedzieć między innymi za porwanie i znęcanie się nad agentem FBI, który byłby także świadkiem w procesie, musiałbym przyznać, że oficjalnie pracujesz dla biura. Pewnie nie stanowiłoby to problemu, bo Nicole Wyden miała u nas założoną kartotekę, do której oczywiście McCainowie nie mieli szans dotrzeć, ale gdybyś musiała stanąć przed sądem i zeznawać, straciłbym cię. Rozumiesz już teraz? Pewnie dalej pracowałabyś dla FBI, tylko że jawnie, bo za chwilę jakiś prawnik spojrzałby w akta i powiedział, że nagle

Nicole Wyden zniknęła z naszej bazy. Stworzenie fikcyjnej kartoteki to nie problem, ale jej usunięcie mogłoby zrodzić wiele pytań bez odpowiedzi.

– Rozumiem... – spochmurniała.

– Wszyscy popełniamy błędy – powtórzył Adams. – Tym razem ja też popełniłem ich sporo. Od następnego zadania dokładnie będziemy ustalać, co możesz, a czego nie.

– Tak jest, panie dyrektorze... Coś jeszcze?

– Nie... Weź sobie dwa tygodnie wolnego i wyjedź gdzieś. Doprowadź się do porządku. Tylko powiedz mi, dokąd jedziesz.

– I to mają być wakacje? – roześmiała się.

– Lepsze takie niż żadne.

– Szczerze? Nie sądzę, że gdzieś się wybiorę. Chętnie odpocznę w domu po tym wszystkim.

– Wykuruj się dobrze, bo jak wrócisz, będę miał dla ciebie następne zadanie.

– Kogo tym razem mam zaciągnąć do łóżka?

Adams się roześmiał.

– Sęk w tym, że nikogo. Wręcz przeciwnie...

Jade Reflin spojrzała nieufnie na dyrektora.

– W sumie, jeśli masz przez cały odpoczynek zachodzić w głowę, o co chodzi, powiem ci od razu i będziesz mogła zastanowić się nad rozwiązaniem problemu.

– Okej...

– Świetnie! – Adams przyklasnął. – Chodź ze mną.

\*

Gdy osiągnęli poziom minus drugi, winda stanęła.

– Nawet w tym budynku, coś się psuje? – zapytała półzartem Jade Reflin.

James Adams zbliżył oko do skanera siatkówki. Drzwi się rozsunęły dopiero po pozytywnej weryfikacji.

Przeszli obok kilku zamkniętych pomieszczeń.

– Nigdy tu nie byłem...

– Ciesz się... – skomentował krótko Adams, po czym dodał: – Wizerunek kobiety, jej twarz, stosunkowo prosto zmienić. Z facetem jest już znacznie

gorzej.

Zatrzymali się przy drugim z kolei przeszklonym pokoju po prawej stronie.

– To nasz najnowszy... *nabytek*. Choć chyba nie powinienem tak o nim mówić.

– Widzi nas?

– Nie.

– Co mu się stało? – zapytała Jade, sondując pacjenta leżącego w bezruchu na łóżku, z zabandażowaną głową.

– Operacja twarzy... – wyjaśnił spokojnie Adams.

– Aż tak?

– Niestety... Tak jak powiedziałem, z kobietami jest prościej, choć też to rozważę przy następnej kandydatce.

– Ale chyba nie myśli pan się cofać? – przeraziła się.

– Zrobię, co będzie konieczne.

Przełknęła ślinę.

– Zaczynam się obawiać, co to za zadanie.

– Patrzysz na nie...

– Mam zostać jego niańką, dopóki nie wyzdrowieje?

Adams spojrział na nią poważnie.

– Żartuje pan? I to ma być to zadanie?

– Pomożesz mu zrozumieć pewne sprawy.

– Mianowicie?

– Ten człowiek sporo przeszedł. Uznajmy, że miał w życiu pecha i niespecjalnie lubi poznawać nowych ludzi, a zwłaszcza kobiety.

– Prawiczek? – zażartowała Reflin.

Adams z trudem powstrzymał się od śmiechu.

– Szykuję dla niego zadanie, w którym będzie musiał zbliżyć się do pewnej osoby i obawiam się, że...

– ...to spieprzy – dokończyła Reflin.

– Owszem.

– I ja mam dopilnować, żeby tego nie spieprzył.

– Właśnie...

– Przed kilkoma dniami dwóm seryjnym mordercom wstrzyknęłam niewykrywalną truciznę, a od jutra mam zacząć bawić się w swatkę?

– Nie... Od jutra jesteś na urlopie. Zacznesz za dwa tygodnie.

KONIEC



# Spis treści

<a href="#">—</a>
<a href="#">Dedykacja</a>
<a href="#">Prolog</a>
<a href="#">Rozdział 1</a>
<a href="#">Rozdział 2</a>
<a href="#">Rozdział 3</a>
<a href="#">Rozdział 4</a>
<a href="#">Rozdział 5</a>
<a href="#">Rozdział 6</a>
<a href="#">Rozdział 7</a>
<a href="#">Rozdział 8</a>
<a href="#">Rozdział 9</a>
<a href="#">Rozdział 10</a>
<a href="#">Rozdział 11</a>
<a href="#">Rozdział 12</a>
<a href="#">Rozdział 13</a>
<a href="#">Rozdział 14</a>
<a href="#">Rozdział 15</a>
<a href="#">Rozdział 16</a>
<a href="#">Rozdział 17</a>
<a href="#">Rozdział 18</a>
<a href="#">Rozdział 19</a>
<a href="#">Rozdział 20</a>
<a href="#">Rozdział 21</a>
<a href="#">Rozdział 22</a>
<a href="#">Rozdział 23</a>
<a href="#">Rozdział 24</a>
<a href="#">Rozdział 25</a>

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Epilog](#)